

Najbardziej prawdziwa książka Grishama

JOHN  
GRISHAM

NIEWINNY



  
AMBER

To nie jest fikcja literacka.

Po raz pierwszy John Grisham przedstawia autentyczne wydarzenia bardziej dramatyczne i przerażające niż w jego najlepszych thrillerach prawniczych.

Ron Williamson był pierwszym zawodnikiem ze stanu Oklahoma wybranym do głównej ligi baseballowej. Opuścił rodzinne miasteczko, by ścigać marzenia na najslynniejszych amerykańskich stadionach. Wrócił sześć lat później, ze zwichniętymi marzeniami, niesprawną ręką i złymi nalogami: alkohol, narkotyki, kobiety rozmyły wizję kariery. Pojawily się oznaki choroby umysłowej. Nie potrafił zagrzać miejsca w żadnej pracy, więc przeprowadził się do matki i spał całymi dniami. W 1982 roku w miasteczku zgwałcono i zamordowano młodą kelnerkę.

Przez pięć lat policja nie potrafiła rozwiązać zagadki jej śmierci. Z nigdy niewyjaśnionych powodów podejrzenie padło na Rona Williamsona i jego przyjaciela Dennisa Fritza. W 1987 roku aresztowano ich i oskarżono o morderstwo. Bez żadnych dowodów prokurator oparł akt oskarżenia na pseudonaukowych danych, na zeznaniach więźniów i donosicieli.

Dennis Fritz został uznany za winnego i skazany na dożywocie,  
Ron Williamson – wysłany do celi śmierci...



Jeśli wierzysz, że człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy,  
ta książka tobą wstrząśnie.

Jeśli wierzysz w słuszność kary śmierci,  
ta książka zachwieje twoimi przekonaniem.

Jeśli wierzysz, że prawo jest sprawiedliwe,  
ta książka wprowadzi cię we wściekłość.

Cena det. zł 39,80



AMBER

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)



JOHN  
GRISHAM

NIEWINNY

Przekład  
JAN KRAŠKO



Konsultacja  
Prof. dr hab. Tadeusz Tomaszewski  
prof. zw., Katedra Kryminalistyki Uniwersytetu Warszawskiego

Korekta  
Magdalena Kwiatkowska

Ilustracja na okładce ©  
Wydawnictwo Amber

Skład Wydawnictwo Amber

Druk  
Drukarnia Naukowo-Techniczna  
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA, Warszawa, ul. Mińska 65

Tytuł oryginału  
The Innocent Man

Copyright © 2006 by Bennington Press, LLC.  
All rights reserved.

For the Polish edition  
Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2707-0  
978-83-241-2707-8

Warszawa 2006. Wyдание I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.  
00-060 Warszawa, ul. Królewska 27  
tel. 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Annette Hudson i Renee Simmons  
oraz pamięci ich brata

# Rozdział 1

**Pofalowane** wzgórza południowo-wschodniej Oklahomy ciągną się od Norman aż do Arkansas i niewiele jest wśród nich śladów świadczących o tym, że były tu kiedyś olbrzymie złoża ropy naftowej. Tu i ówdzie widać stare wieże wiertnicze; wysięgniki tych wciąż działających kiwają się powoli w górę i w dół, z każdym skłonem pompując kilkanaście litrów ropy i zmuszając przechodnia do zastanowienia, czy wysiłek ten jest wart zachodu. Wiele z nich po prostu zrezygnowało i zastygło bez ruchu wśród pól jako rdzewiejące pamiątki dni sławy i chwały, dni naftowych gejzerów, poszukiwaczy ropy i błyskawicznych fortun.

Wieże wiertnicze widać również na polach wokół Ady, starego górniczego, szesnastotysięcznego miasta z college'em i sądem okręgowym. Ale wieże już nie działają - ropa się skończyła. Pieniądze zarabia się tu teraz w fabrykach, zakładach paszowych i na plantacjach orzechów pekanowych.

Centrum Ady jest ruchliwe. Przy Main Street nie ma domów pustych ani zabitych deskami. Sklepikarze jakoś sobie radzą, chociaż większość z nich przeniosła się na skraj miasta. W porze lunchu restauracje są przepelnione.

Gmach sądu hrabstwa Pontotoc jest stary i ciasny, zawsze pełen prawników i ich klientów. Podobnie jak gmach sądu w każdym mieście, otaczają go przeróżne budynki administracyjne i siedziby kancelarii prawniczych. Miejscowy areszt, przysadzisty, pozbawiony okien schron przeciwlotniczy, z jakiegoś dawno już zapomnianego powodu zbudowano na sądowym trawniku. Dzięki pladze amfetaminy jest zawsze pełny.

Main Street kończy się na kampusie East Central University, gdzie studuje cztery tysiące studentów, z których wielu dojeżdża. Uniwersytet

ożywia miejscową społeczność, zapewniając jej dostawy świeżej, młodej krwi i fachowe kadry, które wprowadzają trochę urozmaicenia do monotonii południowo-wschodniej Oklahomy.

Niewiele rzeczy umyka uwadze „Ada Evening News”, prężnemu dziennikowi, który zajmuje się sprawami regionalnymi i robi wszystko, żeby skutecznie rywalizować z „The Oklahoman”, największą stanową gazetą. Na pierwszej stronie zamieszcza zwykle wiadomości z kraju i ze świata, potem wiadomości ze stanu i regionu, a jeszcze potem te naprawdę ważne: wiadomości sportowe z miejscowego ogólniaka, miejscowe wiadomości polityczne, kalendarz miejscowych imprez i nekrologi.

Mieszkańcy Ady i hrabstwa Pontotoc to sympatyczna mieszanina małomiasteczkowych południowców i niezależnych mieszkańców zachodu. Tutejszy akcent może pochodzić ze wschodniego Teksasu lub z Arkansas i cechuje go spłaszczone „I” oraz wydłużone samogłoski. To kraina Indian muskogejskich. W Oklahomie mieszka więcej rdzennych Amerykanów niż w jakimkolwiek innym stanie i po stu latach przeróżnych krzyżówek w żyłach wielu tutejszych białych płynie indiańska krew. Piętno szybko znika; co więcej, ludzie są teraz dumni ze swego pochodzenia.

Przez Adę przebiega Pas Biblijny. W mieście jest pięćdziesiąt kościołów reprezentujących kilkanaście odmian chrześcijaństwa. Panuje w nich duży ruch, i to nie tylko w niedzielę. Jest tu jeden kościół katolicki i jeden episkopalny, ale nie ma ani jednej świątyni czy synagogi. Większość mieszkańców to chrześcijanie, a przynależność do kościoła jest pożądana i mile widziana. Status często zależy od tego, jaką religię się wyznaje.

Ponieważ Ada ma szesnaście tysięcy mieszkańców, w rolniczej Oklahomie uchodzi za duże miasto, dlatego buduje się tu sporo różnych wytwórni i hurtowni. Ludzie przyjeżdżają tu z kilku sąsiednich hrabstw, jedni na zakupy inni do pracy. Ada leży sto dwadzieścia osiem kilometrów na południowy wschód od Oklahoma City, a od Dallas dzieli ją ledwie trzy godziny jazdy samochodem. Każdy zna tu kogoś pracującego lub mieszkającego w Teksasie.

Źródłem największej dumy są w Adzie aukcje koni odmiany Quarter. Tutejsi farmerzy hodują jedne z najlepszych koni wyścigowych. A kiedy Kuguary z miejscowego ogólniaka po raz kolejny zdobywają mistrzostwo stanu w futbolu, całe miasto chodzi dumne jak paw przez wiele lat.

Jest to miasteczko przyjazne, pełne ludzi, którzy zagadują na ulicy i znajomych, i obcych, i którzy zawsze pomagają bliźnim w potrzebie. Na cieniistych trawnikach przed domami bawią się dzieci. Za dnia nie zamyka się tu drzwi. Wieczorami po mieście krążą nastolatki, nie przysparzając nikomu większych kłopotów.

Gdyby nie dwa słynne morderstwa na początku lat osiemdziesiątych, świat nie zwróciłby na Adę uwagi. Dla zacnych mieszkańców hrabstwa Pontotoc tak byłoby lepiej.

**Jakby** przestrzegając niepisanego miejskiego rozporządzenia, większość nocnych klubów i knajp w Adzie wywędrowała na peryferia, żeby pospolita hołota trzymała się jak najdalej od tych lepszych i porządniejszych. Jedną z takich knajp była Coachlight, Pod Latarnią, ogromna, blaszana buda z kiepskim oświetleniem, tanim piwskim, szafą grającą, parkietem do tańca, weekendową orkiestrą i wyżwirowanym parkingiem, gdzie zakurzone pikapy znacznie przewyższały liczebnością zwykłe samochody. Stałymi gośćmi byli Pod Latarnią ci, których należało się tu spodziewać: robotnicy z okolicznych fabryk spragnieni kielicha przed powrotem do domu, szukający zabawy chłopaki ze wsi, dwudziestokilkuletnie nocne marki, no i ci lubiący potaćnić i posłuchać muzyki na żywo. Bywali tu kiedyś Vince Gili i Randy Travis.

Był to lokal popularny i zwykle zatłoczony, gdzie na część etatu pracowało wielu barmanów, wykidajłów i kelnerek. Jedną z nich była Debbie Carter, dwudziestoletnia dziewczyna, która ukończywszy miejscowy ogólniak, postanowiła się usamodzielnić. Pracowała też w dwóch innych miejscach i od czasu do czasu wynajmowała się jako opiekunka do dzieci. Miała samochód i mieszkała sama w trzypokojowym mieszkaniu nad warsztatem przy Ósmej ulicy, niedaleko uniwersytetu. Była dziewczyną ładną, szczupłą, ciemnowłosą, wysportowaną i bardzo niezależną. Cieszyła się dużą popularnością wśród chłopców.

Jej matka, Peggy Stillwell, martwiła się, że córka spędza tak dużo czasu Pod Latarnią i w innych klubach. Nie po to ją wychowała; właściwie to wychował ją Kościół. Ale ukończywszy szkołę średnią, Debbie zaczęła imprezować i późno wracać do domu. Peggy protestowała przeciwko temu nowemu stylowi życia i od czasu do czasu się kłóciły. Mimo to Debbie postanowiła być niezależna. Znalazła sobie mieszkanie, wyprowadziła się z domu, ale utrzymywała bliskie kontakty z matką.

Siódmego grudnia 1982 roku pracowała Pod Latarnią, podając gościom drinki i spoglądając na zegarek. Tego wieczoru było mało gości, więc spytała szefa, czy mogłaby skończyć wcześniej i pogadać z przyjaciółmi. Szef nie miał nic przeciwko temu i już wkrótce Debbie siedziała przy stoliku, pijąc drinka z Giną Viettą, bliską przyjaciółką z ogólniaka, i z kilkoma innymi znajomymi. Do stolika podszedł Glen Gore, też kolega ze szkoły średniej,



i poprosił ją do tańca. Debbie wyszła z nim na parkiet, lecz w połowie piosenki nagle zeszywniała, rozgniewana zostawiła Gore'a samego i wróciła na miejsce. Później, w damskiej toalecie, powiedziała, że czułaby się bezpiecznie, gdyby któraś z przyjaciółek u niej przenocowała, nie wyjaśniła jednak, co ją tak bardzo zaniepokoiło.

Tego dnia knajpę zamykano wcześniej, bo już o wpół do pierwszej, więc Gina Vietta zaprosiła ich na kieliszek do siebie. Większość towarzystwa się zgodziła, ale Debbie, zmęczona i głodna, chciała po prostu wrócić do domu. Wyszli z knajpy bez zbytecznego pośpiechu.

Kilkoro ludzi widziało, jak Debbie rozmawia na parkingu z Glenem Gore'em. Tommy Glover dobrze ją znał, ponieważ pracowali razem w miejscowej wytwórni szkła. Znał i Gore'a. Wsiadając do pikapa, widział, jak Debbie otwiera drzwiczki samochodu. Jak spod ziemi wyrósł tam Gore; rozmawiali przez kilka sekund i Debbie go odepchnęła.

Pod Latarnią pracowali również Mike i Terri Carpenterowie, on jako bramkarz, ona jako kelnerka. Idąc przez parking, mijali Debbie. Siedziała za kierownicą, rozmawiając z Glenem, który stał przy samochodzie. Pomachali jej na dobranoc i poszli dalej. Miesiąc wcześniej Debbie powiedziała Mike'owi, że boi się Gore'a ze względu na jego wybuchowy charakter.

Toni Ramsey pracowała Pod Latarnią jako pucybut. W 1982 roku w Oklahomie wciąż kwitł przemysł naftowy. W Adzie było mnóstwo pięknych butów. Ktoś musiał je czyścić, dzięki czemu Toni mogła zarobić trochę pieniędzy, których tak bardzo potrzebowała. Dobrze znała Gore'a. Wychodząc z knajpy tamtego wieczoru, widziała Debbie za kierownicą. Gore zaś kucnął przy otwartych drzwiczkach od strony pasażera. Rozmawiali, chyba grzecznie. Nic nie wskazywało na to, że coś jest nie tak.

Gore, który nie miał samochodu, wprosił się do wozu znajomego nazwiskiem Ron West i przyjechał do Latarni o wpół do dwunastej w nocy. West zamówił piwo i usiadł, żeby się trochę odprężyć, a on poszedł pogadać z kumplami. Zdawało się, że wszystkich tam zna. Kiedy zapowiedziano ostatnią kolejkę, West złapał go i spytał, czy wciąż chce, żeby go podrzucić. Tak, odparł Gore, więc West wyszedł na parking, żeby tam na niego zaczekać. Minęło kilka minut, wreszcie zjawił się Gore. Spiesznie wyszedł i wsiadł do samochodu.

Obydwaj uznali, że są głodni, więc West pojechał do centrum, do restauracyjki o nazwie Warner, gdzie zamówili szybkie śniadanie. Zapłacił West, tak jak płacił za drinki Pod Latarnią. Wieczór rozpoczął u Harolda, w innym klubie, gdzie pojechał, żeby poszukać znajomych z pracy. Ale u Harolda padł na Gore'a, który od czasu do czasu robił tam za barmana

i dyskdyokeja. Prawie się nie znali, ale kiedy Gore poprosił go o podrzucenie do Latarni, West nie potrafił mu odmówić.

West był szczęśliwym mężem i ojcem dwóch córek, i rzadko kiedy prześadywał do późna w barze. Chciał wracać do domu, ale przykleił się do niego Gore, który z godziny na godzinę coraz więcej go kosztował. Kiedy wyszli z restauracji, spytał go, dokąd chce teraz jechać. Do domu matki, odparł Gore, na Oak Street, ot, tylko kilka ulic dalej. West dobrze znał miasto i pojechał w tamtym kierunku, ale zanim dotarli na Oak Street, Gore nagle zmienił zdanie. Włączył się z Westem już od kilku godzin i chciał sobie pogadać. Było zimno, temperatura wciąż spadała, wiał przenikliwy wiatr. Nadszedł chłodny front atmosferyczny.

Przystanęli przed kościołem baptystów przy Oak Avenue, niedaleko domu jego matki. Gore szybko wysiadł, za wszystko podziękował i ruszył na zachód.

Kościół baptystów przy Oak Avenue i dom Debbie Carter dzieliło mniej więcej półtora kilometra.

Matka Gore'a mieszkała tak naprawdę po drugiej stronie miasta, a nie w pobliżu kościoła.

Mniej więcej o wpół do trzeciej nad ranem Gina Vietta, która była już u siebie z przyjaciółmi, odebrała dwa dość niezwykle telefony, obydwie od Debbie Carter. Podczas pierwszej rozmowy Debbie poprosiła, żeby Gina po nią przyjechała, ponieważ ma gościa, przy którym czuje się nieswojo. Giną spytała ją, kto to taki. Rozmowę przerwała przytłumiona wymiana zdań i odgłosy szarpaniny o słuchawkę. Nie bez podstaw zaniepokojona Gina uznała, że prośba przyjaciółki jest co najmniej dziwna. Debbie miała przecież samochód, oldsmobile'a rocznik 1975, i mogła nim pojechać dokąd tylko chciała. Kiedy spieszenie wychodziła z mieszkania, telefon zaterkotał ponownie. Znowu dzwoniła Debbie, mówiąc, że zmieniła zdanie, że wszystko jest w porządku i żeby Gina nie zwracała nią sobie głowy. Gina ponownie spytała, kto u niej jest, ale Debbie zmieniła temat i nie chciała podać żadnego nazwiska. Poprosiła tylko, żeby Gina przekreśliła do niej rano i obudziła ją, bo nie chciała spóźnić się do pracy. To też było dziwne, bo Debbie nigdy przedtem o nic takiego nie prosiła.

Gina chciała do niej pojechać, ale ogarnęły ją wątpliwości. Miała gości. Było późno. Debbie mogła zadbać o siebie sama, poza tym, jeśli był u niej jakiś chłopak, nie chciała im przeszkadzać. Kilka godzin później poszła spać, zapominając do niej zadzwonić.

Około jedenastej przed południem ósmego grudnia do Debbie wpadła Donna Johnson, żeby się z nią przywitać. W ogólniaku były bliskimi

przyjaciółkami, ale potem Donna przeniosła się do Shawnee, dwie godziny jazdy od Ady. Przyjechała odwiedzić rodziców i poplotkować z przyjaciółmi. Szybko wbiegła na górę wąskimi, zewnętrznymi schodami, lecz gwałtownie zwolniła, zdawszy sobie sprawę, że stąpa po szkle. Okienko w drzwiach było wybite. Z jakiegoś powodu Donna pomyślała najpierw, że Debbie zatrzasnęła klucz w środku i nie mogąc wejść, musiała zbić szybkę. Zapukała. Nikt nie odpowiedział. Wtedy usłyszała muzykę z radia za drzwiami. Przekreśliła klamkę i okazało się, że drzwi nie są zamknięte na klucz. Weszła do środka, zrobiła jeden krok i wiedziała już, że coś jest nie tak.

W mieszkanku panował potworny bałagan: na podłodze leżały poduszki z sofy, wszędzie walały się ubrania. Na ścianie po prawej stronie od wejścia widniały namazane na czerwono słowa: „Następny umrze Jim Smith”.

Donna zawołała Debbie, lecz odpowiedziała jej cisza. Donna była w jej mieszkaniu już przedtem, dlatego wciąż wołając przyjaciółkę, szybko weszła do sypialni. Łóżko było odsunięte od ściany gwałtownym szarpnięciem, pościel walała się na podłodze. Donna zobaczyła czyjaś stopę, a potem, po drugiej stronie łóżka, samą Debbie, która leżała na brzuchu naga zakrwawiona z jakimś napisem na plecach.

Ogarnięta przerażeniem Donna zamarła i nie mogąc zrobić ani kroku, patrzyła na przyjaciółkę z nadzieją, że ta zacznie zaraz oddychać. Może to tylko sen, myślała.

Cofnęła się, weszła do kuchni i na małym, białym stole zobaczyła kolejne słowa wypisane przez mordercę. Nagle zdała sobie sprawę, że człowiek ten wciąż może tu być, zbiegła więc na dół i wsiadła do samochodu. Na pełnym gazie pojechała do sklepu spożywczego, skąd zadzwoniła do matki Debbie.

Peggy Stillwell słyszała ją, lecz nie rozumiała słów: jej córka leżała nago na podłodze, zakrwawiona i bez ruchu. Kazała Donnie powtórzyć wszystko jeszcze raz, a potem pobiegła do samochodu. W samochodzie wysiadł akumulator. Sparaliżowana strachem, Peggy wpadła z powrotem do domu zadzwoniła do Charliego Cartera, ojca Debbie i swego byłego męża. Rozwód, który wzięła z nim kilka lat wcześniej, nie był zbyt polubowny rzadko ze sobą rozmawiali.

W domu Charliego nikt nie podnosił słuchawki. Naprzeciwko Debbie, po drugiej stronie ulicy, mieszkała znajoma, Carol Edwards. Peggy zadzwoniła do niej, powiedziała, że stało się coś strasznego i poprosiła, żeby Carol wpadła do córki. Potem czekała i czekała. W końcu ponownie zadzwoniła do Charliego, i tym razem odebrał telefon.

Carol Edwards przebiegła na drugą stronę ulicy, weszła na górę, zauważyła rozbite szkło i otwarte drzwi. Zajrzała do mieszkania i zobaczyła ciało.

Charlie Carter był murarzem; miał muskularny tors i od czasu do czasu pracował jako bramkarz Pod Latarnią. Wskoczył do pikapa i popędził do mieszkania córki, walcząc po drodze z najpotworniejszymi myślami, jakie w tej sytuacji mogłyby przyjść do głowy każdemu ojcu. Miejsce zdarzenia wyglądało gorzej, niż to sobie wyobrażał.

Kiedy zobaczył zwłoki, dwa razy wypowiedział na głos imię córki. Ukląkł i łagodnie podniósł jej rękę, żeby zobaczyć twarz. Usta miała zakneblowane zakrwawioną myjką. Wiedział, że Debbie nie żyje, mimo to czekał z nadzieją na znak życia. Nie doczekawszy się, powoli wstał i się rozejrzał. Łóżko było przestawione, odsunięte od ściany; pościel leżała na podłodze, a w sypialni panował bałagan. Było oczywiste, że doszło tu do walki. Wszedł do pokoju, zobaczył wypisane na ścianie słowa, potem zajrzał do kuchni. Schował ręce do kieszeni i wyszedł.

Na podeście pod drzwiami stały Donna Johnson i Carol Edwards, płacząc i czekając. Słyszały, jak Charlie żegna się z córką, jak mówi, że tak bardzo mu przykro. Kiedy wyszedł chwiejnie z mieszkania, też płakał.

- Wezwać karetkę? - spytała Donna.

- Nie - odparł. — Karetka na nic się tu nie przyda. Zadzwoń na policję.

**Najpierw** przyjechało dwóch sanitariuszy. Wbiegli schodami na górę, weszli do mieszkania i już kilka sekund później jeden z nich wypadł na podest i zwymiotował.

Kiedy na miejsce zbrodni przybył detektyw Dennis Smith, na ulicy kręcili się już policjanci, sanitariusze, gapie, a nawet dwóch miejscowych prokuratorów. Zdawszy sobie sprawę, że ma do czynienia z zabójstwem, Smith kazał zabezpieczyć teren i odciąć sąsiadom dostęp do mieszkania.

Jako kapitan z siedemnastoletnim stażem w policji w Adzie wiedział, co robić. Wyprosił z mieszkania wszystkich oprócz siebie samego i drugiego detektywa, po czym kazał mundurowym chodzić od drzwi do drzwi i szukać świadków. Kipiał gniewem i walczył z emocjami. Dobrze znał ofiarę; jego córka i młodsza siostra Debbie były przyjaciółkami. Znał też Charliego Cartera i Peggy Stillwell i nie mógł uwierzyć, że ich dziecko leży martwe na podłodze we własnej sypialni. Kiedy miejsce zbrodni zostało zabezpieczone, rozpoczął oględziny.

Szkło na podeście pochodziło z rozbitej szyby we frontowych drzwiach; odłamki wały się zarówno w mieszkaniu jak i na podeście. Pod lewą ścianą

w pokoju stała sofa; poduszki były porzucane po podłodze. Przed sofą leżała nowa flanelowa koszula nocna, wciąż z metką Wal-Martu. Na ścianie naprzeciwko sofy widniał napis, który — Smith natychmiast to rozpoznał — zrobiono lakierem do paznokci: „Następny umrze Jim Smith”.

Dennis znalazł Jima Smitha.

W kuchni, na małym, białym, kwadratowym stole, zobaczył kolejny napis, najwyraźniej zrobiony keczupem: „Nie szókaście nas ani nikogo innego”. Na podłodze obok stolika leżały dzinsy i stały buty. Już wkrótce miał się dowiedzieć, że Debbie miała je na sobie poprzedniego dnia, Pod Latarnią.

Wszedł do sypialni, gdzie łóżko częściowo blokowało drzwi. Otwarte okna, rozsunięte zasłony - w pokoju było bardzo zimno. Śmierć ofiary poprzedziła ząarta walka; na podłodze wały się ubrania, prześcieradła, koce i pluszowe zwierczaki. Chyba nic nie stało ani nie leżało na swoim miejscu. Uklękawszy obok zwłok, Smith dostrzegł trzecią wiadomość od zabójcy. Na plecach Debbie wypisano keczupem słowa: „Duke Gram”.

Smith znalazł i Duke'a Grahama.

Pod ciałem leżał przewód elektryczny i kowbojski pas z dużą, srebrzystą klamrą. Na środku klamry było wygrawerowane imię: „Debbie”.

Podczas gdy Mike Kieswetter, również funkcjonariusz miejscowej policji, fotografował miejsce zbrodni, Smith zaczął zbierać dowody rzeczowe. Znalazł włosy na ciele ofiary, na podłodze, na łóżku i na pluszowych zabawkach. Metodycznie pozbiarał je, każdy umieścił w złożonej na pół karteczce, tak zwanym „sączku”, następnie dokładnie zapisał, gdzie który leżał.

Ostrożnie podniósł, oznaczył i pochował do toreb wszystkie prześcieradła, poduszki, koce, przewód elektryczny, pasek, porwane damskie majtki, które znalazł na podłodze w łazience, paczkę papierosów Marlboro, puszkę po 7-Up, plastikową butelkę z szamponem, niedopałki papierosów, szklankę z kuchni, aparat telefoniczny i włosy spod ciała ofiary. Zawinięta w prześcieradło, tuż obok Debbie leżała butelka keczupu Del Monte. Brakowało zakrętki, ale później miał ją znaleźć patolog.

Zebrawszy dowody, detektyw Smith zaczął zbierać odciski palców, robiąc coś, co robił wiele razy na niezliczonych miejscach zbrodni. Omiótł pędzelkiem obydwie strony drzwi, futryny okien, wszystkie drewniane powierzchnie w sypialni, kuchenny stół, większe kawałki szkła, telefon, pomalowane framugi otworów drzwiowych i okiennych, a nawet samochód Debbie.

Gary Rogers był agentem OSBI, Oklahoma State Bureau of Investigation, Oklahomskiego Biura Śledczego, i mieszkał w Adzie. Gdy mniej

więcej o wpół do pierwszej przybył na miejsce zbrodni, detektyw Smith zapoznał go z sytuacją. Byli przyjaciółmi i pracowali razem wiele razy.

W sypialni Rogers zauważył coś, co wyglądało na plamę krwi nad listwą przypodłogową południowej ściany, tuż obok gniazdka elektrycznego. Później, gdy zabrano już zwłoki, kazał posterunkowemu Rickowi Carsonowi wyciąć kawałek płyty kartonowo-gipsowej wielkości dwudziestu pięciu centymetrów kwadratowych, zamierzał dobrze go zabezpieczyć.

Potem wymienił się pierwszymi spostrzeżeniami z detektywem Smithem i obydwaj doszli do wniosku, że morderców musiało być co najmniej dwóch. Panujący w mieszkaniu bałagan, brak śladów krępowania rąk i nóg ofiary, rozległe urazy głowy, głęboko zakneblowane myjką usta, sińce na bokach i ramionach, prawdopodobne użycie kabla lub paska - zdawało się, że to za dużo jak na jednego zabójcę. Debbie nie należała do kobiet drobnych: miała sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i ważyła pięćdziesiąt dziewięć kilo. Była dziewczyną odważną i na pewno zażarcie walczyła o życie.

Na krótkie oględziny przyjechał doktor Larry Cartmell, patolog. Według jego wstępnej opinii, Debbie zmarła na skutek uduszenia. Wydał zgodę na zabranie ciała i przekazanie go Tomowi Criswellowi, właścicielowi miejscowego domu pogrzebowego. Karawanem Criswella przewieziono je biura patologa stanowego w Oklahoma City. Dotarło tam o 6.25 wieczorem i spoczęło w chłodni.

**Detektyw** Smith i agent Rogers wrócili na komendę, żeby porozmawiać z rodziną zamordowanej. Próbowali ich pocieszyć, ale spisywali również nazwiska: przyjaciół, chłopców, współpracowników, wrogów, byłych szefów, wszystkich tych, którzy mogli znać Debbie i wiedzieć coś na temat jej śmierci. Lista była długa, zaczęli więc wydzwaniać, najpierw do mężczyzn. Mieli do nich prośbę: Proszę przyjść na komendę, żebyśmy mogli pobrać panu odciski palców, próbkę śliny oraz włosów łonowych.

Nikt nie odmówił. Mike Carpenter, bramkarz z Latarni, który widział Debbie na parkingu z Glenem Gore'em około wpół do pierwszej w nocy, zgłosił się jako jeden z pierwszych. Tommy Glover, kolejny świadek spotkania Debbie z Gore'em, dostarczył próbki równie szybko.

Około wpół do ósmej wieczorem ósmego grudnia Gore zjawił się U Harolda, gdzie miał puszczać płyty i nalewać drinki. Lokal był prawie pusty i kiedy spytał, dlaczego nikogo nie ma, ktoś powiedział mu o morderstwie.

Wielu klientów, a nawet pracowników Harolda, było na komendzie, gdzie odpowiadali na pytania i gdzie pobierano im odciski palców.

Gore pojechał tam szybko i został przesłuchany przez Gary'ego Rogersa i D.W. Barretta, miejscowego policjanta. Powiedział im, że znał Debbie Carter od szkoły średniej i że poprzedniego wieczoru widział ją Pod Latarnią.

Pełny raport z przesłuchania Glena Gore'a brzmi następująco:

Glen Gore pracuje u Harolda jako dyskdzokej. Susie Johnson powiedziała mu tam o Debbie 12 grudnia 1982 o 19.30. Glen chodził z nią do szkoły. W poniedziałek 6 grudnia widział ją u Harolda. Dwunastego grudnia 1982 widział ją Pod Latarnią. Rozmawiali o lakierowaniu jej samochodu. Nigdy mu nie mówiła, że ktoś się jej naprzykrza. Glen przyszedł Pod Latarnię około 22.30 z Ronem Western. Wyszedł z nim około 1.15. Nigdy nie był w mieszkaniu Debbie.

Raport został sporządzony przez D.W. Barretta w obecności Gary'ego Rogersa i wraz z kilkunastoma innymi włożony do akt.

Gore miał później zmienić zeznanie, twierdząc, że nie widział, jak Ron Williamson nagabuje Debbie w klubie siódmego grudnia. Zeznania tego nikt nigdy nie zweryfikował ani nie potwierdził. Wielu z obecnych tam gości znało Rona Williamsona, notorycznego hulakę i krzykacza. Nikt nie pamiętał, żeby był wtedy w klubie; co więcej, większość z przesłuchiwanym stanowczo twierdziła, że go tam nie było.

Bo kiedy Ron Williamson był w knajpie, wszyscy o tym wiedzieli.

To dziwne, ale ósmego grudnia, pośród zamieszania związanego z pobieraniem odcisków palców i próbek włosów, Gore'owi udało się prześlizgnąć przez sito. Albo się ukradkiem wymknął, albo celowo go zignorowano, albo po prostu o nim zapomniano. Bez względu na powody, nie zdjęto mu odcisków palców ani nie pobrano próbek śliny i włosów.

Miało upłynąć ponad trzy i pół roku, zanim miejscowa policja pobrała dowodowy materiał biologiczny od ostatniego człowieka, który widział Debbie Carter żywą.

**Dziewiątego** grudnia o trzeciej po południu, a więc już nazajutrz, doktor Fred Jordan, stanowy lekarz sądowy i patolog, przeprowadził sekcję zwłok. Obecni byli: agent Gary Rogers i Jerry Peters z Oklahomskiego Biura Śledczego.

Doktor Jordan, doświadczony patolog, który przeprowadził tysiące sekcji, stwierdził najpierw, że są to zwłoki młodej, białej kobiety, zupełnie nagiej, jeśli nie liczyć białych skarpetek. Doszło już do całkowitego stężenia pośmiertnego, co oznaczało, że ofiara nie żyła co najmniej od dwudziestu czterech godzin. Na piersiach miała wypisane słowo: „Zdychaj” czymś, co wyglądało na czerwony lakier do paznokci. Ciało miała wysmarowane inną czerwoną substancją, prawdopodobnie keczupem, a na jej plecach, również keczupem, wypisano słowa: „Duke Gram”.

Na rękach, piersiach i twarzy doktor Jordan zauważył kilka małych siniaków. Zauważył również kilka drobnych skaleczeń na wewnętrznej stronie jej warg. Z ust wystawała nasiąknięta krwią zielonkawa myjka, wepchnięta głęboko do gardła, którą ostrożnie wyjął. Na szyi ofiara miała układające się w półokrąg otarcia i siniaki. Miała również posiniaczoną pochwę. I mocno rozszerzony odbył. Po dokładnych oględzinach doktor Jordan znalazł i wyjął stamtąd małą, metalową nakrętkę do butelki.

Badanie wewnętrzne nie ujawniło niczego szczególnego: zapadnięte płuca, powiększone serce, kilka sińców na głowie i brak urazów mózgu.

Wszystkie rany zadano, kiedy ofiara jeszcze żyła.

Nie było śladów krępowania rąk ani nóg. Małe siniaki na przedramionach powstały prawdopodobnie podczas walki, kiedy Debbie się broniła. Zawartość alkoholu we krwi była niewielka: 0,4 promila. Zrobiono wymaz z ust, pochwy i odbytu. Badanie mikroskopowe miało ujawnić obecność plemników w pochwie i odbycie, ale nie w ustach.

W celu zabezpieczenia dowodów rzeczowych doktor Jordan obciął jej paznokcie, zeszkrobał próbkę keczupu i lakieru do paznokci i wycesał luźne włosy łonowe; pobrał również próbkę włosów głowowych.

Przyczyną śmierci była asfiksja, zaduszenie się na skutek zadławienia myjką i zadzierzgnięcia na szyi paska lub kabla elektrycznego.

Kiedy Jordan skończył pracę, Jerry Peters sfotografował ciało i pobrał odciski palców i dłoni.

**Peggy Stillwell** była zdruzgotana do tego stopnia, że nie mogła normalnie funkcjonować ani podejmować żadnych decyzji. Nie obchodziło ją, kto organizuje pogrzeb ani co dokładnie zaplanowano, ponieważ nie miała zamiaru w nim uczestniczyć. Nie mogła jeść, nie mogła się kapać, a już na pewno nie mogła pogodzić się z tym, że jej córka nie żyje. Zamieszkała z nią jedna z sióstr, Glenna Lucas, która powoli opanowała sytuację. Zamówiono mszę i Peggy została taktownie poinformowana, że musi na niej być.



Nabożeństwo odbyło się w sobotę jedenastego grudnia, w kaplicy domu pogrzebowego Criswella. Glenna umyła i ubrała siostrę, zawiozła ją na miejsce i żeby pomóc jej przetrwać tę ciężką próbę, przez cały czas trzymała ją za rękę.

Na terenach wiejskich Oklahomy wszystkie nabożeństwa żałobne odbywają się tak, że otwartą trumnę wystawia się na widok publiczny. Powód tego jest nieznany lub zapomniany, jednakże skutek potęguje tylko udrękę i cierpienie.

Ponieważ trumna była otwarta, wszyscy widzieli, że Debbie pobito. Miała opuchniętą i posiniaczoną twarz, chociaż wysoki kołnierzyk koronkowej bluzki zasłaniał ślady duszenia na szyi. Była w swoich ulubionych džinsach i wysokich butach; przepasana kowbojskim pasem z dużą klamrą, na palcu miała brylantowy pierścionek w kształcie końskiej podkowy, który matka kupiła jej pod choinkę.

Wielebny Rick Summers odprawił nabożeństwo w obecności tłumu żałobników. Potem, w lekko prószącym śniegu, pochowano ją na cmentarzu Rosedale. Pozostawiła rodziców, dwie siostry, dwoje z czworga dziadków i dwóch siostrzeńców. Była członkinią małego kościoła baptystów, gdzie ochrzczono ją w wieku sześciu lat.

Morderstwo wstrząsnęło Adą. Chociaż historia miasta obfitowała w akty gwałtu i przemocy, ofiarami byli zazwyczaj zaganiacze bydła i włóczędzy, ludzie, którzy jeśli nawet nie zginęli od kuli, prędzej czy później kulę tę wystrzeliliby sami. Jednakże tak brutalny gwałt i morderstwo młodej kobiety było czymś przerażającym i w Adzie aż huczało od plotek i domysłów. Zapanał strach. Zaczęto zamykać okna i drzwi na noc. Nastolatków obowiązywała ściśle przestrzegana godzina policyjna. Młode matki pilnowały dzieci bawiących się na trawnikach przed domami.

W miejscowych knajpach nie rozmawiano o niczym innym. Ponieważ Debbie często je odwiedzała, stali goście dobrze ją znali. Miała wielu chłopców i z czasem policja ich przesłuchiwała. Padało nazwisko za nazwiskiem, przyjaciół, znajomych i „narzeczonych”. Podczas dziesiątków przesłuchań ujawniono kolejnych, ale nie znaleziono wśród nich podejrzanych. Debbie cieszyła się dużą popularnością, była dziewczyną lubianą i towarzyską, dlatego nikt nie mógł uwierzyć, że ktoś mógłby ją skrzywdzić.

Policja ułożyła listę dwudziestu trzech ludzi, którzy byli Pod Latarnią siódmego grudnia, i ze wszystkimi przeprowadziła rozmowę. Nikt z nich nie pamiętał, żeby był tam również Ron Williamson, chociaż większość go znała.

Przez komendę przelała się rzeka opowieści i wspomnień o dziwnych osobnikach. Młoda kobieta nazwiskiem Angelia Nail skontaktowała się

z Dennisem Smithem i opowiedziała mu o spotkaniu z Glenem Gore'em. Była bliską przyjaciółką Debbie Carter, a Debbie była przekonana, że Gore ukraść jej wycieraczki samochodowe. Ciągle o tym rozmawiały. Debbie znała go ze szkoły i się go bała. Mniej więcej tydzień przed morderstwem Angelia zawiozła ją do domu Gore'a na konfrontację. Debbie weszła tam i sobie pogadali. Wróciła do samochodu zła i jeszcze bardziej pewna, że to właśnie on ukraść wycieraczki. Pojechały na komendę i rozmawiały z oficerem dyżurnym, ale ten nie sporządził oficjalnego meldunku.

**Policja** dobrze znała zarówno Duke'a Grahama jak i Jima Smitha. Graham prowadził z żoną nocny klub, lokal w miarę przyzwoity, gdzie nie tolerowano żadnych rozrób. Dochodziło do nich rzadko, chociaż raz wybuchła wyjątkowo paskudna awantura, którą sprowokował Jim Smith, miejscowy oprych i drobny przestępca. Smith upił się i zaczął rozrabiać: nie chciał wyjść z lokalu, ale wtedy Duke wyjął strzelbę i go wypędził. I z jednej, i z drugiej strony posypały się groźby i przez kilka dni atmosfera w klubie była napięta. Smith należał do tych, którzy mogli wrócić tam ze spluwą i wszystkich powystrzelać.

Glen Gore był tam stałym gościem, dopóki nie zaczął przystawiać się do Johnnie, żony Duke'a. Kiedy stał się zbyt napastliwy, Johnnie go odtrąciła i sprawę wziął w swoje ręce Duke. Gore stracił prawo wstępu do lokalu.

Ten, kto zabił Debbie Carter, próbował niezdarnie zwalić winę na Duke'a Grahama i jednocześnie odstraszyć Jima Smitha. Ale Smith przebywał już za kratkami; odsiadywał wyrok w więzieniu stanowym. Duke pojechał na komendę i przedstawił mocne alibi.

**Carterów** poinformowano, że muszą zwolnić wynajmowane przez Debbie mieszkanie. Jej matka wciąż nie mogła dojść do siebie. Nieprzyjemnego zadania podjęła się zatem ciotka, Glenna Lucas.

Policjant otworzył mieszkanie i Glenna powoli weszła do środka. Od chwili morderstwa niczego tam nie ruszano i jej pierwszą reakcją był nieskrywany gniew. Nie ulegało wątpliwości, że doszło tu do awantury, do walki. Że jej siostrzenica rozpaczliwie walczyła o życie. Jak ktoś mógł dopuścić się tak potwornej zbrodni na tak miłej, ładnej dziewczynie?

W mieszkaniu było zimno i cuchnęło czymś, czego nie mogła zidentyfikować. Na ścianie wciąż widniał koślawy napis: „Następny umrze Jim Smith”. Glenna gapiła się nań z niedowierzaniem. To trwało, myślała. Był tu

długo. Siostrzenica umarła w męczarniach. W sypialni materac stał oparty o ścianę i nic nie leżało na swoim miejscu. W szafie na wieszaku nie wisiała ani jedna sukienka czy bluzka. Po co morderca je zdjął?

W małej kuchni panował bałagan, ale nie było tam śladów walki. Ostatni posiłek Debbie składał się z mrożonych ziemniaków - Tater Tost — i ich resztki wciąż leżały na papierowym talerzu z keczupem. Obok talerza stała solniczka, sam talerz zaś na małym, białym stole, gdzie Debbie zwykle jadła. Tam też widniał koślawy napis: „Nie szókaście nas ani nikogo inego”. Glenna wiedziała, że morderca sporządzał je między innymi keczupem. Uderzyły ją błędy ortograficzne.

Zdołała odpędzić koszarne myśli i nie uległa panice. Zebranie i spakowanie ubrań, naczyń i ręczników zajęło jej dwie godziny. Policja nie zabierała zakrwawionego prześcieradła. Na podłodze wciąż były ślady krwi.

Glenna nie zamierzała sprzątać; chciała tylko zabrać rzeczy Debbie i jak najszybciej wyjść. Czuła się jednak dziwnie, zostawiając tam słowa mordercy wypisane lakierem do paznokci ofiary. Niedobre było również to, że ktoś inny będzie musiał zmyć podłogę i usunąć z niej plamy krwi.

Chciała to zrobić, chciała dokładnie wyszorować każdy centymetr kwadratowy mieszkania, żeby usunąć wszystkie ślady morderstwa. Ale nie wytrzymała, miała tego dość; widziała wystarczająco dużo. Otarła się o śmierć i dłużej ocierać się o nią nie chciała.

**Polowanie** na podejrzanych trwało. Odciski palców oraz próbki włosów i śliny pobrano w sumie od dwudziestu jeden mężczyzn. Szesnastego grudnia detektyw Smith i agent Rogers pojechali do laboratorium kryminalistycznego OSBI w Oklahoma City i przekazali technikom dowody rzeczowe z miejsca zbrodni wraz z próbkami od siedemnastu przesłuchanych.

Najbardziej obiecującym dowodem był fragment płyty kartonowo-gipsowej. Jeśli podczas walki zostawiono na ścianie krwawy odcisk i jeśli odcisk ten nie należał do Debbie Carter, policja dysponowałaby namacalnym tropem, który doprowadziłby ich w końcu do mordercy. Agent Jerry Peters zbadał fragment i dokładnie porównał krwawe ślady z odciskami palców i dłoni Debbie, pobranymi podczas sekcji zwłok. Uznał, że śladów tych nie pozostawiła ofiara, jednak chciał to jeszcze zweryfikować.

Czwartego stycznia 1983 Dennis Smith dostarczył kolejnych odcisków palców. Tego samego dnia zebrane na miejscu zbrodni próbki przekazano Susan Land, specjalistce od badania włosów. Dwa tygodnie później na jej biurku wylądowały kolejne. Skatalogowano je, dodano do pozostałych i tak

utknęły w długiej kolejce do Susan Land, ekspertki wiecznie przepracowanej i walczącej z ciągłymi opóźnieniami. Podobnie jak większość innych laboratoriów kryminalistycznych, oklahomskie laboratorium stanowe narzekało na niedofinansowanie, braki kadrowe i na olbrzymią presję ze strony przełożonych, którzy żądali szybszego rozwiązywania spraw.

Czekając na wyniki badań z OSBI, Smith i Rogers parli naprzód, szukając śladów. Morderstwo Debbie Carter wciąż było najgorętszym tematem dnia i mieszkańcy Ady chcieli, żeby schwytano zabójcę. Ale mimo rozmów z barmanami, bramkarzami, z jej chłopcami i wszelkiego rodzaju nocnymi markami, śledztwo stawało się coraz bardziej żmudne i mozolne. Nie było podejrzanych. Nie było konkretnych śladów.

Siódmego marca 1983 roku Gary Rogers przesłuchał Roberta Gene'a Deatherage'a, jednego z miejscowych. Deatherage wyszedł właśnie z okręgowego więzienia, gdzie odsiadywał karę za jazdę po pijanemu. Dzielił celę z niejakim Ronem Williamsonem, który siedział za to samo. O morderstwie Debbie Carter gadało całe więzienie; roiło się tam od najbardziej zwariowanych teorii na temat jej śmierci i od tych, którzy wiedzieli jakoby więcej niż inni. „Pod celą” rozmawiano o tym kilka razy i według Deatherage'a, rozmowy te bardzo denerwowały Williamsona. Często się z nimi kłócił, dochodziło nawet do wymiany ciosów. Wkrótce przeniesiono go do innej celi, a Deatherage, który wyrobił sobie mgliste przekonanie, że Ron musiał mieć coś wspólnego z morderstwem, zasugerował Gary'emu Rogersowi, żeby policją skupiła się na nim jako na podejrzanym.

To właśnie wtedy nazwisko Rona Williamsona po raz pierwszy pojawiło się w śledztwie.

Dwa dni później przesłuchano Noela Clementa, jednego z pierwszych, którzy zgłosili się dobrowolnie na komendę, żeby pobrano im odciski palców i próbki włosów. Clement opowiedział, jak to szukając kogoś innego, Ron Williamson odwiedził go ostatnio w mieszkaniu. Wszedł bez pukania, zobaczył gitarę, wziął ją i zaczął rozmawiać z nim o zabójstwie Debbie Carter. Podczas rozmowy powiedział, że kiedy rankiem w dniu morderstwa zobaczył na ulicy policyjne radiowozy, pomyślał, że to jego szukają. W Tulsie miał kłopoty z prawem i chciał uniknąć ich w Adzie.

**To, że Ron Williamson trafi wreszcie w ręce policji, było nieuniknione; dziwne, że minęły aż trzy miesiące, zanim go przesłuchano. Kilku policjantów, w tym Rick Carson, z nim dorastało, a większość pamiętała go jako świetnego baseballistę z ogólniaka. W 1983 roku nie było w Adzie**

zawodnika, który zaszedłby wyżej niż on. Gdy w 1971 roku podpisał kontrakt z Oakland A's, wielu, łącznie z samym Williamsonem, myślało, że będzie z niego drugi Mickey Mande, kolejny gigant z Oklahomy.

Ale dni świetności już dawno minęły i dla policji Ron był teraz bezrobotnym gitarzystą, który mieszkał z matką, za dużo pił i dziwnie się zachowywał.

Miał na koncie dwa wyroki za jazdę po pijanemu, jeden za pijaństwo w miejscu publicznym i cieszył się w Tulsie złą opinią.

## Rozdział 2

**Ron Williamson** urodził się w Adzie trzeciego lutego 1953 roku jako jedyny syn i ostatnie dziecko Juanity i Roya Williamsonów. Roy pracował jako akwizytor produktów żywnościowych Rawleigha. Jako nieodłączny element miasta, wędrował ulicami w marynarce i krawacie z ciężką teczką z próbkami, przyprawami i kuchennymi gadżetami. Zawsze miał w kieszeni cukierki dla dzieci, które chętnie go witały. Był to ciężki sposób zarabiania na chleb, fizycznie wyczerpujący i wymagający wielu godzin papierkowej roboty. Prowizje były niskie, dlatego gdy urodził się Ron, Juanita poszła do pracy w miejscowym szpitalu.

Ponieważ rodzice pracowali, rzeczą naturalną było, że opiekę nad Ronem przejęła jego dwunastoletnia siostra Annette, która nie mogła być z tego powodu bardziej szczęśliwa. Karzyła go, myła, bawiła się z nim, rozpieszczała go i psuła - był najcudowniejszą zabawką, jaką tylko mogła dostać. Gdy nie szła do szkoły, doglądała go, sprzątała dom i gotowała obiad.

Kiedy urodził się Ron, Renee, średnie dziecko Williamsonów, miała pięć lat i chociaż nie chciała się nim opiekować, wkrótce stała się jego towarzyszką zabaw. Annette rozstawiała po kątach i ją i kiedy trochę podrośli, Renee i Ron często łączyli siły przeciwko matkującej im siostrze.

Juanita była pobożną chrześcijanką, upartą kobietą, która pędziła rodzinę do kościoła w każdą niedzielę i środę oraz zawsze wtedy, kiedy coś się tam działo. Jej dzieci pilnie uczęszczały na zajęcia w szkółce niedzielnej, w wakacyjnej Szkole Biblijnej, jeździły na obozy, chodziły na spotkania religijne i na kościelne spotkania towarzyskie; były nawet na kilku ślubach i pogrzebach. Roy był mniej pobożny, mimo to przestrzegał zdyscyplinowanego stylu życia: regularnie chodził do kościoła, nigdy nie pił alkoholu,

nie uprawiał hazardu, nie przeklinał, nie grał w karty ani nie chodził na tańce. Całkowicie oddany rodzinie, domagał się całkowitego poszanowania obowiązujących w domu reguł i szybką ręką zdejmował pas, żeby pogrozić lub parę razy dać po pupie jednemu synowi.

Rodzina należała do Pierwszego Kościoła Ducha Świętego, kongregacji prężnej i religijnie rozśpiewanej. Jako zielonoświątkowcy, wierzyli w żarliwą modlitwę, nieustanne kultywowanie osobistego związku z Chrystusem, wierność Kościołowi i wszystkim aspektom jego działalności, w pilne studiowanie Biblii i miłość współwyznawców. Nabożeństwa zielonoświątkowców nie były nabożeństwami dla nieśmiałych: okraszone żywą muzyką i płomiennymi kazaniami wymagały emocjonalnego zaangażowania wiernych, w tym uzdrawiania, nakładania rąk i ogólnego otwarcia w głośnym wyrażaniu uczuć, jakie wywoływał w nich Duch.

Małym dzieciom opowiadano barwne historie ze Starego Testamentu i kazano im uczyć się na pamięć najpopularniejszych wersetów z Biblii. Zachęcano je, żeby „przyjęły Chrystusa” już we wczesnym dzieciństwie: żeby wyznały grzechy, poprosiły, by Duch Święty wstąpił w ich życie i pozostał w nim po wsze czasy i żeby wzorem Chrystusa przyjęły publiczny chrzest. Ronnie przyjął Chrystusa w wieku lat sześciu, gdy pod koniec długiego wiosennego zlotu religijnego ochrzczono go w Blue River, na południe od Ady.

Williamsonowie mieszkali spokojnie w małym domu przy Czwartej ulicy, we wschodniej części miasta, niedaleko uniwersytetu. Odwiedzali mieszkających w okolicy krewnych, pracowali w kościele i od czasu do czasu jeździli na kempingi do pobliskiego parku stanowego. Sportem się nie interesowali, ale sytuacja uległa gwałtownej zmianie, kiedy Ronnie odkrył baseball. Zaczął grać na ulicy z kolegami, w dziesiątki naprędce zaimprowizowanych odmian baseballu o ciągle zmieniających się zasadach. Od początku było oczywiste, że ma silne ramię i szybkie ręce. Uderzał z lewej do prawej. Polubił tę grę od samego początku i już wkrótce zaczął prosić ojca, żeby kupił mu kij i rękawicę. Williamsonowie rzadko kiedy mieli oszczędności, mimo to Roy zabrał syna na zakupy. I tak narodził się coroczny rytuał: wczesnowiosenna wyprawa do Haynesa po nową rękawicę. Zwykle była to najdroższa rękawica w sklepie.

Kiedy Ronnie jej nie używał, leżała w kącie pokoju, gdzie zbudował małą świątynię dla Mickeya Mande'a, największego Jankesa i najsłynniejszego Oklahomczyka w lidze narodowej. Ubóstwiały go wszystkie amerykańskie dzieci, ale w Oklahomie był dosłownie bogiem. Każdy chłopak z Małej Ligi marzył o zostaniu drugim Mickeyem, w tym Ronnie, który wytapetował

jego zdjęciami i kartami baseballowymi całą tablicę w kącie pokoju. W wieku sześciu lat potrafił wyrecytować z pamięci wszystkie jego osiągnięcia i statystyki, jego i wielu innych zawodników.

Kiedy nie grał na ulicy, stawał w saloniku i ze wszystkich sił wymachiwał kijem. Dom był bardzo mały, meble skromne, lecz bezcenne, dlatego ilekroć matka przyłapywała go z kijem w ręku - i widziała, jak ów kij o milimetry mija lampę czy krzesło - natychmiast wypędzała go na ulicę. Wracał chwilę później. Dla Juanity był wyjątkowym chłopcem. Choć trochę rozpuszczony, nie mógł zrobić nikomu nic złego.

Był też bardzo dziwny. Słodki i wrażliwy, niebojący się okazywać uczuć matce i siostram w sekundę potrafił zmienić się w rozwydrzonego, samolubnego bachora terroryzującego całą rodzinę. Tę zmienność nastrojów zauważono już we wczesnym dzieciństwie, lecz nie wywołało to zbyt dużego niepokoju. Ronnie bywał po prostu trudnym dzieckiem. Może dlatego, że był najmłodszy i wychowywał się w domu pełnym czułych, kochających kobiet.

**W każdym** małym mieście jest trener Małej Ligi, który kocha baseball do tego stopnia, że nieustannie wypatruje nowych talentów nawet wśród ośmiolatków. W Adzie człowiekiem takim był Dewayne Sanders, trener Police Eagles, Policyjnych Orłów. Pracował na stacji obsługi pojazdów niedaleko domu Williamsonów przy Czwartej ulicy. Usłyszał o Ronniem i wkrótce zwerbował go do klubu.

Już w tak młodym wieku było oczywiste, że Ronnie umie grać w baseball. Oczywiście i dziwne, ponieważ jego ojciec prawie się na baseballu nie znał. Ronnie nauczył się grać na ulicy.

Latem baseballowe imprezy zaczynały się wcześnie, bo chłopcy zbierali się już z samego rana, żeby pogadać o ostatnim meczu Jankesów. Wyłącznie Jankesów. Analizowali wyniki, rozmawiali o Mickeyu Mantle'u i rzucali piłką, czekając, aż przyjdzie więcej zawodników. Jeśli przyszła tylko mała grupka, grali na ulicy, uciekając przed z rzadka przejeżdżającymi samochodami, czasem wybijając komuś okno. Kiedy zjawiało się ich więcej, uliczny baseball szedł w odstawkę i przenosili się na pusty parking, żeby rozegrać poważniejszy mecz, który trwał przez cały dzień. Wieczorem wracali do domu tylko po to, żeby się trochę ogarnąć, coś zjeść, wbić się w strój i pojechać na prawdziwy mecz do Kiwanis Park.

Dzięki oddaniu i poświęceniu Dewayne'a Sandersa Policyjne Orły zajmowały zwykle pierwsze miejsce. Gwiazdą zespołu był Ronnie Williamson.



Jego nazwisko pojawiło się po raz pierwszy w „Ada Evening News”, kiedy miał dopiero dziewięć lat: „Policyjne Orły zapisały na swoim koncie dwanaście trafień, w tym dwa uderzenia za końcowy parkan w wykonaniu Rona Williamsona, który zaliczył również dwa duple”.

Roy przychodził na każdy mecz i spokojnie obserwował grę z trybun. Nigdy nie krzyczał na sędziów, na trenera czy syna. Czasami, po kiepskim meczu, udzielał mu ojcowskich rad, zwykle na temat życia w ogólności. Sam nigdy nie grał w baseball i dopiero tę grę poznawał. Jego młodziutki syn wyprzedzał go o całe lata.

W wieku jedenastu lat Ronnie przeniósł się do Dziecięcej Ligi i był najlepszym nabytkiem Jankesów sponsorowanych przez Oklahomski Bank Stanowy. Pod jego przywództwem drużyna nie przegrała w sezonie ani jednego meczu.

Kiedy miał dwanaście lat i wciąż grał u Jankesów, „Ada Evening News” pisała o drużynie tak: „Drużyna Oklahomskiego Banku Stanowego zdobyła piętnaście punktów w drugiej kwarcie... Ronnie Williamson zaliczył dwa tryplety” (dziewiątego czerwca 1965); „Jankesi stawali na pagórku tylko trzy razy... lecz potężne uderzenia Roya Haneya, Rona Williamsona i Jamesa Lamba mówiły wszystko. Williamson zaliczył tryplet” (jedenastego czerwca 1965); „Jankesi z Oklahomskiego Banku Stanowego zdobyli dwa punkty w pierwszej kwarcie... Ron Williamson i Carl Tilley zaliczyli po dwa z czterech uderzeń, każde zakończone dublem” (trzynastego lipca 1965); „Tymczasem drużyna Banku Stanowego awansowała na drugie miejsce... Ronnie Williamson zaliczył dwa duple i singla” (piętnastego lipca 1965).

**W latach** sześćdziesiątych Byng High School mieściła się prawie trzynaście kilometrów na północny wschód od Ady, już poza granicami miasta. O wiele mniejsza od bardzo rozbudowanego miejscowego ogólniaka, Byng High była uważana za szkołę wiejską. Chociaż mieszkające w okolicy dzieci mogły chodzić do szkoły w mieście, jeśli tylko chciało im się jeździć, dosłownie wszystkie wybierały mniejszą Byng głównie dlatego, że w przeciwieństwie do autobusu szkolnego Ada High, autobus Byng High przejeżdżał przez wschodnią część Ady. Większość dzieciaków z ulicy Rona wolała Byng.

W siódmej klasie gimnazjum Ronniego wybrano sekretarzem, a rok później gospodarzem i ulubieńcem klasy ósmej.

W roku 1967, po ukończeniu klasy dziewiątej, jako jeden z sześćdziesięciorga dzieci z klasy pierwszej został uczniem Byng High.

W Byng nie grało się w futbol — futbol był nieoficjalnie zarezerwowany dla bardzo silnej drużyny ogólniaka w Adzie, która rok w rok z sukcesami startowała w rozgrywkach o tytuł mistrza stanu. W Byng królowała koszykówka. Ronnie zaczął w nią grać już w pierwszej klasie i pochłonęła go równie szybko jak baseball.

Chociaż nie był mołem książkowym, lubił czytać i dostawał dobre stopnie, piątki i czwórki. Najbardziej lubił matematykę. Kiedy znudziły go podręczniki, z uporem przedzierał się przez słowniki i encyklopedie. Miał obsesję na punkcie niektórych tematów. W tym słownikowo-encyklopedycznym szale zasypywał kolegów gradem słów, których nigdy nie słyszeli, dogadując im jeśli nie znali ich znaczenia. Przystudiował życiorysy wszystkich amerykańskich prezydentów i nauczywszy się na pamięć niezliczonych szczegółów na temat każdego z nich, przez miesiące nie mówił o niczym innym. Chociaż stopniowo odchodził od Kościoła, wciąż znał na pamięć dziesiątki wersetów z Pisma Świętego, które często wykorzystywał dla własnych celów, a jeszcze częściej po to, żeby rzucić wyzwanie tym, z którymi akurat rozmawiał. Bywało, że jego obsesja wyczerpywała cierpliwość przyjaciół i rodziny.

Annette wyszła za mąż i mieszkała w Adzie. W 1969 otworzyła wraz z matką Beauty Casa, salon fryzjerski na parterze starego hotelu Julienne w centrum miasta. Obydwie ciężko pracowały i już wkrótce zdobyły mnóstwo klientek, w tym kilka prostytutek z górnych pięter hotelu. Panie te, barowe ómy, od dziesięcioleci były stałym elementem miasta i przyczyniły się do rozpadu kilku małżeństw. Juanita z trudem je tolerowała.

To, że Annette nigdy nie potrafiła odmówić swemu małemu braciszкови, odbiło jej się czkawką, bo Ronnie regularnie wyciągał od niej pieniądze na ubrania i dziewczyny. Jakimś cudem odkrył, że siostra ma rachunek w sklepie odzieżowym i natychmiast zaczął z niego korzystać. I oczywiście do głowy mu nie przyszło, żeby kupować rzeczy tanie. Czasami prosił ją o pozwolenie, częściej jednak nie. Annette wybuchała gniewem, dochodziło do awantury, lecz koniec końców zawsze płaciła rachunek. Za bardzo go uwielbiała, żeby powiedzieć: „nie”, poza tym, chciała, żeby braciszek miał wszystko co najlepsze. W połowie każdej awantury zawsze udawało mu się powiedzieć, jak bardzo ją kocha. I bez wątpienia naprawdę tak było.

Zarówno ona, jak i Renee martwiły się, że brat jest za bardzo rozpuszczony i że wywiera za dużą presję na rodziców. Bywało, że przypuszczały na niego gwałtowny atak; niektóre z kłótni były pamiętne, lecz Ronnie zawsze brał górę. Płakał, przepraszał, rozbawiał je i rozśmieszał. Siostry często odkrywały, że ukradkiem dają mu pieniądze na rzeczy, na które rodzice nie

mogli sobie pozwolić. Był trudny, pochłonięty sobą, egocentryczny, wręcz dziecinny — oczko w głowie całej rodziny — i nagle, dzięki swej rozbuchanej osobowości, potrafił sprawić, że wszyscy jedli mu z ręki.

Bardzo go kochali, a on kochał ich. I nawet kłóćąc się z nim, wiedzieli, że dostanie to, co zechce.

**W wakacje** po dziewiątej klasie kilku mających więcej szczęścia chłopaków wybierało się na obóz baseballowy do pobliskiego college'u. Chciał tam pojechać i Ronnie, ale Roy i Juanita po prostu nie mieli pieniędzy. Ronnie się uparł; miał rzadką okazję nauczyć się czegoś nowego, mogli go też zauważyć uniwersyteccy trenerzy. Przez kilka tygodni nie mówił o niczym innym i chodził nadęty, bo sprawa wyglądała beznadziejnie. Ron w końcu uległ i zaciągnął pożyczkę w banku.

Kolejnym pomysłem Rona był motocykl, coś, czemu Roy i Juanita byli bardzo przeciwni. Kiedy mu odmówili i zaliczyli już serię zwykłych w tej sytuacji wykładów, pouczeń i zapewnień, że ich na to nie stać — nie wspominając już o tym, że ich zdaniem było to po prostu zbyt niebezpieczne — Ronnie oznajmił, że zarobi nań sam. Znalazł swoją pierwszą pracę — roznoszenie popołudniówek - i zaczął odkładać każdego centa. Uzbierawszy na pierwszą ratę, kupił motor i ustalił ze sprzedawcą wysokość miesięcznych spłat.

Cały plan wziął w łeb, gdy do miasta zawitał religijny obóz wędrowny. Do Ady przyjechała Krucjata Buda Chambersa: tłumy ludzi, mnóstwo muzyki, charyzmatyczne kazania — wieczorami coś się działo. Ronnie poszedł na pierwsze nabożeństwo, głęboko się wzruszył i nazajutrz wrócił tam prawie ze wszystkimi oszczędnościami. Gdy doszła do niego taca na ofiarę, skrzętnie opróżnił kieszenie. Ale brat Bud potrzebował więcej i kolejnego wieczoru Ronnie oddał mu resztę pieniędzy. Nazajutrz zgarnął całą luźną gotówkę, jaką tylko mógł znaleźć lub pożyczyć, i wieczorem popędził pod namiot na jeszcze jedno hałaśliwe nabożeństwo i jeszcze jedną zbiórkę ciężko zarobionych datków. Przez cały tydzień udawało mu się dawać, dawać i dawać i kiedy wędrowna krucjata w końcu wyjechała, został bez centa przy duszy.

Wtedy przestał roznosić gazety, bo praca przeszkadzała mu w grze. W końcu zbierał jakoś pieniądze i spłacił motocykl.

Ponieważ obydwie siostry wyszły już z domu, mógł skupić na sobie całą uwagę rodziców. Dziecko mniej rozbrajające byłoby nie do zniesienia, lecz on potrafił wszystkich oczarować i zauroczyć — miał do tego prawdziwy

talent. Ciepły, otwarty i hojny oczekiwał bezwarunkowej i niczym nieuzasadnionej hojności od członków rodziny.

Kiedy rozpoczął naukę w dziesiątej klasie, trener drużyny futbolowej ogólniaka w Adzie zasugerował Royowi, żeby jego syn przeniósł się do większej szkoły. Chłopak był urodzonym sportowcem; całe miasto wiedziało już, że jest znakomitym koszykarzem i baseballistą. Sęk w tym, że w Oklahomie gra się w futbol, a na boisku drużyny Kugarów - jak zapewniał trener - syna czekałaby świetlana przyszłość. Z jego posturą, szybkością i ramionami mógłby zostać świetnym zawodnikiem, możliwe nawet, że zwerbowano by go do ligi zawodowej. Trener zaoferował się, że codziennie rano będzie przyjeżdżał po niego samochodem i odwoził go do szkoły.

Decyzja należała do Ronniego, a on postanowił zostać w Byng High, przynajmniej jeszcze na dwa lata.

**Wiejskie** osiedle Asher przycupnęło niemal niezauważenie przy drodze numer 177, trzydzieści dwa kilometry na północ od Ady. Liczy niewiele mieszkańców - mniej niż pięciuset - i nie ma wartego wzmianki centrum. Jest tam tylko wieża ciśnień, kilka brukowanych ulic i kilka starych domów. Dumą Asher jest piękne boisko baseballowe tuż za maleńkim ogólniakiem przy Division Street.

Wydaje się mało prawdopodobne, żeby w Asher — podobnie jak większości małych osiedli i miasteczek — działo się coś godnego uwagi, tymczasem od czterdziestu już lat gra tu najbardziej zwycięska szkolna drużyna baseballowa w kraju. Mało tego: drużyna żadnej innej szkoły średniej, ani prywatnej, ani państwowej, nie wygrała jak dotąd tylu meczów co Indianie z Asher.

Wszystko zaczęło się w 1959, kiedy zawitał tam młody trener nazwiskiem Murl Bowen, który otrzymał w spadku od dawna zaniedbany program sportowy - drużyna z 1958 roku nie wygrała ani jednego meczu. Sprawy szybko się zmieniły. Już trzy lata później Indianie zdobyli swój pierwszy tytuł stanowy. Mieli zdobyć dziesiątki kolejnych.

Z powodów, których zapewne nikt nigdy nie zrozumie i nie wyjaśni, władze Oklahomy zezwalają na jesienne rozgrywki baseballowe ligi szkolnej, ale tylko w szkołach zbyt małych na to, żeby zorganizować w nich drużynę futbolową. Za czasów trenera Bowena w Asher często bywało tak, że Indianie wygrywali mistrzostwa stanu jesienią i kolejną wiosną — nie było w tym niczego niezwykłego. Podczas pewnej wyjątkowej serii zakwalifikowali się do stanowych finałów sześćdziesiąt razy z rzędu: grali w nich przez trzydzieści lat bez przerwy, wiosną i jesienią.

W ciągu czterdziestu lat drużyny trenera Bowena wygrały dwa tysiące sto piętnaście meczów, przegrywając tylko trzysta czterdzieści dziewięć; przywiezły do domu czterdzieści trzy trofea stanowe i zasiliły dziesiątkami zawodników wiele drużyn uniwersyteckich i zespołów zawodowych. W 1975 Bowen zdobył tytuł szkolnego trenera roku, a miasteczko nagrodziło go, nazywając boisko jego imieniem. W 1995 zdobył ten tytuł ponownie.

„To nie moja zasługa — mówi skromnie, patrząc na to z perspektywy lat. To zasługa chłopaków. Ja nie zdobyłem ani jednego punktu”.

Może i nie zdobył, ale na pewno przyczynił się do zdobycia wszystkich. Na początku sierpnia, gdy temperatura w Oklahomie sięga trzydziestu ośmiu stopni Celsjusza, zbierał grupkę przyszłych zawodników i planował z nimi szturm na kolejny puchar. Wybór miał zawsze niewielki - co roku szkołę w Asher kończy mniej więcej dwudziestu uczniów, w tym połowa to dziewczęta - dlatego bywało, że drużyna składała się jedynie z dwunastu graczy, w tym z obiecującego ośmioklasisty. Żeby nikt nie zrezygnował, pierwszym punktem porządku dnia było rozdawanie strojów. To zawsze skutkowało.

Potem zaczynał ich obrabiać i urabiać, zaczynając od trzech treningów dziennie. Treningi były bardzo wyczerpujące: wielogodzinne zaprawy, sprinty, biegi do baz, wielokrotne powtarzanie i utrwalanie podstawowych elementów gry. Bowen głosił skuteczność ciężkiej pracy, wierzył w silne nogi, poświęcenie i - przede wszystkim - w sportowe zachowanie. Żaden z Indian nigdy nie pokłócił się z sędzią, sfrustrowany nie rzucił kaskiem w ziemię ani nie zrobił niczego, żeby ośmieszyć przeciwnika. Jeśli tylko było to możliwe, drużyny z Asher unikały gry z reprezentacjami słabszych szkół.

Bowen nie chciał grać ze słabeuszami, zwłaszcza na wiosnę, kiedy sezon trwał dłużej i harmonogram był bardziej elastyczny. Indianie zasłynęli z tego, że stawali w szranki z dużymi szkołami i zwykle dawali im popalić. Regularnie wygrywali z Adą, Norman, z gigantami z 4A i 5A z Oklahoma City i Tulsy. Legenda szybko rosła i drużyny te wołały przyjeżdżać do Asher i grać na nieskazitelnym boisku, które utrzymywał sam trener. Bardzo często wracały do domu pogrążonym w ciszy autobusem.

Drużyny Bowena były bardzo zdyscyplinowane i - według niektórych znawców - świetnie wyselekcjonowane. Asher stało się magnesem dla poważnych zawodników z wielkimi marzeniami, dlatego było pewne, że Ronnie Williamson w końcu tam trafi. Podczas letnich rozgrywek ligowych poznał i zaprzyjaźnił się z Bruce'em Lebą, chłopakiem z Asher i prawdopodobnie drugim po Ronniem zawodnikiem w okolicy. Stali się nierozłączni i wkrótce zaczęli snuć plany wspólnych występów w drużynie Indian.

Na boisko Bowena przychodzili łowcy talentów, ci z uniwerku i z ligi zawodowej. Poza tym, mieliby dużą szansę na zdobycie mistrzostwa stanu jesienią 1970 i wiosną 1971. Tu, ledwie kilka kroków od domu, Ron byłby znacznie lepiej widoczny.

Zmiana szkoły oznaczała wynajęcie mieszkania w Asher, olbrzymie poświęcenie dla rodziców. Z pieniędzmi zawsze było krucho, poza tym Roy i Juanita musieliby ciągle jeździć do Ady i z powrotem. Ale Ronnie się uparł. Głęboko wierzył - podobnie jak większość trenerów i obserwatorów sportowych w okolicy — że latem po ukończeniu ostatniej klasy mógłby trafić do dobrego zespołu. Marzenie o grze w lidze zawodowej było w zasięgu ręki, potrzebował tylko dodatkowego pchnięcia, żeby się ziszcilo.

Szeptano, że może zostać następnym Mickeyem Mantle'em, a on te szeptki słyszał.

Dzięki potajemnej pomocy pewnych sponsorów Williamsonowie wynajęli mały domek dwie ulice od ogólniaka w Asher i w sierpniu Ronnie zameldował się na obozie treningowym Bowena. Początkowo był oszołomiony intensywnością zaprawy fizycznej, ilością czasu poświęcanego na bieganie, bieganie i jeszcze raz bieganie. Trener musiał kilka razy wyjaśniać swemu nowemu gwiazdorowi, że żelazne nogi są podstawą dobrego uderzenia, silnego narzucenia, biegu do baz, długich rzutów z głębi pola i przetrwania do ostatniej rundy drugiego meczu podwójnej partii rozgrywanej przy prawie całkowitym braku zawodników rezerwowych. Ronnie patrzył na to inaczej, ale ulegając wpływom Bruce'a Leby i kolegów z zespołu, szybko wpadł w rytm morderczej pracy. Dostosował się i już niebawem był w znakomitej formie. Jako jeden z czterech uczniów ostatniej klasy, wkrótce został nieoficjalnym kapitanem drużyny, a Leba jej przywódcą.

Bowenowi podobała się jego postura, szybkość i iście rakietowe rzuty ze środka pola. Chłopak miał w ręku prawdziwą armatę i potężny wymach z lewej do prawej. Niektóre z jego treningowych uderzeń za prawy parkan boiska były naprawdę niesamowite. Kiedy zaczął się jesienny sezon, znowu wrócili obserwatorzy, łowcy talentów i Ron Williamson oraz Bruce Leba bardzo szybko wpadli im w oko. Ponieważ za przeciwników mieli drużyny z małych szkół, Indianie przegrali tylko jeden mecz i bez trudu zdobyli kolejny tytuł. Ron zaliczył sześć home runów ze średnią trafień 0,468. Bruce, jego zaprzyjaźniony rywal, też sześć, ze średnią 0,444. Dopingowali się nawzajem pewni, że czeka ich liga zawodowa.

Poza boiskiem też ostro pogrywali. W weekendy pili piwo, odkryli też marihuanę. Uganiali się za dziewczętami, które bynajmniej nie uciekały, bo Asher kochało swoich bohaterów: Imprezowanie weszło im w krew, a kluby

i knajpy w Adzie bardzo kusily. Kiedy się upili i bali się wracać do Asher, łądownali u Annette, którą budzili, żądając zwykle czegoś do jedzenia i przez cały czas wylewnie ją przepraszając. Ronnie błagał ją wtedy, żeby nic nie mówiła rodzicom.

Mimo to byli ostrożni i zdołali uniknąć kłopotów z policją. Bali się Mur-la Bowena, poza tym wiosna 1971 roku niosła ze sobą tyle obietnic.

Dla Indian z Asher koszykówka była niczym więcej jak tylko sposobem na utrzymanie kondycji fizycznej. Ron zaczynał jako napastnik i prowadził w drużynie pod względem ilości zdobytych punktów. Zainteresowały się nim dwa college'e, ale on nie zainteresował się nimi. Pod koniec sezonu zaczął otrzymywać powitalne listy od łowców głów z zawodowych drużyn baseballowych, w których informowano go, że za kilka tygodni ktoś będzie obserwował jego grę, proszono o harmonogram meczów i zapraszano na letnie obozy kwalifikacyjne. Bruce Leba też dostawał listy i wspaniale się bawili, porównując korespondencję. Jednego tygodnia Phillies i Cubs, następnego Angels i Athletics.

Gdy pod koniec lutego skończył się sezon rozgrywek w kosza, nadeszła pora na popis.

Drużyna rozgrzała się przyjemnie kilkoma walkowerami i gdy do Asher zaczęły przyjeżdżać zespoły z dużych szkół, ruszyła pełną parą. Kij Rona rozgrzał się niemal do czerwoności i już nie ostygł. Łowcy szaleli, Indianie wygrywali, życie było piękne. Ponieważ zwykle występowały przeciwko nim same asy, podopieczni Bowena widzieli co tydzień dziesiątki wspaniałych narzutów. Ale na trybunach roiło się od obserwatorów, więc Ron w każdym meczu udowadniał, że poradzi sobie z każdym narzucającym. Sezon zakończył ze średnią 0,500 i z pięcioma home runami; z jego uderzeń zawodnicy Indian zdobyli łącznie czterdzieści sześć punktów. Zbito go ledwie kilka razy i zdobył wiele baz za darmo, bo narzucający próbowali go omijać. Obserwatorom podobała się jego siła, skupienie na pagórku, szybkość do pierwszej bazy, no i oczywiście ramię.

Pod koniec kwietnia został nominowany do stanowej nagrody imienia Jima Thorpe'a za wybitne osiągnięcia sportowe.

Indianie wygrali dwadzieścia sześć meczów, przegrywając pięć; pierwszego maja 1971 roku pokonali Glenpool 5:0 i zdobyli kolejny tytuł mistrzowski.

Trener Bowen wystawił kandydaturę Rona i Bruce'a Leby do ligi stanowej. Na pewno się im należało, lecz niewiele brakowało i sami by się tej szansy pozbawili.

Kilka dni przed ukończeniem ogólniaka, stojąc przed jakże dramatycznymi zmianami życiowymi, zdali sobie sprawę, że dni baseballu w Asher

wkrótce dobiegną końca. I że już nigdy nie będą przyjaźnili się tak bardzo jak w ciągu minionego roku. Trzeba było to jakoś uczcić — uczcić pamiętną, szaloną imprezą.

W owym czasie w Oklahoma City były trzy nocne kluby ze striptizem. Wybrali najlepszy, Pod Czerwonym Psem, i przed wyjazdem zabrali flaszkę whisky i sześciopak piwa z kuchni Lebów. Wsiadli do samochodu i zanim dojechali na miejsce, kompletnie się upili. Zamówili kolejne piwo i zaczęli oglądać występy striptizerek, które z każdą chwilą robiły się ładniejsze. Poprosili o występ prywatny i gotówka popłynęła szerokim strumieniem. Ojciec Bruce'a ustalił surowo przestrzeganą godzinę powrotu do domu - pierwszą w nocy - ale występy i alkohol skutecznie odsuwały ją na coraz to później i później. W końcu wytoczyli się z klubu o wpół do pierwszej; do domu mieli dwie godziny jazdy. Bruce usiadł za kierownicą i ruszył z kopyta — jechali jego nowiuteńkim, podrasowanym camaro - lecz nagle przystanął, bo Ron powiedział coś, co go zdenerwowało. Zaczęli obrzucać się wyzwiskami, wreszcie postanowili załatwić tę sprawę po męsku, od razu, tam, na miejscu. Wypełzli z samochodu i zaczęli okładać się pięściami na środku Dziesiątej ulicy.

Po kilku minutach niezdarnej bijatyki i kopaniny obydwaj się zmęczyli i uznali, że pora na zawieszenie broni. Wsiadli do wozu i pojechali dalej. Ani jeden, ani drugi nie pamiętał potem powodu bójki; była to po prostu jedna z tych nocy, których szczegóły toną w nieprzeniknionej mgle.

Bruce przegapił zjazd z autostrady, źle skręcił i kompletnie zagubiony zatoczył olbrzymią pętlę bocznymi drogami, kierując się mniej więcej na Asher. Wyznaczona przez ojca godzina powrotu już minęła, więc pędził co koń wyskoczy. Jego towarzysz spał jak zabity na tylnym siedzeniu. Bruce czarno to wszystko widział, dopóki nie dostrzegł w lusterku czerwonych świateł ścigającego ich samochodu.

Pamiętał, że zatrzymał się naprzeciwko zakładów mięsnych Williamsa, ale nie miał pojęcia, jak nazywa się najbliższe miasto. Nie wiedział nawet, w jakim są hrabstwie.

Wysiadł z samochodu. Policjant stanowy był bardzo miły i spytał, czy Bruce pił.

- Tak, proszę pana, piłem.
- Czy wiesz, że przekroczyłeś dozwoloną prędkość?
- Wiem, proszę pana.

Pogawędzili chwilę i zdawało się, że policjant nie zamierza wypisywać mu mandatu ani go aresztować. Bruce przekonał go, że da radę bezpiecznie dojechać do domu, gdy wtem Ron wystawił przez okno głowę i wrzasnął coś niezrozumiałego zachrypłym, pijackim głosem.



- Kto to? - spytał policjant.

- To tylko mój kumpel.

Kumpel ponownie wrzasnął i policjant kazał mu wysiąść. Z jakiegoś powodu Ron otworzył drzwiczki od strony pobocza i wysiadając, wpadł do rowu.

Obydwaj zostali zatrzymani i odwiezieni do aresztu, zimnej, wilgotnej nory, w której nie było prycz. Na podłogę maleńkiej celi klawisz rzucił im dwa materace i wciąż pijani spędzili tę noc, drżąc ze strachu. Do ojców woleli nie dzwonić.

Dla Rona była to pierwsza z wielu nocy spędzonych za kratkami.

Nazajutrz rano klawisz przyniósł im kawę i bekon i poradził, żeby jednak zadzwonili do domu. Zrobili to z wielkim wahaniem i dwie godziny później ich wypuszczono. Bruce wsiadł do samochodu i pojechał do domu sam, podczas gdy Rona z jakiegoś powodu zmuszono do jazdy z ojcem i panem Lebę. Przejazdźka trwała dwie godziny, lecz ciągnęła się w nieskończoność, a jeszcze czekała go perspektywa rozmowy z trenerem Bowenem.

Ojcowie uparli się, żeby chłopcy poszli do niego od razu i powiedzieli mu prawdę, co też Bruce i Ron uczynili. Trener przestał się do nich odzywać, ale nie wycofał nominacji do nagrody sezonu.

Do zakończenia roku szkolnego dotrwali, nie wywołując żadnego incydentu. Bruce, który miał otworzyć tę uroczystość w imieniu uczniów ostatnich klas, wygłosił starannie dopracowaną przemowę. Przemowę promocyjną wygłosił Frank H. Seay, popularny sędzia okręgowy z hrabstwa Seminole.

W 1971 szkołę w Asher ukończyło siedemnastu uczniów i niemal dla wszystkich było to bardzo ważne wydarzenie, kamień milowy, bezcenny dla ich dumnych rodziców. Niewielu z nich miało okazję chodzić do college'u; niektórzy nie ukończyli nawet szkoły średniej. Ale dla Rona i Bruce'a uroczystość znaczyła niewiele. Wciąż pławili się w glorii mistrzów stanu i co ważniejsze, marzyli o grze w lidze zawodowej. Nie zamierzali żyć i umierać na oklahomskiej wsi.

Miesiąc później obydwaj otrzymali tytuł najlepszego baseballisty stanowego, a Ron został drugim zawodnikiem roku. W dorocznym meczu gwiazd grali przed pełnymi trybunami, w tym przed obserwatorami ze wszystkich lig zawodowych, półzawodowych i uniwersyteckich. Po meczu dwóch obserwatorów, z Phillies i Oakland As, odciągnęło ich na bok i złożyło im nieoficjalną ofertę: jeśli zgodzą się na osiemnaście tysięcy dolarów dla każdego, Phillies zwerbują Bruce'a, a A's Rona. Ron uznał, że to za

mało i odmówił. Bruce zaczynał martwić się o kolana, ale on też doszedł do wniosku, że to jednak za mało. Próbował podbić cenę, mówiąc, że przez dwa lata zamierza grać w dwuletniej szkole policealnej w hrabstwie Seminole. Niewykluczone, że większa suma by go przekonała, ale tamci nie ustąpili.

Miesiąc później Oakland Athletics wybrała Rona w drugiej turze wolnego naboru; był czterdziestym pierwszym zawodnikiem z listy liczącej ośmiuset kandydatów i pierwszym na niej mieszkańcem Oklahomy. Phillies nie kupili Bruce'a, ale zaproponowali mu kontrakt. Bruce ponownie odmówił i poszedł do dwuletniej szkoły policealnej. Marzenie o wspólnej grze zaczynało blednąć.

Pierwsza oficjalna oferta Oakland As była obraźliwa. Williamsonowie nie mieli ani agenta, ani prawnika, ale wiedzieli, że A's próbują Rona wykiwać.

Ron pojechał do Oakland, żeby osobiście porozmawiać z menadżerami zespołu. Rozmowa była bezproduktywna i wrócił do Ady bez kontraktu. Niedługo potem wezwano go ponownie i podczas drugiej wizyty spotkał się z kierownikiem Dickiem Williamsem i kilkoma zawodnikami. Na drugiej bazie w Oakland grał Dick Green, przyjacielski facet, który pokazał mu klub i stadion. Wpadli tam na Reggiego Jacksona, ich zadufanego w sobie gwiazdora, „Pana Oaklanda” we własnej osobie, i kiedy Reggie dowiedział się, że szefostwo może Rona zwerbować, spytał, na jakiej ten gra pozycji.

Green dogryzł mu, mówiąc: „Na prawym polu”. Prawe pole w Oakland należało oczywiście do niego, do Jacksona. „Człowieku, zmarnujesz się w drugiej lidze” - odparł tamten i odszedł. Na tym rozmowa się skończyła.

Szefowie Oakland nie chcieli dużo zapłacić, ponieważ zamierzali wystawić Rona na pozycji łapacza, a nie widzieli jeszcze, jak łapie. Negocjacje się przeciągały, wysokość kontraktu się nie zmieniała.

Podczas kolacji często rozmawiano o college'u. Ron wyraził ustną zgodę na stypendium z Uniwersytetu Oklahomskiego i rodzice namawiali go, żeby dobrze tę propozycję rozważył. Była to jego jedyna szansa na zdobycie wyższego wykształcenia, czegoś, czego nikt mu nigdy nie odbierze. Ron to rozumiał, lecz twierdził, że zdąży pójść do college'u później. I kiedy Oakland zaproponowało mu nagle pięćdziesiąt tysięcy dolarów, szybko wziął pieniądze i zapomniał o uniwersytecie.

Dla Ady i dla Asher była to wspaniała nowina. Ron był czterdziestym pierwszym zawodnikiem z listy ośmiuset, pierwszym mieszkańcem Oklahomy o tak wysokiej pozycji i dzięki uwadze, jaką na sobie skupiał, na

pewien czas spokorniał. Spełniało się jego marzenie. Był teraz zawodowym baseballistą. Poświęcenie rodziny zaczynało przynosić owoce. Czuł, że prowadzi go Duch Święty i że powinien pojednać się z Bogiem. Wrócił do Kościoła, podczas niedzielного nabożeństwa stanął przed ołtarzem i modlił się wraz z kaznodzieją. Potem wygłosił przemowę do wiernych, w której podziękował braciom i siostram w Chrystusie za miłość i wsparcie. Pobłogosławił go Bóg - Ron miał wielkie szczęście. Z trudem powstrzymując łzy, obiecał wykorzystać pieniądze i talent na chwałę Pana.

Kupił sobie nowiutkiego Cutlassa Supreme i trochę ubrań, a rodzicom nowy, kolorowy telewizor. Resztę pieniędzy przegrał w pokera.

**W roku** 1971 właścicielem Oakland Athletics był Charlie Finley, indywidualista, który w 1968 przeniósł siedzibę drużyny z Kansas City do Oakland. Uważał się za wizjonera, ale zachowywał się jak bufon. Uwielbiał szokować świat baseballu takimi innowacjami jak wielokolorowe stroje, cheerleaderki, pomarańczowe piłki (pomysł ten szybko odszedł w zapomnienie) czy mechaniczny zajęć, który rzucał nowe piłki sędziemu za bazą domową. Wszystko dla rozgłosu. Kupił muła, którego nazwał Charley O., i paradował z nim wokół boiska, a nawet po hotelowych foyer.

Ale podczas gdy prasa rozpisywała się o jego ekscentrycznych wyczynach, on tworzył nową dynastię. Zatrudnił zdolnego menadżera, Dicka Williamsa i skrzyknął drużynę, w której grali Reggie Jackson, Joe Rudi, Sal Bando, Bert Campaneris, Rick Monday, Vida Blue, Catfish Hunter i Rollie Fingers.

Na początku lat siedemdziesiątych Oakland Athletics byli bez wątpienia najbardziej ekstrawagancką i najbardziej popularną drużyną w Stanach. Mielili buty z białymi kołkami na podeszwie - jako pierwsza i jedyna drużyna w historii - i oszałamiającą kolekcję strojów sportowych w różnych kombinacjach zieleni, koloru złocistego i szarego. Byli California cool, po kalifornijsku odlotowi: nosili długie włosy, zarost na twarzy i unosiła się nad nimi atmosfera nonkonformizmu. Zwolennicy gry o ponad stuletniej w owym czasie historii, której tradycje należało szanować i czcić, uważali, że jest to coś oburzającego i bulwersującego. Zawodnicy A's byli śmiali i niekonwencjonalni. Kraj wciąż miał kaca po latach sześćdziesiątych - któż potrzebował autorytetów? Można było łamać wszystkie reguły, nawet w sporcie tak ograniczonym przepisami jak zawodowy baseball.

Pod koniec sierpnia 1971 Ron pojechał do Oakland po raz trzeci, tym razem już jako zawodnik, członek klubu, jeden z chłopaków i przyszedł

gwiazdor, chociaż jako zawodowiec miał dopiero zagrać. Przyjęto go dobrze: po przyjacielsku poklepano go po plecach, usłyszał wiele słów zachęty. Miał osiemnaście lat, ale z okrągłą twarzą i opadającą na oczy grzywką wyglądał najwyżej na piętnaście. Starzy wyjadacze wiedzieli, że ma nikłe szanse, jak każdy młodzian z kontraktem, mimo to chcieli, żeby poczuł się u nich jak w domu. Kiedyś oni też byli w podobnej sytuacji.

Niecałe dziesięć procent tych, którzy podpisali kontrakt zawodowy, rozgrywa w pierwszej lidze ledwie jeden mecz, ale żaden osiemnastolatek nie chce tego słyszeć.

Ron siedział na ławce rezerwowych, wałęsał się po stadionie, gadał z zawodnikami, wziął udział w przedmeczowym treningu, a potem patrzył, jak na Oakland Alameda County Coliseum wchodzi niewielki tłumek kibiców. Na długo przed pierwszym narzutem zaprowadzono go do łoża za ławką rezerwowych, skąd obserwował grę swojej nowej drużyny. Nazajutrz wrócił do Ady, postanowiwszy błyskawicznie awansować i w wieku dwudziestu lat trafić do pierwszej ligi. Dwudziestu, najwyżej dwudziestu jeden. Widział, czuł, chłonął elektryzującą atmosferę pierwszoligowego stadionu baseballowego i wiedział, że już nigdy nie będzie taki sam jak przedtem.

Zapamiętał włosy, próbował zapamiętać i wąsy, ale natura odmówiła współpracy. Znajomi myśleli, że jest bogaty, a on robił wszystko, żeby tę iluzję podtrzymać. Był teraz inny, bardziej odjazdowy niż większość mieszkańców Ady. No i był w Kalifornii!

Przez cały wrzesień z wielkim rozbawieniem i zainteresowaniem śledził poczynania swoich nowych kolegów: Oakland Athletics wygrali sto jeden meczów i zdobyli mistrzostwo Zachodniej Ligi Amerykańskiej. Już niedługo miał do nich dołączyć, być łapaczem albo zagrać na środku pola. Będzie miał długie włosy, będzie członkiem najmodniejszej, najbardziej popularnej drużyny w Stanach.

W listopadzie podpisał umowę z Topps Chewing Gum, sprzedając firmie wyłączne prawo do eksponowania, drukowania i reprodukcji jego nazwiska, twarzy, zdjęć i podpisu na kartach baseballowych.

Tak jak każdy mały chłopiec w Adzie, miał tych kart tysiące; kolekcjonował je, wymieniał się nimi, oprawiał je w ramki, trzymał je w pudełku po butach i zbierał pieniądze, żeby kupić kolejne. Mickey Mantle, Whitey Ford, Yogi Berra, Roger Maris, Willie Mays, Hank Aaron - najznamienitsi zawodnicy, bezcenne karty. A teraz na kartach tych miał być on!

Marzenie szybko się spełniało.

**Jednakże** jego pierwszym zespołem była Coos Bay z Oregonu, drużyna klasy A w Lidze Północno-Zachodniej, daleko od Oakland. Wiosenny sezon treningowy w 1972 roku w Mesa w Arizonie nie należał do nadzwyczajnych. Nikt mu się zbytnio nie przyglądał, nikt nie zwrócił na niego większej uwagi, a szefowie Oakland wciąż nie mogli się zdecydować, na jakiej pozycji ma grać. Wystawili go za bazą domową, gdzie nigdy dotąd nie grał. Potem chcieli zrobić z niego narzucającego tylko dlatego, że miał silną rękę.

Pod koniec sezonu treningowego dopadł go pech. Pękł mu wyrostek robaczkowy i musiał wrócić do Ady na operację. Niecierpliwie czekając, aż rana się zagoi, dla zabicia czasu zaczął ostro pić. W miejscowej Pizza Hut browar był tani, a kiedy miał dość pizzerii, jechał swoim nowym cutlassem do Elks Lodge, żeby splukać piwo kilkoma bourbonami i colą. Nudził się, chciał jak najszybciej wrócić na stadion i z jakiegoś powodu — sam nie wiedział z jakiego — zaczął szukać ucieczki w alkoholu. Wreszcie dostał wezwanie i pojechał do Oregonu.

Grając dorywczo w zespole Coos Bay, zaliczył czterdzieści jeden trafień na sto pięćdziesiąt pięć uderzeń z mizerną średnią 0,265. W czterdziestu sześciu meczach grał jako łapacz, przez kilka kwart jako środkowy. Pod koniec sezonu skierowano go do Burlington w Iowie, do drużyny z Ligi Środkowo-Zachodniej. Zespół z Burlington grał w klasie A, więc był to tylko ruch w bok, ruch pozorny, na pewno nie awans. Rozegrał tam tylko siedem meczów, a potem wrócił do Ady na posezonowy urlop.

Każdy przystanek w drugiej lidze jest tymczasowy i denerwujący. Zawodnicy zarabiają bardzo mało; żyją z pieniędzy na posiłki i z premii zależnych od hojności szefostwa klubu. W „domu” mieszkają w hotelikach, które kuszą gości niskimi stawkami, albo tłoczą się w ciasnych mieszkaniach. W trasie zaś zwykle zatrzymują się w motelach. Bary, nocne kluby, knajpy ze striptizem - młodzi, rzadko kiedy żonaci, są daleko od rodziny, więc balują do późnej nocy. Większość z nich dopiero co skończyła osiemnaście, dziewiętnaście lat. Są też niedojrzali, przez większość życia rozpieszczani, ale wszyscy mają pewność, że już wkrótce zbiją fortunę, grając na wielkich stadionach.

Imprezują bardzo ostro. Mecz zaczyna się o siódmej wieczorem. O dziesiątej jest już po. Szybki prysznic, i pora wyruszać na miasto, pora zaliczyć kilka barów. Zarwana noc, za dnia drzemka na kwaterze albo w autobusie. Wódka, kobiety, poker, trawka - wszystko to jest częścią ciemnej strony życia zawodnika drugiej ligi. Ron z entuzjazmem to życie powitał.

**Tak** jak każdy ojciec, Roy Williamson śledził poczynania syna z wielką ciekawością i dumą. Ronnie od czasu do czasu dzwonił - pisał mniej - mimo to Roy zawsze był na bieżąco. Dwa razy pojechał z Juanitą do Oregonu, żeby popatrzeć, jak syn gra. Ronnie z trudem znosił cierpienia pierwszego roku w lidze zawodowej, próbując przywyknąć do silnych szcurów i ostrych podkrętek.

Do Roya, do Ady, zadzwonił jeden z jego trenerów. Niepokoiło go zachowanie Rona: nieustanne imprezy, picie, późne powroty do hotelu, kac. Chłopak przeginał, co dla dziewiętnastolatka, który przebywa daleko od domu, grając pierwszy sezon w lidze zawodowej, nie jest niczym niezwykłym, ale może dobrze by było, gdyby ojciec powiedział mu kilka ostrzejszych słów od siebie.

Dzwonił i Ron. Kończyło się lato, a on wciąż grał bardzo mało, tyle co nic. Denerwował go menadżer zespołu, denerwował go personel, uważał, że za rzadko go wystawiają. Jak mógł grać coraz lepiej, skoro przez cały czas siedział na ławce rezerwowych?

Wybrał ryzykowną, rzadko stosowaną strategię pominięcia drogi służbowej, to znaczy trenerów, i zaczął wydzwaniać bezpośrednio do kierownictwa klubu z listą skarg i zażaleń. Życie w klasie A jest okropne, bo po prostu za mało gra i chce, żeby dowiedziały się o tym grube ryby, które go zwerbowały.

Szefostwo nie okazało współczucia. W drugiej lidze grały setki zawodników, z których większość wyprzedzała go o kilometry, dlatego tego rodzaju telefony nie robiły na nich żadnego wrażenia. Dobrze znali jego statystyki i wiedzieli, że idzie mu bardzo marnie.

Z góry przyszło polecenie, żeby chłopak się zamknął i zaczął wreszcie grać.

**Gdy** na początku jesieni 1972 roku wrócił do Ady, wciąż był miejscowym bohaterem, herosem w aureoli kalifornijskiego bywalca i z jego manierami. Tu też pił i chodził po knajpach. Gdy pod koniec października Oakland po raz pierwszy wygrało Puchar Świata, urządził huczną libację w miejscowej knajpie. „To moja drużyna!”- wrzeszczał co chwilę, gapiąc się w telewizor wśród podziwiających go kumpli od kieliszka.

Jego nawyki i przyzwyczajenia uległy gwałtownej zmianie, gdy poznał Patty O'Brien, piękną, młodą dziewczynę, była miss Ady. Sprawy szybko przybrały poważny obrót i zaczęli się regularnie spotykać. Patty była pobożną baptystką i nie tolerowała jego stylu życia. Ron z radością doprowadził się do porządku i obiecał poprawę.

**W roku 1973** nie zbliżył się ani o krok do pierwszej ligi. Po miernym sezonie wiosennym w Mesa ponownie skierowano go do zespołu Pszczół z Burlington, gdzie rozegrał tylko pięć meczów, zanim przeniesiono go do Conchos z Key West z Florydzkiej Ligi Stanowej. Znowu wylądował w klasie A. Na Florydzie rozegrał pięćdziesiąt pięć meczów z fatalną średnią 0,137.

Po raz pierwszy w życiu naszyły go wątpliwości, czy w ogóle zdoła wejść do pierwszej ligi. Miał za sobą dwa kiepskie sezony i wiedział już, że piłka narzucona przez zawodowego gracza, nawet takiego z klasy A, jest dużo trudniejsza do trafienia niż piłka narzucona przez jakakolwiek zawodnika z Asher. Tu każdy rzucał mocno, tu każda podkrętka gwałtownie zmieniała tor lotu. Tu każdy zawodnik był zawodnikiem naprawdę dobrym i niektórzy z nich na pewno zajdą wyżej. Pieniądze z premii kontraktowej już dawno wydał i przepuścił. Widok jego uśmiechniętej twarzy na karcie baseballowej nie był już tak ekscytujący jak przed dwoma laty.

Poza tym miał wrażenie, że wszyscy go obserwują. Znajomi, przyjaciele i mieszkańcy Ady chcieli, żeby spełnił ich marzenie i żeby Ada zaistniała wreszcie na mapie świata. Był przecież drugim po Mickeyu olbrzymem z Oklahomy. Mickey wszedł do pierwszej ligi w wieku dziewiętnastu lat. Ron był już spóźniony.

Wrócił do Ady i do Patty, która wyraźnie dała mu do zrozumienia, żeby na czas posezonowej posuchy znalazł sobie dobrze płatną pracę. Jej wujek znał kogoś w Teksasie: Ron pojechał do Victorii i przez kilka miesięcy pracował jako dekarz.

Trzeciego listopada 1973 roku Ron i Patty wzięli huczny ślub w Pierwszym Kościele Baptistów w Adzie. Ron miał dwadzieścia lat i wciąż uważał, że może jeszcze zrobić karierę.

Dla mieszkańców Ady był największym bohaterem. A teraz ożenił się na dodatek z królową piękności z dobrej rodziny Chłopak miał szczęście.

**Wiosną 1974** roku nowożeńcy pojechali do Mesy na sezon treningowy. Nowa żona wzmagała presję na awans, może nie do potrójnego „A”, ale przynajmniej do podwójnego. W 1974 roku miał grać w Burlington, ale nie zamierzał tam jechać. Miał dość i Burlington, i Key West i wiedział, że jeśli szefowie go tam wyślą, aluzja będzie aż nadto oczywista: nie rokujesz już nadziei.

Dlatego intensywniej trenował, więcej biegał i więcej ćwiczył z kijem, słowem, harował tak samo jak w Asher. I wtedy, podczas zwykłego treningu, gdy rzucił silną piłkę na drugą bazę, poczuł w łokciu ostry ból. Próbował go zignorować, wmawiając sobie - tak jak każdy zawodnik - że jakoś wytrzyma.

Że to minie, podobnie jak inne treningowe dolegliwości. Ale ból powrócił nazajutrz i był jeszcze silniejszy. Pod koniec marca Ron nie mógł już praktycznie rzucać.

Trzydziestego pierwszego marca klub zerwał kontrakt i Ron wraz z żoną wyruszyli w długą drogę powrotną do Oklahomy.

Unikając Ady, zamieszkali w Tulsie, gdzie Ron dostał pracę serwisanta w Bell Telephone. Traktował ją jako zajęcie tymczasowe i dorywcze, źródło utrzymania na czas rekonwalescencji, i wciąż czekał na telefon od kogoś z branży, kogoś, kto naprawdę go znał. Ale już kilka miesięcy później to on zaczął wydzwaniać - bez rezultatu.

Patty dostała pracę w szpitalu i zaczęli się powoli urządzać. Annette przysyłała im po pięć, po dziesięć dolarów tygodniowo na wypadek, gdyby mieli kłopoty z regulowaniem rachunków. Źródło wyschło, kiedy Patty zadzwoniła do niej i powiedziała, że Ron wydaje te pieniądze na piwo, czego absolutnie nie pochwałała.

Doszło do tarć. Annette martwiła się, że brat znowu zaczął pić. Nie wiedziała, co dzieje się w ich małżeństwie. Patty była z natury bardzo skryta i nieśmiała i w obecności Williamsonów nigdy nie czuła się zbyt dobrze. Poza tym Annette odwiedzała ich z mężem tylko raz w roku.

Kiedy Rona pominięto w awansie, rzucił pracę w Bellu i zaczął sprzedawać polisy ubezpieczeniowe w Equitable. Był rok 1975, a on wciąż nie miał kontraktu i wciąż czekał na telefon od menadżera drużyny szukającego zaniedbanych talentów.

Ale dzięki pewności siebie, którą zdobył dzięki uprawianiu sportu, i otwartości w kontaktach z ludźmi sprzedawał mnóstwo polis. Miał to we krwi i cieszył się z sukcesów i pieniędzy. Cieszyło go również to, że mógł do późna przesiadywać w barach i nocnych klubach. Patty nie znosiła alkoholu i nie tolerowała jego wieczornych wypadów. Ron zaczął nałogowo palić marihuanę, czego nienawidziła. Jego zmiany nastroju stawały się coraz gwałtowniejsze. Miły, młody mężczyzna, za którego wyszła za mąż, szybko się zmieniał.

Pewnej wiosennej nocy w 1976 rozhisteryzowany Ron zadzwonił do rodziców z wiadomością, że bardzo się pokłócili i rozeszli. Roy, Juanita, Annette i Renee doznali szoku. Mieli głęboką nadzieję, że małżeństwo da się uratować, bo przecież wszystkie młode małżeństwa muszą przetrwać kilka burz. Lada dzień Ronnie będzie miał telefon, znowu włoży strój i znowu zacznie grać. Ich życie wróci na dawne tory, kilka mrocznych dni to jeszcze nic takiego.

Ale małżeństwa nie dało się już uratować. Bez względu na to, jakie mieli problemy, ani Ron, ani Patty nie chcieli o nich mówić. Wnieśli pozew



o rozwód, powołując się na niezgodność charakterów. Związek rozpadł się na dobre. Trwał niecałe trzy lata.

**Roy Williamson** miał przyjaciela z dzieciństwa, niejakiego Harry'ego Brecheena albo Harry'ego Kota, jak nazywano go, kiedy jeszcze grał w baseball; obydwaj dorastali we Francis w Oklahomie. Harry był łowcą talentów i pracował dla Jankesów. Roy odszukał go i dał jego numer telefonu synowi.

Siła perswazji Rona przyniosła owoce w czerwcu 1976 roku, kiedy to przekonał Jankesów, że po kontuzji nie ma już ani śladu i że ręka jest w pełni sprawna. Widział wystarczająco dużo dobrych narzutów, by wiedzieć, że są dla niego za trudne, dlatego postanowił postawić na siłę: na prawe ramię. Jego prawe ramię zawsze przykuwało uwagę obserwatorów. W Oakland nieustannie mówiło się o tym, żeby zrobić z niego narzucającego.

Podpisał kontrakt z Jankesami Oneonta z Nowego Jorku - Liga Penn, klasa A - i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wyjedzie z Tulsy. Marzenie znowu odżyło.

Owszem, umiał rzucać mocno, ale rzadko kiedy miał pojęcie, dokąd polecą piłka. Nie potrafił jej odpowiednio podkręcić, po prostu brakowało mu doświadczenia. Za szybko zaczął rzucać piłki silne i ból powrócił, początkowo słaby, potem tak mocny, że prawie sparaliżowało mu rękę. Dwuletnia przerwa zbierała swoje żniwo i kiedy sezon dobiegł końca, ponownie mu podziękowano.

Nie zaglądając do Ady, wrócił do Tulsy i do sprzedawania polis. Odwiedziła go Annette i kiedy zaczęli rozmawiać o baseballu i jego porażkach, Ron wpadł w histerię i się rozplakał. Wyznał siostrze, że miewa długie okresy mrocznej depresji.

Jak na zawodnika drugiej ligi przystało, powrócił do dawnych zwyczajów, do wieczornych wizyt w barze, do uganiania się za kobietami i picia piwa. Dla zabicia czasu wstąpił do miejscowej drużyny softballowej: bycie wielkim gwiazdorem małej sceny bardzo go bawiło. Podczas meczu pewnego chłodnego wieczoru rzucił piłkę na pierwszą bazę i coś chrupnęło mu w ramieniu. Zrezygnował z softballu, lecz to, co miało się stać, już się stało. Poszedł do lekarza, przeszedł forsowną rehabilitację, mimo to poprawa była niewielka.

Nikommu o tym nie mówił, ponownie żywiąc nadzieję, że do wiosny porządnie odpocznie i ręka będzie jak nowa.

Ostatni atak na bastion zawodowego baseballu przypuścił wiosną roku 1977. Znowu przekonał kogo trzeba i znowu włożył koszulkę swoich uko-

chanych Jankesów. Przetrwiał wiosenny sezon treningowy, wciąż jako narzucający, i skierowano go do Fort Lauderdale na Florydzie. Wytrzymał tam cały sezon, wszystkie sto czterdzieści meczów, w tym sto dwadzieścia wyjazdowych, w trasie, w autobusie — dzień włókł się za dniem, miesiąc za miesiącem, a on wciąż grał tyle co nic. Narzucał tylko w czternastu spotkaniach, w trzydziestu trzech kwartach. Miał dwadzieścia cztery lata i niesprawną rękę, która nie chciała wydobrżeć. Dni chwały Asher i Murla Bowna były daleko.

Większość zawodników wyczuwa to, co nieuchronne - większość, ale nie Ron. W domu liczyło na niego zbyt dużo ludzi. Rodzina za dużo dla niego poświęciła. Zrezygnował z college'u i wykształcenia, żeby zostać zawodowym graczem pierwszej ligi i nie miał teraz wyboru. Miał za sobą nieudane małżeństwo, choć nie przywykł do porażek. Poza tym nosił strój Jankesów, symbol wiecznie żywego marzenia.

Trzymał się dzielnie do końca sezonu, kiedy to jego ukochani Jankesi ponownie go zwolnili.

## Rozdział 3

**Kilka** miesięcy później Bruce Leba szedł spokojnie pasażem handlowym Southroads Mail w Tulsie, gdy wtem stanął jak wryty. W sklepie z męską odzieżą Toppers Menswear zobaczył swego starego kumpla Rona Williamsona. Ron był ładnie ubrany i sprzedawał ładne ubrania klientom. Objęli się na niedźwiedzia, serdecznie przywitali i odbyli długą rozmowę, żeby nadrobić stracony czas. Kiedyś byli praktycznie braćmi i zaskoczyło ich to, jak bardzo się od siebie oddalili.

Po ukończeniu ogólniaka w Asher każdy z nich poszedł swoją drogą i stracili ze sobą kontakt. Bruce grał w baseball w szkole policealnej, ale po dwóch latach zrezygnował ze względu na kolana. Ron zaszedł niewiele dalej. Obydwaj mieli za sobą rozwód; Bruce nie wiedział nawet, że Ron się ożenił, i vice versa. Bez zdziwienia odkryli, że obydwaj nadal lubią nocne życie.

Byli młodzi, przystojni i znowu wolni. Obydwaj ciężko pracowali, obydwaj mieli pieniądze w kieszeni, więc natychmiast zaczęli zaliczać knajpę za knajpą i uganiać się za kobietami. Ron zawsze uwielbiał kobiety, a kilka sezonów w drugiej lidze jeszcze bardziej to zamięłowanie podsycało.

Bruce mieszkał w Adzie i ilekroć przejeżdżał przez Tulsę, przez całą noc balował z Ronem i jego kumplami.

Chociaż baseball złamał im serce, wciąż był ulubionym tematem rozmowy: dni chwały w Asher, trener Bowen, ich dawne plany, dawni koledzy z drużyny, którzy próbowali, i którym nie wyszło tak samo jak im. Bruce'owi nie wytrzymały kolana, co bardzo pomogło mu w zerwaniu z baseballlem, a przynajmniej w ostatecznym wyzbyciu się marzeń o grze w pierwszej lidze. Ron natomiast wciąż te marzenia miał. Był przekonany, że kiedyś jeszcze zagra, że pewnego dnia coś się zmieni, że ręka cudownie wydobrzeje,

że ktoś do niego zadzwoni. Że życie znowu będzie wspaniałe. Początkowo Bruce tylko wzruszał ramionami; ot, resztki gasnącej sławy, nic więcej. Z własnego doświadczenia wiedział, że żadna gwiazda nie gaśnie szybciej niż gwiazda sportowca ze szkoły średniej. Niektórzy z tym sobie radzą, godzą się z losem i żyją dalej. Inni marzą przez dziesiątki lat.

Ron był niemal paranoiczny w swoim złudnym przekonaniu, że kiedyś uda mu się wrócić na stadion. Martwił się, a nawet zadreślał porażkami. Nieustannie wypytywał Bruce'a, co mówią o nim w Adzie. Czy rozczarował ich tym, że nie został drugim Mickeyem Mantlem? Czy gadają o nim w barach i kawiarniach? Nie, zapewniał go Bruce, już nie.

Ale to nie skutkowało. Ron był święcie przekonany, że w Adzie uchodzi za nieudacznika i że zmienić to może tylko w jeden sposób: musi zdobyć kontrakt i zagrać w pierwszej lidze.

„Rozchmurz się, stary”, powtarzał Bruce. „Zapomnij o baseballu. Marzenia się skończyły”.

**Rodzina** Rona zaczęła zauważać drastyczne zmiany w jego osobowości. Często bywał zdenerwowany i rozdrażniony i nie mogąc skupić się na jednym temacie, szybko przeskakiwał na inny. Podczas rodzinnych spotkań siedział spokojnie przez kilka minut, nie odzywając się do nikogo ani słowem i nagle przerywał rozmowę komentarzami na swój temat. Ilekroć coś mówił, zawsze próbował zdominować rozmowę i zawsze mówił tylko o sobie. Nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu, palił jednego papierosa za drugim i często nagle wychodził z pokoju. Na Święto Dziękczynienia w 1977 roku Annette zaprosiła całą rodzinę i wydała tradycyjne przyjęcie. Gdy tylko usiedli do stołu, Ron bez słowa wypadł z pokoju i wrócił do domu matki na drugim końcu miasta. Nigdy tego zachowania nie wyjaśnił.

Na innych rodzinnych spotkaniach wychodził do sypialni, zamykał drzwi na klucz i siedział tam sam, dzięki czemu pozostali - chociaż nieco zdenerwowani - mogli spokojnie porozmawiać. Nagle wypadał z sypialni, wygłaszając tyrady na temat tego, o czym akurat myślał, ale nigdy nie na temat tego, o czym aktualnie rozmawiano. Stawał na środku pokoju i jak szaleniec mówił, dopóki się nie zmęczył. Wtedy biegł z powrotem do sypialni i zamykał się na klucz.

Raz urozmaicił swój wrzaskliwy występ gitarą. Zaczął śpiewać, wściekle na niej brzdąkać i potwornie fałszując, zażądał, żeby zaśpiewali razem z nim. Po kilku pod przymusem wykonanych piosenkach zrezygnował

i ciężkim krokiem wyszedł z pokoju. Rodzina głęboko odetchnęła, wstęchnęła i wszystko wróciło do normy. To smutne, ale rodzice i siostry przywykli do takiego zachowania.

Ron bywał zamknięty w sobie i ponury: dąsał się przez wiele dni na wszystkich i na wszystko, a potem przełączał się w nim jakiś pstryczek i znowu stawał się towarzyski. Kariera sportowa go przygnębiała i wołał o niej nie rozmawiać. Po jednym telefonie był przybity i nieszczęśliwy, po innym podekscytowany i wylewny.

Rodzina wiedziała, że pije, słyszało się też plotki, że bierze narkotyki. Niewykluczone, że to właśnie alkohol i środki chemiczne wywoływały tę gwałtowną zmienność nastrojów. Annette i Juanita delikatnie go o to wypytywały, ale spotykały się wówczas z otwartą wrogością.

Potem u Roya Williamsona stwierdzono raka i inne problemy odeszły na dalszy plan. Nowotwór zagnieżdżył się w okrężnicy i szybko się rozrastał. Chociaż Ron zawsze garnął się bardziej do matki, ojca kochał i szanował. Czuł się winny, wyrzucał sobie swoje zachowanie. Przestał chodzić do kościoła, ale tak jak wszyscy zielonoświątkowcy, wciąż wierzył, że za grzech trzeba ponieść karę. Jego ojciec, który zawsze wiódł przykładne życie, ponosił teraz karę za długą listę niegodziwości syna.

Choroba Roya jeszcze bardziej pogłębiła depresję i Ron obsesyjnie rozpamiętywał swoje samolubstwo. Wyrzucał sobie, że żądał od rodziców ładnych ubrań i kosztownego sprzętu sportowego, pieniędzy na wyjazdy, obozy sportowe i na tymczasowy pobyt w Asher, za co odpłacił im po królewsku jednym kolorowym telewizorem z honorarium za kontrakt z Oakland Athletics. Pamiętał, jak ojciec kupował sobie po cichu używane ubrania, żeby jego zepsuty syn mógł ubrać się tak jak najbogatsi w szkole. Pamiętał, jak włókł się gorącymi chodnikami Ady z ciężkimi, pękającymi od próbek torbami, sprzedając wanilię i przyprawę. Pamiętał, jak na każdym meczu siedział na trybunach.

Na początku roku 1978 Roy przeszedł operację w Oklahoma City. Rak był zaawansowany, z licznymi przerzutami, i lekarze nie mogli nic zrobić. Roy wrócił do Ady, zrezygnował z chemioterapii, i tak rozpoczął się bolesny proces umierania. W ostatnie dni Ron przyjeżdżał z Tulsy i przesiadywał z nim zrozpaczony i zapłakany. Ciągłe go przeproszał i błagał o przebaczenie.

W pewny momencie Roy miał tego dość. Pora dorosnąć, synu, powiedział. Bądź mężczyzną. Przestań płakać i histeryzować. Żyj dalej własnym życiem.

Zmarł pierwszego kwietnia 1978 roku.

**W roku 1978** Ron wciąż mieszkał w Tulsie, dzieląc mieszkanie z cztery lata od siebie młodszym robotnikiem, Stanem Wilkinsem. Obydwaj lubili grać na gitarze i spędzali długie godziny na graniu i śpiewaniu popularnych piosenek. Ron miał silny, niewyrobitony głos i całkiem nieźle radził sobie z gitarą, kosztownym modelem Fendera. Mógł na niej grać od świtu do nocy.

W Tulsie było mnóstwo dyskotek, a oni często je odwiedzali. Po pracy wypijali kilka drinków i szli w kurs po klubach, gdzie Rona dobrze znano. Ron uwielbiał kobiety i niestrudzenie na nie polował. Ogarniał wzrokiem tłum, wybierał najbardziej seksowną i prosił ją do tańca. Jeśli się zgodziła, zwykle odwoził ją do domu. Co wieczór inna, taki postawił sobie cel.

Chociaż lubił pić, polując, zawsze uważał, żeby nie przesadzić. Alkohol mógł pogorszyć mu osiągi. Pewne środki chemiczne jednak nie. Kokaina zalewała cały kraj, można ją było dostać i w Tulsie. O chorobach przenoszonych drogą płciową praktycznie wtedy nie myślano. Największym problemem była opryszczka; AIDS miał się dopiero objawić. Dla tych ze skłonnościami do rozpusty, późne lata siedemdziesiąte były latami hedonistycznego szaleństwa. A Ron Williamson już nad sobą nie panował.

Trzydziestego kwietnia 1978 roku do mieszkania Lyzy Lentzch w Tulsie wezwano policję. Kiedy przyjechali, oznajmiła, że ją zgwałcił. Williamson został aresztowany i piątego maja wyszedł za kaucją w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Po wyjściu z aresztu wynajął Johna Tannera, starego weterana, adwokata doświadczonego w sprawach karnych, i dobrowolnie przyznał się do uprawiania seksu z Lyzą Lentzch. Przysięgał, że wyraziła zgodę na stosunek; poznali się w klubie i zaprosiła go do mieszkania, gdzie w końcu poszli do łóżka. Tanner mu uwierzył, co było u niego rzadkością.

Myśl, że Ron mógłby kogoś zgwałcić, była dla jego przyjaciół czymś absurdalnym. Kobiety dosłownie się na niego rzucały. Mógł w nich wybierać i przebierać w każdym barze, poza tym nie zadawał się przecież z dziewczynami z kościelnego chóru. Kobiety, które poznawał w klubach i na dyskotekach, szukały po prostu dobrej zabawy.

Chociaż oskarżenie go poniżyło, zachowywał się tak, jakby zupełnie go nie obeszło. Imprezował jeszcze częściej niż przedtem, wyśmiewając tych, którzy twierdzili, że wpadł w tarapaty. Miał dobrego adwokata. Proces? Proszę bardzo, w każdej chwili!

Ale w duchu bardzo się tego bał, i to nie bez powodu. Oskarżenie o tak poważne przestępstwo przygnębiłoby każdego, ale perspektywa stanięcia przed ławą przysięgłych, która mogła skazać go na wieloletnie więzienie, była naprawdę przerażająca.

Bliskich w szczegóły nie wprowadzał — matka i siostry mieszkały dwie godziny jazdy od Tulsy — mimo to rodzina wkrótce zauważyła, że jest przyciszony. I że jeszcze częściej gnębią go zmiany nastrojów.

Świat stawał się coraz bardziej ponury i Ron walczył z tym jedynym sposobem, jaki znał. Więcej pił, jeszcze później wracał do domu, zaliczał jeszcze więcej kobiet, a wszystko to po to, żeby wieść lepsze życie i uciec przed zmartwieniami. Lecz alkohol pogłębiał też depresję, a może depresja wymagała więcej alkoholu - bez względu na przyczyny, Ron stał się jeszcze bardziej markotny i przybity. Oraz mniej przewidywalny.

**Dziewiątego** września policja w Tulsie otrzymała wiadomość o kolejnym rzekomym gwałcie. Osiemnastoletnia dziewczyna nazwiskiem Amy Dell Ferneyhough wróciła do domu około czwartej nad ranem po długiej libacji w nocnym klubie. Przed wyjściem pokłóciła się ze swoim chłopakiem, który przed pójściem spać zamknął drzwi. Amy Dell nie mogła znaleźć klucza, a ponieważ musiała natychmiast skorzystać z toalety, poszła do sklepu nocnego ulicę dalej. Tam wpadła na Rona Williamsona, który też właśnie imprezował. Nie znali się, ale Ron wszczął z nią rozmowę i wkrótce zniknęli za sklepem, żeby pokochać się w trawie.

Według Amy Dell Ferneyhough, Ron najpierw ją uderzył, potem zerwał z niej ubranie i ją zgwałcił.

Według Rona natomiast, Amy Dell była wściekła na swego chłopaka za to, że ten nie wpuścił jej do mieszkania i zgodziła się na szybki numerek za sklepem.

Po raz drugi w ciągu pięciu miesięcy Ron zapłacił kaucję i znowu zadzwonił do Johna Tannera. Wisiały nad nim dwa oskarżenia o gwałt, dlatego w końcu zwolnił, przestał balować i odizolował się od świata. Mieszkał sam i dosłownie z nikim nie rozmawiał. Annette wiedziała trochę o sprawie, bo wciąż przysyłała mu pieniądze. Bruce Leba nie wiedział prawie nic.

W lutym 1979 roku rozpoczął się proces w sprawie o domniemany gwałt na Amy Dell Ferneyhough. Zeznawał na nim i Ron, który powiedział przysięgłym, że tak, owszem, odbyli stosunek, ale był to stosunek za obopólną zgodą. To, że postanowili odbyć go w trawie za sklepem o czwartej nad ranem, było może dziwne, ale zupełnie przypadkowe. Przysięgli naradzali się przez godzinę; uwierzyli mu i go uniewinnili.

W maju powołano kolejnych ławników, którzy mieli wysłuchać zeznań w sprawie o gwałt na Lyzie Lentzch. I znowu Ron złożył zeznania. Poznał panią Lentzch w nocnym klubie, zatańczył z nią i musiał się jej spodobać,

bo zaprosiła go do siebie, gdzie za obopólną zgodą odbyli stosunek. Ofiara domniemanego gwałtu zeznała, że nie chciała się z nim kochać i że próbowała go powstrzymać, zanim do czegokolwiek doszło, ale bała się go i w końcu uległa w obawie, że zrobi jej krzywdę. I znowu przysięgli uwierzyli Ronowi i go niewinnili.

**Oskarżenie** o gwałt na Lyzie Lentzch bardzo go poniżyło i wiedział, że piętno gwałtociela przywrze do niego na wiele lat. Ale być oskarżonym o gwałt dwa razy w ciągu niecałych pięciu miesięcy? Jak on, wielki Ron Williamson, mógł tak skończyć? Bez względu na orzeczenie przysięgłych, ludzie będą szeptać, plotkować i ciągle do tego wracać. Będą wytykali go palcem na ulicy.

Miał dwadzieścia sześć lat i przez większość życia był gwiazdorem, zadziornym, aroganckim baseballistą, którego czekały dni chwały w pierwszej lidze. Potem był pewnym siebie zawodnikiem z chorą ręką, która mogła w każdej chwili cudownie wydobrzeć. Mieszkańcy Ady i Asher dobrze go pamiętali. Był młody, wciąż miał talent. Wszyscy znali jego nazwisko.

Oskarżenie o podwójny gwałt wszystko to zmieniło. Wiedział, że ludzie zapomną o nim jako o baseballiście i że zapamiętają go tylko jako gwałtociela. Trzymał się na uboczu, coraz bardziej zamykał w sobie i z dnia na dzień coraz głębiej pogrążał się w swoim mrocznym, pogmatwanym świecie. Coraz rzadziej przychodził do pracy, wreszcie ją rzucił. Ogłosił bankructwo i gdy wszystko stracił, spakował rzeczy i po kryjomu wyjechał z Tulsy. Spadał na łeb na szyję, ginął w otchłani świata depresji, alkoholu i narkotyków.

Juanita czekała na niego z głębokim niepokojem. O kłopotach syna wiedziała niewiele, jednak to, co wiedziała, napełniało ją wielką troską. Ron był wrakiem: pił, miewał paskudne zmiany nastroju, coraz dziwniej się zachowywał. Wyglądał koszmarnie: zapuścił włosy, był brudny i nieogolony. I to miał być ten sam Ron Williamson, mężczyzna zawsze modnie ubrany i elegancki? Ron, który pracował w sklepie z odzieżą męską i zawsze potrafił powiedzieć, że ten czy tamten krawat nie pasuje do tej czy tamtej marynarki?

Zainstalował się na sofie w pokoju matki i od razu poszedł spać. Wkrótce przesympiał dwadzieścia cztery godziny na dobę, tylko na sofie. Sypialnia była wolna, ale on nie chciał tam nawet wejść, zwłaszcza po ciemku. Coś tam było, coś go przerażało. Spał mocno, ale czasem budził się, krzycząc, że po podłodze pełzają węże, a po ścianach chodzą pająki.



Zaczął słyszeć głosy, ale nie chciał powiedzieć matce, co mówią. Potem zaczął tym głosom odpowiadać.

Wszystko go męczyło: jedzenie i kąpiel były olbrzymim wysiłkiem i zawsze potem szedł spać. Był niespokojny, pozbawiony motywacji nawet podczas krótkich okresów trzeźwości. Juanita nigdy nie tolerowała w domu alkoholu - nie znosiła picia i palenia. Zawarli coś w rodzaju paktu czy rozejmu i Ron przeniósł się do ciasnej klitki za garażem obok kuchni. Tam mógł pić, palić i grać na gitarze, nie denerwując matki. Kiedy chciał spać, wracał do jej pokoju i zalegał na sofie, a kiedy nie spał, siedział u siebie.

Od czasu do czasu, gdy wracał mu dobry nastrój i energia, zaczynało brakować mu nocnego życia i szedł w kurs. Pił, ćpał i podrywał dziewczyny, choć trochę ostrożniej niż przedtem. Znikał na całe dni. Mieszkał u kumpli, naciągał na pieniądze przygodnych znajomych. Potem wiatr zmieniał kierunek i martwy dla świata Ron znowu lądował na sofie u matki.

Bezbrzeżnie zmartwiona Juanita cierpliwie czekała. W jej rodzinie nikt nie chorował psychicznie i nie miała pojęcia, jak z tym sobie poradzić. Dużo się modliła. Była bardzo skryta i robiła wszystko, żeby problemy Rona utrzymać w tajemnicy przed Annette i Renee. Obydwie były szczęśliwymi mężatkami. Syn był jej zmartwieniem, nie ich.

Od czasu do czasu Ron przebąkiwał, że poszuka sobie pracy. Czuł się paskudnie, gnuśniejac i nie mogąc zarobić na swoje utrzymanie. Kumpel znał w Kalifornii kogoś, kto potrzebował pracowników i tak, ku wielkiej uldze rodziny, Ron wyruszył na zachód. Kilka dni później zadzwonił z płaczem do matki, mówiąc, że mieszka z wyznawcami szatana, których się boi, i którzy nie pozwalają mu odejść. Juanita wysłała mu bilet lotniczy i szybko stamtąd uciekł.

W poszukiwaniu pracy był na Florydzie, w Nowym Meksyku i w Teksasie, ale nigdy nie pracował dłużej jak miesiąc. Każda podróż bardzo go wyczerpywała, po każdej zwał się bezwładnie na sofę.

Juanita przekonała go w końcu, żeby poszedł do psychiatry, który zdiagnozował u niego psychozę maniakalno-depresyjną. Przypisał mu lit, ale Ron nie chciał regularnie go brać. Pracował dorywczo to tu, to tam, nie zarzewając nigdzie miejsca. Umiał tylko sprzedawać polisy, ale w obecnym stanie nie zdołałby nikogo oczarować. Wciąż mówił o sobie jako o zawodowym baseballście, bliskim przyjacielu Reggiego Jacksona, ale mieszkańcy Ady wiedzieli swoje.

Pod koniec 1979 roku Annette umówiła się na spotkanie z sędzią okręgowym Ronaldem Jonesem z hrabstwa Pontotoc. Opowiedziała mu o sytuacji brata i spytała, czy sąd lub władze stanowe mogą mu w jakikolwiek

sposób pomóc. Nie, odparł sędzia. Chyba że Ron zacznie zagrażać sobie lub innym.

**Pewnego** wyjątkowego dobrego dnia Ron poszedł na spotkanie w sprawie pracy do ośrodka rehabilitacji zawodowej w Adzie. Tamtejszy terapeuta, zaniepokojony jego stanem, skierował go do doktora M. P. Prossera ze szpitala Świętego Antoniego w Oklahoma City, gdzie przyjęto go trzeciego grudnia 1979 roku.

I wkrótce zaczęły się kłopoty, ponieważ Ron zażądał przywilejów, jakich personel nie mógł mu zapewnić. Chciał, żeby poświęcano mu znacznie więcej czasu i uwagi i zachowywał się tak, jakby był ich jedynym pacjentem. Gdy mu odmówiono, opuścił szpital, żeby kilka godzin później wrócić i poprosić o ponowne przyjęcie.

Ósmego stycznia 1980 roku doktor Prosser zanotował:

Ten młodzieniec przejawia dziwne, niekiedy psychopatyczne zachowania. Niewykluczone, że nigdy nie da się ustalić, czy choruje na manię prześladowczą, jak zdiagnozował go terapeuta z Ady, czy też jest osobnikiem schizoidalnym z tendencjami socjopatycznymi albo na odwrót... Prawdopodobnie wymagać będzie długiego leczenia jednak on sam uważa, że nie choruje na schizofrenię i leczenia takiego nie wymaga.

Ron żył marzeniami od wczesnego okresu dojrzewania, od dni sławy i chwały na boisku baseballowym, i nigdy nie pogodził się z tym, że jego kariera dobiegła końca. Wciąż wierzył, że „oni” - władcy baseballu - zadzwonią do niego, powołają go do drużyny i uczynią sławnym. „Jest to cecha typowo schizofreniczna - pisał doktor Prosser. Ron chce po prostu powrócić na boisko, najlepiej w roli słynnego gwiazdora”.

Zaproponowano mu długotrwałe leczenie, ale on nie chciał nawet o tym słyszeć. Ogólnego badania lekarskiego nie dokończono, ponieważ odmówił współpracy, mimo to doktor Prosser zanotował, że jest to... „zdrowy, dobrze umięśniony, chodzący pacjent... w formie lepszej niż większość mężczyzn w jego wieku”.

Kiedy mógł normalnie funkcjonować, Ron sprzedawał produkty domowe Rawleigha, chodząc od domu do domu, tak jak kiedyś jego ojciec. Ale zajęcie było nużące, prowizje małe, Ron nie miał cierpliwości do papierków, poza tym, on, słynny baseballista, krążył teraz po mieście, wciskając ludziom przyprawę do sosów!

Nieleczony i nałogowo pijący stał się częstym gościem okolicznych knajp. Był pijakiem niechlujnym, głośnym, gadatliwym, zaczepiającym kobiety i wiecznie przechwalającym się swoimi osiągnięciami sportowymi. Wielu się go bało, dobrze znali go wszyscy barmani i bramkarze. Jeśli do jakiegoś baru przychodził Ron Williamson, wszyscy o tym wiedzieli. Jednym z jego ulubionych klubów była Latarnia i tamtejsi bramkarze mieli go stale na oku.

Więść, że w Tulsie oskarżono go o podwójny gwałt, wkrótce dotarła i do Ady. Policja zaczęła go obserwować, czasami go nawet śledziła. Pewnego wieczoru on i Bruce Leba wybrali się jak zwykle do baru i po drodze wpadli na stację benzynową, żeby zatankować. Policjant jechał za nimi przez kilka ulic, a potem zatrzymał ich pod zarzutem kradzieży paliwa. Było to tylko zwykłe nękanie, mimo to o włos uniknęli aresztowania.

Aresztowania jednak miały się wkrótce zacząć. W kwietniu 1980 roku, dwa lata po śmierci ojca, przymknięto go po raz pierwszy za jazdę po pijanemu.

W listopadzie Juanita przekonała go, że najwyższa pora zacząć się leczyć. Za jej namową Ron poszedł do miejskiej poradni zdrowia psychicznego w Adzie, gdzie przyjął go Duane Logue, specjalista od uzależnień. Ron otwarcie przyznał, że ma ze sobą problemy, że od jedenastu lat nadużywa alkoholu, od co najmniej siedmiu bierze narkotyki i że odkąd Jankesi zerwali z nim kontrakt, pije znacznie więcej. O oskarżeniach o gwałt w Tulsie nie wspominał.

Logue skierował go do ośrodka Bridge House w Ardmore, osiemdziesiąt kilometrów od Ady. Nazajutrz Ron zjawił się tam i zgodził na dwudziesto-ośmiodniową kurację odwykową na oddziale zamkniętym. Był bardzo zdeenerwowany i ciągle powtarzał, że „zrobił kilka strasznych rzeczy”. W ciągu dwóch dni całkowicie się wyalienował, długo spał i przestał przychodzić na posiłki. Po tygodniu przyłapano go na paleniu papierosów w pokoju - co było wyraźnym naruszeniem obowiązujących w ośrodku przepisów — i kazono mu się wynosić. Wyszedł z Annette, która przypadkowo przyjechała do Ardmore, żeby go odwiedzić, ale już nazajutrz zjawił się tam ponownie, prosząc o przyjęcie. Powiedziano mu, żeby wrócił do Ady i zgłosił się za dwa tygodnie. Bojąc się gniewu matki, Ron postanowił nie jechać do domu i przez kilka tygodni włóczył się gdzieś, nie mówiąc nikomu gdzie.

Dwudziestego piątego listopada Duane Logue wysłał do niego list, w którym prosił go o przyjazd czwartego grudnia. Napisał między innymi tak: „Martwię się o Pańskie zdrowie i mam nadzieję, że Pan przyjedzie”.

Czwartego grudnia Juanita poinformowała miejską poradnię zdrowia psychicznego w Adzie, że Ron znalazł pracę i mieszka w Ardmore. Poznał nowych przyjaciół, aktywnie działa w tamtejszym kościele, ponownie przyjął Chrystusa i że nie, żadna pomoc psychiatryczna nie jest już potrzebna. Sprawa została zamknięta.

Otwarto ją dziesięć dni później, gdy porozmawiał z nim Duane Logue. Ron wymagał długotrwałego leczenia, ale nie chciał się na nie zgodzić. Odmawiał też przyjmowania leków, przede wszystkim litu. To otwarcie przyznawał się do alkoholizmu i narkomanii, to stanowczo się tego wypierał. Najwyżej kilka piw, odpowiadał, gdy pytano go, czy dużo pije.

Ponieważ nie mógł utrzymać się w żadnej pracy, zawsze był kompletnie spłukany. Gdy Juanita nie chciała „pożyczyć” mu pieniędzy, włóczył się po mieście, szukając innych źródeł. Nic dziwnego, że krąg jego przyjaciół szybko się zmniejszał; większość znajomych po prostu go unikała. Kilka razy był w Asher, gdzie zawsze mógł znaleźć Murla Bowena. Rozmawiali, Ron wciskał mu kolejną historyjkę o prześladowającym go pechu i stary trener wygrzebywał z kieszeni dwadzieścia dolarów. Ron obiecywał, że na pewno je zwróci, a Murl wygłaszał surowy wykład, każąc mu ułożyć sobie życie.

Jego schronieniem i ucieczką był Bruce Leba, który ponownie się ożenił i wiódł teraz o wiele spokojniejsze życie kilka kilometrów za miastem. Mniej więcej dwa razy w miesiącu brudny i pijany Ron zjawiał się pod jego drzwiami i prosił o nocleg. Bruce zawsze go przyjmował. Doprowadzał go do trzeźwości, karmił i zwykle pożyczał mu dziesięć dolarów.

W lutym 1981 roku Rona po raz drugi aresztowano za prowadzenie samochodu w stanie wskazującym na spożycie alkoholu. Ron przyznał się do winy. Kilka dni spędził w areszcie, a potem pojechał do Chickasha, żeby odwiedzić Renee i jej męża Gary'ego. Pewnej niedzieli, po powrocie z kościoła, zastali go na swoim podwórzu. Powiedział im, że mieszka w namiocie za ich płotem i rzeczywiście jego wygląd mógł na to wskazywać. Co więcej, niedawno uciekł jakimś żołnierzom z Lawton. Żołnierze ci gromadzą w domu broń i materiały wybuchowe, bo chcą zaatakować i zająć swoją własną bazę. Na szczęście zdołał im uciec i szuka teraz schronienia.

Renee i Gary pozwolili mu zamieszkać w sypialni syna. Gary znalazł mu pracę przy załadunku siana, ale Ron pracował tylko przez dwa dni, a potem odszedł, twierdząc, że potrzebuje go pewna drużyna softballowa. Farmer, który go zatrudnił, zadzwonił do Gary'ego i powiedział, że Williamson nie jest u niego mile widziany i że ma poważne problemy emocjonalne.

W Ronie odżyło nagle dawne zainteresowanie amerykańskimi prezydentami i przez wiele dni nie mówił o niczym innym. Nie tylko potrafił

wyrecytować ich nazwiska w kolejności urzędowania - od pierwszego do ostatniego i od ostatniego do pierwszego - ale i wszystko o nich wiedział: znał ich datę i miejsce urodzenia, lata sprawowania władzy, nazwisko wiceprezydenta, imię żony, imiona dzieci, największe osiągnięcia, i tak dalej. Każda rozmowa w domu Simmonsów musiała dotyczyć któregoś z nich. W obecności Rona nie można było rozmawiać o niczym innym.

Prowadził nocny tryb życia. Chciał zasnąć, ale nie mógł. Poza tym uwielbiał oglądać nocną telewizję z fonią nastawioną na pełny regulator. Wraz z pierwszymi promieniami słońca robił się senny i dopiero wtedy zasypiał. Simmonsowie, zmęczeni i z zaczerwienionymi oczami, jedli szybkie śniadanie i szli do pracy.

Często skarżył się na ból głowy. Pewnej nocy Gary usłyszał hałas i zobaczył, jak Ron szpera w apteczce w poszukiwaniu czegoś, co by ten ból złagodziło.

Kiedy Simmonsowie mieli już całkowicie zszargane nerwy, Gary i Ron usiedli, żeby odbyć nieuniknioną rozmowę. Gary powiedział, że Ron może u nich zostać, ale musi dostosować się do ich trybu życia. Ron nie chciał przyjąć do wiadomości, że dolega mu coś poważnego. Po cichu wyjechał i wrócił do domu matki, gdzie albo całymi dniami leżał otepiały na sofie, albo zaszywał się w swoim ciasnym mieszkaniu. Miał dwadzieścia osiem lat i nie umiał przed sobą przyznać, że potrzebuje pomocy.

**Annette** i Renee martwiły się o brata, ale nie mogły nic zrobić. Ron był jeszcze bardziej uparty niż zwykle i wyglądało na to, że odpowiada mu życie włóczęgi, który nie może nigdzie zagrzać miejsca. Zachowywał się jeszcze dziwniej niż przedtem; nie ulegało wątpliwości, że jego stan psychiczny się pogarsza. Ale temat ten był tematem tabu; kilka razy go poruszyły i wiedziały już, że to błąd. Juanita potrafiła nakłonić go do szukania pomocy u terapeuty czy namówić na kurację odwykową, ale Ron nigdy żadnej nie ukończył. Po każdym krótkim okresie trzeźwości przeżywał tygodnie wahań i niepewności co do tego, gdzie właściwie jest i czego chce.

Dla zabawy - jeśli w ogóle umiał się bawić - grał na gitarze na ganku domu matki. Mógł tam brzdąkać i śpiewać dla ptaków godzinami, a kiedy znudził mu się ganek, wyruszał w trasę. Często bez samochodu i pieniędzy na benzynę, po prostu włóczył się po mieście; widywano go tam w przeróżnych miejscach i o przeróżnych porach, zawsze z gitarą.

Rick Carson, kolega z dzieciństwa, był teraz policjantem w Adzie. Na nocnej zmianie często widywał, jak dobrze po północy Ron snuje się po

chodniku, a nawet między domami, ćwicząc akordy i śpiewając. Rick pytał go, dokąd idzie. A tak sobie chodzę. Wówczas Rick proponował, że go podrzuci. Ron czasem się zgadzał, a czasem wołał iść dalej.

Czwartego lipca 1981 roku aresztowano go za pijaństwo w miejscu publicznym i Ron przyznał się do winy. Juanita była wściekła i kazała mu iść na odwyk. Przyjęto go do szpitala w Norman, gdzie zbadał go doktor Sambajon, psychiatra. Na pytanie, na co się skarży, odparł, że: „potrzebuje pomocy”. Miał niskie poczucie wartości własnej, był ospały, dręczyły go myśli o własnej bezużyteczności, beznadziejności, a nawet myśli samobójcze. Powiedział: „Nie potrafię być dobry ani dla siebie, ani dla innych. Nie potrafię utrzymać się w pracy i jestem negatywnie nastawiony do życia”. „Wyznał, że pierwszą poważną depresję przeszedł przed czterema laty, kiedy to jego kariera sportowa dobiegła kresu i kiedy rozpadło się jego małżeństwo. Przyznał, że nadużywa alkoholu i bierze narkotyki, lecz uważał, że nie ma to żadnego wpływu na jego problemy.

Doktor Sambajon stwierdził, że Ron jest „zaniedbany, brudny, niechlujny... i nie dba o wygląd”. Pacjent potrafił jednak myśleć w miarę trzeźwo i zdawał sobie sprawę ze swego stanu. Postawiono diagnozę, że cierpi na zaburzenia psychiczne, na chroniczną odmianę niezbyt silnej depresji. Doktor Sambajon zalecił kurację lekową, terapię indywidualną oraz intensywniejszą terapię grupową; podkreślił również znaczenie wsparcia rodziny.

Po trzech dniach w szpitalu Ron zażądał, żeby go wypisano. Tydzień później przyszedł do poradni zdrowia psychicznego w Adzie, gdzie przyjął go Charles Amos, asystent tamtejszego psychologa. Ron przedstawił się jako były zawodowy baseballista, który od zakończenia kariery sportowej przeżywa depresję. Za powód depresji uznał również religię. Amos skierował go do doktor Marie Snow, jedynej psychiatry w mieście i Ron zaczął odwiedzać ją raz w tygodniu. Przypisała mu asendin, popularny środek antydepresyjny, i jego stan uległ poprawie. Doktor Snow próbowała przekonać pacjenta, że potrzebuje intensywniejszej psychoterapii, ale po trzech miesiącach Ron zrezygnował z dalszego leczenia.

Trzydziestego września 1982 roku oskarżono go o prowadzenie pojazdu mechanicznego pod wpływem alkoholu. Został zatrzymany i osadzony w areszcie. Przyznał się do winy.

## Rozdział 4

**Trzy** miesiące po morderstwie Debbie Carter detektywi Dennis Smith i Mike Kieswetter przyjechali do domu Williamsonów i po raz pierwszy przesłuchali Rona. Na przesłuchaniu była obecna Juanita. Spytany, gdzie był siódmego grudnia, Ron odparł, że nie pamięta - od tamtego dnia upłynęły już trzy miesiące. Tak, często bywa Pod Latarnią, podobnie jak w innych klubach. Juanita wzięła kalendarz, sprawdziła datę i powiedziała detektywom, że siódmego grudnia o dziesiątej wieczorem syn był w domu. Pokazała im stosowny wpis.

Ci spytali go, czy zna Debbie Carter. Ron nie był tego pewien. Na pewno słyszał to nazwisko, bo od morderstwa nie mówiło się w mieście o niczym innym. Smith pokazał mu zdjęcie ofiary i Ron uważnie je obejrzał. Może ją gdzieś widział, a może nie. Potem poprosił o zdjęcie raz jeszcze. Tak, jakby ją skądś znał. Uparcie zaprzeczał, jakoby wiedział coś na temat zabójstwa, ale uważał, że morderca jest prawdopodobnie psychopata, który śledził Debbie, włamał się do jej domu, zabił ją i uciekł z miasta.

Po półgodzinnym przesłuchaniu detektywi spytali, czy Ron zgodzi się na pobranie odcisków palców i próbki włosów. Ron się zgodził i pojechał z nimi na komendę, gdzie przesłuchanie dobiegło końca.

Trzy dni później, siedemnastego marca, detektywi odwiedzili go ponownie z tymi samymi pytaniami. Ron ponownie oznajmił, że nie ma nic wspólnego z morderstwem i że wieczorem siódmego grudnia był w domu.

Policja przesłuchiwała również niejakiego Dennisa Fritza; zainteresowała się nim tylko dlatego, że przyjaźnił się z Ronem Williamsonem. Według jednego z pierwszych raportów, Fritz był „podejrzany, a przynajmniej znajomym podejrzanego w sprawie morderstwa Debbie Carter”.

Dennis rzadko bywał Pod Latarnią; po raz ostatni był tam wiele miesięcy przed zabójstwem. Żaden z gości klubu go nie pamiętał. Mało tego, jego nazwisko padło w śledztwie dopiero w marcu 1983 roku. Był w Adzie nowy i niezbyt dobrze go znano. Nigdy nie podwoził Rona do klubu. Nie znał też Debbie, nie był pewien, czy w ogóle ją kiedykolwiek widział i nie miał pojęcia, gdzie mieszkała. Ale ponieważ śledczy wpadli już na trop Rona Williamsona, i działali najwyraźniej pod wpływem teorii, że morderców było dwóch, potrzebowali drugiego podejrzanego. Fritz doskonale się do tej roli nadawał.

**Dennis Fritz** wychował się w Kansas City; ukończył tam szkołę średnią, a w 1971 roku zrobił dyplom z biologii na Stanowym Uniwersytecie Południowo-Wschodniej Oklahomy. W 1973 roku jego żona Mary urodziła ich jedyne dziecko, Elizabeth. Mieszkali wtedy w Durant w Oklahomie. Mary pracowała w miejscowym college'u, a Dennis miał dobrą pracę na kolei.

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia w 1975 roku pod nieobecność Dennisa jego żona została zamordowana przez siedemnastoletniego sąsiada, który strzelił jej głowę, gdy siedziała w bujaku w swoim własnym pokoju.

Przez dwa lata Dennis nie był w stanie pracować. Miał silny uraz psychiczny i mógł tylko opiekować się córką. Gdy w 1981 roku poszła do szkoły, zdołał wziąć się w garść i zaczął pracować jako nauczyciel w gimnazjum w Konawa. Kilka miesięcy później przeprowadził się do Ady, do wynajętego domu, niedaleko domu Williamsonów, i domu, w którym Debbie Carter miała pewnego dnia wynajęte mieszkanie. Zamieszkała z nim jego matka, Wanda, żeby pomóc synowi w opiece nad córką.

Dennis zmienił miejsce pracy: uczył teraz biologii w dziewiątej klasie i trenował szkolną drużynę baseballową w Noble, godzinę jazdy od Ady. Dyrekcja pozwoliła mu zamieszkać w małej przyczepie kempingowej na terenie szkoły, tak że w weekendy Dennis jeździł tam i z powrotem, żeby być z córką i matką. W Noble nie było nocnego życia, dlatego będąc w Adzie, od czasu do czasu wpadał gdzieś na drinka albo szedł na dziewczyny.

Był w Adzie pewnego listopadowego wieczoru w roku 1981. Nudził się i miał ochotę na piwo, wpadł więc do sklepu spożywczego. Przed sklepem, w starym buicku matki, siedział Ron Williamson, brząkając na gitarze i gapiąc się na ulicę. Dennis też grał i tak się przypadkiem zdarzyło, że jego gitara leżała na tylnym siedzeniu samochodu. Wszczęli rozmowę o muzyce. Ron mieszkał ledwie kilka ulic stamtąd i zaprosił go do siebie na jam session. Obydwaj szukali przyjaciół.



Mieszkanie było małe, ciasne, brudne i jakieś takie smutne; tak pomyślał wtedy Dennis. Ron powiedział, że mieszka z matką, która nie toleruje palenia i picia. Nie miał pracy, a kiedy Dennis spytał go, co robi przez cały dzień, odparł, że zwykle śpi. Był przyjacielski, łatwy w rozmowie i często się śmiał, lecz Dennis zauważył również, że bywa nieobecny duchem. Potrafił długo gapić się w dal, a potem patrzeć na niego, jakby wcale go tam nie było. Dziwny facet, pomyślał.

Mimo to lubili grać i rozmawiać o muzyce. Po kilku wizytach Dennis stwierdził, że Ron dużo pije i że miewa zmienny nastrój. Ron uwielbiał wódkę i piwo i zwykle zaczynał pić pod wieczór, kiedy już się na dobre rozbudził i kiedy nie było matki. Przed pierwszym kieliszkiem był oklapły i przygnębiony i jego osobowość odżywała dopiero po alkoholu. Zaczęli chodzić razem po knajpach i barach w Adzie.

Pewnego razu Dennis przyjechał wcześniej, zanim Ron zdążył wypić pierwszego drinka. Pogawędził z Juanitą, miłą, lecz udręczoną kobietą, która mówiła niewiele, choć widać było, że ma dość syna. Gdy wyszła, Dennis zajrzał do sypialni i zobaczył tam gapiącego się w ścianę Rona. Sypialnia go denerwowała i rzadko tam bywał.

Na ścianach wisały duże, kolorowe zdjęcia Patty, jego byłej żony, i jego samego w różnych strojach baseballowych.

- Była piękna - powiedział Fritz, patrząc na Patty.
  - Kiedyś to wszystko miałem - odparł ze smutkiem rozgoryczony Ron.
- Miał dwadzieścia osiem lat i był zupełnie zrezygnowany.

**Wyprawy** do barów zawsze obfitowały w przygody. Ron wchodził do knajpy po cichu, ale kiedy już tam wszedł, zawsze chciał być w centrum uwagi. Jednym z jego ulubionych numerów było udawanie bogatego, elegancko ubranego adwokata z Dallas. Spędził w sądach wystarczająco dużo czasu, żeby poznać ich język i maniery i „numer z Tannerem” odstawał niemal we wszystkich knajpach w Norman i Oklahoma City.

Fritz siadywał na uboczu i oglądał przedstawienie. Pozwalał mu się popisywać. Ale powoli zaczynał mieć dość przygód. Noce z Ronem zawsze obfitowały w konflikty i nieoczekiwane zakończenia.

Latem 1982 roku, gdy wracali do Ady po całonocnej balandze, Ron oznajmił, że chce pojechać do Galveston; Fritz popełnił błąd, opowiadając mu, jak to kiedyś łowił tam ryby, na co Ron odparł, że zawsze chciał tego spróbować. Byli pijani, więc nieplanowana, ośmiogodzinna podróż zdawała

się czymś zupełnie do przyjęcia. Jechali pikapem Dennisa. Ron jak zwykle nie miał ani samochodu, ani prawa jazdy, ani pieniędzy na benzynę.

Szkoła się skończyła, Fritz miał trochę gotówki w kieszeni, dlatego więc mieliby nie pojechać na ryby? Kupili kilka piw i wyruszyli na południe.

Gdzieś w Teksasie Dennis uznał, że powinien się zdrzemnąć i za kierownicą usiadł Ron. Obudziwszy się, Dennis zobaczył w samochodzie obcego Murzyna. „Wziąłem autostopowicza” — oznajmił z dumą Ron. Tuż przed świtem zatrzymali się przed sklepem spożywczym w Houston, żeby kupić piwo i coś do jedzenia i kiedy wrócili, okazało się, że autostopowicz ukradł im samochód. Ron przyznał, że zostawił kluczyki w stacyjce, a po dłuższym namyśle dodał, że chyba nie wyłączył nawet silnika. Wypili kilka piw, ponarzekali na pecha. Fritz chciał zadzwonić na policję, ale Ron miał wątpliwości. Posprzeczali się, ale Dennis zadzwonił mimo to. Kiedy policjant usłyszał ich opowieść, roześmiał im się w twarz.

Byli w bardzo niebezpiecznej części miasta, ale znaleźli jakoś Pizze Hut. Zjedli, opróżnili kilka kufli piwa i zagubieni zaczęli włóczyć się po okolicy. O zmierzchu natknęli się na murzyńską knajpę i Ron postanowił tam wejść i się zabawić. Pomysł był szalony, lecz Fritz uznał, że w knajpie będzie prawdopodobnie bezpieczniej niż na ulicy. Weszli. Dennis zamówił piwo i pił je, modląc się, żeby nikt nie zwrócił na nich uwagi. Ale Ron zaczął oczywiście głośno gadać. Elegancko ubrany, w garniturze, był teraz wziętym adwokatem z Dallas. Dennis martwił się o samochód i miał nadzieję, że nikt nie pochlasta ich nożem, podczas gdy jego kumpel snuł wydumane opowieści o swoim bliskim przyjacielu Reggie Jacksonie.

W knajpie prym wiódł niejaki Cortez i Ron szybko się z nim zgadał. Kiedy opowiedział mu o skradzionym pikapie, ten ryknął śmiechem. Gdy zamknięto lokal, zawiózł ich do swego mieszkania, gdzie było tylko jedno łóżko. Ron i Dennis spali na podłodze. Fritz obudził się skacowany i zły, z mocnym postanowieniem, że wróci do Ady w jednym kawałku. Obudził Rona i namówił Corteza, żeby za małą opłatą podrzucił ich do banku, gdzie Dennis zamierzał podjąć trochę pieniędzy. Cortez podwiózł ich i został w samochodzie. Ron i Dennis weszli do środka, Dennis podjął pieniądze i gdy wychodzili, na ulicy zaroilo się od wrzeszczących, po zęby uzbrojonych policjantów, którzy otoczyli Corteza. Wywlekli go z samochodu i wrzucili na tyle siedzenie radiowozu.

Ron i Dennis zawrócili, szybko ocenili sytuację i spieszenie wyszli tylnymi drzwiami. Kupili bilety na autobus. Podróż do domu była długa i bolesna. Fritz miał dość Rona i był zły, że przez niego skradziono mu samochód. Poprzysiągł sobie, że długo będzie go unikał.

Miesiąc później Ron zadzwonił do niego z propozycją wspólnego wypadu do miasta. Od przygody w Houston ich stosunki bardzo się oziębily. Fritz lubił wypić kilka piw i pójść potańczyć, ale potrafił nad sobą zapanaować. Natomiast Ron był w porządku, dopóki pili i grali na gitarze w jego mieszkaniu, ale w knajpie mogło zdarzyć się dosłownie wszystko.

Dennis wpadł po niego i pojechali na kielicha. Dennis uprzedził go, że nie może długo zostać, bo umówił się z dziewczyną. Od pewnego czasu intensywnie szukał kogoś na stałe. Od siedmiu lat był wdowcem i brakowało mu trwałego związku. Ronowi natomiast nie. Kobiety nadawały się wyłącznie do seksu, do niczego więcej.

Tego wieczoru trudno było się go pozbyć i gdy Dennis pojechał do dziewczyny, Ron pojechał wraz z nim. Gdy wreszcie zdał sobie sprawę, że jego obecność nie jest mile widziana, wpadł w złość i poszedł sobie, lecz bynajmniej nie na piechotę. Ukradł Dennisowi samochód i pojechał do Bruce'a Leby. Nazajutrz rano Dennis stwierdził, że samochód zniknął. Zadzwoił na policję, zameldował o kradzieży, a potem zatelefonował do Bruce'a i spytał go, czy nie widział przypadkiem Rona. Bruce zgodził się odstawić Rona i skradziony samochód do Ady i kiedy tam przyjechali, zatrzymała ich policja. Zarzuty wycofano, ale Dennis i Ron nie odzywali się do siebie przez wiele miesięcy.

**Fritz** był w domu, gdy zadzwonił do niego detektyw Dennis Smith. Policja chciała, żeby wpadł na komendę i odpowiedział na kilka pytań.

- Jakich pytań? - spytał Fritz.

- Dowie się pan, kiedy pan przyjdzie - odparł Smith.

Dennis niechętnie pojechał. Nie miał nic do ukrycia, ale tego rodzaju spotkania z policją są bardzo denerwujące. Smith i Rogers zaczęli wypytywać go o znajomość z Ronem Williamsonem, dawnym kumplem, którego Fritz nie widział od wielu miesięcy. Pytania były początkowo rzeczowe, lecz powoli stawały się oskarżycielskie. „Gdzie pan był siódmego grudnia wieczorem?” Dennis nie był tego pewien, musiał pomyśleć. „Czy znał pan Debbie Carter?” Nie. I tak dalej. Po godzinie Fritz wyszedł z komendy lekko zaniepokojony, że uwikłał się w śledztwo.

Wkrótce Smith zadzwonił ponownie i spytał, czy Dennis zechce poddać się badaniu na poligrafie. Dennis trochę się na tym znał i wiedział, że poligrafy są bardzo zawodne, poza tym nie chciał mieć nic wspólnego z policją. Z drugiej jednak strony, nie znał przecież Debbie Carter i chciał im to udowodnić. Niechętnie zgodził się na badanie; miało odbyć się w siedzibie

OSBI, Oklahomskiego Biura Śledczego w Oklahoma City. Ale im bliżej wyznaczonego dnia, tym bardziej był zdenerwowany i żeby się uspokoić, tuż przed badaniem wziął tabletkę diazepam.

Badanie prowadził agent OSBI, Rusty Featherstone, a Smith i Rogers przez cały czas kręcili się w pobliżu. Po badaniu pochylili się nad wykresem, ponuro kręcąc głową.

Potem poinformowali Fritza, że „tragicznie oblał”.

- To niemożliwe. - Taka była pierwsza reakcja Dennisa.

Coś pan ukrywa, twierdzili tamci. Dennis odrzekł, że jest bardzo zdenerwowany i w końcu wyznał, że tuż przed wyjazdem na komendę wziął diazepam. Bardzo ich to wkurzyło i oznajmili, że badanie trzeba będzie powtórzyć. Dennis uznał, że nie ma wyboru.

Tydzień później Featherstone przywiózł poligraf do Ady i zainstalował go w podziemiach komendy. Fritz był jeszcze bardziej zdenerwowany niż przedtem, lecz odpowiadał na pytania szczerze i bez wahania.

Według Featherstone'a, Smitha i Rogersa, znowu „oblał”, jeszcze „tragiczniej” niż za pierwszym razem. Rozpoczęło się ostre przesłuchanie. Rogers, który odgrywał rolę złego gliniarza, przeklinał, groził i nieustannie powtarzał: „Ty coś ukrywasz, Fritz”. Smith próbował odgrywać rolę gliniarza dobrego, prawdziwego przyjaciela, ale był to numer dziecienny i bardzo stary.

Rogers wyglądał jak kowboj - kowbojskie buty, i tak dalej - i krążył po pokoju, wściekając się, grożąc, mówiąc o bloku śmierci tudzież o śmiertelnych zastrzykach, po czym nagle rzucał się na Dennisa, dźgał go palcem w pierś i kazał mu się przyznać. Było to dość przerażające, lecz mało skuteczne. „Zejdźcie mi z oczu”, powtarzał ciągle Dennis.

Rogers oskarżył go w końcu o gwałt i morderstwo. Wpadł w gniew i coraz bardziej wulgarnym językiem opisał, jak to Fritz i jego kumpel Williamson włamali się do domu Debbie, zgwałcili ją i zabili, dlatego on, detektyw Rogers, chce teraz, żeby Fritz do wszystkiego się przyznał.

Bez jakichkolwiek dowodów, tylko przyznanie się do winy rozwiązywało sprawę, dlatego robili, co mogli, żeby je z Dennisa wydobyć. Ale Dennis się nie ugiął. Nie miał nic do ukrycia, lecz po dwóch godzinach wyzwisk postanowił coś im sprzedać i opowiedział historię o wypadku do Norman poprzedniego lata. Pojechali tam z Ronem na dziewczyny i po wieczornej popijawie jedna z nich wskoczyła na tylne siedzenie jego samochodu. Wskoczyła i wpadła w histerię, bo Ron nie chciał jej wypuścić. W końcu uciekła, wezwała policję i obydwaj spędzili noc, śpiąc na parkingu i ukrywając się przed gliniarzami. Oskarżenia nie wniesiono.

Zdawało się, że opowieść udobruchała detektywów, przynajmniej na kilka minut. Wyraźnie chodziło im o Williamsona i mieli teraz kolejny dowód, że on i Fritz byli kumplami od kieliszka. Fritz nie bardzo rozumiał, jaki to ma związek z morderstwem Debbie Carter, z drugiej jednak strony, sensu nie miało większość z tego, co mówili. Wiedział, że jest niewinny, więc jeśli Smith i Rogers wsiedli na niego, prawdziwy zabójca nie musiał się niczym przejmować.

Po trzygodzinnym przesłuchaniu policjanci wreszcie go wypuścili. Byli przekonani, że maczał w tym palce, lecz bez przyznania się do winy nie mogli zamknąć sprawy. Dalsze śledztwo wymagało dobrej, policyjnej roboty, dlatego zaczęli go śledzić, chodzić za nim po mieście i bez powodu zatrzymywać. Kilka razy Fritz budził się w nocy i przed domem widział radiowóz.

Dobrowolnie przekazał im próbkę włosów, krwi i śliny. Niby dlaczego miałby nie przekazać? Przecież nie musiał się niczego bać. Przeszło mu przez myśl, żeby porozmawiać z adwokatem, ale po co zawracać sobie głowę? Był niewinny i pewny, że już wkrótce policja sama się o tym przekona.

Smith poszperał w jego przeszłości i odkrył, że w 1973 roku skazano go za uprawianie marihuany w Durant. Uzbrojony w tę wiedzę detektyw zadzwonił do dyrektora gimnazjum w Noble i poinformował go, że nie dość, iż przeciwko Fritzowi toczy się śledztwo w sprawie o morderstwo, to jeszcze ubiegając się o pracę, zataił on, że ma na koncie wyrok za narkotyki. Dennisa natychmiast wyrzucono z pracy.

**Siedemnastego** marca Susan Land z Oklahomskiego Biura Śledczego otrzymała od detektywa Dennisa Smitha „aktualną” próbkę „włosów głowowych i łonowych Fritza i Williamsona”.

Dwudziestego pierwszego marca Ron przyjechał na komendę i dobrowolnie poddał się badaniu na poligrafie, prowadzonemu przez B.G.Jonesa, kolejnego specjalistę z OSBI. Jones stwierdził, że wyniki nie są jednoznaczne. Ron przekazał również policji próbkę śliny. Tydzień później próbka trafiła do OSBI wraz z próbką śliny Dennisa Fritza.

Dwudziestego ósmego marca Jerry Peters z OSBI ukończył badanie odcisków palców z miejsca zbrodni. W swoim raporcie stwierdził - bez żadnych wątpliwości czy zastrzeżeń - że odcisk dłoni z fragmentu płyty kartonowo-gipsowej nie należy do Debbie Carter, Dennisa Fritza ani do Rona Williamsona. Dla policji powinna to być dobra wiadomość. Wystarczyło teraz znaleźć tego, do kogo odcisk ów należał i mieliby swojego zabójcę.

Ale zamiast tego policja po cichu powiadomiła rodzinę Carterów, że Ron Williamson jest ich głównym podejrzanym. I że chociaż nie mają wystarczających dowodów, konsekwentnie podążają kilkoma tropami i powoli, metodycznie gromadzą materiały niezbędne do wszczęcia sprawy sądowej. Ron rzeczywiście nadawał się na podejrzanego: dziwnie się zachowywał, spał w dzień, wychodził na miasto w nocy, mieszkał z matką, nie miał pracy, napastował kobiety, był stałym gościem w miejscowych knajpach, ale najbardziej obciążało go to, że mieszkał blisko miejsca zbrodni. Idąc na skróty alejką za domem, już po chwili mógł znaleźć się w mieszkaniu Debbie Carter!

No i miał na koncie dwie sprawy w Tulsie. Ten człowiek musiał być gwałcicielem bez względu na to, co orzekli przysięgli.

Niedługo po morderstwie ciotka Debbie, Glenna Lucas, miała anonimowy telefon od mężczyzny, który powiedział: „Debbie nie żyje, a ty umrzesz następna”. Przerażonej Glennie przypomniały się słowa wypisane lakierem do paznokci: „Następny umrze Jim Smith” - podobieństwo było oczywiste. Wpadła w panikę, ale zamiast zawiadomić policję, zadzwoniła do prokuratury okręgowej.

Bill Peterson, miody, przysadzisty mężczyzna ze znanej w Adzie rodziny, był prokuratorem od trzech lat. Jego okręg obejmował trzy hrabstwa — Pontotoc, Seminole i Hughes — a jego biuro mieściło się w gmachu miejscowego sądu. Dobrze znał rodzinę Carterów i - jak to prokuratorowi z małego miasta — bardzo zależało mu na znalezieniu podejrzanego i rozwiązaniu sprawy. Dennis Smith i Gary Rogers regularnie zapoznawali go z postępami w śledztwie.

Glenna opowiedziała mu o anonimowym telefonie i doszli do wniosku, że najprawdopodobniej dzwonił do niej Ron Williamson, główny podejrzany i morderca. Wystarczyło, że wyszedł ze swego mieszkania za garażem i widział stamtąd dom Debbie, a wyszedłszy na podjazd, widział dom Glenny. Mieszkał dokładnie pośrodku, dziwak bez pracy, który włóczył się po okolicy o najróżniejszych porach, obserwując sąsiadów.

Na polecenie Petersona do telefonu Glenny podłączono magnetofon, ale mężczyzna już nie zadzwonił.

Christy, jej córka, miał osiem lat i rozumiała już, przez co przechodzi rodzina. Glenna nie odstępowała jej na krok. Nie zostawiała jej samej, nie pozwalała małej korzystać z telefonu i poprosiła, żeby dobrze pilnowano jej w szkole.

O Williamsonie szeptano w domu, szeptała o nim cała rodzina. Dlaczego zabił Debbie? Na co ta policja czeka?

Plotki i pogłoski się nasilały. Na okolicę, a potem na całe miasto padł strach. Morderca był na wolności: wszyscy go widzieli, wszyscy znali jego nazwisko. Dlaczego policja nie chciała go aresztować?

**Półtora** roku po ostatniej sesji terapeutycznej z doktor Snow Ron musiał coś z sobą zrobić. Rozpaczliwie potrzebował długotrwałej opieki medycznej w szpitalu czy zakładzie. W czerwcu 1983 roku, znowu za namową matki, znajomą trasą poszedł na piechotę do szpitala psychiatrycznego w Adzie. Poprosił o pomoc, ponownie twierdząc, że jest w depresji i nie może normalnie funkcjonować. Skierowano go do szpitala w Cushing i tam zbadał go terapeuta Al Roberts. Roberts zrobił mu test na iloraz inteligencji i odnotował, że wynik - 114 - wskazuje na „nieco wyższy od przeciętnego zakres funkcjonowania intelektualnego”, zastrzegając jednak, że pacjent może być do pewnego stopnia upośledzony na skutek nadużywania alkoholu.

Napisał między innymi tak: „Może to być jego wołanie o pomoc”. Ron czuł się niepewnie. Był spięty, zdenerwowany, nerwowy i przygnębiony.

Jest nonkonformistą i żywi urazę do wszelkiej władzy. Zachowuje się niekonsekwentnie i nieprzewidywalnie. Ma poważne problemy z kontrolowaniem odruchów impulsywnych. Jest bardzo podejrzliwy i nieufny w stosunku do otoczenia. Wykazuje nieznajomość zachowań społecznych i czuje się niezręcznie w sytuacjach towarzyskich. To osobnik, który nie chcąc przyjąć pełnej odpowiedzialności za swoje zachowanie, jest gotów zaatakować w gniewie lub w obronie własnej. Postrzega świat jako miejsce groźne i przerażające i broni się przed nim wrogością lub zamykaniem się w sobie. Jest bardzo niedojrzały i stwarza obraz człowieka dość beztroskiego.

Ron zapisał się na kurs zawodowy na uniwersytecie w Adzie, twierdząc, że chce zrobić dyplom z chemii lub — ewentualnie — z wychowania fizycznego, żeby potem trenować jakąś drużynę. Zgodził się też na dokładniejsze badanie psychologiczne polegające na rozwiązaniu serii testów. Prowadził je Melvin Brooking, psycholog z ośrodka szkoleniowego.

Brooking dobrze znał Rona i rodzinę Williamsonów; znał ich może aż za dobrze. W jego notatkach roiło się od anegdot; mówił o nim: „Ronnie”.

O jego karierze sportowej napisał tak: „Nie wiem, jakim uczniem Ronnie był w szkole średniej, ale wiem, że był wybitnym sportowcem, którego

zawsze cechowały gwałtowne napady złości tak na boisku, jak i poza nim. Był grubiański, niedojrzały, niezwykle egocentryczny i arogancki. Postawa primadonny, niezdolność do współpracy z innymi, lekceważenie zasad i przepisów sprawiło, że jako zawodnik nie pasował do żadnej drużyny”.

Na temat jego rodziny napisał co następuje: „Matka Ronniego przez całe życie ciężko pracowała. Od wielu lat jest właścicielką i pracownicą zakładu fryzjerskiego w centrum miasta. Zarówno ona, jak i jego ojciec trwali przy nim, wspierając go w wielu ciężkich chwilach; matka wciąż się nim opiekuje, chociaż jest fizycznie i emocjonalnie wycieńczona”.

Na temat jego nieudanego małżeństwa napisał, że: „Ożenił się z bardzo ładną dziewczyną, była miss Ady, która rozwiodła się z nim, nie mogąc pogodzić się z jego zmiennymi nastrojami i niemożnością zarobienia na utrzymanie”.

Ron musiał mu powiedzieć o nadużywaniu alkoholu i narkotykach, Brooking bowiem odnotował: „Ronnie miał w przeszłości poważne problemy z alkoholem i narkotykami. Niemal nałogowo brał różne środki chemiczne. Wydaje się, że próbował w ten sposób wyleczyć się z głębokiej depresji. Twierdzi, że już nie pije i że odstawił narkotyki”.

Brooking rozpoczyna swoją diagnozę od stwierdzenia, że Ron cierpi na dwubiegunową psychozę i opisuje ją następująco:

Tego rodzaju psychozę cechuje ogromna zmienność nastroju, od maniakalnej wprost ekstazy po całkowitą apatię. Zdiagnozowałem go jako pacjenta cierpiącego na depresję, ponieważ przez większość czasu - co dla niego typowe - jest przygnębiony. Okresy maniakalnego uniesienia są zwykle rezultatem działania środków narkotycznych i trwają krótko. Od trzech, czterech lat Ronnie jest bardzo przybity: mieszka w małym mieszkaniu na tyłach domu matki, przez większość czasu śpi, pracuje bardzo, bardzo mało i jest całkowicie zależny od bliskich. Z domu wyszedł w sumie tylko dwa, trzy razy i podjął kilka stanowczych kroków, żeby się leczyć, lecz były to kroki nieskuteczne”.

Brooking stwierdził również, że pacjent ma osobowość paranoidalną ze względu na „wszechogarniającą, niczym nieuzasadnioną podejrzliwość, nieufność w stosunku do ludzi, nadwrażliwość i napięcie emocjonalne”.

Na dokładkę dodał uzależnienie od alkoholu i środków narkotycznych. Jego diagnoza była „ostrożna” i zakończył ją, pisząc: „Ten młody człowiek nie potrafił wziąć się w garść, odkąd ponad dziesięć lat temu opuścił dom. Jego życie było pasmem poważnych problemów i wyniszczających



kryzysów. Ronnie wciąż próbuje stanąć na nogi, ale jak na razie nie jest w stanie tego zrobić”.

Zadaniem Brookinga było zdiagnozowanie pacjenta, a nie jego leczenie. Ron wciąż nie otrzymywał tak niezbędnej mu pomocy i pod koniec lata 1983 jego stan psychiczny pogorszył się jeszcze bardziej. Wymagał długotrwałej psychoterapii w zakładzie psychiatrycznym, ale rodziny nie było na to stać, państwo nie mogło mu tego zapewnić, a on sam nigdy by się na to nie zgodził.

Do podania o przyjęcie na uniwersytecki kurs zawodowy załączył prośbę o pomoc finansową. Pomoc taką przyznano i powiadomiono go, że w sekretariacie jest do odbioru czek. Jak zwykle zaniedbany Ron - brudny, z długimi włosami i wąsami - przyszedł tam w towarzystwie dwóch ciemnych typów, wyraźnie zainteresowanych jego pieniędzmi. Czek wystawiono na jego nazwisko, ale i na nazwisko jednego z uniwersyteckich urzędników. Ronowi się spieszyło, lecz kazano mu stanąć w długiej kolejce. Uważał, że pieniądze słusznie się mu należą i nie miał ochoty czekać. Ponieważ zniecierpliwieni kumple aż przebierali nogami, Ron szybko sfałszował podpis urzędnika.

Odebrał trzysta dolarów i wyszedł.

Świadkiem fałszerstwa była Nancy Carson, żona Nicka Carsona, jego przyjaciela z dzieciństwa, który był teraz policjantem. Nancy pracowała w sekretariacie i знаła Rona od wielu lat. Zbulwersowana tym, co zobaczyła, zadzwoniła do męża.

Jeden z pracowników uniwersytetu znał rodzinę Williamsonów. Pojechał prosto do zakładu fryzjerskiego Juanity i powiedział jej, że Ron sfałszował podpis. Dodał, że jeśli Juanita zwróci trzysta dolarów, college nie wniesie oskarżenia. Juanita szybko wypisała czek i poszła poszukać syna.

Nazajutrz Ron został aresztowany za posługiwanie się podrobionym środkiem płatniczym, za które to przestępstwo groziła mu kara ośmiu lat więzienia. Osadzono go w miejscowym areszcie. Nie mógł wpłacić kaucji, a rodzina była bezsilna.

**Śledztwo** w sprawie o morderstwo postępowało powoli. Laboratorium kryminalistyczne Oklahomskiego Biura Śledczego wciąż nie dostarczyło policji wyników badań odcisków palców, próbek włosów i śliny. Trwała analiza próbek pobranych od trzydziestu jeden mężczyzn, mieszkańców Ady, w tym próbek Rona Williamsona i Dennisa Fritza. Próbek włosów i śliny Glana Gore'a nie badano, bo nikt go o nie nie poprosił.

We wrześniu 1983 roku wszystkie próbki włosów leżały na zawalonym papierami biurku Melvina Hetta, specjalisty z OSBI.

Dziewiątego listopada przebywającego w areszcie Rona poddano badaniu na poligrafie, które znowu prowadził Rusty Featherstone, agent OSBI. Badanie trwało dwie godziny i zanim podłączono aparat, zadano Ronowi mnóstwo pytań. Ron uparcie zaprzeczał, że wie coś na temat morderstwa, konsekwentnie twierdząc, że nie ma z nim nic wspólnego. Wyniki znowu były niejednoznaczne, a przesłuchanie zostało sfilmowane kamerą wideo.

Ron przystosował się do życia za kratami. Rzucił picie i narkotyki, bo po prostu nie miał innego wyjścia, lecz wciąż sypiał po dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale ponieważ nie brał żadnych leków i nie uczęszczał na terapię, jego stan psychiczny powoli się pogarszał.

Pod koniec listopada jedna z aresztantek, niejaka Vicki Michelle Owens Smith, opowiedziała detektywowi Dennisowi Smithowi dziwną historię. Po rozmowie Smith sporządził następującą notatkę:

O trzeciej czy czwartej nad ranem w niedzielę Ron Williamson wyjrzał przez okno i zobaczył Vicki. Krzyknął, że Vicki jest czarownicą, że to ona zaprowadziła go do domu Debbie Carter i że przywołała do celi jej ducha, który go teraz straszy. Krzyczał też do matki, prosząc ją o przebaczenie.

**W grudniu**, rok po morderstwie, Glana Gore'a wezwano na komendę na przesłuchanie. Gore zaprzeczył, że ma coś wspólnego ze śmiercią Debbie Carter. Twierdził, że widział ją Pod Latarnią kilka godzin przed zabójstwem, dodał też coś nowego, a mianowicie to, że Debbie poprosiła go do tańca, ponieważ w obecności Rona Williamsona czuła się nieswojo. To, że żaden inny świadek Rona w klubie nie widział, nie miało najwyraźniej żadnego znaczenia.

Chociaż policja bardzo chciała zamknąć sprawę i przekazać ją prokuraturze, miała po prostu za mało dowodów rzeczowych. W mieszkaniu Debbie nie znaleziono ani jednego odcisku palca, który pasowałby do odcisków Ronniego czy Dennisa Fritza, co stanowiło potężną wyrwę w teorii, że obydwoj byli tam podczas długiego i gwałtownego ataku na ofiarę. Nie było żadnych świadków, tamtej nocy nikt nic nie słyszał. Próbki włosów - wyniki badań, które są zawsze bardzo niepewne - wciąż leżały na biurku Melvina Hetta w OSBI.

Tak więc cały materiał dowodowy składał się z dwóch „niejednoznacznych” wyników badań na wykrywaczu kłamstw, złej reputacji podejrzanego,

tego, że mieszkał niedaleko domu ofiary oraz z niewydarzonego i spóźnionego zeznania Glena Gore'a.

Materiałów dowodowych przeciwko Dennisowi Fritzowi zebrano jeszcze mniej. Rok po morderstwie jedynym namacalnym rezultatem śledztwa było wyrzucenie go z pracy.

**W styczniu** 1984 roku Ron przyznał się do sfałszowania czeku i został skazany na trzy lata więzienia. Przewieziono go do zakładu karnego pod Tulsa, a ponieważ już wkrótce jego dziwne zachowanie przykuło uwagę strażników, został przeniesiony na obserwację do półotwartego oddziału psychiatrycznego. Trzynastego lutego rano rozmawiał z nim doktor Robert Briody, który zanotował: „Pacjent jest zwykle przygaszony i zdaje się nad sobą panować”. Ale już podczas rozmowy popołudniowej ujrzał zupełnie inną osobę. Napisał: „Ron był hipomaniakalny, głośny, rozdrażniony, łatwo wpadał w ekscytację, miał natłok luźnych skojarzeń i pomysłów, irracjonalnych myśli i wyobrażeń”. Briody zasugerował dokładniejsze badanie.

Na półotwartym oddziale psychiatrycznym środki bezpieczeństwa nie były zbyt ścisłe. Ron odkrył w pobliżu boisko baseballowe i w poszukiwaniu samotności lubił wymykać się tam nocą. Raz znalazł go tam policjant — Ron spał akurat na murawie — i odprowadził go na oddział. Ktoś z personelu udzielił mu łagodnej reprimendy i kazał napisać raport. Raport ów brzmi następująco:

W nocy byłem przygnębiony i chciałem przemyśleć kilka spraw. Na boisku zawsze ogarnia mnie spokój. Poszedłem tam i zwinąłem się jak pies na murawie pod drzewem w południowo-wschodnim rogu stadionu. Kilka minut później policjant kazał mi wracać na oddział. Na środku boiska spotkaliśmy Brentsa i odprowadził mnie do drzwi. Widząc, że nie chciałem zrobić nic złego, obiecał, że mi daruje. Ale - o czym świadczy ten list - kazał mi napisać raport.

**Główny** podejrzany siedział za kratkami i śledztwo w sprawie morderstwa Debbie Carter dosłownie utknęło w miejscu. Mijały tygodnie niemal całkowitej bezczynności. Dennis Fritz pracował krótko w domu opieki, potem w fabryce. Policja od czasu do czasu go nękała, lecz w końcu dała mu spokój. Glen Gore wciąż był w mieście, ale nikt się nim nie interesował.

Policja była sfrustrowana, a napięcie wysokie — już wkrótce miało dramatycznie wzrosnąć.

W kwietniu 1984 roku w Adzie zamordowano kolejną dziewczynę i chociaż jej śmierć nie miała związku ze śmiercią Debbie Carter, wywarła głęboki wpływ na życie Rona Williamsona i Dennisa Fritza.

**Denice Haraway** była dwudziestoczteroletnią studentką i na pół etatu pracowała w sklepie spożywczym McAnaliy'ego na wschodnim krańcu miasta. Osiem miesięcy wcześniej wyszła za mąż za Steve'a Harawaya, również studenta miejscowego uniwersytetu i syna znanego w Adzie dentysty. Nowożeńcy mieszkali w małym mieszkaniu należącym do doktora Harawaya.

W sobotę dwudziestego ósmego kwietnia o wpół do dziewiątej wieczorem wchodzący do sklepu klient spotkał młodą, atrakcyjną kobietę, która właśnie stamtąd wychodziła. Towarzyszył jej młody mężczyzna w wieku dwudziestu kilku lat. Obejmował ją w talii, wyglądali na parę kochanków. Podeszli do pikapa i kobieta wsiadła jako pierwsza. Mężczyzna usiadł za kierownicą i kilka sekund później uruchomił silnik. Pojechali na wschód, w kierunku przeciwnym do miasta. Pikap, stary chevrolet, był szary, jakby cętkowany.

Klient stwierdził, że w sklepie nikogo nie ma. Szuflada kasy była otwarta i pusta. W popielniczce wciąż dymił papieros. Obok popielniczki stała otwarta puszka piwa, a za ladą leżała brązowa torebka i otwarty podręcznik. Klient próbował znaleźć sprzedawczynię, lecz nie znalazł nikogo. Pomyślał, że może doszło tu do rabunku i zadzwonił po policję.

W torebce policjant znalazł prawo jazdy na nazwisko Denice Haraway. Pokazał je klientowi i ten rozpoznał na zdjęciu kobietę, która niecałe pół godziny wcześniej minęła go przed sklepem. Tak, był pewien, że jest to Denice Haraway, ponieważ często robił tu zakupy i znał jej twarz.

Gdy zadzwonił telefon, detektyw Dennice Smith już spał. „Potraktujcie to jak miejsce przestępstwa”, powiedział i ponownie zasnął. Ale jego rozkazów nie wypełniono. Kierownik sklepu mieszkał w pobliżu i już wkrótce się tam zjawił. Zajrzał do sejfu i stwierdził, że go nie otwierano. Pod kasą znalazł czterysta dolarów - pieniądze te czekały tam na przeniesienie do sejfu - i sto pięćdziesiąt dolarów i drugiej szufladzie kasy. Czekając na detektywa, dokładnie posprzątał. Opróżnił popielniczkę z pojedynczym niedopałkiem i wyrzucił puszkę po piwie. Policjanci go nie powstrzymali. Jeśli były tam jakieś odciski palców, bezpowrotnie przepadły.

Steve Haraway uczył się i czekał na żonę, która miała wrócić do domu po zamknięciu sklepu o jedenastej wieczorem. Telefon z komendy wprawił

go w osłupienie i już wkrótce przyjechał do sklepu. Tam rozpoznał samochód żony, jej podręczniki i torebkę. Podał policji jej rysopis i spróbował sobie przypomnieć, w czym tego wieczoru była: na pewno w niebieskich dżinsach i w tenisówkach; koloru bluzki nie pamiętał.

W niedzielę rano wezwano na służbę wszystkich trzydziestu trzech funkcjonariuszy sił policyjnych Ady. Z sąsiednich okręgów przyjechała policja stanowa. Dziesiątki miejscowych organizacji, w tym stowarzyszenie studentów Steve'a, wzięło na ochotnika udział w poszukiwaniach. Śledztwo powierzono agentowi Gary'emu Rogersowi z Oklahomskiego Biura Śledczego i ponownie detektywowi Dennisowi Smithowi z miejscowej policji. Podzielili hrabstwo na sektory, a ludzi na drużyny, które miały przeszukać każdą ulicę, szosę, drogę, rzekę, rów i pole.

Zgłosiła się do nich sprzedawczyni ze sklepu spożywczego JP's, mieszczącego się kilkaset metrów od sklepu McAnally'ego, i opowiedziała im o dwóch obcych mężczyznach, których na krótko przed zniknięciem Denice bardzo się przestraszyła. Obydwaj mieli po dwadzieścia kilka lat, długie włosy i dziwnie się zachowywali. Zanim odjechali starym pikapem, rozegrali w sklepie partię bilardu.

Klient ze sklepu McAnally'ego widział tylko jednego, tego, który wyszedł z Denice, ale nie wyglądało na to, żeby Denice się go bała. Ponieważ jego rysopis mniej więcej pasował do rysopisu dwóch dziwnych klientów z JP's, policja miała swój pierwszy konkretny ślad. Szukali dwóch białych mężczyzn w wieku dwudziestu dwóch, dwudziestu czterech lat, z których jeden miał sto siedemdziesiąt, sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, jasne, sięgające za uszy włosy i jasną cerę, drugi natomiast, bardzo szczupły, miał włosy kasztanowe i bardzo długie, bo aż do ramion.

Intensywne niedzielne poszukiwania nic nie dały, bo nie znaleziono żadnego śladu. Smith i Rogers odwołali je o zmroku z zamiarem podjęcia ich nazajutrz rano.

W poniedziałek zdobyli zdjęcie legitymacyjne Denice i wydrukowali ulotki z jej fotografią i ogólnym rysopisem: szatynka o jasnej cerze, sto sześćdziesiąt trzy centymetry wzrostu, pięćdziesiąt kilogramów wagi, brązowe oczy. Na ulotkach zamieszczono również rysopis dwóch młodych mężczyzn z JP's oraz opis ich samochodu. Policjanci i ochotnicy poroznosili je po wszystkich sklepach w mieście i pod miastem.

Na podstawie zeznań sprzedawczyni z JP's policyjny rysownik sporządził dwa portrety pamięciowe. Kiedy pokazano je klientowi ze sklepu McAnally'ego, ten stwierdził, że, „jeden z nich mniej więcej pasuje”. Por-

trety pokazano również w miejscowej telewizji i kiedy mieszkańcy miasta zobaczyli podejrzanych, na komendzie rozdzwoniły się telefony.

W owym czasie w Adzie pracowało czterech detektywów - Dennis Smith, Mike Baskin, D. W. Barrett i James Fox - i wszyscy czterej siedzieli non stop przy telefonie. Zadzwoiła ponad setka ludzi, zapisano dwadzieścia pięć nazwisk potencjalnych podejrzanych.

Dwa z nich rzucały się w oczy. Około trzydziestu dzwoniących rozpoznało na portrecie Billy'ego Charleya, więc wezwano go na przesłuchanie. Przyszedł na komendę z rodzicami, którzy oznajmili, że przez cały sobotni wieczór syn był w domu.

Drugim podejrzanym, którego wymieniło kolejnych trzydziestu dzwoniących, był Tommy Ward, dobrze znany policji. Kilkukrotnie aresztowano go za drobne wykroczenia — pijaństwo w miejscu publicznym i drobna kradzież - ale nigdy za coś poważniejszego. Miał krewnych w całym mieście; Wardów uważano za porządną, ciężko pracującą rodzinę, która nie wtrąca się w nie swoje sprawy. Tommy miał dwadzieścia cztery lata, siedmioro rodzeństwa - był drugim najmłodszym dzieckiem - i nie ukończył szkoły średniej.

Na komendę przyszedł z własnej woli. Detektywi Smith i Baskin spytali go o sobotni wieczór. Był na rybach z kumplem, z Karlem Fontenotem. Potem pojechali na imprezę, wyszli o czwartej nad ranem i wrócili piechotą do domu. Tommy nie miał samochodu. Miał za to jasne, bardzo krótkie włosy i detektywi zauważyli, że ktoś niedawno mu je ściął. Ktoś, bo na pewno nie fryzjer: były bardzo nierówne i wystrzępione. Zrobili polaroidem zdjęcie tyłu jego głowy i oznaczyli je datą: pierwszy maja.

Podejrzani z portretu pamięciowego mieli długie, jasne włosy.

Detektyw Baskin odszukał Karla Fontenota, którego nie znał, i wezwał go na przesłuchanie. Fontenot obiecał, że przyjdzie, ale nie przyszedł. Baskin przestał się nim zajmować. Fontenot miał długie, ciemne włosy.

Poszukiwania w hrabstwie Pontotoc i w hrabstwach sąsiednich były coraz intensywniejsze i rysopis Denice Haraway przekazano w końcu funkcjonariuszom policji w całym kraju. Znowu rozdzwoniły się telefony, ale żaden nie okazał się pomocny. Denice zniknęła bez śladu.

Kiedy Steve Haraway nie rozdawał ulotek albo nie przeszukiwał bocznych dróg, przesiadywał z przyjaciółmi w mieszkaniu. Telefon dzwonił nieustannie, a każdy niósł chwilę nadziei.

Denice nie miała powodu uciekać. Pobrali się niecały rok wcześniej i wciąż bardzo się kochali. Obydwoje byli na ostatnim roku i nie mogli się

już doczekać końca studiów i wyjazdu z Ady, żeby ułożyć sobie życie gdzie indziej. Żonę uprowadzono, Steve był tego pewien.

Z każdym upływającym dniem zwiększało się prawdopodobieństwo, że nie odnajdzie się żywa. Jeśli uprowadził ją gwałciciel, na pewno by ją już uwolnił. Jeśli porwano ją dla okupu, porywacz skontaktowałby się z rodziną. Przez pewien czas krążyły plotki o dawnym kochanku z Teksasu, ale pokrzyły i ucichły. Krążyły również plotki o handlarzach narkotykami i temu podobne, lecz plotki takie towarzyszą każdej okrutnej zbrodni.

Ada znowu przeżyła szok. Siedemnaście miesięcy przedtem zamordowano Debbie Carter i miasto nie otrząsnęło się jeszcze po tamtym koszmarze. Teraz drzwi zamykano na zamek i na zasuwę, nastolatkom kazano wracać do domu jeszcze wcześniej, a w miejscowych lombardach znacznie wzrosła sprzedaż broni palnej. Co się działo w tym miłym miasteczku uniwersyteckim z dwoma kościołami na każdym rogu ulicy?

Mijały tygodnie i życie większości mieszkańców powoli wracało do normy. Nadeszło lato, skończyła się szkoła. Plotki ucichły, choć nie do końca. Zatrzymany w Teksasie podejrzany chwalił się, że zabił dziesięć kobiet i policjanci z Ady pojechali tam szybko, żeby go przesłuchać. W Missouri znaleziono ciało kobiety z tatuażami na nogach. Denice tatuaży nie miała.

I tak ciągnęło się to aż do jesieni. Nie doszło do żadnego przełomu w śledztwie, nie znaleziono żadnego nowego dowodu rzeczowego, który mógłby naprowadzić policję na jej ślad lub do jej ciała.

Nie było też żadnego postępu w sprawie morderstwa Debbie Carter. Ponieważ w Adzie doszło do dwóch sensacyjnych i nierozwiązanych zabójstw, atmosfera na komendzie była ciężka i napięta. Policjanci pracowali na pełnych obrotach, lecz nie znaleźli niczego nowego. Jeszcze raz przejrzeni stare tropy — z tymi samymi rezultatami. Morderstwo Debbie Carter i Denice Haraway zatruwało życie Smithowi i Rogersowi.

W przypadku Rogersa presja była jeszcze większa. Rok przed zniknięciem Denice Haraway podobną zbrodnię popełniono w hrabstwie Seminole, niecałe pięćdziesiąt kilometrów na północ od Ady. Zniknęła tam niejaka Patty Hamilton, osiemnastoletnia sprzedawczyni z całonocnego sklepu spożywczego. Klient, który tam wszedł, zobaczył tylko otwartą i pustą szufladę kasy oraz dwie puszki po coli na ladzie. Nie było żadnych śladów walki. Samochód dziewczyny znaleziono przed sklepem. Patty zniknęła, przepadła jak kamień w wodę i przez rok policja zakładała, że ją uprowadzono i zamordowano.

Oklahomskie Biuro Śledcze przydzieliło tę sprawę Gary'emu Rogersowi. Debbie Carter, Denice Haraway, Patty Hamilton — agent Rogers miał na głowie nierozwiązane morderstwa trzech młodych kobiet.

**Kiedy** Oklahoma była jeszcze terytorium pogranicznym, Ada cieszyła się barwną i niewątpliwie zasłużoną reputacją oazy dla rewolwerowców i wszelkiej maści bandziorów. Kłótnie rozstrzygano tu za pomocą sześciostrzałowego colta, a ten najszybszy nie musiał bać się kary ani władz cywilnych. Bankowi rabusie i złodzieje bydła ściągali tu, ponieważ okolice Ady wciąż należały do Indian, a nie do Stanów. Szeryfowie - o ile można było ich znaleźć - nie byli żadnymi przeciwnikami dla zawodowych bandytów, którzy się tam osiedlali.

Reputacja miasta bezprawia uległa gwałtownej zmianie w roku 1909, kiedy to mieszkańcy doszli wreszcie do wniosku, że mają dość życia w strachu. Zamordowano Gusa Bobbitta, powszechnie szanowanego ranczera. Zastrzelił go zawodowy zabójca wynajęty przez rywalizującego z Bobbitem właściciela ziemskiego. Zabójcę i jego trzech kompanów aresztowano i miasto opanowała epidemia wieszania. Wczesnym rankiem dziewiętnastego kwietnia 1909 roku Masonowie, jedna z najbardziej znanych w Adzie rodzin, skrzyknęli czterdziestoosobową grupę ludzi, która pod ich przywództwem wymaszerowała z Masonie Hall przy skrzyżowaniu Dwunastej i Broadwayu w centrum miasta, żeby kilka minut później stanąć przed aresztem. Obez władnili szeryfa, wyciągnęli czterech bandziorów z cel i zawlekli ich na drugą stronę ulicy, do stajni specjalnie wybranej na tę okazję. Bandziorom związano sznurem ręce i nogi i uroczyście ich powieszono.

Nazajutrz rano fotograf ustawił tam aparat i zrobił kilka zdjęć. Jedno przetrwało do dziś: jest czarno-białe i wyblakłe, lecz wyraźnie widać na nim czterech martwych mężczyzn wiszących na sznurze nieruchomo i niemal spokojnie. Lata później zamieszczono je na pocztówkach, które rozdawano w miejscowym biurze Izby Handlowej.

Przez wiele dziesięcioleci lincz ten był dumą Ady.



## Rozdział 5

**W sprawie** o morderstwo Debbie Carter detektywi Dennis Smith i Gary Rogers dysponowali nie tylko wynikami sekcji zwłok, próbkami włosów i „podejrzany” wynikami badania na wykrywaczu kłamstw, ale byli też całkowicie przekonani, że mają już swego mordercę. Ron Williamson chwilowo siedział, lecz miał niebawem wyjść. Przyskrzynią go prędzej czy później.

W sprawie Denice Haraway jednak nie mieli nic: ani zwłok, ani świadków, ani jednego, pojedynczego choćby śladu. Portrety pamięciowe, sporządzone przez policyjnego rysownika, pasowały do połowy młodych mężczyzn z Ady. Oczekiwali więc przełomu.

Doszło doń nagle i zupełnie niespodziewanie w październiku 1984 roku, kiedy to na komendę przyszedł niejaki Jeff Miller, mieszkaniec Ady, który chciał porozmawiać z detektywem Dennisem Smithem. Oświadczył, że dysponuje informacjami na temat zniknięcia Denice Haraway.

Miller nie był notowany, ale policja go znała, tak samo jak znała wielu niespokojnych duchem młodzieńców, którzy wążali się do późna po mieście i często zmieniali pracę, przenosząc się z fabryki do fabryki. Miller przystawił sobie krzesło i zaczął opowiadać.

W noc zniknięcia Denice Haraway pod Blue River, czterdzieści kilometrów na południe od Ady, odbywała się balanga. Jeff na niej nie był, ale znał dwie kobiety, które były. Kobiety te — tu podał ich nazwiska — opowiedziały mu potem, że był tam również Tommy Ward i że już prawie na samym początku imprezy stwierdzono, że zaczyna brakować alkoholu. Ward, który nie miał samochodu, oznajmił, że może podskoczyć do miasta po browar i pożyczyć wóz od niejakiej Janette Roberts. Pojechał jej pikapem, przepadł na kilka godzin i wrócił bez piwa, zrozpaczony i zapłakany.

Spytany, dlaczego płacze, odparł, że zrobił coś strasznego. Ale co? — chcieli się dowiedzieć wszyscy obecni. Cóż, z jakiegoś powodu pojechał aż do Ady, mijając po drodze kilka sklepów z piwem, aż znalazł się w sklepie McAnally'ego na wschodnim krańcu miasta, skąd uprowadził młodą sprzedawczynię. Zgwałcił ją, zabił, pozbył się zwłok i potwornie się teraz czuł.

Wyjawienie prawdy grupie w sztok pijanych i zaćpanych kolegów wydawało mu się czymś logicznym i normalnym.

Miller nie miał pojęcia, dlaczego kobiety opowiedziały o tym akurat jemu, a nie policji, nie wiedział również, dlaczego zwlekały z tym aż pięć miesięcy.

Chociaż historia była absurda, Dennis Smith szybko zabrał się do pracy. Próbował te kobiety znaleźć, ale wyprowadziły się już z Ady. (Gdy miesiąc później wreszcie je wytropił, zaprzeczyły, że brały udział w tej imprezie. Zaprzeczyły, że widziały tam Tommy'ego Warda, tam czy na jakiegokolwiek innej balandze, zaprzeczyły, że opowiadał im historię o uprowadzeniu i zamordowaniu młodej sprzedawczyni czy jakiegokolwiek innej kobiety, zaprzeczyły wszystkiemu, co mówił).

Smith odszukał Janette Roberts. Mieszkała w Norman, sto dwanaście kilometrów od Ady, z mężem Mikiem Robertsem. Dwunastego października on i detektyw Mike Baskin wpadli do niej bez uprzedzenia i poprosili, żeby pojechała z nimi na miejscowy posterunek na przesłuchanie. Janette niechętnie się zgodziła.

Podczas przesłuchania przyznała, że ona, Tommy Ward i Karl Fontenot często balowali razem pod Blue River, ale była absolutnie pewna, że nie balowali tam w sobotę wieczorem, w dzień zniknięcia Denice Haraway. Tak, często pożyczała Tommy'emu samochód, ale Tommy nigdzie wtedy nie jeździł (ani wtedy, ani podczas żadnej innej libacji), nie widziała też, żeby płakał i plótł coś o morderstwie. Nie, do niczego takiego nie doszło. Nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

Detektywi byli mile zaskoczeni, słysząc, że Tommy Ward mieszka z Robertсами i pracuje z Mikiem w tej samej firmie sidingowej, harując zwykle od świtu do nocy. Smith i Baskin postanowili zostać w Norman, zaczekać, aż Ward wróci z pracy i zadać mu kilka pytań.

W drodze do domu Tommy i Mike kupni sześciopak piwa i to właśnie piwo było jednym z powodów, dla których Tommy nie chciał gadać z gliniarzami. Co ważniejsze, nie lubił gliniarzy. Dlatego nie miał ochoty jechać na posterunek. Kilka miesięcy wcześniej przesłuchali go już ci z Ady i uważał, że sprawa jest zamknięta. Wyjechał stamtąd między innymi dlatego, że ludzie mówili, iż jest bardzo podobny do mężczyzny z policyjnego portretu

pamięciowego. Miał tego dość. Oglądał ten portret wiele razy i nie mógł doszukać się żadnego podobieństwa. Był to tylko zwykły szkic zrobiony przez rysownika, który nigdy nie widział i nie zobaczy prawdziwego mordercy, szkic, który pokazano ludziom pragnącym jak najszybciej skojarzyć widniejącą na nim twarz z twarzą któregoś z mieszkańców Ady. Wszyscy chcieli pomóc policji w rozwiązaniu zagadki. Ada to małe miasto. Zniknięcie sprzedawczyni było wielką sensacją. Wśród znajomych Tommy'ego nie było nikogo, kto nie miałby swojej teorii na temat tożsamości podejrzanego czy podejrzanych.

W przeszłości Tommy miał kilka utarczek z policją. Nigdy nie zrobił niczego złego, ale gliniarze go znali, a on znał ich, dlatego wolał uniknąć spotkania z Rogersem i Smithem.

Janette natomiast uważała, że jeśli Tommy nie ma nic do ukrycia, może spokojnie pojechać na posterunek i złożyć zeznania. Ward nie znał Denice Haraway, ale nie ufał policji. Po godzinnym namyśle poprosił Mike'a, żeby go tam podrzucił.

Smith i Baskin zaprowadzili go na dół do pokoju z kamerą wideo i wyjaśnili, że chcą tę rozmowę nagrać. Tom był zdenerwowany, ale się zgodził. Tamci włączyli kamerę, odczytali mu prawa i podsunęli do podpisania oświadczenie, że zgadza się na przesłuchanie bez adwokata.

Zaczęli grzecznie i łagodnie; było to tylko kolejne rutynowe przesłuchanie, nic ważnego. Potem spytali go, czy pamięta to ostatnie, to sprzed pięciu miesięcy. Oczywiście, że pamięta. Czy powiedział im wtedy prawdę? Tak. Czy mówi prawdę teraz? Tak.

W ciągu kilku minut zasypali go gradem pytań i Tommy'emu pomieszały się daty. W dniu zniknięcia Denice Haraway naprawiał kanalizację u matki, potem wziął prysznic i poszedł na imprezę do Robertsów w Adzie. Wyszedł o czwartej rano i wrócił piechotą do domu. Na poprzednim przesłuchaniu, tym sprzed pięciu miesięcy, powiedział, że działo się to dzień przed zniknięciem.

- Pomieszały mi się dni - wyjaśnił, ale wcale to ich nie przekonało.

- Kiedy uświadomiłeś sobie, że nie powiedziałeś nam prawdy? - spytali. - Czy mówisz prawdę teraz? Pakujesz się w poważne kłopoty.

Szybko zmienili ton na surowy i oskarżycielski. Kłamali. Twierdzili, że mają świadków gotowych zeznać, że Tommy był na popijawie pod Blue River w sobotę wieczorem, że pożyczył samochód i odjechał.

To nie było wtedy, odparł Tommy, trzymając się swojej wersji. W piątek pojechał na ryby, w sobotę balował z Robertsami, a pod Blue River był w niedzielę.

Dlaczego oni kłamią? — zastanawiał się w duchu. Przecież dobrze znał prawdę.

Posypały się kolejne kłamstwa.

- Czy to prawda, że chciałeś obrabować sklep McAnally'ego? Mamy świadków, którzy to potwierdzą.

Tommy kręcił głową i twardo powtarzał swoje, ale sytuacja bardzo go zaniepokoiła. Skoro gliniarze potrafią tak łatwo kłamać, na co jeszcze będzie ich stać?

Smith wyjął duże zdjęcie Denice Haraway i podetknął mu je pod nos.

- Znasz tę dziewczynę?

- Nie wiem. Gdzieś ją widziałem.

- Zabiłeś ją?

- Nie, nie zabiłem. Nie odebrałbym nikomu życia.

- Kto ją zabił?

- Nie wiem.

Wciąż podtykając mu pod nos zdjęcie, Smith spytał:

- Rodzina chciałaby ją pochować. Chcieliby wiedzieć, gdzie jest, żeby móc ją pochować.

- Nie wiem, gdzie jest — odparł Tommy, patrząc na zdjęcie i zastanawiając się, dlaczego go oskarżają.

- Powiesz nam, gdzie ona jest, żeby rodzina mogła ją pochować?

- Nie wiem, gdzie ona jest.

- To wysil wyobraźnię - warknął Smith. - Dwóch facetów porywa ją, wsadza do pikapa i wywozi. Jak myślisz, co zrobili z ciałem?

- Nie mam pojęcia.

- Wysil wyobraźnię. No więc?

- Z tego co wiem, z tego, co wiecie wy i wszyscy inni, może jeszcze żyć.

Smith pytał dalej, wciąż pokazując mu zdjęcie. Każdą odpowiedź natychmiast odrzucał, traktując ją jak kłamstwo albo tak, jakby w ogóle jej nie słyszał. Wielokrotnie pytali go, czy Denice mu się podoba. Czy - jego zdaniem - krzyczała podczas gwałtu. Czy nie uważa, że rodzina powinna móc ją pochować.

-Tommy - spytał w pewnej chwili Smith. - Modliłeś się o to?

W końcu odłożył zdjęcie i zaczął wypytywać go o zdrowie psychiczne, o portrety pamięciowe i o wykształcenie. Nagle chwycił zdjęcie, znowu podetknął mu je pod nos i znowu zaczął wypytywać go zabójstwo, o miejsce ukrycia zwłok, i czy jego zdaniem była ładną dziewczyną?

Mówiąc o tragedii, jaką przeżywała rodzina Harawayów, Mike Baskin próbował wycisnąć mu łzy z oczu:

— Ich cierpienie skończyłoby się, gdybyśmy wiedzieli, gdzie ona jest.

Tommy się z tym zgodził, ale nie miał pojęcia, gdzie się Denice podziewa.

W końcu wyłączono kamerę. Przesłuchanie trwało godzinę i czterdzieści pięć minut i Tommy Ward ani razu nie zmienił pierwotnego zeznania: o zniknięciu Denice Haraway nie wiedział dosłownie nic. Spotkanie z detektywami bardzo nim wstrząsnęło, mimo to zgodził się poddać badaniu na wykrywaczu kłamstw.

Robertsonie mieszkali ledwie kilka ulic dalej, postanowił więc wrócić na piechotę. Na świeżym powietrzu poczuł się trochę lepiej, chociaż był zły, że policjanci tak surowo go potraktowali. Oskarżyli go o morderstwo. Wielokrotnie kłamali, żeby go podpuścić.

Wracając do Ady, Smith i Baskin byli przekonani, że nareszcie mają podejrzanego. Tommy Ward był podobny do mężczyzny z portretu pamięciowego, do jednego z dwóch dziwnie zachowujących się mężczyzn, którzy w sobotę wieczorem grali w bilard w JP's. Poprzednio twierdził, że był pod Blue River w sobotę, teraz, że w niedzielę. No i był zdenerwowany podczas przesłuchania.

**Czekało** go badanie na poligrafie i początkowo Tommy'emu ulżyło. Powie prawdę, wykrywacz kłamstw to potwierdzi i gliniarze przestaną wreszcie zawracać mu głowę. Ale potem zaczął mieć koszmarne sny. Śniło mu się morderstwo, oskarżenia policji, to, że był jakoby podobny do mężczyzny z portretu pamięciowego. Śniła mu się śliczna twarz Denice Haraway i jej pograżona w bólu rodzina. Dlaczego go oskarżano?

Tamci uważali, że jest winny. Chcieli, żeby był winny! Dlaczego miałby uwierzyć, że nie wykiwają go podczas badania na poligrafie? Może lepiej pogadać z adwokatem?

Zadzwoił do matki, powiedział, że boi się policji i badania. „Boję się, że każą mi powiedzieć coś, czego nie powinienem mówić”. Powiedz im prawdę, poradziła mu matka, i wszystko będzie dobrze.

Osiemnastego października, we wtorek rano, Mike Roberts podrzucił go do siedziby Oklahomskiego Biura Śledczego w Oklahoma City, dwadzieścia minut jazdy od Norman. Badanie miało potrwać mniej więcej godzinę. Mike miał zaczekać na parkingu, a potem obydwaj mieli wrócić do pracy. Szef dał im dwie godziny wolnego.

Kiedy Mike Roberts patrzył, jak Tommy wchodzi do budynku, do głowy by mu nie przyszło, że są to jego ostatnie kroki na wolności. Resztę życia Ward miał spędzić za więziennymi kratami.

Dennis Smith powitał go szerokim uśmiechem i serdecznym uściskiem ręki. Potem zaprowadził go do jakiegoś pokoju i zostawił go tam samego na pół godziny, stosując ulubioną policyjną sztuczkę, która miała jeszcze bardziej zdenerwować podejrzanego. O wpół do jedenastej zaprowadzono Tommy'ego do innego pokoju, a tam czekał już agent Rusty Featherstone ze swoim wiernym poligrafem.

Smith zniknął. Featherstone wyjaśnił Tommy'emu, jak działa wykrywacz kłamstw - a raczej jak powinien działać - posadził go na krześle i podłączył czujniki. Tommy zdążył się spocić, zanim agent zaczął zadawać pytania. Ale te pierwsze były łatwe: rodzina, wykształcenie, praca - wszyscy znali prawdę i maszyna na pewno też ją rozpozna. To będzie łatwizna, pomyślał.

Pięć po jedenastej Featherstone odczytał mu jego prawa i zaczął wypytywać o sprawę Denice Haraway. Mordercze badanie trwało dwie i pół godziny bez przerwy i przez ten czas Tommy dzielnie trzymał się swojej wersji: nic na ten temat nie wie.

O wpół do drugiej Featherstone wyłączył poligraf i wyszedł. Tommy'emu ulżyło, był nawet uradowany, że udreka nareszcie się skończyła. Zaliczył test śpiewająco, gliniarze dadzą mu teraz spokój.

Featherstone wrócił po pięciu minutach, pochylając się nad wydrukiem i analizując wyniki. Spytał, co Tommy na to. Tommy odparł, że jest pewny, że zaliczył, że to już koniec i że musi teraz wracać do pracy.

- Nie tak szybko — mruknął Featherstone. - Oblałeś.

Tommy nie mógł w to uwierzyć, ale według Featherstone'a, było oczywiste, że kłamał i że jest zamieszany w uprowadzenie Denice Haraway. Czy Tommy chciałby o tym porozmawiać?

- Porozmawiać o czym?

- Poligraf nie kłamie - mówił Featherstone, wskazując wydruk. -Wiesz coś o morderstwie - powtarzał. Byłoby dla niego dużo lepiej, gdyby się przyznał, powiedział, co się stało, gdyby wyznał prawdę. On, Featherstone, gliniarz miły i łagodny, chciał mu pomóc, ale jeśli Tommy tę pomoc odrzuci, Featherstone będzie zmuszony przekazać go Smithowi i Rogersowi, gliniarzom złym i nieprzyjemnym, którzy tylko czekają, żeby na niego wsiąść.

- Porozmawiajmy o tym — nalegał.

- Nie mamy o czym rozmawiać - upierał się Tommy. Wielokrotnie powtarzał, że ktoś musiał majstrować przy poligrafie, bo przez cały czas mówił prawdę, ale Featherstone go nie słuchał.

Tommy przyznał, że przed badaniem był niespokojny, a podczas badania zdenerwowany, bo nie chciał spóźnić się do pracy. Wyznał również, że

przesłuchanie ze Smithem i Rogersem, sześć dni wcześniej, zdenerwowało go do tego stopnia, że miał potem zły sen.

- Jaki sen? — spytał Featherstone.

Tommy mu go opowiedział: pił na imprezie piwo, a potem znalazł się w pikapie z dwoma mężczyznami i jakąś dziewczyną; byli koło starej elektrowni pod Ada, gdzie się wychował. Jeden z mężczyzn chciał pocałować dziewczynę, ale ona nie chciała i Tommy kazał mu się od niej odczepić. Potem powiedział, że chce wracać do domu. „Jesteś w domu”, odparł jeden z tamtych. Tommy wyjrzał przez okno i nagle znalazł się w domu. Tuż przed przebudzeniem stał przy umywalce, próbując zmyć z rąk czarną ciecz. Dziewczyny nie znał; nie znał również mężczyzn.

- Ten sen nie ma sensu - skonstratował Featherstone.

- Tak jak większość snów - odparł Tommy.

Featherstone zachował spokój, ale wciąż nalegał, żeby Tommy się przyznał, opowiedział wszystko o morderstwie, a zwłaszcza o miejscu ukrycia zwłok. Ponownie zagroził, że przekaze go „dwóm gliniarzom”, którzy czekali w sąsiednim pokoju, gdzie w każdej chwili mogła rozpocząć się długa seria tortur.

Tommy był oszołomiony, zdezorientowany i wystraszony. Do niczego się nie przyznał i „miły gliniarz” przekazał go Smithowi i Rogersowi, którzy - przynajmniej na to wyglądało - gotowi byli go pobić. Featherstone został i gdy tylko zamknął drzwi, Smith rzucił się na Tommy'ego, wrzeszcząc:

- Ty, Karl Fontenot i Odell Titsworth porwaliście tę dziewczynę, zawieźliście ją do starej elektrowni i zabiliście, tak?

- Nie - odparł Tommy, próbując racjonalnie myśleć i nie wpadać w panikę.

- Gadaj, ty mały, załgany sukinsynu! - warknął Smith. - Oblałeś test na wykrywaczu, wierny, że kłamiesz, wiemy, że ją zabiłeś!

Tommy próbował skojarzyć sobie Odella Titswortha; nie znał go, chociaż nazwisko gdzieś słyszał. Odell mieszkał pod Adą i miał złą opinię, ale Tommy nie pamiętał, żeby kiedykolwiek go spotkał. Może parę razy go widział, ale w tamtej chwili nie mógł sobie tego przypomnieć, bo Smith ciągle krzyczał i wyglądało na to, że zaraz zacznie go bić.

Detektyw powtórzył swoją wersję, że uprowadzili Denice we trzech, a on znowu temu zaprzeczył.

- Nie — odparł — nie miałem z tym nic wspólnego. Nawet tego Odella nie znam.

- Owszem, znasz — napierał Smith. — Przestań kłamać.

To, że wmieszali w to Karla Fontenota, było jeszcze zrozumiałe, ponieważ on i Karl od dwóch lat się kumpłowali. Ale Tommy był zdezorientowany, wstrząśnięty oskarżeniami i przerażony triumfalną pewnością siebie Smitha i Rogersa. Przez cały czas grozili mu i obrzucali go wyzwiskami. Mówili coraz bardziej ordynarnym językiem, zasypując go wszystkimi możliwymi obelgami i wulgaryzmami.

Tommy był zdenerwowany i skołowany, i rozpaczliwie próbował trzeźwo myśleć. Na pytania odpowiadał krótko. „Nie, nie zrobiłem tego. Nie, nie miałem z tym nic wspólnego”. Kilka razy chciał im się cynicznie odciąć, ale za bardzo się bał. Smith i Rogers szaleli, mieli broń, a on był sam i siedział z nimi w zamkniętym na klucz pokoju. Nic nie wskazywało na to, żeby przesłuchanie miało się wkrótce skończyć.

Po trzech godzinach z Featherstonem i po godzinie tortur ze Smithem i Rogersem Tommy uświadomił sobie, że potrzebuje przerwy, chwili odpoczynku. Musiał wyjść do toalety, musiał zapalić papierosa i pozbierać myśli. Chciał poprosić kogoś o pomoc, porozmawiać z kimś, kto wyjaśniłby mu, co się dzieje.

- Możemy zrobić przerwę? - spytał.

- Jeszcze tylko kilka minut - odparli.

Tommy zauważył, że na stole leży kamera wideo. Była wyłączona i nie rejestrowała tego werbalnego ataku. Pomyślał, że to chyba niezgodne z przepisami.

Smith i Rogers ciągle przypominali mu, że morderców uśmierca się w Oklahomie zastrzykiem z trucizną. Że czeka go śmierć, pewna śmierć, ale jest sposób, żeby jej uniknąć. Jeśli przyzna się do winy, opowie, co zaszło i wskaże im miejsce ukrycia zwłok Denice, wykorzystają swoje wpływy i dogadają się z prokuratorem.

- Ja tego nie zrobiłem — powtarzał uparcie Tommy.

Featherstone wspomniawszy kolegom o jego śnie.

Tommy opowiedział go ponownie, lecz opowieść znów spotkała się z dezaprobatą. Wszyscy trzej detektywi uznali, że sen nie ma sensu, na co Tommy powtórzył:

- Tak jak większość snów.

Mimo to policjanci mieli przynajmniej jakiś punkt zaczepienia i zaczęli ten wątek rozbudowywać. Tych dwóch w pikapie to byli Odell Titsworth i Karl Fontenot, tak?

- Nie - odparł Tommy. - Oni byli po prostu ze snu, nie mieli nazwisk.

- Gówna prawda. A ta dziewczyna? To Denice Haraway, tak?

- Nie, dziewczyny też nie znał.



- **Przestań pieprzyć.**

Przez godzinę detektywi uzupełniali sen o poręczne szczegóły i fakty, a Tommy przez godzinę konsekwentnie wszystkim zaprzeczał.

- To był tylko sen - powtarzał. - Tylko sen.
- Kłamiesz — warczeli tamci.

**Po dwóch** godzinach nieustannego ataku Tommy w końcu pękł. Pękł ze strachu - Smith i Rogers byli wściekli i wszystko wskazywało na to, że mogą go pobić, a nawet zastrzelić - i z przerażenia, że zgnije w celi śmierci, zanim go w końcu stracą.

Zrozumiał, że nie wypuszczą go, dopóki im czegoś nie powie. Po pięciu godzinach przesłuchania był wyczerpany, zdezorientowany i niemal sparaliżowany strachem.

Wtedy popełnił błąd, który miał go wtrącić do celi śmierci i kosztować dożywocie.

Postanowił pójść im na rękę. Ponieważ był zupełnie niewinny - zakładał, że podobnie jak Karl Fontenot i Odell Titsworth - dlaczego nie miałby dać im tego, czego chcieli? Dlaczego nie miałby potwierdzić ich wersji? Przecież prawda szybko wyjdzie na jaw. Nazajutrz, najdalej za parę dni, zdadzą sobie sprawę, że jego opowieść nie trzyma się kupy. Pogadają z Karlem, a on powie im prawdę. Znajdą Odella Titswortha, który ich wyśmieje.

Tak, trzeba pójść im na rękę. Prawda i tak wyjdzie na jaw.

Przecież sen był zupełnie absurdalny, jak ktoś mógł potraktować poważnie coś tak głupiego?

- Odell wszedł do sklepu jako pierwszy, tak?

- Jasne, mógł, czemu nie - odparł Tommy. - To był tylko sen. Detektywi uznali, że nareszcie coś drgnęło. Dzięki ich sprytniej taktyce chłopak zaczął pękać.

- Motywem był rabunek, tak?

- Jasne, wszystko jedno co, przecież to tylko sen.

Smith i Rogers wymyślali coraz więcej fikcyjnych szczegółów, a Tommy je kupował.

Przecież był to tylko sen.

**Już** w trakcie tego groteskowego „przesłuchania” policjanci powinni byli zdać sobie sprawę, że mają poważny problem. W Adzie czekał pod telefonem

detektyw Mike Baskin, który bardzo żałował, że nie może być w OSBI, w samym centrum wydarzeń. Około trzeciej po południu Gary Rogers przekazał mu wspaniałą nowinę: Tommy Ward zaczyna mówić! Wskakuj do samochodu, jedź do starej elektrowni pod miastem i poszukaj tam zwłok. Baskin popędził do elektrowni pewien, że to już koniec poszukiwań.

Ale niczego tam nie znalazł i uświadomił sobie, że do przeczesania całego terenu potrzeba będzie kilkunastu ludzi. Wrócił na komendę. Telefon zadzwonił ponownie. Tommy zmienił zeznanie. Po prawej stronie drogi do elektrowni jest spalony dom. Zwłoki są tam!

Baskin znowu wskoczył do radiowozu. Znalazł dom, przeszukał rumowisko, niczego nie znalazł i wrócił do miasta.

Zabawa w kotka i myszkę trwała dalej, bo Rogers zadzwonił po raz trzeci. Tommy Ward znowu zmienił zeznanie. W pobliżu elektrowni i tego spalonego domu jest betonowy schron. Tam ukryli zwłoki.

Baskin zabrał dwóch mundurowych i reflektory i pojechał do elektrowni. Namierzyli schron i siedzieli w nim aż do zmroku.

Niczego nie znaleźli.

Z każdym telefonem od Baskina Smith i Rogers wprowadzali poprawki do snu Tommy'ego. Mijały godziny, podejrzany był coraz bardziej zmęczony. Detektywi co chwilę wchodzili w inną rolę: źli gliniarze i dobrzy gliniarze, i tak na zmianę. Głosy ciche, niemal współczujące, a zaraz potem wrzaskliwe groźby, przekleństwa i wyzwiska. „Ty mały, kłamliwy sukinyśnu!” — to było ich ulubione. Tommy usłyszał je tysiąc razy.

„Ciesz się, że nie ma tu Mike'a Baskina - mówił Smith. - Odstrzeliliby ci łeb”.

Kula w łeb wcale by Tommy'ego nie zaskoczyła.

O zmroku dotarło do nich, że tego dnia zwłok nie znajdą i postanowili zakończyć przesłuchanie. Wciąż bez włączonej kamery, podsumowali „fakty”: trzech zabójców jeździło po mieście pikapem Odella Titswortha, planując napad na jakiś sklep. Napadli na sklep McAnally'ego i bojąc się, że Denice Haraway ich rozpozna, postanowili uprowadzić ją, zgwałcić i zabić. Miejsce spoczynku zwłok było znane jedynie w przybliżeniu, ale detektywi byli przekonani, że mordercy ukryli je w pobliżu elektrowni.

Tommy czuł się jak trup i ledwo poruszał ustami. Próbował wyrecytować ich wersję wydarzeń, ale ciągle przekręcał fakty. Smith i Rogers przezywali mu, poprawiali go i kazali zaczynać od początku. Ponieważ mimo czterech prób wciąż nie potrafił powtórzyć zeznań jak należy i szybko tracił siły, postanowili włączyć kamerę.

- Teraz - rozkazali. - Mów. Tylko nie pieprz o tym śnie.

- Ale to nieprawda - odparł Tommy.  
- Nie szkodzi - mów. Potem pomożemy ci udowodnić, że to nieprawda.  
Tylko nie pieprz o tym śnie.

**O szóstej** pięćdziesiąt osiem Tommy Ward spojrzął w obiektyw kamery i podał swoje nazwisko. Przesłuchiwano go od ośmiu i pół godziny i był wyczerpany zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Pałił papierosa, pierwszego tego popołudnia, i stała przed nim puszka coli, jakby policjanci odbyli z nim właśnie przyjacielską pogawędkę, jakby wszystko było ładnie, grzecznie i cacy.

Zaczął mówić. On, Karl Fontenot i Odell Titsworth uprowadzili Denice Haraway ze sklepu, pojechali do elektrowni na zachodnim krańcu miasta, zgwałcili ją, zabili, a potem zostawili jej ciało gdzieś w pobliżu betonowego bunkra niedaleko Sandy Creek. Narzędziem zbrodni był składany nóż Titswortha.

To tylko sen, dodał. Albo chciał dodać. Albo tylko tak pomyślał.

Kilka razy mylił nazwisko i mówił: „Titsdale”. Detektywi przerywali mu i usłużnie podsuwali mu prawidłowe: „Titsworth”. Tommy poprawiał się i niezdarnie parł dalej. I wciąż myślał: nawet ślepy gliniarz zobaczyłby, że kłamię.

Trzydzieści jeden minut później kamerę wyłączono. Założono Tommy'emu kajdanki, odwieziono go do Ady i wsadzono do aresztu. Mike Roberts wciąż czekał na parkingu przed gmachem Oklahomskiego Biura Śledczego. Spędził tam niemal dziewięć i pół godziny.

Nazajutrz rano Smith i Rogers zwołali konferencję prasową i oznajmili, że sprawa morderstwa Denice Haraway jest rozwiązana. Tommy Ward, dwudziestodwuletni mieszkaniec Ady, przyznał się do zabójstwa i obciążył zeznaniami dwóch współników, których jeszcze nie schwytano. Detektywi poprosili, żeby dziennikarze zaczekali z publikacją tej wiadomości do czasu aresztowania pozostałych podejrzanych. Prasa ich posłuchała, telewizja nie. Wiadomość podano wkrótce w całej południowo-wschodniej Oklahomie.

Kilka godzin później pod Tulsą aresztowano Karla Fontenota i przewieziono go do Ady. Przesłuchanie prowadzili Smith i Rogers, świeżo po sukcesie z Tommy Wardem. Chociaż kamera była przygotowana, rozmowy nie nagrano.

Karl miał dwadzieścia dwa lata i od szesnastego roku życia mieszkał sam. Wychował się w Adzie, w straszliwym ubóstwie — jego ojciec był alkoholi-

kiem, matka zginęła w wypadku samochodowym na oczach syna. Był podatny na wpływy, miał niewielu przyjaciół i dosłownie ani jednego krewnego.

Twierdził, że jest niewinny i że nic nie wie o zniknięciu Denice Haraway.

Okazało się, że jest znacznie łatwiejszy do złamania niż Tommy i już po dwóch godzinach Smith i Rogers mieli na taśmie jego zeznanie, podejrzenie podobne do zeznań Warda.

Karl odwołał je zaraz po tym, jak osadzono go w areszcie, a później oświadczył: „Nigdy przedtem nie byłem aresztowany ani karany, nikt mi nigdy nie wmawiał, że zabiłem piękną dziewczynę i że dostanę karę śmierci, więc powiedziałem im to z nadzieją, że dadzą mi wreszcie święty spokój. I dali, ale dopiero po nagraniu. Powiedzieli, że mam wybór, że mogę zeznanie spisać albo nagrać. Nie wiedziałem nawet, co znaczy oświadczenie pisemne, dopóki mi nie wyjaśnili. Dlatego zeznałem nieprawdę, żeby dali mi wreszcie spokój”.

Policja zawiadomiła prasę. Ward i Fontenot złożyli zeznanie i przyznali się do winy. Tajemnica śmierci Denice Haraway została wyjaśniona, jeśli nie całkowicie, to przynajmniej częściowo. Pracowali już nad Titsworthem i w ciągu kilku dni zamierzali oskarżyć wszystkich trzech o morderstwo.

Zlokalizowano spalony dom i znaleziono tam szczątki czegoś, co wyglądało na kość szczękową. Wiadomość tę opublikowano wkrótce w „Ada Evening News”.

**Mimo** dokładnych pouczeń, zeznanie Karla Fontenota było straszliwie niespójne. Między jego wersją wydarzeń i wersją wydarzeń Tommy'ego Warda istniały olbrzymie rozbieżności. Obydwaj przeczyli sobie w wielu szczegółach, choćby w tym, w jakiej kolejności zgwałcili Denice, gdzie - i ile razy - dźgnęli ją nożem, czy Denice zdołała się uwolnić i przebiec kilka kroków, zanim ponownie ją złapali i gdzie w końcu umarła. Największa rozbieżność dotyczyła tego, co zrobili z ciałem.

Tommy Ward zeznał, że zadali jej kilka ciosów nożem, kiedy leżała na tylnym siedzeniu pikapa Odella, gdzie zbiorowo ją zgwałcili. Tam skończyła i wrzucili jej ciało do rowu niedaleko betonowego schronu. Fontenot natomiast zapamiętał te wydarzenia zupełnie inaczej. Według niego, zawieźli ją do opuszczonego domu, gdzie Odell Titsworth zadźgał ją, wepchnął pod podłogę, połał benzyną i spalił.

Jednakże obydwoj zgadzali się niemal całkowicie co do Titswortha. To on był organizatorem, mózgiem całego przedsięwzięcia. To on ich skrzyknął

i zaprosił do samochodu. To on stawiał im piwo i częstował ich trawką, to on namówił ich do skoku na sklep McAnally'ego. Kiedy postanowili już, który sklep obrobić, Odell wszedł tam, ukradł pieniądze, obezwładnił dziewczynę i powiedział im, że będą musieli ją zabić, bo ich rozpozna. Zawieźli ją do elektrowni. Odell dyrygował gwałtem, sam zgwałcił ją jako pierwszy. Potem wyjął składany nóż z piętnastocentymetrowej długości ostrzem. Dźgnął ją, zabił i spalił albo nie spalił ciała.

Chociaż Ward i Fontenot obydwaj przyznali się do współudziału w morderstwie, winą obciążyli jego, Odella Titswortha, Titsdale'a czy jak się tam nazywał.

**Aresztowano** go i przesłuchano w piątek wieczorem dziewiętnastego października. Titsworth nie znosił gliniarzy, miał na koncie cztery odsiadki i o wiele większe doświadczenie w obronie przed stosowanymi w śledztwie taktykami. Nie ugiął się ani na jotę. Nic nie wiedział o morderstwie Denice Haraway i nic nie obchodziły go zeznania Warda i Fontenota, nagrane czy nie. Nie znał tych panów, nigdy ich nie spotkał.

Przesłuchania nie sfilmowano. Titswortha osadzono w areszcie, gdzie wkrótce przypomniał sobie, że dwudziestego szóstego kwietnia złamał sobie rękę podczas bójki z policją. Dwa dni później, a więc w dniu zniknięcia Denice, był u swojej dziewczyny. Rękę miał w gipsie i bardzo go bolała.

Zarówno Ward jak i Fontenot zeznali, że Titsworth był w podkoszulku i że miał na rękach tatuaże. Tymczasem Titsworth miał na lewym ręku gips i nie było go w nawet w pobliżu sklepu McAnally'ego. Dennis Smith porzekał w papierach i znalazł szpitalne dokumenty oraz policyjne raporty, które to potwierdziły. Porozmawiał również z lekarzem, który stwierdził, że było to bardzo bolesne, spiralne złamanie między łokciem i ramieniem. Titsworth nie mógłby przenieść zwłok ani dokonać brutalnego gwałtu ledwie dwa dni po wypadku. Rękę miał w gipsie i na temblaku. To niemożliwe.

Zeznania Warda i Fontenota sypały się dalej. Kiedy policjanci przeszukiwali pogorzelsko, zjawił się tam właściciel spalonego domu i spytał, co robią. Słyszając, że szukają szczątków Denice Haraway i że jeden z podejrzanych spalił tu jej ciało, powiedział, że to niemożliwe. Dom spalił sam, w czerwcu 1983 roku, dziesięć miesięcy przed jej zniknięciem.

Stanowy patolog skończył badanie kości szczękowej i stwierdził, że jest to kość oposa. Wiadomość tę podano do prasy.

Dziennikarzy nie poinformowano jednak o spalonym domu, o złamanej ręce Titswortha ani o tym, że Ward i Fontenot natychmiast odwołali zeznania.

W areszcie uparcie twierdzili, że są niewinni i opowiadali, że przyznali się do winy pod wpływem gróźb i obietnic. Rodzina Warda zdołała uzbiierać pieniądze na dobrego adwokata i Tommy opisał mu szczegółowo wszystkie sztuczki, jakie Smith i Rogers stosowali podczas przesłuchania. To był tylko sen: powtórzył to chyba tysiąc razy.

Karl Fontenot nie miał żadnej rodziny.

Wciąż trwały intensywne poszukiwania zwłok Denice Haraway. Wielu zadawało oczywiste pytanie: skoro Ward i Fontenot się przyznali, dlaczego policja nie wie, gdzie ukryli ciało?

**Piąta** poprawka do amerykańskiej konstytucji chroni przed samooskarżeniem, a ponieważ najłatwiejszym sposobem zakończenia sprawy jest przyznanie się do winy, zachowanie policji podczas przesłuchania jest obwarowane bardzo licznymi przepisami. Większość z nich weszła w życie na długo przed 1984 rokiem.

Sto lat wcześniej, w sprawie Hopt versus stan Utah, Sąd Najwyższy orzekł, że przyznanie się do winy nie może być traktowane jako dopuszczalny materiał dowodowy, jeśli uzyskano je poprzez zastraszanie oskarżonego lub łudzenie go nadzieją, i jeśli uzyskane w ten sposób przyznanie się pozbawiło go wolnej woli i samokontroli niezbędnej do złożenia dobrowolnych zeznań.

W 1897 roku w sprawie Bram versus Stany Zjednoczone, sąd orzekł, że zeznanie musi być nieprzymuszone i dobrowolne i że nie może być uzyskane groźbami, przemocą czy obietnicami, bez względu na to jak niezobowiązującymi. Przyznanie się do winy, uzyskane przez zastraszanie oskarżonego, nie może być traktowane jako materiał dowodowy.

W 1960 roku w sprawie Blackburn versus stan Alabama, sąd orzekł: „Przymus może być przymusem zarówno fizycznym, jak i psychicznym”. W ocenie, czy policja użyła przymusu psychicznego, najważniejsze są następujące kryteria: 1) długość przesłuchania, 2) to, czy przesłuchanie zostało przedłużone, 3) kiedy miało miejsce, za dnia czy w nocy; podejrzane są zwłaszcza te nocne, 4) charakterystyka psychologiczna podejrzanego, jego inteligencja, obycie, wykształcenie, i tak dalej.

W sprawie Miranda versus stan Arizona, najśłynniejszej ze wszystkich spraw o samooskarżenie, Sąd Najwyższy narzucił szereg zabezpieczeń proceduralnych, które mają chronić prawa oskarżonego. Podejrzany ma konstytucyjne prawo do odmowy zeznań, a to, co powie podczas przesłuchania, nie może być wykorzystane w sądzie, chyba że policja i prokurator zdołają

udowodnić, iż dobrze zrozumiał, że: 1) ma prawo zachować milczenie, 2) wszystko co powie może być wykorzystane przeciwko niemu w sądzie i że 3) ma prawo do adwokata bez względu na to, czy może sobie na niego pozwolić, czy nie. Jeśli podczas przesłuchania podejrzany zażąda adwokata, przesłuchanie należy bezzwłocznie przerwać.

Te ustanowione w 1966 roku prawa zyskały natychmiastową sławę. Początkowo wielu policjantów je ignorowało - do czasu, gdy z więzień i aresztów zaczęto wypuszczać winnych przestępców tylko dlatego, że nie odczytano im ich praw. Były ostro krytykowane przez policjantów i prokuratorów, którzy zarzucali sądowi rozpieszczenie przestępców. Trafiły nawet do kultury masowej, ponieważ dokonując aresztowania, każdy telewizyjny policjant cedzi: „Masz prawo zachować milczenie”.

Rogers, Smith i Featherstone dobrze znali ich wagę, bo postarali się, żeby formułka ta została nagrana na taśmę wideo. Nie nagrali natomiast pięcio i półgodzinnego seansu gróźb i wyzwisk.

Pod względem zgodności z konstytucją, przyznanie się do winy Warda i Fontenota było prawdziwą katastrofą, ale w październiku 1984 roku policjanci wciąż wierzyli, że znajdą zwłoki Denice Haraway, zdobywając w ten sposób konkretny dowód rzeczowy. Do procesu było daleko. Mieli bardzo dużo czasu, żeby zebrać materiały wystarczające do przekazania sprawy prokuratorowi, a przynajmniej tak myśleli.

Ale Denice nie odnaleziono. Tommy i Karl nie mieli pojęcia, gdzie może być i wielokrotnie mówili to policji. Upływał miesiąc za miesiącem, a dowodów jak nie było, tak nie było. Z każdym dniem ich zeznania nabierały coraz większego znaczenia; jak miało się w końcu okazać, były jedynymi dowodami, jakimi prokuratura dysponowała na procesie.

## Rozdział 6

**Ron Williamson** słyszał o sprawie Denice Haraway. Miał najlepsze miejsce na widowni: pryczę w areszcie hrabstwa Pontotoc. Gdy odsiedział dziesięć miesięcy z trzyletniego wyroku, został warunkowo zwolniony i przeniesiony do Ady, gdzie nałożono na niego areszt domowy. Areszt polegał na podporządkowaniu się szeregowi dość luźnych przepisów, które miały ograniczyć jego ruchy. Nic więc dziwnego, że nie poskutkował. Ron nie brał żadnych lekarstw, stracił poczucie czasu, nie wiedział, co się wokół niego dzieje.

W listopadzie, kiedy wciąż mieszkał w Adzie, oskarżono go o to, że: „skazany na pobyt w zakładzie karnym za posługiwanie się sfałszowanym środkiem płatniczym i warunkowo osadzony w areszcie domowym, rozmyślnie i bezprawnie naruszył status więźnia w areszcie domowym, wychodząc z domu w czasie nieprzewidzianym i zakazanym przez zakład karny”.

Ron twierdził, że wyszedł tylko po papierosy i spóźnił się do domu pół godziny. Został aresztowany, ponownie osadzony i cztery dni później oskarżony o ucieczkę. Uzyskawszy status osoby korzystającej z praw dla ubogich, zażądał obrońcy z urzędu.

W areszcie wrzało od plotek na temat morderstwa Denice Haraway. Przebywali tam już Tommy Ward i Karl Fontenot. Niemający nic do roboty aresztanci gadali i gadali. Ward i Fontenot byli oczywiście w centrum uwagi jako świeżo osadzeni i oskarżeni o popełnienie jednej z najbardziej sensacyjnych zbrodni ostatnich lat. Tommy opowiedział im o swoim „sennym” przyznaniu się do winy i opisał sztuczki stosowane podczas przesłuchania przez Smitha, Rogersa i Featherstone'a. Słuchacze doskonale ich znali.



Tommy powtarzał w nieskończoność, że nie ma nic wspólnego ze sprawą Denice. Prawdziwi mordercy są wciąż na wolności, mówił, i śmieją się z dwóch głupków, którzy dali się oszukać gliniarzom.

**Nie** dysponując zwłokami Denice Haraway, Bill Peterson miał poważny orzech do zgryzienia. Materiał dowodowy składał się z dwóch nagranych na taśmie wideo zeznań i nie zawierał ani jednego dowodu rzeczowego. Co więcej, prawda stała w oczywistej sprzeczności dosłownie ze wszystkim tym, co było na taśmach, a zeznania Warda i Fontenota w sprzeczności względem siebie. Peterson miał dwa portrety pamięciowe podejrzanych, ale obydwie były bardzo problematyczne. Mógłby ostatecznie twierdzić, że jeden z nich jest portretem Warda, ale osobnik widniejący na drugim zupełnie nie przypominał Fontenota.

Minęło Święto Dziękczynienia, a zwłok jak nie było, tak nie było. Potem minęło Boże Narodzenie. W styczniu 1985 roku Peterson przekonał sędziego, że istnieje wystarczająco dużo dowodów, żeby uznać Denice Haraway za zmarłą. Podczas rozprawy wstępnej, przy nabitej sali, puszczone zebrany nagranie z zeznaniami Warda i Fontenota. Ludzie byli wstrząśnięci, chociaż wielu zauważyło w nich jaskrawe rozbieżności. Mimo to uznano, że pora na proces, ze zwłokami czy też bez nich.

Jednakże prawne przepychanki ciągnęły się w nieskończoność. Dwóch sędziów zrezygnowało. Poszukiwania straciły impet i w końcu - rok po zaginięciu Denice — zostały odwołane. Większość mieszkańców Ady była przekonana, że Ward i Fontenot są winni — bo jeśli nie są, to dlaczego się przyznali? - były też jednak liczne wątpliwości ze względu na brak dowodów rzeczowych. Dlaczego ciągle przekładają datę procesu? Dlaczego to tak długo trwa?

W kwietniu 1985, rok po zaginięciu Denice Haraway, w „Ada Evening News” opublikowano artykuł Dorothy Hogue, w którym autorka pisała o powszechnym niezadowoleniu z tempa śledztwa. Ada i nierozwiązane zbrodnie, które ją prześladowają - taki nadała mu tytuł. O morderstwie Denice Haraway napisała między innymi tak: „Chociaż policja przeszukała wiele miejsc, zarówno przed jak i po aresztowaniu Warda i Fontenota, nie znaleziono ani jednego śladu Denice. Mimo to detektyw Dennice Smith jest przekonany, że sprawa jest zamknięta”. O domniemanym przyznaniu się do winy Hogue nie wspomniała.

O morderstwie Debbie Carter napisała: „Dowody rzeczowe znalezione na miejscu zbrodni oraz materiał biologiczny pobrany od podejrzanego został wysłany

do Oklahomskiego Biura Śledczego prawie dwa lata temu i policja wciąż czeka na wyniki badań”. Odnotowała, że laboratorium kryminalistyczne OSBI jest zaważone robotą. Dennis Smith oświadczył: „W tej sprawie policja skupiła uwagę na jednym podejrzanym, ale nikogo jeszcze nie aresztowano”.

**W lutym** 1985 roku oskarżony o ucieczkę Ron stanął przed sądem. Wyznaczonym przez sąd obrońcą z urzędu był David Morris, który dobrze znał rodzinę Williamsonów. Ron przyznał się do winy i został skazany na dwa lata więzienia w zawieszeniu pod warunkiem, że: 1) pójdzie na terapię i ją ukończy, 2) będzie unikał kłopotów, 3) nie opuści granic hrabstwa Pontotoc i 4) przestanie pić.

Kilka miesięcy później został aresztowany za przebywanie w stanie upojenia alkoholowego w miejscu publicznym. Bill Peterson wystąpił o odwieśnienie wyroku, żądając, żeby Ron odbył pozostałą część kary. Jego obrońcą ponownie został David Morris. Rozprawę wyznaczono na dwudziestego szóstego lipca. Przewodniczył, a przynajmniej próbował jej przewodniczyć, sędzia okręgowy John David Miller. Ron, który od dawna nie brał żadnych leków, nie chciał się po prostu zamknąć. Przez cały czas wyklócał się z Morrisem, sędzią i policjantami, przeszkadzając im do tego stopnia, że rozprawa została przerwana.

Trzy dni później spróbowano ponownie. Sędzia Miller kazał strażnikom i policjantom pouczyć Rona co do zachowania, ale on wszedł na salę, krzyżąc i przeklinając. Sędzia ostrzegł go, a Ron kilkakrotnie go zbluzgał. Zażądał nowego obrońcy, ale kiedy Miller spytał go dlaczego, Ron nie umiał podać żadnego powodu.

Zachowywał się odrażająco, ale nawet w tym zamieszaniu widać było, że potrzebuje pomocy. Chwilami rozumiał, co się dzieje, chwilami niezrozumiale bełkotał i wygłaszał długie, bezsensowne tyrady. Był wzburzony, rozgoryczony i zły na cały świat.

Po kilku ostrzeżeniach sędzia kazał odprowadzić go do aresztu i rozprawę znowu odroczone. Nazajutrz David Morris wniósł o uznanie Rona za niezdolnego do czynności prawnych. Zrezygnował również z jego obrony.

W swoim pokręconym świecie Ron postrzegał siebie jako człowieka zupełnie normalnego. Ponieważ uraziło go, że obrońca próbuje tę normalność podważyć, przestał się do niego odzywać. Morris miał tego dość.

Sędzia przychylił się do wniosku obrony i wyznaczył datę rozprawy, która miała zdecydować o zdolności lub niezdolności Rona do podejmowania czynności prawnych. Rezygnacji Morrisa nie przyjął.

Rozprawa rozpoczęła się dwa tygodnie później — rozpoczęła się i szybko zakończyła. Ron szalał jeszcze bardziej niż przedtem. Sędzia Miller nakazał poddać go badaniom psychiatrycznym.

**Na początku** 1985 roku u Juanity Williamson wykryto bardzo agresywnego raka jajników. Przez dwa i pół roku żyła wśród nieustannych plotek, że zabójcą Debbie Carter jest jej własny syn i przed śmiercią chciała tę sprawę ostatecznie wyjaśnić.

Zawsze była osobą niezwykle skrupulatną. Od dziesiątków lat prowadziła szczegółowy dziennik. Jej dokumenty firmowe były kompletne i nienagannie posegregowane; wystarczyło dać jej chwilę czasu i potrafiła wymienić daty wizyt i nazwiska pięciu ostatnich klientek. Niczego nie wyrzucała, przechowywała wszystkie rachunki, anulowane czeki, pokwitowania, cenzurki szkolne dzieci i inne pamiątki.

Zagłębiała do dziennika setki razy i wiedziała, że siódmego grudnia 1982 roku Ron był z nią w domu. Wiele razy mówiła o tym policji. Policja tymczasem uważała, że mógł ukradkiem wyjść, przebiec ścieżką za domem, zabić i wrócić. Motyw jest nieważny. Nieważne jest również to, że Glen Gore skłamał, mówiąc, że widział go tamtego wieczoru Pod Latarnią z Debbie Carter. To tylko drobiazgi. Najważniejsze, że nareszcie kogoś mieli.

Ale policja wiedziała również, że Juanita Williamson cieszy się wielkim szacunkiem. Była pobożną chrześcijanką, doskonale znaną wśród zielonoświątkowców z wielu okolicznych kościołów. Czesła setki klientek i traktowała je jak bliskie przyjaciółki. Gdyby stanęła na miejscu dla świadków i zeznała, że w dniu morderstwa syn był w domu, przysięgli by jej uwierzyli. Może i Ronnie miał problemy, ale na pewno nie wychowała go na mordercę.

Juanita przypominała sobie coś jeszcze. W 1982 roku coraz większą popularność zaczęły zyskiwać wypożyczalnie kaset. Odkrył to właściciel jednego ze sklepów na jej ulicy. Siódmego grudnia Juanita wypożyczyła odtwarzacz i pięć swoich ulubionych filmów, które wraz z synem oglądała prawie do rana. Tamtej nocy Ronnie był w domu, w jej pokoju: oglądał stare filmy z matką. Juanita miała na to dowód: pokwitowanie z wypożyczalni.

David Morris od lat pomagał załatwiać jej drobne sprawy prawne. Bardzo ją podziwiał i w ramach przysługi kilka razy reprezentował Rona w sądzie, chociaż ten nie był idealnym klientem. Wysłuchał jej opowieści, obejrzał pokwitowanie i od razu jej uwierzył. Ulżyło mu, ponieważ tak jak większość mieszkańców Ady słyszał plotki, że Ron jest zamieszany w morderstwo Debbie Carter.

Morris zajmował się głównie sprawami karnymi i nie darzył miejscowej policji zbyt wielkim szacunkiem. Ale dobrze ich znał i umówił Juanitę z Dennistem Smithem. Podwiózł ją nawet na komendę i towarzyszył jej podczas rozmowy. Smith uważnie jej wysłuchał, obejrzał pokwitowanie z wypożyczalni i spytał, czy mógłby nagrać jej zeznanie. Oczywiście.

Morris wyszedł na korytarz i patrzył przez szybę, jak Juanita siada na krzesła twarzą do kamery i odpowiada na pytania detektywa. W drodze powrotnej do domu ogarnęła ją wielka ulga. Była pewna, że sprawa się teraz wyjaśni.

Jeśli w kamerze była kaseta, nikt jej potem nie widział. A jeśli detektyw Smith spisał raport z tego spotkania, raport ów nigdy nie ujrzał światła dziennego.

**Siedząc** w areszcie, licząc dni i tygodnie, Ron martwił się o matkę. Od sierpnia leżała w szpitalu - umierała, a on nie mógł jej odwiedzić.

Zgodnie z nakazem sądowym, w sierpniu ponownie zbadał go doktor Charles Amos, który poddał go serii testów. Ale już podczas pierwszego zauważył, że przy wszystkich pytaniach Ron przekreśla kwadracik z odpowiedzią prawdziwą. Spytany dlaczego, odparł: „Co jest ważniejsze, ten test czy moja matka?” Badanie odwołano, lecz Amos odnotował: „Trzeba nadmienić, że od ostatniej wizyty w 1982 roku Ron Williamson wykazuje znaczne większe zaburzenia funkcji emocjonalnych”.

Ron błagał, żeby policja pozwoliła mu odwiedzić matkę, zanim ta umrze. Annette też błagała. Z biegiem lat zdążyła poznać wielu pracowników aresztu. Ilekroć tam szła, zabierała tyle ciasteczek, żeby wystarczyło ich dla Rona, dla jego kolegów i wszystkich strażników. Gotowała nawet dla nich obiady w aresztanckiej kuchni.

Szpital jest niedaleko, myślała. Ada to małe miasto, wszyscy Rona tu znają. Jest mało prawdopodobne, żeby zdobył skądś broń i kogoś zaatakował. W końcu zawarto układ: po północy wyprowadzono go z celi, skuto mu ręce i nogi i pod eskortą po zęby uzbrojonych strażników i policjantów zawieziono do szpitala. Przed szpitalem posadzono go na wózku i wwieziono do holu.

Juanita wielokrotnie powtarzała, że nie chce widzieć syna w kajdankach. Annette prosiła policjantów, żeby mu je zdjęli, a ci niechętnie się zgodzili. Ale gdzieś po drodze o tym zapomnieli. Kajdanek nie zdjęto, ani z rąk, ani z nóg. Ron próbował się z nimi dogadać: zdejmijcie tylko z rąk, chociaż na kilka minut, chcę po raz ostatni porozmawiać z matką. Nie, to niemożliwe. Kazano mu pozostać w wózku.

Ron poprosił chociaż o koc, żeby zakryć ręce i nogi. Policjanci się zawahali - koc mógł zwiększyć potencjalne zagrożenie - lecz w końcu ulegli. Wwieźli go do pokoju Juanity i kazali Annette i Renee wyjść na korytarz. Te poprosiły ich, żeby pozwolili im zostać, przecież było to ich ostatnie spotkanie rodzinne. Za duże ryzyko, odparli. Zaczekajcie na korytarzu.

Ron powiedział matce, jak bardzo ją kocha, jak bardzo mu przykro, że zniszczył jej życie i przysporzył tylu rozczarowań. Płakał i błagał ją o przebaczenie, a ona oczywiście mu przebaczyła. Potem zacytował kilka fragmentów z Pisma Świętego. O intymność było jednak trudno, ponieważ policjanci przez cały czas czuwali w pokoju, żeby nie wyskoczył przez okno albo nie zrobił komuś krzywdy.

Pożegnanie było krótkie. Policjanci przerwali je już po kilku minutach, mówiąc, że pora wracać do aresztu. Annette i Renee słyszały, jak brat płacze, gdy wieźli go do wyjścia.

Juanita zmarła trzydziestego sierpnia 1985 roku. Policja początkowo odmówiła prośbie rodziny, żeby Ron mógł uczestniczyć w pogrzebie. Zgodziła się dopiero wtedy, kiedy mąż Annette opłacił dwóch policjantów, swoich kuzynów, którzy mieli go pilnować.

Dla większego efektu dramatycznego zrobiono z tego wielką demonstrację siły i pokaz ochrony w terenie. Policja kazała wszystkim usiąść i dopiero wtedy wprowadzono więźnia. Oczywiście skutego.

I tego rodzaju środki bezpieczeństwa zastosowano, żeby strzec przestępcę, który podrobił czek wartości trzystu dolarów.

Świątynia była pełna. Przed ołtarzem stała otwarta trumna, tak że wszyscy widzieli profil zmarłej. Otworzyły się tylne drzwi i wszedł jej syn pod eskortą strażników. Miał skute ręce i nogi, spięte łańcuchami z łańcuchem, którym go przepasano. Gdy szurając nogami, ruszył przed siebie, ich brzęk zszargał zebranym resztki nerwów. Gdy zobaczył w trumnie matkę, natychmiast się rozszlochał. „Przepraszam, mamó, tak strasznie mi przykro”, powtarzał. Gdy podszedł do trumny, szloch przeszedł w zawodzenie.

Strażnicy podtrzymali go i pobrękując łańcuchami przy każdym ruchu, Ron opadł na krzesło. Był zdenerwowany, wytrącony z równowagi, rozgorączkowany i nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu.

Byli w Pierwszym Kościele Ducha Świętego, w świątyni, gdzie modlił się jako mały chłopiec, gdzie Annette wciąż grała co niedzielę na organach, gdzie regularnie bywała ich matka, więc płakał, patrząc na jej zniszczoną twarz.

Po nabożeństwie podano lunch w holu miejscowej wspólnoty. Ron poczępiał tam wraz ze strażnikami, którzy czuwali krok dalej, żeby w razie

czego natychmiast się na niego rzucić. Od prawie roku jadł więzienne jedzenie, więc lunch był dla niego prawdziwą ucztą. Annette poprosiła jednego z policjantów, żeby zdjął mu kajdanki, bo inaczej nie będzie mógł jeść. Ten odmówił. Annette cicho go błagała. Nie, wykluczone.

Rodzina i znajomi patrzyli ze współczuciem, jak obydwie siostry karmią na zmianę skutego brata.

Po pogrzebie, gdy odczytano już fragmenty Pisma Świętego i odmówiono modlitwy, żałobnicy stanęli w kolejce do Annette, Renee i Rona, żeby złożyć im kondolencje i jakoś ich pocieszyć. Były ciepłe uściski, ale nie dla Rona. Ron nie mógł podnieść rąk, dlatego przy akompaniamencie pobrzękujących łańcuchów niezdarne cmokał w policzek kobiety i ścisnął rękę mężczyznom. Był wrzesień, wciąż panował upał i z czoła spływał mu pot. Nie mógł go wytrzeć, więc robiły to za niego siostry.

**Doktor** Charles Amos przedstawił sądowi opinię, w której stwierdzał, że według prawa obowiązującego w Oklahomie, Ron Williamson jest człowiekiem chorym psychicznie, że nie rozumie stawianych mu zarzutów, nie jest w stanie pomóc swojemu obrońcy i że do równowagi psychicznej wróci dopiero po kuracji. Stwierdził również, że jeśli zostanie zwolniony z aresztu bez terapii, stwarzać będzie potencjalne zagrożenie dla siebie i innych.

Sędzia Miller przyjął opinię i orzekł, że oskarżony jest osobą niezdolną do czynności prawnych. Ron został przewieziony do stanowego szpitala w Vinita na dalsze badania i leczenie. Tam przyjął go doktor E.D. Garcia, który przypisał pacjentowi dalman i restoril na bezsenność, mellaril na halucynacje i urojenia oraz chloropromazynę na schizofrenię, hiperestezję, agresję i nadpobudliwość charakterystyczną dla tej fazy depresji maniakalnej. Po kilku dniach stosowania leków Ron uspokoił się i jego stan zaczął się polepszać.

Dwa tygodnie później doktor Garcia zanotował: „Jest socjopatą i alkohikiem. Musi dalej przyjmować chloropromazynę, sto miligramów cztery razy dziennie. Nie stwarza ryzyka ucieczki”.

Było to cokolwiek ironiczne, ponieważ Ron wrócił do aresztu za to, że uciekł.

Odpowiadając na pytania sądu, doktor Garcia napisał: „1) pacjent rozumie charakter postawionych mu zarzutów, 2) jest w stanie naradzać się z adwokatem i racjonalnie pomagać mu w przygotowaniu obrony, 3) nie jest już chory psychicznie, 4) nawet jeśli zostanie zwolniony bez dalszego leczenia czy terapii, najprawdopodobniej nie będzie stanowił zagrożenia dla siebie

i innych, chyba że stan socjopatyczny się pogłębi. Wówczas może być osobnikiem potencjalnie niebezpiecznym, zwłaszcza jeśli zacznie pić”.

Rona odwieziono z powrotem do Ady na rozprawę, która miała zdecydować, czy jest w pełni władz umysłowych i czy będzie mógł stanąć przed sądem. Ale zamiast przeprowadzić stosowne dochodzenie, sędzia Miller przyjął za dobrą monetę ustalenia doktora Garcii. Ron, człowiek według sądu niepoczytalny, nigdy nie został przez ten sąd uznany za poczytalnego.

Na podstawie wniosków Garcii zawieszony wyrok odwieszono i Ron został odwieziony do więzienia, gdzie miał odsiedzieć resztę dwuletniej kary. Przed wyjściem ze szpitala dano mu dwutygodniowy zapas chloropromazyny.

**We wrześniu** Tommy Ward i Karl Fontenot stanęli przed sądem. Ich adwokaci głośno domagali się dwóch niezależnych procesów, a co ważniejsze, żądali również, żeby procesy te odbyły się poza granicami hrabstwa Pontotoc. Denice Haraway wciąż nie odnaleziono, wciąż dużo o niej mówiono, a setki mieszkańców Ady pomagało w poszukiwaniach. Jej teść był powszechnie szanowanym dentystą. Ward i Fontenot siedzieli w areszcie od jedenastu miesięcy. Od października, kiedy to po raz pierwszy napisały o tym gazety, ich przyznanie się do winy było tematem najgorętszych rozmów w kawiarniach i zakładach fryzjerskich.

Czy w takiej sytuacji oskarżeni mogli oczekiwać bezstronnego procesu? Procesy w tak głośnych sprawach przenosi się do innych miast niemal codziennie.

Wniosek o zmianę właściwości miejscowej sądu został oddalony.

Kolejna przedprocesowa wojna wybuchła w sprawie samego przyznania się do winy Warda i Fontenota. Adwokaci zaatakowali ich zeznania, a zwłaszcza metody, jakimi detektywi Smith i Rogers je uzyskali. To, co opowiadali oskarżeni, było oczywistą nieprawdą; nie istniał ani jeden dowód rzeczowy, który poparłby ich wersję.

Peterson zripostował gniewnie i z pasją. Bez kaset z zeznaniami nie miałyby najmniejszych szans. Po długiej, zażartej kłótni sędzia orzekł, że przysięgli będą mogli je obejrzeć.

Stan powołał pięćdziesięciu pięciu świadków, z których ledwie kilku miało coś istotnego do powiedzenia. Wielu było przyjaciółmi Denice Haraway, których powołano, żeby udowodnić fakt jej zaginięcia i przypuszczalnej śmierci. Doszło tylko do jednej niespodzianki. Na świadka wezwano notoryczną przestępczynię, niejaką Terri Holland. Holland zeznała, że

w październiku, gdy przebywała w areszcie, osadzono tam również Karla Fontenota. Od czasu do czasu z nim rozmawiała i podczas jednej z rozmów wyznał, że on, Tommy Ward i Odell Titsworth uprowadzili, zgwałcili i zabili Denice Haraway.

Fontenot zaprzeczył, że ją zna. Nigdy w życiu jej nie widział.

Terri Holland nie była jedynym więziennym kapusiem, którego powołano na świadka. Za kratkami siedział również inny drobny kryminalista, niejaki Leonard Martin. Gdy ściągnięto go do sądu, powiedział przysięgłym, że słyszał, jak siedząc w celi, Karl mówił do siebie tak: „Wiedziałem, że nas złapią. Wiedziałem, że nas złapią”.

Tak oto wyglądał materiał dowodowy przedstawiony przez oskarżenie - materiał, który ponad wszelką wątpliwość miał przekonać przysięgłych o winie oskarżonego.

Bez konkretnych dowodów rzeczowych nadzwyczajnej wagi nabierały nagrane na taśmę zeznania, jednak roilo się w nich od rozbieżności i oczywistych kłamstw. Oskarżenie znalazło się w dość kuriozalnej sytuacji: z jednej strony przyznawało, że Ward i Fontenot kłamali, z drugiej, prosiło przysięgłych, żeby mimo to im uwierzyli.

Nie zwracajcie uwagi na tego Titswortha, bo tak naprawdę to Titsworth nie miał z tym nic wspólnego.

Pomińcie takie drobiazgi jak ten spalony dom, bo właściciel spalił go dziesięć miesięcy wcześniej.

Podłączono monitory. Zgaszono światło. Puszczono kasetę. Na jaw wyszły makabryczne szczegóły i Ward wraz z Fontenotem znaleźli się na drodze do celi śmierci.

W mowie końcowej swojej pierwszej sprawy o morderstwo Chris Ross postawił na maksymalny dramatyzm. W plastycznym opisie przypomniał zebrany wszystko to, co najbardziej bestialskie i przerażające: rany od noża, krew, brutalny gwałt, zaszlachtowanie pięknej dziewczyny, wreszcie potworność, jaką było spalenie jej zwłok.

Poskutkowało i przysięgli wpadli w gniew. Po krótkiej naradzie wrócili z werdyktem: winny i żądaniem kary śmierci.

**Tymczasem** Denice Haraway nie została ani zasztyletowana, ani spalona bez względu na to, co Ward i Fontenot mówili w swoich zmyślonych zeznaniach i bez względu na to, co Bill Peterson i Chris Ross wmawiali przysięgłym.

Denice została zabita pojedynczym strzałem w głowę. Jej szczątki znalazł w styczniu myśliwy. Spoczywały w głębokim lesie w pobliżu osady Gerty



w hrabstwie Hughes, ponad czterdzieści trzy kilometry od Ady, w miejscu bardzo odległym od terenu objętego poszukiwaniami.

Prawdziwy powód jej śmierci powinien był ostatecznie przekonać wszystkich zainteresowanych, że Ward i Fontenot rzeczywiście wymyślili swoje absurdalne opowieści i zostali zmuszeni do przyznania się do winy. Powinien, ale nie przekonał.

Prawdziwy powód jej śmierci powinien był skłonić władze do przyznania, że się myliły i zmusić je do rozpoczęcia poszukiwań prawdziwego mordercy. Powinien, ale nie skłonił.

**Po procesie**, ale jeszcze przed znalezieniem ciała Denice, Tommy Ward czekał na przewiezienie do bloku śmierci w więzieniu McAlester osiemdziesiąt osiem kilometrów na wschód od Ady. Wstrząśnięty wydarzeniami, które doprowadziły do tego, że czekał go teraz śmiertelny zastrzyk, był przerażony, zdezorientowany i przybity. Ledwie rok wcześniej był typowym mieszkańcem Ady, dwudziestokilkuletnim chłopakiem szukającym dobrej pracy, zabawy i ładnej dziewczyny.

Prawdziwi mordercy są na wolności, myślał. Prawdziwi mordercy się z nas śmieją, śmieją się z gliniarzy. Zastanawiał się, czy są bezczelni na tyle, żeby przyjść na rozprawę. Czemu nie? Nic im nie groziło.

Pewnego dnia miał gości: dwóch policjantów z Ady. Teraz byli jego przyjaciółmi, jego kumplami, i bardzo martwiło ich to, co będzie się z nim działo, kiedy trafi do McAlester. Spokojni i zatroskani, starannie ważyli słowa - żadnych gróźb, żadnego krzyku czy przekleństw, żadnej wzmianki o śmiertelnych zastrzykach. Chcieli tylko znaleźć zwłoki Denice Haraway, dlatego zaproponowali mu układ. Jeśli Tommy powie im, gdzie je ukryli, pójdą do prokuratury i zrobią wszystko, żeby karę śmierci zmieniono na dożywocie. Twierdzili, że mogą to zrobić, choć oczywiście nie mogli. Sprawa wykraczała daleko poza ich kompetencje.

Ale Tommy nie wiedział, gdzie są zwłoki. Powtórzył im więc to samo, co powtarzał niemal od roku: nie ma nic wspólnego z tą zbrodnią. Nawet w obliczu śmierci, nie mógł dać im tego, czego chcieli.

**Niedługo** po aresztowaniu Warda i Fontenota ich sprawą zainteresował się szanowany nowojorski dziennikarz Robert Mayer, który mieszkał wtedy na południowym zachodzie. Usłyszał tę historię od kobiety, z którą się wtedy widywał; jej brat był mężem jednej z siostr Tommy'ego.

Mayer był zaintrygowany jego „sennymi widzeniami” i tragedią, do jakiej doprowadziły. Zastanawiał się, dlaczego ktoś, kto przyznał się do tak potwornej zbrodni, miałby przeplatać swoje zeznania jawnymi kłamstwami. Pojechał do Ady, żeby to zbadać. I przez całe postępowanie wstępne, a potem przez całą rozprawę dokładnie poznawał miasto, jego mieszkańców, policję, oskarżycieli, szczegóły zbrodni, a zwłaszcza Warda i Fontenota.

Ada uważnie go obserwowała. Prawdziwy pisarz, który mieszkał wśród nich, badał, obserwował i chciał napisać o nich Bóg wie co, to w mieście rzadkość. Z czasem Mayer zdobył zaufanie większości zaangażowanych w sprawę. Przeprowadził długi wywiad z Billem Petersonem. Odbył szereg spotkań z obrońcami. Godzinami rozmawiał z policjantami. Podczas jednego ze spotkań Dennis Smith wyznał mu, że dwa nierozwiązane morderstwa w małym miasteczku to olbrzymia presja. Pokazał mu zdjęcie Debbie Carter. „Wiemy, że to Williamson ją zabił - powiedział. - Nie możemy tylko tego udowodnić”.

Kiedy Mayer zaczynał zbierać materiały, uważał, że Ward i Fontenot mogą być winni. Ale już wkrótce zbulwersowały go poczynania detektywów i sądu. Nie licząc nagranych na taśmę zeznań, nie było żadnych konkretnych dowodów świadczących o winie oskarżonych, a zeznania te, chociaż wstrząsające, zawierały tyle sprzeczności, że trudno je było uznać za zgodne z prawdą.

Mimo to zrobił wszystko, żeby przedstawić wyważony obraz zbrodni i procesu. Jego długo oczekiwana w mieście książka, *The Dreams of Ada* (Sny Ady), została wydana w kwietniu 1987 roku przez wydawnictwo Viking.

Reakcja była szybka, lecz możliwa do przewidzenia. Niektórzy potraktowali książkę sceptycznie ze względu na znajomość autora z rodziną Warda. Inni byli przekonani, że Ward i Fontenot są winni, bo się przyznali i nic nie mogło zmienić ich zdania.

Panowała też powszechna opinia, że policja i prokuratura spaprały sprawę, że wsadziły do więzienie nie tego człowieka, co trzeba i że prawdziwi mordercy wciąż są na wolności.

**Urażony** krytyką - rzadko kiedy się zdarza, żeby o małomiasteczkowym prokuratorze napisano książkę, w dodatku niepochlebną - Bill Peterson rzucił się do boju jak lew i zaatakował sprawę Debbie Carter. Musiał coś udowodnić.

Śledztwo utknęło w miejscu - biedaczka nie żyła już od ponad czterech lat - ale nadeszła pora, żeby wreszcie kogoś przygwoździć.

On i miejscowa policja od lat wierzyli, że mordercą jest Ron Williamson. Dennis Fritz maczał w tym palce albo i nie, lecz wiedzieli na pewno, że Williamson był tamtej nocy w mieszkaniu Debbie. Nie mieli na to żadnych dowodów, ot, po prostu wiedzieli albo przeczuwali.

Ron wyszedł już z więzienia i wrócił do Ady. Po śmierci matki w sierpniu 1985 roku czekał w areszcie, aż sąd uzna go za poczytalnego i zdolnego do czynności prawnych, żeby mógł rozpocząć dwuletnią odsiadkę. Annette i Renee niechętnie sprzedały rodzinny dom i gdy w październiku 1986 roku został warunkowo zwolniony, nie miał się gdzie podziać. Wprowadził się do Annette — mieszkała z mężem i synem - i przez kilka dni usilnie próbował się do nich dostosować. Ale szybko powróciły stare zwyczaje: nocne posiłki, które przygotowywał długo i hałaśliwie, całonocne siedzenie przed nastawionym na pełny regulator telewizorem, palenie, picie i długie drzemki na sofie. Po miesiącu Annette i jej rodzina mieli kompletnie zszargane nerwy i zażądali, żeby się wyprowadził.

Dwuletni pobyt w więzieniu ani trochę nie poprawił jego stanu zdrowia. Przyjmowano go i wypisywano z różnych szpitali, a różni lekarze przypisywali mu różne kombinacje leków. Często nie brał ich wcale. W więzieniu przez jakiś czas dawał sobie radę, ale potem ktoś zauważał jego dziwne zachowanie i Ron znowu lądował w psychiatriku.

Po wyjściu na wolność, zgodnie postanowieniem sądu zgłosił się do poradni zdrowia psychicznego w Adzie. Piętnastego października przyjęła go tam Norma Walker, która odnotowała, że pacjent bierze lit, thiothixenę i artanę. Stwierdziła, że jest miły, opanowany i trochę dziwny, ponieważ „zdarzało się, że długo patrzył na mnie bez słowa, często aż przez minutę”. Zamierzał pójść do seminarium i zostać duchownym. Albo założyć firmę budowlaną. Wielkie plany, trochę nierealistyczne, uważała Norma.

Dwa tygodnie później przyszedł na drugą wizytę. Twierdził, że bierze leki i czuje się dobrze. Następne dwie wizyty opuścił - przyszedł dopiero dziewiątego grudnia i zażądał spotkania z doktor Marie Snow. Przestał brać leki, ponieważ poznał dziewczynę, która nie wierzyła w ich skuteczność. Doktor Snow próbowała nakłonić go do podjęcia kuracji, ale Ron oświadczył, że Bóg kazał mu rzucić picie i odstawić wszystkie pigułki.

Osiemnastego grudnia i czternastego stycznia nie przyszedł na wizytę. Szesnastego lutego Annette zadzwoniła do Normy Walker i powiedziała, że nie sposób nad nim zapanować. Że brat zachowuje się „psychotycznie” i grozi, że zastrzeli się z pistoletu. Gdy nazajutrz zjawił się poradni, był zdennerwowany, lecz można było się z nim dogadać. Poprosił o zmianę leków. Trzy dni później do Normy zadzwonił ktoś z kaplicy McCalla. Ron zrobił

tam scenę: krzyczał i domagał się pracy. Walker poradziła im, żeby traktowali go ostrożnie i w razie konieczności wezwali policję. Tego samego popołudnia Annette przywiozła go wraz z mężem do poradni. Byli wzburzeni i rozpaczliwie szukali pomocy.

Norma stwierdziła, że Ron nie bierze leków, że jest zdezorientowany, oderwany od rzeczywistości, że ma urojenia i nie jest w stanie o siebie zadbać. Wątpiła, czy zdołałby przeżyć bez odpowiedniego leczenia. Rozwiązaniem był według niej „długi pobyt w szpitalu i leczenie obniżonych zdolności umysłowych oraz niekontrolowanego zachowania”.

Wyszli z poradni bez żadnego planu i bez lekarstw. Przez jakiś czas Ron wahał się po mieście, wreszcie zniknął. Pewnej nocy Gary Simmons gawędził z dwoma przyjaciółmi, gdy wtem zadzwonił dzwonek u drzwi. Gdy Gary je otworzył, do środka wpadł jego szwagier - wpadł i runął na podłogę w saloniku. „Potrzebuję pomocy — powtarzał w kółko. - Jestem obłąkany, potrzebuję pomocy”. Brudny, nieogolony i zdezorientowany miał zmierzwiłone, pozlepiane włosy i nie wiedział, gdzie jest. „Już nie mogę tego wytrzymać”, mówił.

Goście Gary'ego nie znali Rona i jego wygląd i rozpaczliwe zawrodoenie bardzo ich zaskoczyły. Jeden wyszedł, drugi został. Ron umilkł i wpadł w letarg. Gary obiecał, że na pewno mu pomoże i w końcu udało mu się wsadzić go do samochodu. Pierwszym przystankiem był najbliższy szpital, gdzie skierowano ich do poradni zdrowia psychicznego. Stamtąd odesłano ich do szpitala w Norman. Ron wyglądał jak katatonik, mimo to zdołał wykrztusić, że jest bardzo głodny. Gary znał restaurację słynącą z olbrzymich porcji zeberek, ale kiedy zatrzymali się na parkingu, Ron spytał:

- Gdzie my jesteśmy?

- Przyjechaliśmy coś zjeść - odparł Gary. Ron zaklął. Wcale nie był głodny, więc pojechali dalej, do Norman.

- Dlaczego się tam zatrzymaliśmy? - spytał Ron.

- Bo mówiłeś, że jesteś głodny.

- Nieprawda. - Ron był wyraźnie poirytowany.

Kilka kilometrów dalej znowu powiedział, że jest bardzo głodny. Gary zobaczył McDonalda i się zatrzymał.

- Co my tu robimy? - spytał Gary'ego.

- Kupujemy coś do jedzenia - odparł Gary.

- Dlaczego?

- Bo mówiłeś, że jesteś głodny.

- Nie jestem głodny. Moglibyśmy pojechać już do tego szpitala?

Wreszcie dotarli do Norman i tam Ron ponownie oświadczył, że zgłódniał. Nie tracąc cierpliwości, Gary zawiózł go do McDonalda i Ron — jak można się było tego spodziewać - znowu spytał go, dlaczego się zatrzymują.

Ostatnim przystankiem przed szpitalem była stacja benzynowa przy Main Street. Gary wrócił do samochodu z dwoma dużymi batonikami i Ron pochłonął je dosłownie w kilka sekund. Gary i jego znajomy byli zdumieni, że można tak szybko jeść.

W szpitalu Ron to wpadał w apatię, to się ożywiał. Pierwszy lekarz, który go badał, zdenerwował się, że pacjent nie chce z nim współpracować i gdy wyszedł z pokoju, Gary ostro zrugął szwagra.

Wtedy Ron stanął twarzą do nagiej ściany, przyjął postawę prężącego mięskuly kulturysty i znieruchomiał na kilkanaście długich minut. Gary do niego zagadywał, lecz na próżno: Ron nie reagował. Minęło dziesięć minut, a on ani drgnął. Gapił się w sufit, nie mówiąc ani słowa i nie poruszając ani jednym mięśniem. Minęło dwadzieścia minut i Gary miał ochotę stamtąd zwiać. Po pół godzinie Ron wreszcie się ocknął, ale przestał się do niego odzywać.

Na szczęście zaraz potem przyszła pielęgniarka i zaprowadziła go na salę. Lekarzowi powiedział: „Przyszedłem tu, bo jestem w takim stanie, że nie mam dokąd pójść”. Dostał lit, na depresję, i navanę, antydepresant stosowany w leczeniu schizofrenii. Gdy tylko go ustabilizowano, wbrew radom lekarzy wypisał się ze szpitala i kilka dni później był już z powrotem w Adzie.

Kolejną wyprawą Gary'ego i Rona była podróż do Dallas, do misyjnego ośrodka dla byłych więźniów i nałogowców. Ron spotkał się z pastorem Gary'ego i ten chciał mu pomóc; Gary'emu zwierzył się po cichu, że: „U Rona pali się światło, ale nikogo nie ma w domu”.

Pojechali do Dallas i kiedy Ron został już przyjęty, Gary się z nim pożegnał. Żegnając się, dał mu pięćdziesiąt dolarów, co było naruszeniem obowiązujących w ośrodku przepisów, chociaż wtedy o tym nie wiedzieli. Gary wrócił do Oklahomy, Ron też. Kilka godzin po odjeździe szwagra kupił bilet na autobus do Ady i przyjechał tam niedługo po nim.

Kolejny pobyt w szpitalu nie był już pobytom dobrowolnym. Dwudziestego pierwszego marca, dziewięć dni po wypisaniu, Ron próbował popełnić samobójstwo, połykając dwadzieścia tabletek navany. Pielęgniarka powiedziała, że był przygnębiony, bo nie mógł znaleźć pracy. Ustabilizowano go i przypisano odpowiednie leki, które po trzech dniach przestał brać. Lekarze doszli do wniosku, że zagraża samemu sobie i innym i zalecili dwudziestoośmiomiodniowe leczenie szpitalne. Dwudziestego czwartego marca został wypisany.

**Wróciwszy** do Ady, znalazł mały pokój za domem przy Dwunastej ulicy w zachodniej części miasta. Nie było tam ani kuchni, ani kanalizacji i Ron brał prysznic, polewając się wodą z węża na podwórku. Annette przynosiła mu jedzenie i próbowała się nim opiekować. Podczas jednej z wizyt zauważyła, że brat ma zakrwawione nadgarstki. Ron wyjaśnił, że pociął się brzytwą, żeby nie cierpieć tak jak ci, którzy cierpieli przez niego. Chciał umrzeć i dołączyć do rodziców, ludzi, których bardzo zranił. Annette błagała go, żeby poszedł do lekarza, ale Ron odmówił. Nie chciał również pójść do poradni zdrowia psychicznego, gdzie tyle razy był.

Skończyły mu się lekarstwa.

Stareńki właściciel domu był dla niego dobry. Za czynsz brał mało albo zupełnie nic. W garażu stała wysłużona kosiarka do trawy bez jednego kółka i Ron zaczął chodzić z nią po mieście. Za pięć dolarów kosił trawniki i oddawał pieniądze staremu.

Czwartego kwietnia na komendę zadzwonił właściciel domu przy Dziesiątej ulicy. Gdy na miejsce przybył patrol, właściciel ów poinformował funkcjonariuszy, że musi wyjechać z miasta, ale boi się o bezpieczeństwo rodziny, ponieważ Ron Williamson włóczy się tu po nocy; najwyraźniej znał Rona i uważnie go obserwował. Dodał, że w ciągu tylko jednej nocy, o drugiej albo trzeciej nad ranem, Ron był cztery razy w sklepie spożywczym Circle K i w sklepie nocnym Love'a.

Policjanci bardzo mu współczuli — wszyscy wiedzieli, że Ron jest dziwakiem - ale prawo nie zabraniało nikomu wychodzenia z domu po północy. Obiecali częściej patrolować okolicę.

Dziesiątego kwietnia o trzeciej nad ranem na policję zatelefonował sprzedawca z Circle K. Ron Williamson był u nich kilka razy i dziwnie się zachowywał. Podczas gdy posterunkowy Jeff Smith spisywał meldunek, podejrzany zjawił się tam ponownie. Smith kazał „Ronniemu” wyjść i ten go posłuchał.

Godzinę później Ron przyszedł do aresztu, wcisnął guzik dzwonka i oznajmił, że chce przyznać się do kilku przestępstw. Dano mu odpowiedni formularz i zaczął pisać. Przyznał się do kradzieży damskiej torebki - Pod Latarnią, przed czterema laty - i do kradzieży pistoletu z jakiegoś domu. Wyznał, że dotykał dwie dziewczyny w intymne miejsca i że uderzył i niemal zgwałcił dziewczynę w Asher. Nagle przerwał pisanie i wyszedł. Policjant Rick Carson wybiegł za nim i dogonił go kilka ulic dalej. Ron próbował wyjaśnić mu, co robi tam o tak późnej porze, ale był bardzo zdezorientowany i zagubiony. W końcu powiedział, że szuka pracy i chce kosić trawniki. Carson zaproponował, żeby poszedł do domu, bo za dnia łatwiej znajdzie pracę.

Trzynastego kwietnia Ron przyszedł do poradni zdrowia psychicznego i wystraszył tamtejszych pracowników. Jeden z nich powiedział potem, że Ron „aż się ślinił”. Zażądał spotkania z doktor Snow i ruszył korytarzem w stronę gabinetu. Gdy powiedziano mu, że jej nie ma, spokojnie wyszedł.

Trzy dni później ukazały się Sny Ady.

**Chociaż** policja bardzo chciała przypisać morderstwo Debbie Carter Ronowi Williamsonowi, brakowało im po prostu dowodów. Była wiosna 1987 roku, a oni mieli ich niewiele więcej niż latem 1983 roku. W laboratorium kryminalistycznym Oklahomskiego Biura Śledczego wreszcie - dwa lata po morderstwie — zbadano próbki włosów. Stwierdzono, że niektóre włosy Rona i Dennisa są „mikroskopowo zgodne” z włosami znalezionymi na miejscu zbrodni, jednak tego typu badania były bardzo niepewne.

Prokuratura dostrzegła jedną znaczącą przeszkodę: krwawy odcisk dłoni na fragmencie płyty gipsowo-kartonowej ze ściany w sypialni Debbie Carter. Na początku 1983 roku Jerry Peters z OSBI zbadał go bardzo dokładnie i uznał, że nie jest to odcisk ani Dennisa Fritza, ani Rona Williamsona. Nie był to również odcisk Debbie. Zostawił go zatem morderca.

Ale co, jeśli Peters się pomylił albo w pośpiechu coś przeoczył? Gdyby odcisk należał do Debbie, Fritza i Williamsona można by uznać za podejrzanych.

Peterson wpadł na pomysł, żeby przeprowadzić ekshumację zwłok i ponownie to zbadać. Może będą mieli szczęście, może ręce Debbie nie zdążyły się jeszcze za bardzo rozłożyć? Nowe odciski dłoni — gdyby spojrzeć na nie pod troszkę innym kątem — mogły ujawnić informacje, które bardzo pomogłyby prokuraturze i postawiły morderców przed sądem.

Do Peggy Stillwell zadzwonił detektyw Smith. Poprosił ją, żeby wstąpiła na komendę, ale nie powiedział po co. Peggy jak zwykle pomyślała, że może doszło do przełomu w śledztwie. Ale kiedy tam przyszła, czekał na nią Bill Peterson z kartką papieru na biurku. Wyjaśnił, że chcą ekshumować zwłoki Debbie i potrzebują jej zgody. Charlie Carter już ją podpisał.

Peggy doznała szoku. Myśl, że policja miałaby zakłócić córce spokój, była odrażająca i wstrząsająca. Powiedziała: „Nie”, ale Peterson był na to przygotowany. Spytał, czy Peggy chce, żeby znaleziono morderców. Oczywiście, że tak, ale czy nie ma na to innego sposobu? Nie. Jeśli Peggy chce, żeby morderca jej córki stanął przed obliczem sprawiedliwości, musi zgodzić się na ekshumację. Kilka minut później Peggy podpisała co trzeba, szybko wyszła i pojechała do siostry, do Glenny.

Opowiedziała jej o spotkaniu z Petersonem i o tym, że policja chce odkopać zwłoki Debbie. Była podekscytowana, bardzo chciała ponownie ją zobaczyć. „Znowu będę mogła jej dotknąć i ją przytulić”, powtarzała.

Glenna nie podzielała jej entuzjazmu i nie uważała, żeby tego rodzaju spotkanie z córką wyszło siostrze na zdrowie. Poza tym miała wątpliwości co do osób prowadzących śledztwo; w ciągu czterech i pół roku, jakie upłynęły od morderstwa, musiała kilka razy rozmawiać z Petersonem.

Ale Peggy wciąż nie mogła dojść do siebie. Nigdy nie pogodziła się ze śmiercią córki. Glenna wielokrotnie prosiła Petersona i policję, żeby wszelkie wiadomości na temat śledztwa przekazywali siostrze za jej pośrednictwem lub za pośrednictwem innych członków rodziny. Peggy nie była w stanie znieść nagłych zwrotów akcji i Glenna chciała ją chronić.

Natychmiast zadzwoniła do Petersona i spytała go, co zamierza. Ten odparł, że ekshumacja jest konieczna, jeśli jej rodzina chce, żeby Ron Williamson i Dennis Fritz stanęli przed sądem za morderstwo. Prokuraturze przeszkadzał w tym krwawy odcisk na ścianie, jeśli jednak należał do Debbie, on i policja będą mogli natychmiast wystąpić przeciwko Fritzowi i Williamsonowi.

Glenna była zbita z tropu. Skąd Peterson wiedział, jaki będzie wynik ponownego badania odcisku, skoro zwłoki nie zostały jeszcze ekshumowane? Skąd miał pewność, że ekshumacja pogrąży podejrzanych?

Peggy pragnęła znowu ujrzeć córkę i dostała na tym punkcie obsesji. Raz powiedziała do siostry: „Zapomniałam już, jak brzmi jej głos”. Bill Peterson obiecał Glennie, że ekshumacja zostanie przeprowadzona szybko i skończy się, zanim ktokolwiek to zauważy.

Peggy była na stacji w Brockway Glass, gdy podeszła do niej koleżanka z pracy i spytała, co się dzieje na cmentarzu Rosedale, przy grobie Debbie. Peggy natychmiast wyszła z fabryki, przebiegła przez całe miasto, ale na cmentarzu zastała jedynie pusty grób. Ciało córki zostało zabrane.

**Pierwszy** odcisk dłoni został zdjęty przez agenta Jerry'ego Petersa dziewiątego grudnia 1982 roku, podczas sekcji zwłok. W owym czasie ręce ofiary były w doskonałym stanie i Peters nie miał najmniejszych wątpliwości, że udało mu się zdjąć komplet wyraźnych odcisków z obydwu dłoni. Gdy trzy miesiące później skończył badanie, napisał w protokole, że jest pewien, iż krwawy odcisk z fragmentu płyty gipsowo-kartonowej nie należy ani do Fritza, ani do Williamsona, ani do ofiary.



Teraz jednak, cztery i pół roku później, ponieważ sprawa wciąż była niewyjaśniona i ponieważ władze potrzebowały przełomu w śledztwie, nabrał nagle wątpliwości co do poprzednich wyników. Trzy dni po ekshumacji sporządził nowy raport, w którym stwierdził, że krwawy odcisk dłoni pasuje do odcisku dłoni Debbie Carter. Po raz pierwszy w ciągu swojej dwudziestoczteroletniej kariery Jerry Peters zmienił zdanie.

Raport był dokładnie tym, czego Peterson potrzebował. Uzbrojony w dowód, że odcisk nie należy do nieznanego mordercy, tylko do Debbie, która zostawiła go na ścianie, walcząc o życie, mógł zaatakować swego głównego podejrzanego. Ważne również było to, żeby powiadomić o tym fakcie mieszkańców Ady, potencjalnych przysięgłych.

Chociaż władze twierdziły, że ekshumacja i szczegóły badań poekshumacyjnych są tajne, prokurator odbył pogawędkę z reporterem „Ada Evening News”. „To, co znaleźliśmy, potwierdza nasze podejrzenia. Badamy pewne dowody rzeczowe”, oświadczył.

Ale co właściwie odkryli? Peterson nie chciał zdradzić szczegółów — w przeciwieństwie do jednego z „informatorów”. Informator ów powiedział, że: „Zwłoki zostały ekshumowane, żeby można było pobrać odciski dłoni ofiary i porównać je z krwawymi odciskami na ścianie w jej mieszkaniu”.

I dodał: „Wylimitowanie możliwości, że odcisk ten należy do kogoś innego, miało kluczowe znaczenie dla śledztwa”.

„Jestem dobrej myśli” - powiedział Peterson.

I wystąpił o nakaz aresztowania dla Rona Williamsona i Dennisa Fritza.

**W piątek** rano ósmego maja Rick Carson spotkał Rona, który pchał przed sobą zdezelowaną kosiarkę do trawy w zachodniej części miasta. Zamienili ze sobą kilka słów. Ron, bez koszuli, w podartych dżinsach i adidasach, jak zwykle wyglądał niechlujnie. Chciał dostać pracę w którymś z miejskich przedsiębiorstw i Rick obiecał przynieść mu formularz podania. Ron zapewnił go, że wieczorem będzie u siebie.

Carson poinformował swego porucznika, że tego dnia wieczorem podejrzanym będzie przebywał w swoim mieszkaniu przy Dwunastej Zachodniej. Ułożono plan akcji i poproszono Carsona, żeby uczestniczył w aresztowaniu. Gdyby Ron dostał szafu, Rick miał dopilnować, żeby nikomu się nic nie stało. Ale zamiast Ricka, wysłano tam czterech innych policjantów, w tym detektywa Mike'a Baskina.

Aresztowanie przebiegło bez żadnego incydentu. Ron był w tych samych podartych dżinsach, adidasach i wciąż bez koszuli. W areszcie odczytano mu

jego prawa i spytano, czy chciałby porozmawiać. Jasne, czemu nie. W przesłuchaniu wziął również udział detektyw James Fox.

Ron wielokrotnie powtórzył, że nie znał Debbie Carter, że nigdy nie był w jej mieszkaniu i że nigdy w życiu jej nie widział. Nie zmienił zeznań, chociaż policjanci krzyczeli na niego, grozili mu i wmawiali, że ją zabił.

Odprowadzono go do celi. Upłynął co najmniej miesiąc, odkąd po raz ostatni wziął leki.

**Dennis Fritz** mieszkał z matką i ciotką w Kansas City i utrzymywał się z malowania domów. Wyjechał z Ady kilka miesięcy wcześniej i jego przyjaźń z Ronem Williamsonem była już tylko odległym wspomnieniem. Od czterech lat nie rozmawiał z żadnym policjantem i niemal zapomniał o sprawie Debbie Carter.

Późnym wieczorem ósmego maja oglądał telewizję. Przez cały dzień pracował i wciąż miał na sobie zaplamiony farbą biały kombinezon. Wieczór był ciepły, okna otwarte. W pewnej chwili zadzwonił telefon i jakaś kobieta spytała:

- Zastałam Dennisa Fritza?

- Przy telefonie — odparł Dennis, ale kobieta odłożyła słuchawkę. Może pomyliła numery, a może to jego była żona coś knuła. Dennis ponownie usiadł przed telewizorem. Matka i ciotka spały już w głębi domu. Było prawie wpół do dwunastej.

Kwadrans później usłyszał trzaśnięcie samochodowych drzwiczek, jedno, drugie i trzecie. Wstał i właśnie szedł na bosaka do drzwi, gdy na trawniku przed domem zobaczył oddział gotowych do boju żołnierzy, ubranych na czarno i po zęby uzbrojonych. Co się, u diabła, dzieje? - pomyślał. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie zatelefonować po policję.

Zadzwonił dzwonek u drzwi i gdy je otworzył, dwóch tajniaków chwyciło go, wyciągnęło na dwór i spytało:

- Dennis Fritz?

- Tak, to ja.

- Jest pan aresztowany pod zarzutem popełnienia morderstwa pierwszego stopnia - warknął tajniak, podczas gdy drugi nakładał mu kajdanki.

- Jakiego morderstwa? - spytał Dennis i pomyślał: ilu Dennisów Fritzów może mieszkać w Kansas City? To na pewno pomyłka.

W drzwiach stanęła ciotka. Zobaczyła ubranych na czarno ludzi, wycelowane w Dennisa lufy pistoletów maszynowych i wpadła w histerię. Matka Dennisa wybiegła z sypialni w chwili, gdy antyterroryści wchodzili

do środka, żeby „zabezpieczyć teren”, lecz gdy spytano ich, co to znaczy, nie bardzo umieli się wytłumaczyć. Dennis nie miał broni palnej. W domu nie było żadnych innych podejrzanych o morderstwo, ale cóż, chłopcy ze SWAT mają swoje procedury.

Dennis myślał już, że zastrzeli go pod jego własnymi drzwiami, gdy zerknąwszy do góry, zobaczył biały kapelusz. Przez podjazd zmierzały ku niemu dwa koszmary z przeszłości: Dennis Smith i Gary Rogers. Z mściwym, szerokim od ucha do ucha uśmiechem dołączyli radośnie do antyterrorystów na trawniku.

Aha, pomyślał Dennis, a więc chodzi o to morderstwo. W najwspanialszej chwili swego życia dwaj małomiasteczkowi kowboje z Ady podstępnie namówili dowództwo antyterrorystycznego oddziału pościgowego z Kansas City do przeprowadzenia dramatycznej i zupełnie bezsensownej akcji.

„Mogę wziąć buty?” - spytał Dennis i gliniarze niechętnie się zgodzili.

Wepchnięto go na tylne siedzenie radiowozu i przysiadł się do niego rozentuzjasmowany Smith. Prowadził detektyw z oddziału pościgowego. Gdy ruszali, Dennis spojrzał na ciężko uzbrojonych antyterrorystów ze SWAT-u i pomyślał: co za głupota. Aresztować go mógł każdy policjant, nawet taki na pół etatu, i to nie w domu, tylko w pierwszym lepszym sklepie spożywczym. Choć bardzo wstrząśnięty cicho zachichotał na widok niesmaczonej miny detektywa za kierownicą.

Ostatnim widokiem, jaki zapamiętał, był widok stojącej w drzwiach matki z rękami na ustach.

Zaprowadzili go do małej sali przesłuchań na komendzie w Kansas City. Smith i Rogers odczytali mu jego prawa i oznajmili, że zamierzają wydobyć z niego przyznanie się do winy. Dennis przez cały czas myślał o Wardzie i Fontencie i postanowił zrobić wszystko, żeby nic im z tego nie wyszło. Smith odgrywał rolę dobrego gliniarza, kumpla, który naprawdę chce pomóc. Rogers od razu go zaatakował, przeklinając, grożąc i dźgając go palcem w pierś.

Od ich ostatniego spotkania minęły cztery lata. W czerwcu 1983 roku, po tym, jak Fritz „oblał” test na wykrywaczu kłamstw, Smith, Rogers i Featherstone dręczyli go przez trzy godziny w podziemiach komendy w Adzie. Nie wyciągnęli z niego nic wtedy, nie wyciągną i teraz.

Rogers dostał furii. Policja od czterech lat wiedziała, że to Fritz i Williamson zgwałcili i zabili Debbie Carter i musieli wreszcie tę sprawę zamknąć. Brakowało im tylko przyznania się do winy. Tymczasem Fritz uparcie powtarzał: „Nie mam się do czego przyznawać. Jakie macie dowody? Pokażcie mi dowody”.

„Obrażasz moją inteligencję” - Rogers bardzo lubił powtarzać to powiedzonko. Ilekroć Fritz je słyszał, miał ochotę odrzec: „Jaką inteligencję?” Ale bał się, że oberwie.

Po dwóch godzinach wyzwick Dennis w końcu oświadczył: „Dobrze, przyznam się”. Tamtym ulżyło; ponieważ nie mieli żadnych dowodów, musieli załatwić to tym sposobem. Smith wybiegł po magnetofon. Rogers szybko wyjął notatnik i długopis. Dobra, możemy zaczynać.

Kiedy już wszystko przygotowali, Fritz spojrzął na magnetofon i prosto do mikrofonu powiedział: „Oto cała prawda. Nie zabiłem Debbie Carter i nie wiem nic na temat jej morderstwa”.

Smith i Rogers dostali szału: padły kolejne groźby i kolejne przekleństwa. Dennis był przerażony i wytrącony z równowagi, ale twardo się trzymał. Powtarzał, że jest niewinny i w końcu detektywi przerwali przesłuchanie.

Fritz nie zgodził się na ekstradycję do Oklahomy i osadzono go w areszcie, gdzie miał czekać na proces.

**Pod** wieczór tego samego dnia, a więc w sobotę, Rona przewieziono z aresztu na komendę. Czekali na niego Smith i Rogers, którzy wrócili już z podniecającego przesłuchania w Oklahomie. Teraz chcieli zmusić do gadania Rona.

Przesłuchanie to zaplanowano już w przededniu aresztowania. Właśnie wyszły Sny Ady i niektórzy mocno krytykowali stosowane przez nich metody. Postanowiono, że Smitha, który mieszkał w Adzie, zastąpi Rusty Featherstone, który mieszkał w Oklahoma City. Postanowiono również nie nagrywać nic na wideo.

Dennis Smith był na komendzie, ale trzymał się z dala od sali przesłuchań. Prowadził śledztwo od ponad czterech lat, przez cały ten czas wierzył w winę Williamsona, mimo to zdecydował, że w tym - najważniejszym - udziale nie weźmie.

Komenda w Adzie była dobrze wyposażona w sprzęt audiowizualny i często z niego korzystano. Przesłuchania, a zwłaszcza przyznania się do winy, niemal zawsze nagrywano. Policja dobrze zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie wywołuje takie nagranie na przysięgłych. Wystarczyło spytać Warda i Fontenota. Drugie badanie Rona na wykrywaczu kłamstw, to przed czterema laty, zostało nagrane przez Featherstone'a.

Kiedy przesłuchań nie rejestrowano na wideo, często nagrywano je na magnetofon. Policja miała mnóstwo magnetofonów.

A jeśli nie robiono ani tego, ani tego, proszono podejrzanego, żeby spisał zeznania własnoręcznie, oczywiście pod warunkiem, że nie był analfabetą. Jeżeli zaś był, zeznanie spisywał jeden z detektywów, który odczytywał je następnie na głos i dawał do podpisania podejrzanemu.

Żadnej z tych technik nie wykorzystano dziewiątego maja. Featherstone wyjął notatnik i na oczach Williamsona, który umiał czytać i pisać i miał zasób słownictwa większy niż przesłuchujący go detektywi, zaczął skrzętnie notować. Ron potwierdził, że rozumie swoje prawa i zgodził się rozmawiać.

Policyjna wersja tego przesłuchania wygląda tak:

WILLIAMSON powiedział: „Dobra, ósmego grudnia 1982 roku. Pod Latarnią bywałem często i byłem tam wieczorem ósmego, bo szukałem dziewczyny, ładnej jakiejś, żeby potem z nią pójść”.

WILLIAMSON urwał i chciał chyba zakląć, ale nie zaklął, tylko zaczął mówić dalej: „Pomyślałem, że tej nocy zdarzy się coś złego i poszedłem za nią do domu”.

WILLIAMSON znowu urwał, zaczął opowiadać o kradzieży sprzętu wideo, a potem powiedział: „Byłem z DENNISEM. Pojechaliśmy do Holiday Inn, powiedzieliśmy tej dziewczynie, że w samochodzie jest barek, no to wsiadła”.

Potem zaczął mówić urwanymi zdaniami i agent ROGERS poprosił go, żeby się skupił i wrócił do sprawy DEBBIE CARTER. WILLIAMSON powiedział: „Dobra, śniło mi się zabójstwo DEBBIE CARTER. Leżałem na niej, zarzuciłem jej kabel na szyję, dźgnąłem ją kilka razy nożem i mocno zacisnąłem sznur”.

WILLIAMSON dodał: „Martwię się, jak to przyjmie moja rodzina” i: „Matka już nie żyje”.

Agent ROGERS spytał WILLIAMSONA, czy on i DENNIS byli tam tamtej nocy i WILLIAMSON odrzekł: „Tak”. Agent FEATHERSTONE spytał go: „Czy poszliście tam z zamiarem zabójstwa?”, na co WILLIAMSON odpowiedział: „Prawdopodobnie”. Agent FEATHERSTONE spytał: „Dlaczego?” WILLIAMSON odpowiedział: „Wkurzyła mnie”.

Agent FEATHERSTONE: „To znaczy? Była dla ciebie niedobra? Wredna?” WILLIAMSON: „Nie”.

Chwilę milczał i dodał: „Boże, nie myślcie chyba, że się przyznam. Muszę chronić rodzinę, muszę chronić siostrzeńca. Moją siostrę to do bije. Matki nie mogę już zranić, bo nie żyje. Myślę o tym, odkąd się to stało”.

O 19.38 WILLIAMSON powiedział:, Jeśli zamierzacie postawić mnie za to przed sądem, to chcę pogadać z TENNEREM z Tulsy. Nie, z DAVIDEM MORRISEM”.

Wzmianka o adwokacie wystraszyła ich i zrobili przerwę. Zadzwonili do Davida Morrisa, który polecił im natychmiast przerwać przesłuchanie. Ron nigdy tego zeznania nie podpisał. I nigdy mu go nie pokazano.

**Wzmocnione** kolejnym snem śledztwo układało się po myśli policji i prokuratury. Po przesłuchaniach Warda i Fontenota wiedziano już, że brak namacalnych dowodów rzeczowych nie powinien nikomu przeszkadzać. To, że Debbie Carter nie została dźgnięta nożem, też nie miało znaczenia. Wystarczyło tylko porządnie wstrząsnąć ławnikami i na pewno posłuchają oskarżyciela.

Skoro jeden sen mógł Williamsona zdemaskować, drugi mógł wysłać go do celi śmierci. Kilka dni później przed drzwiami celi Rona przystanął strażnik nazwiskiem John Christian. On i Ron dorastali w tej samej okolicy. W domu Christianów było dużo chłopców, w tym jeden w wieku Rona, i często zapraszano go na lunch czy kolację. Grali razem w baseball na ulicy, chodzili do tego samego gimnazjum.

Nieleczony i pozbawiony leków Ron nie należał do przykładowych aresztantów. Areszt hrabstwa Pontotoc to pozbawiony okien betonowy bunkier, który z jakiegoś powodu zbudowano w zachodniej części trawnika przed gmachem sądu. Ma ciasne, bardzo niskie cele, panuje tam klaustrofobiczna wprost atmosfera, a kiedy któryś z aresztantów krzyczy, wszyscy go słyszą. Ron krzyczał często. Jeśli natomiast nie krzyczał, to śpiewał, płakał, zawodził, narzekał, zaklinał się, że jest niewinny albo wygłaszał długie tyrady na temat Debbie Carter. Osadzono go w jednej z dwóch izolatek jak najdalej od zatłoczonej celi zbiorowej, lecz areszt był tak mały, że Ron potrafił narzabiać, nawet siedząc w odosobnieniu.

Uspokoić go mógł tylko John Christian i aresztanci cieszyli się, kiedy obejmował służbę. Przychodził, natychmiast szedł do jego celi i go uspokajał. Rozmawiali o starych czasach, o dzieciństwie, o baseballu, o kumplach z ulicy. Rozmawiali też o morderstwie Debbie i o tym, jakie to niesprawiedliwe, że oskarżono o nie Rona. Przez osiem godzin Ron był spokojny. Separatka przypominała szczurzą norę, mimo to potrafił tam spać i czytać. Przed zdaniem służby Christian zaglądał do niego i widział, jak jego dawny kolega krąży po celi, paląc i nakręcając się na powitanie nowych strażników.

Późnym wieczorem dwudziestego drugiego maja nie spał. Wiedział, że służbę ma Christian i zawołał go, żeby pogadać o morderstwie. Przeczytał Sny Ady i powiedział, że on też mógłby mieć taki sen. Według Christiana, jego słowa brzmiały następująco: „A teraz wyobraź sobie, że wszystko to mi się przyśniło. Wyobraź sobie, że mieszkałem w Tulsie, że przez cały dzień chlałem i ćpałem, a potem pojechałem do klubu Buzzy'ego (Pod Latarnię), wypilem tam jeszcze trochę i jeszcze bardziej się wlałem. Załóżmy, że trafiłem jakoś pod drzwi Debbie Carter, że zapukałem i że ona powiedziała «Chwileczkę, mam telefon». Wyobraź sobie, że wyważyłem te drzwi, że zgwałciłem ją i zabiłem”.

Potem dodał: „Nie sądzisz, że gdybym ją zabił, to pożyczylbym od kumpli trochę szmalu i prysnął z miasta?”

Christian nie zaprzętał sobie tym głowy, mimo to powtórzył rozmowę koledze strażnikowi. Ten powtórzył ją komuś innemu i w końcu dowiedział się o niej Gary Rogers, który natychmiast zwietrzył szansę na dodatkowy dowód przeciwko mordercy. Dwa miesiące później poprosił Christiana, żeby ten przypomniał sobie, o czym wtedy rozmawiali. Rogers napisał raport, postawił cudzysłów tam, gdzie chciał i tak policja oraz prokuratura dostały do ręki drugi „sen” z przyznaniem się do winy. W raporcie nie wspomniano ani słowem, że podczas rozmowy Ron wielokrotnie zaprzeczał, jakoby miał coś wspólnego z zabójstwem.

Ale fakty były jak zwykle nieważne. W chwili popełnienia morderstwa Ron nie mieszkał w Tulsie. Nie miał ani samochodu, ani prawa jazdy.

## Rozdział 7

**Annette Hudson** i Renee Simmons były zdruzgotane wiadomością o aresztowaniu i oskarżeniu brata. W październiku Ron wyszedł z więzienia i od tamtej pory niepokoił je pogarszający się stan jego zdrowia psychicznego i fizycznego, ale nie miały pojęcia, że zawisnie nad nim widmo podejrzenia o morderstwo. Plotki krążyły od lat, ale minęło tyle czasu, że założyły, iż policja ma już na oku innych podejrzanych i zajmuje się teraz nimi. Leżąc na łożu śmierci, Juanita była przekonana, że przedstawiła Dennisowi Smithowi wyraźny dowód niewinności syna. Annette i Renee też w to wierzyły.

Obydwie żyły skromnie: wychowywały dzieci, od czasu do czasu gdzieś pracowały, opłacały rachunki i oszczędzały, kiedy było to możliwe. Nie miały pieniędzy na wynajęcie adwokata. Annette rozmawiała z Davidem Morrissem, ale on nie był zainteresowany sprawą. John Tanner mieszkał w Tulsie, a więc za daleko, poza tym był za drogi.

Chociaż Ron ciągał je po sądach wiele razy, nie były przygotowane na jego nagłe aresztowanie i zarzut morderstwa. Odsunęli się od nich przyjaciele. Ludzie zaczęli gapić się na nie i szeptać. Znajoma powiedziała Annette:

- To nie twoja wina. Nie odpowiadasz za czyny brata.

- Mój brat jest niewinny - odparowała Annette. Powtarzały to z siostrą nieustannie, ale niewielu chciało tego słuchać. Zapomnijmy o domniemaniu niewinności. Policja ma podejrzanego - czy aresztowaliby go, gdyby był niewinny?

Michael, syn Annette, naonczas piętnastoletni drugoklasista, musiał wziąć udział w szkolnej dyskusji na temat lokalnych wydarzeń, z których najważniejszym było oczywiście aresztowanie Rona Williamsona i Dennisa Fritza. Ponieważ nazywał się Hudson, żaden z kolegów nie wiedział, że to



jego wujek jest oskarżony o morderstwo. W dyskusji zdecydowanie przeważały opinie negatywne. Nazajutrz rano Annette przyszła do szkoły i załatwiła sprawę. Nauczyciel bardzo ją przeproszał i obiecał interweniować, gdyby sytuacja się powtórzyła.

Renee i Gary Simmonsowie mieszkali w Chickasha, mniej więcej godzinę jazdy od Ady, dzięki czemu mogli zaznać trochę spokoju. Natomiast Annette z Ady nie wyjechała i chociaż rozpaczliwie pragnęła stamtąd uciec, musiała zostać, żeby wspierać swego małego braciszka.

**W niedzielę** dziesiątego maja na pierwszej stronie „Ada Evening News” zamieszczono artykuł o aresztowaniu wraz ze zdjęciem Debbie Carter. Większość szczegółów dostarczył Bill Peterson. Potwierdził, że zwłoki zostały ekshumowane i że tajemniczy odcisk na ścianie mieszkania Debbie należy do ofiary. Twierdził, że policja podejrzewała aresztowanych od ponad roku, ale nie wyjaśnił, na jakiej podstawie. Na temat samego śledztwa powiedział: „Mniej więcej przez pół roku mieliśmy nóż na gardle i musieliśmy w końcu zdecydować, jak się do tego zabrać”.

Szczególną uwagę zwracał fakt, że w sprawę była zaangażowana FBI. Dwa lata wcześniej miejscowa policja poprosiła ich o pomoc. Chociaż Peterson nie wspominał o tym w wywiadzie, specjaliści z FBI przeanalizowali materiał dowodowy i dostarczyli policji portret psychologiczny zabójców.

Nazajutrz gazeta opublikowała kolejny artykuł, tym razem z policyjnymi zdjęciami Rona i Dennisa. Nawet jak na zdjęcia tego typu, wyglądali na nich tak paskudnie, że skazałby ich każdy sąd.

Artykuł powielał informacje z poprzedniego dnia, zwłaszcza to, że obydwo podejrzanych aresztowano i oskarżono za brutalny gwałt, za gwałt z użyciem narzędzia i za morderstwo pierwszego stopnia. Co dziwne, „wysocy urzędnicy” nie chcieli ujawnić, czy oskarżeni złożyli jakieś oświadczenie w sprawie. Jedno przyznanie się do winy, drugie, trzecie: dziennikarze z Ady najwyraźniej przywykli do tego tak bardzo, że z góry założyli, iż w sprawach karnych jest to coś zupełnie normalnego.

Chociaż władze zataiły wiadomość o pierwszym „śnie” Rona, opublikowały dobrowolne oświadczenie pisemne złożone pod przysięgą, które wykorzystano jako podstawę do uzyskania nakazu aresztowania. Cytowany w artykule fragment mówił, że: „...zarówno włosy łonowe jak i głowowe, zebrane z ciała i pościeli Debbie Carter, są mikroskopowo zgodne z próbkami włosów Ronalda Keitha Williamsona i Dennisa Fritza”.

No, a poza tym, obydwaj podejrzani byli w przeszłości karani. Ron miał na koncie piętnaście wykroczeń - prowadzenie samochodu po pijanemu i temu podobne — oraz posługiwanie się sfałszowanym środkiem płatniczym, za co trafił do więzienia. Fritza natomiast obciążały dwa wyroki za jazdę po pijanemu, kilka mandatów oraz stary wyrok za marihuanę.

Bill Peterson jeszcze raz potwierdził, że zwłoki Debbie Carter ekshumowano celem ponownego zbadania krwawego odcisku dłoni na ścianie, który okazał się odciskiem ofiary. Dodał, że Fritza i Williamsona „podejrzewano od ponad roku”.

Na zakończenie autor artykułu przypominał wszystkim zainteresowanym, że: „Carter udusiła się, gdy podczas gwałtu wepchnięto jej do gardła myjkę”.

**Tego** samego poniedziałku Rona przeprowadzono przez trawnik do odległego o pięćdziesiąt kroków sądu, gdzie stanął przed Johnem Davidem Millerem, sędzią odpowiedzialnym za postępowania wstępne. Oświadczył, że nie ma adwokata i że nie jest pewien, czy go na niego stać. Odprawiono go z powrotem do aresztu.

Kilka godzin później więzień nazwiskiem Mickey Wayne Harrell słyszał podobno, jak Ron płacze i mówi: „Przepraszam, Debbie”. Natychmiast zameldował o tym strażnikowi. Potem Ron miał jakoby prosić go o wytatuowanie na ramieniu napisu: „Ron kocha Debbie”.

Ponieważ na wokandzie były dwie nowe sprawy, w areszcie kipiało od plotek. Jak zwykle rozpoczęły się gry i manewry kapusiów, którzy byli tu od zawsze, ponieważ miejscowa policja od zawsze szła z nimi na współpracę. Najszybszym sposobem na odzyskanie wolności, albo przynajmniej na zmniejszenie wyroku, było podsłuchać, albo twierdzić, że się podsłuchało, jak wysoko ceniony podejrzany przyznaje się całkowicie - albo chociaż częściowo — do przestępstwa, następnie wymienić tę informację na atrakcyjny układ z prokuratorem. W większości więzień i aresztów zjawisko donosicielstwa występuje rzadko, ponieważ kapusie boją się zemsty kolegów. W Adzie się panoszyło, bo przynosiło bardzo dobre wyniki.

**Dwa** dni później Rona przyprowadzono do sądu, żeby omówić kwestię reprezentacji prawnej. Znowu stanął przed sędzią Millerem i sprawy z miejsca przybrały zły obrót. Wciąż nieleczony Ron był głośny i wojowniczy i natychmiast zaczął krzyknąć:

- Ja nikogo nie zabiłem! Zaczynam mieć dość tych oskarżeń. Współczuję jej rodzinie, ale...

Sędzia Miller próbował go uciszyć, ale Ron chciał się wygadać.

- Nie zabiłem jej. Nie wiem, kto to zrobił. Żyła wtedy moja matka, ona wiedziała, gdzie byłem.

Miller próbował wytłumaczyć mu, że na przesłuchaniach wstępnych po-zwanemu nie wolno zabierać głosu w sprawie, lecz Ron krzychał dalej:

- Chcę, żeby wycofano wszystkie zarzuty. To jakiś absurd.

Sędzia spytał go, czy zarzuty te rozumie, na co Ron odparł:

- Jestem niewinny, nigdy nie byłem w jej towarzystwie, nigdy nie byłem z nią w samochodzie.

Odczytywano mu jego prawa, a on krzychał:

- Trzy razy mnie aresztowano i za każdym razem próbowano mi wmó-wić, że miałem coś wspólnego z tym morderstwem.

Gdy sędzia przeczytał na głos nazwisko Dennisa Fritza, Ron przerwał mu, mówiąc:

— Ten facet nie ma z tym nic wspólnego. Znałem go wtedy. Nie bywał Pod Latarnią.

Sędzia kazał w końcu zaprotokółować, że oskarżony nie przyznaje się do winy. Rona odprowadzono do aresztu; idąc, z goryczą przeklinał. Annette patrzyła na niego i cicho płakała.

Odwiedzała go codziennie, a jeśli strażnicy pozwolili, nawet dwa razy dziennie. Większość z nich dobrze znała, a oni znali Ronniego i lekko na-ginali przepisy, żeby mogła częściej u niego bywać.

Ron był niezrównoważony, wciąż nieleczony i potrzebował fachowej pomocy. Był wzburzony i rozżalony, że aresztowano go za przestępstwo, którego nie popełnił. Czuł się również poniżony. Przez cztery i pół roku żył z piętnem podejrzanego o niewyobrażalną wprost zbrodnię. Wystarczyło już samo podejrzenie. Ada była jego rodzinnym miastem. Mieszkali tu jego krewni, jego byli i obecni znajomi, ludzie, którzy widzieli, jak dorastał, pod okiem których chodził do kościoła, fani, którzy wciąż pamiętali go jako świętego baseballistę. Spojrzenia i szeptu bolały, lecz znosił je od lat. Był niewinny i przekonany, że prawda - jeśli policja kiedykolwiek ją odkryje - oczyści jego nazwisko.

Ale to, że nagle go aresztowano i osadzono, to, że na pierwszej stronie miejscowej gazety zamieszczono jego zdjęcie, kompletnie go zdruzgotało.

Nie był nawet pewien, czy kiedykolwiek widział tę Carter.

**Kiedy** Dennis Fritz siedział w aresztanckiej celi w Kansas City, czekając na proces ekstradycyjny, po którym miał wrócić do Ady, uderzyła go niezwykła ironia, jaką było jego aresztowanie. Morderstwo? Przez wiele lat musiał stawić czoło następstwom zabójstwa swojej żony i wiele razy sam czuł się jak ofiara.

Morderstwo? Nigdy nie zrobił nikomu krzywdy fizycznej. Był niski i drobny, nie lubił się bić i nie znosił przemocy. Tak, oczywiście, bywał w wielu barach i niebezpiecznych knajpach, ale zawsze udawało mu się stamtąd wysliznąć, zanim wybuchła rozróżba. Jeśli Ron Williamson sam nie wszczął awantury, zwykle jakąś kończył - Williamson, ale nie on. Jego podejrzewano tylko ze względu na to, że się przyjaźnili.

Fritz napisał długi list do „Ada Evening News”, żeby wyjaśnić, dlaczego nie chce ekstradycji. Odmówił powrotu ze Smithem i Rogersem, ponieważ nie mógł uwierzyć, że oskarżono go o morderstwo. Był niewinny, nie miał z tym nic wspólnego i potrzebował czasu, żeby zebrać myśli. Próbował znaleźć dobrego adwokata, rodzina zbierała pieniądze.

Streścił dotychczasowy przebieg śledztwa w jego sprawie. Ponieważ nie miał nic do ukrycia i chciał współpracować, zrobił wszystko, czego żądała policja: zgodził się na pobranie odcisków palców, próbek pisma, śliny i włosów (a nawet wąsów); poddał się dwóm badaniom na wykrywaczu kłamstw, testom, które - według Dennisa Smitha - „fatalnie oblał”; dowiedział się potem, że nie oblał żadnego.

Na temat samego śledztwa napisał tak:

Od trzech i pół roku mają dostęp do moich odcisków palców, do próbek pisma i włosów, więc gdyby próbki te pasowały do jakichkolwiek dowodów rzeczowych, znalezionych na miejscu przestępstwa, już dawno by mnie aresztowano. Ale - według artykułu w Waszej gazecie - mniej więcej pół roku temu policja miała nóż na gardle i musiała w końcu zdecydować, Jak się do tego zabrać”. Nie jestem głupi i wiem, że badanie dowodów rzeczowych, i porównywanie ich z materiałem dobrowolnie dostarczonym przez podejrzanego, w każdym laboratorium kryminalistycznym trwa o wiele krócej.

Dennis, były nauczyciel przedmiotów ścisłych, zainteresował się badaniem włosów wiele lat przed tym, jak przekazał policji próbki włosów. Jego list zawierał następujący akapit: „Jak można oskarżyć mnie o morderstwo na podstawie tak wątpliwych dowodów rzeczowych jak ludzkie włosy, na których podstawie można jedynie ustalić grupę etniczną? Każdy biegły sądowy dobrze wie, że jest ponad pół miliona ludzi, których włosy wykazują identyczne cechy”.

Zakończył rozpaczliwym zapewnieniem o swojej niewinności i pytaniem: „Czy jestem winny, dopóki nie udowodni mi się niewinności, czy niewinny, dopóki nie udowodni mi się winy?”

**W hrabstwie** Pontotoc nie było obrońcy publicznego na pełnym etacie. Oskarżeni, którzy nie mogli sobie pozwolić na adwokata, oświadczaali pod przysięgą, że są ubodzy i sędzia wyznaczał im obrońcę z urzędu.

Ponieważ niewielu ludzi bogatych popełnia ciężkie przestępstwa, w większości tego rodzaju spraw występują z urzędu obrońcy dla ubogich. Rabunek, narkotyki i napaść to przestępstwa typowe dla niższych klas społecznych, a ponieważ większość oskarżonych okazuje się w końcu winna, wyznaczeni przez sąd obrońcy muszą analizować sprawę, przesłuchiwać świadków, dogadywać się z prokuraturą i odwalać papierkową robotę, a wszystko to za bardzo skromne honorarium.

Honoraria te są w Oklahomie tak skromne, że większość adwokatów woli unikać tego rodzaju spraw. System dobieranych na chybił trafił obrońców dla ubogich nęka wiele problemów. Sędziowie często przydzielają sprawy adwokatom bez żadnego doświadczenia w sprawach karnych. Nie ma pieniędzy na biegłych oraz na inne wydatki.

Małomiasteczkowej adwokatury nic nie przeraża bardziej niż proces o morderstwo zagrożone karą śmierci - jej członkowie rozpierzchają się wtedy na wszystkie strony. Dzięki procesowej jawności każdy adwokat z urzędu jest uważnie obserwowany — adwokat i jego walka o obronę praw ubogiego przestępcy, częstokroć oskarżonego o potworne zbrodnie. Walka ta zajmuje niejednokrotnie tyle czasu, że może doprowadzić do zamknięcia kancelarii. Honorarium ma się nijak do ilości pracy. Odwołania ciągną się w nieskończoność.

Największy strach wzbudza to, że nikt nie zgodzi się reprezentować oskarżonego i sędzia wyznaczy obrońcę z urzędu. W trakcie posiedzenia sądu w większości sal wprost roi się od adwokatów, lecz w salach tych robi się cicho jak w grobie, ilekroć wchodzi tam oskarżony o morderstwo zagrożone najwyższym wymiarem kary, żeby złożyć pod przysięgą oświadczenie, że jest człowiekiem ubogim. Adwokaci uciekają wtedy do swoich biur, zamykają drzwi na klucz i wyłączają telefony.

**Chyba** najbardziej barwną postacią sądu w Adzie był Barney Ward, niewidomy adwokat znany z opryskliwości, przechwałek, ciężkiej pracy i z tego,

że był autorem lub bohaterem niemal wszystkich plotek krążących w miejscowym świątku prawniczym. Człowiek ten wiedział absolutnie o wszystkim, co działo się w sądzie.

Barney stracił wzrok jako nastolatek, podczas nieudanego doświadczenia na lekcji chemii. Potraktował tę tragedię jako chwilowe niepowodzenie i ukończył szkołę średnią. Potem poszedł do college'u w Adzie, gdzie matka pomagała mu jako lektorka. Ukończywszy college, pojechał do Norman i wstąpił na Uniwersytet Oklahomski, gdzie studiował prawo; tam też pomagała mu matka. Zrobił dyplom, zdał egzamin adwokacki, wrócił do Ady i zaczął ubiegać się o stanowisko prokuratora. Pokonał wszystkich rywali i piastował ten urząd przez kilka lat. W połowie lat pięćdziesiątych otworzył prywatną kancelarię adwokacką specjalizującą się w sprawach karnych i już wkrótce zyskał reputację znakomitego obrońcy. Umiał szybko podejmować decyzje i zawsze potrafił wypatrzeć słaby punkt w zeznaniach świadka strony przeciwnej. Na przesłuchaniach często bywał agresywny i uwielbiał się kłócić.

Podczas jednej ze swoich legendarnych potyczek słownych uderzył, a właściwie chciał uderzyć, kolegę po fachu. On i David Morris wyklócali się w sądzie o materiał dowodowy. Obydwaj byli sfrustrowani, atmosfera była napięta i wtedy Morris popełnił błąd, mówiąc: „Wysoki Sądzie, nawet ślepy by to zauważył”. Barney rzucił się na niego - a raczej w jego stronę - wziął tęgi zamach i zadał mu prawy sierpowy, który chybił ledwie o włos. Przywrócono porządek. Morris przeprosił go, lecz od tej pory trzymał się od niego z daleka.

Wszyscy znali Barneya i często widywali go w sądzie z jego wierną asystentką Lindą, która czytała mu i robiła notatki. Czasami chodził ze specjalnie wyszkolonym psem-przewodnikiem, ale zwykle wołał jakąś młodą damę. Był bardzo przyjacielski i nigdy nie zapominał raz usłyszanego głosu. Koledzy wybrali go przewodniczącym adwokatury, i to bynajmniej nie dlatego, że mu współczuli. Był tak lubiany, że zaproponowano mu nawet członkostwo klubu pokerowego. Na pierwsze spotkanie przyniósł karty oznaczone alfabetem Braille'a. Oświadczył, że tylko on umie je rozdawać: rozdał i zaczął wygrywać partię za partią. Koledzy doszli do wniosku, że lepiej niech już tylko gra, a rozdawanie pozostawi innym. Szczęście natychmiast się od niego odwróciło: wciąż wygrywał, chociaż znacznie rzadziej niż przedtem.

Koledzy prawnicy zapraszali go co roku na polowanie na jelenia. Była to całotygodniowa wyprawa tylko dla chłopców: morze bourbona, codziennie poker, świńskie dowcipy, gorący gulasz, a jeśli czas pozwolił, to i polowanie.

Marzeniem Barneya było ustrzelenie jelenia. Koledzy wypatrzyli w lesie ładnego jelenia, po cichu podprowadzili Barneya na pozycję, dali mu sztucer, starannie ułożyli mu go na ramieniu, wycelowali i szepnęli: „Wal”. Barney pociągnął za spust i chociaż straszliwie spudłował, kumple twierdzili, że jelen o włos uniknął śmierci. Barney opowiadał tę historię przez wiele lat.

Tak jak wielu ostro pijących, musiał w końcu z tym skończyć. W czasach, gdy chodził jeszcze z psem, musiał go w końcu wymienić na nowego, bo ten stary zawsze prowadził go do sklepu alkoholowego. Barney musiał tam często bywać, bo miejscowa legenda głosiła, że kiedy wreszcie przestał, sklep szybko zbankrutował.

Uwielbiał pieniądze i nie miał cierpliwości do klientów, którzy nie mogli mu zapłacić. „Niewinny, dopóki ma kasę” - taką wyznawał zasadę. Ale w połowie lat osiemdziesiątych nie był już w kwiecie wieku. Bywało, że nie przychodził na rozprawę, bo zasnął. Nosił grube, ciemne okulary, które zasłaniały pół twarzy, i sędziowie często nie wiedzieli, czy Barney słucha czy śpi. Szybko wykorzystali to jego przeciwnicy, przyjmując strategię — zawsze szeptałą, bo Barney wszystko słyszał - celowego przeciągania rozprawy do popołudnia, kiedy to zwykle ucinął sobie drzemkę. Jeżeli udało się komuś dotrzeć do trzeciej, jego szanse na wygraną znacznie rosły.

Dwa lata wcześniej zgłosiła się do niego rodzina Tommy'ego Warda — nie byli spokrewnieni — ale nie przyjął jego sprawy. Był przekonany, że Ward i Fontenot są niewinni, lecz wolał nie zajmować się sprawami o morderstwo zagrożone karą śmierci. Roboty papierkowej było przy nich co niemiara, a ta nie należała do jego mocnych stron.

Teraz zwrócono się do niego ponownie. Sędzia John David Miller spytał go, czy zechce reprezentować Rona Williamsona. W sprawach karnych Barney był najbardziej doświadczonym adwokatem w hrabstwie i sąd potrzebował jego wiedzy. Po krótkim wahaniu powiedział: „Tak”. Jako prawnik-purysta, znał na wylot całą konstytucję i mocno wierzył, że każdy oskarżony, bez względu jak bardzo niepopularny czy nie lubiany, ma prawo do energicznej obrony.

Pierwszego czerwca 1987 sąd wyznaczył go obrońcą Rona, jego pierwszego klienta zagrożonego najwyższym wymiarem kary. Annette i Renee były zadowolone. Znały Barneya i wiedziały, że cieszy się opinią najlepszego adwokata w hrabstwie.

Obrońca i klient źle wystartowali. Ron miał dość aresztu, a areszt dość Rona. Narady odbywały się w małej sali, tuż przy frontowych drzwiach, w miejscu - według Barneya - zbyt przytulnym dla tak niesforne go klienta.

Zadzwoił gdzie trzeba i kazał go przebadać. Ronowi przepisano zapas torazyny i ku uldze Barneya - tudzież całego aresztu - lekarstwo podziałało znakomicie. Prawdę mówiąc, podziałało tak dobrze, że strażnicy nadużywali go, żeby zapewnić w areszcie spokój. Ron spał po nim jak niemowlę.

Ale podczas jednej z narad ledwo mógł mówić. Barney pogadał ze strażnikami, zmniejszono dawkę i Ron natychmiast ożył.

Współpracował niechętnie. Mówił dużo, lecz był to w sumie ciąg nieustannych zaprzeczeń. Po prostu wrobiono go, tak samo jak Warda i Fontenota. Barney był sfrustrowany już od pierwszego dnia, mimo to dzielnie parł naprzód.

**Glen Gore** siedział w areszcie pod zarzutem uprowadzenia i napaści. Jego obrońcą z urzędu był Greg Saunders, młody adwokat, który niedawno otworzył w Adzie kancelarię specjalizującą się w sprawach cywilnych. Pewnego razu, podczas narady w areszcie, omal nie pobił się z Gore'em. Poszedł do sądu i złożył rezygnację. Sędzia Miller jej nie przyjął, więc Saunders powiedział, że jeśli tylko pozbędzie się Gore'a, chętnie przyjmie każdą następną sprawę o morderstwo zagrożone karą śmierci. Zgoda, odparł Miller. Od tej chwili reprezentuje pan Dennisa Fritza.

Chociaż Saunders bał się tej sprawy, ekscytowała go perspektywa bliskiej współpracy z Barneyem Wardem. Już jako student college'u w Adzie marzył o adwokaturze i często urywał się z zajęć, kiedy Barney występował w sądzie. Wiele razy widział, jak jego niedościgniony wzór rozszarpywał na kawałki niepewnych świadków i zastraszał oskarżycieli. Barney szanował sędziów, lecz się ich nie bał, potrafił również gawędzić z przysięgłymi. Nigdy nie podpierał się swoim kalectwem, lecz w kluczowych momentach potrafił wykorzystać je do wzbudzania współczucia i sympatii. Dla Grega Saundersa był błyskotliwym adwokatem i obrońcą.

Pracując niezależnie, lecz i po cichu współpracując, składali wniosek za wnioskiem i szybko zapędzili prokuraturę do pracy. Jedenastego czerwca sędzia Miller otworzył przesłuchanie w sprawach podniesionych zarówno przez oskarżenie jak i przez obronę. Barney domagał się listy wszystkich świadków, których zamierzał powołać jego adwersarz. Wymagało tego obowiązujące w Oklahomie prawo, lecz Bill Peterson najwyraźniej go nie znał. Barney wszystko mu wytłumaczył. Oskarżenie chciało ujawnić tylko tych świadków, których zamierzało powołać podczas rozprawy wstępnej. Nie, nic z tego, panowie, oświadczył sędzia i kazał Petersonowi ujawnić wszystkich.



Barney był w przebojowym nastroju i większość jego wniosków przeszła. Wykazywał też oznaki sfrustrowania. Wspomniał kiedyś na stronie, że jest tylko obrońcą z urzędu i nie chce poświęcać sprawie zbyt dużo czasu. Poprzysiągł zrobić, co się da, lecz martwił się, że proces go dobije.

Nazajutrz złożył wniosek o dodatkowego obrońcę. Oskarżenie nie zgłosiło sprzeciwu i szesnastego czerwca sędzia Miller przydzielił mu do pomocy Franka Babera. Prawne przepychanki i wojna na papierki nie ustawała. Obydwie strony przygotowywały się do rozprawy wstępnej.

**Dennisa Fritza** osadzono w celi mieszczącej się niedaleko celi Rona Williamsona. Dennis nie widział go, ale na pewno słyszał. Ron nieustannie krzyczał, chyba że strażnicy podali mu końską dawkę leków. Godzinami opierał się o kraty w drzwiach i wrzeszczał: „Jestem niewinny. Jestem niewinny”. Jego chrapliwy głos niósł się po całym budynku. Był jak ranne zwierzę w klatce, które rozpaczliwie wzywa pomocy. Aresztanci byli już i tak zestresowani, a jego skrzekliwy głos napawał ich jeszcze większym lękiem.

Niektórzy odkrzykiwali mu i drażnili się z nim, mówiąc, że zabił Debbie Carter. Kłótnie i przekleństwa były czasem zabawne, lecz zwykle wykańczały wszystkich nerwowo. Strażnicy przenieśli Rona do celi ogólnej, gdzie przebywało kilkunastu innych aresztantów, i był to krok katastrofalny w skutkach. Osadzeni nie mieli ani odrobiny prywatności i tłoczyli się tam jak szprotki w puszcze. Ron nie respektował niczyjej przestrzeni życiowej. Szybko napisano podanie. Aresztanci prosili w nim o przeniesienie Rona z powrotem do izolatki. Żeby zapobiec buntowi i ewentualnemu zabójstwu, strażnicy się na to zgodzili.

W areszcie bywały również długie okresy ciszy i spokoju i wszyscy, klawisze, i osadzeni, oddychali wówczas z prawdziwą ulgą. Niebawem wiadano już, że spokój ten zapada tylko wtedy, gdy na służbie jest John Christian albo gdy Ron dostaje olbrzymią dawkę torazyny.

Torazyna uspokajała go, chociaż miewała skutki uboczne. Często swędziały go po niej nogi i Ron stawał wówczas przy kratkach, wyginając się na wszystkie strony i kiwając jak kaczką. Trwało to godzinami i „torazynowy taniec” stał się wkrótce nieodłącznym elementem aresztanckiego życia.

Fritz próbował do niego przemawiać, uspokajać go, lecz na próżno. Krzykliwe zapewnienia Rona o niewinności rozdzierały serce zwłaszcza tym, którzy najlepiej go znali. Było oczywiste, że Ron potrzebuje czegoś więcej niż buteleczki tabletek.

**Neuroleptyki** to inaczej leki trankwilizujące albo antypsychotyczne; używa się ich głównie do leczenia schizofrenii. Torazyna, czyli chlorpromazyna, jest lekiem neuroleptycznym i ma bolesną historię. W latach pięćdziesiątych zaczęła zalewać stanowe szpitale psychiatryczne. Jest bardzo silna i znacznie redukuje poziom świadomości i zainteresowania pacjenta. Według lekarzy, którzy uważają, że jest skuteczna, leczy, modyfikując lub naprawiając chemię mózgu.

Krytycy jednak, a tych jest znacznie więcej, przytaczają wyniki badań, według których lek ten wywołuje długotrwałą i przerażającą listę skutków ubocznych: uspokojenie polekowe, apatię, osłabienie koncentracji, koszmary nocne, zaburzenia emocjonalne, depresję, rozpacz, brak spontanicznego zainteresowania otoczeniem, przytępienie świadomości i osłabienie kontroli nad czynnościami motorycznymi. Torazyna działa toksycznie na większość czynności mózgowych i niemal wszystkie je stopuje.

Najsurowsi krytycy mówią, że jest to „nic innego jak chemiczna lobotomia”. Twierdzą, że torazynę stosuje się tylko po to, żeby szpitale psychiatryczne i więzienia mogły zaoszczędzić pieniądze i żeby łatwiej można było kontrolować pacjentów i więźniów.

Ron był torazyną otumaniany, czasami na polecenie swego własnego adwokata. Często przyjmował ją bez nadzoru lekarza. Po prostu dostawał tabletkę, kiedy stawał się za głośny.

**Chociaż** Dennis Fritz mieszkał w Adzie jeszcze przez cztery lata po morderstwie, wciąż uważano, że może uciec. Podobnie jak w przypadku Rona, wyznaczono astronomiczną kaucję i jej wpłacenie nie wchodziło w rachubę. Oczywiście zakładano, że on i Williamson są niewinni — tak jak wszyscy oskarżeni przed procesem - lecz wsadzono ich za kratki, żeby nie uciekli albo nie zabili kogoś na ulicy.

Domniemano, że są niewinni, mimo to na proces musieli czekać prawie rok.

**Kilka** dni po tym, jak Dennisa osadzono w areszcie, przed drzwiami jego celi przystanął nagle człowiek nazwiskiem Mike Tenney. Gruby, łysiejący i niezbyt elokwentny miał szeroki uśmiech, był przyjaźnie nastawiony i traktował Dennisa jak starego kumpla. I bardzo, ale to bardzo chciał z nim porozmawiać o zabójstwie Debbie Carter.

Dennis mieszkał w Adzie wystarczająco długo, by wiedzieć, że więzienie czy areszt jest łęgowskim kapusiów, kłamców i bezwzględnych łotrów — wiedział również, że każda rozmowa może zostać powtórzona w sądzie w wersji zmienionej w taki sposób, żeby maksymalnie wykorzystać ją przeciwko oskarżonemu. Każdy aresztant, strażnik, policjant, każdy aresztant uprzywilejowany, dozorca, kucharz, dosłownie każdy był potencjalnym donosicielem, który tylko czyhał, żeby coś podsłuchać, a potem sprzedać to gliniarzom.

Tenney powiedział, że jest tu nowy; twierdził, że jest strażnikiem, ale tak naprawdę jeszcze nim nie był. Chociaż nikt go o to nie prosił i chociaż na pewno brakowało mu wiedzy i doświadczenia, zasypał Dennisa dobrymi radami. Uważał, że Fritz ma poważne kłopoty, że czeka go egzekucja i że jedynym sposobem ocalenia skóry jest przyznanie się do winy, dogadanie z Petersonem i zrzucenie wszystkiego na Rona Williamsona.

Peterson na pewno go nie skrzywdzi.

Dennis tylko słuchał.

Tenney nie chciał odejść. Wracał codziennie, posępnie kręcił głową nad fatalnym położeniem Dennisa, paplał coś o wymiarze sprawiedliwości, o systemie sądowym, o tym, jak ten system działa, no i absolutnie za darmo udzielał mądrych rad.

Dennis tylko słuchał.

**Rozprawę** wstępną wyznaczono na dwudziestego lipca; miał jej przewodniczyć sędzia John David Miller. Tak jak w większości pozostałych stanów, rozprawa ta jest w Oklahomie bardzo ważną częścią procesu, ponieważ oskarżenie musi wtedy wyłożyć karty na stół, przedstawić sądowi i wszystkim pozostałym swoich świadków i zapowiedzieć, co zeznają.

Najważniejszym zadaniem oskarżyciela na rozprawie wstępnej jest przekonanie sędziego, że istnieją wystarczające podstawy do tego, żeby uznać pozwanego za winnego, nie ujawniając wszystkiego obronie. Jest to gra nieczysta i trochę ryzykowna.

Zazwyczaj jednak oskarżyciel nie ma się o co martwić. Jeśli miejscowy sędzia oddali oskarżenie w sprawie karnej, będzie miał potem trudności z ponownym wyborem.

Jednakże dysponując tak nikłymi dowodami rzeczowymi zarówno przeciwko Fritzowi, jak i Williamsonowi, Bill Peterson musiał się mocno nagimnastykować. Miał tak mało do zaoferowania, że nie mógł niczego zataić. Poza tym na rozprawę mieli być reporterzy, którzy czyhali na każ de jego

słowo. Od ukazania się Snów Ady minęły już trzy miesiące, mimo to książka wciąż była przedmiotem gorących dyskusji. Rozprawa wstępna miała być pierwszym od jej wydania wystąpieniem Petersona w dużym procesie.

W sali zebrał się tłum. Przyszła matka Dennisa Fritza, przyszły Annette Hudson i Renee Simmons. Peggy Stillwell i Charlie Carter z dwiema córkami przyszli dużo wcześniej. Starzy bywalcy - prawnicy, miejscowi plotkarze, nudzący się urzędnicy, niemający nic do roboty emeryci - też czekali, żeby po raz pierwszy zobaczyć morderców. Do procesu było jeszcze daleko, lecz już za chwilę mieli usłyszeć ich na żywo.

Tuż przed rozprawą - ot, tak dla zabawy - policja poinformowała Rona, że Dennis w końcu się przyznał, że przyznając się, wplątał ich obydwu w gwałt i morderstwo i ostatecznie ich pogrążył. Ta szokująca wiadomość doprowadziła Rona do furii.

Dennis siedział spokojnie z Gregiem Saundersem przy stole obrony, przeglądając dokumenty i czekając na początek rozprawy. Wciąż skuty Ron siedział niedaleko i patrzył na niego tak jakby chciał go udusić. Nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, zerwał się z krzesła i zaczął na niego wrzeszczeć. Stół poszybował w powietrzu i wylądował na Lindzie, asystentce Barneya. Dennis rzucił się w bok i zatrzymał na miejscu dla świadków, strażnicy z kolei rzucili się na Rona, który wciąż krzychał: „Dennis! Ty parszywy skurwysynu! Załatwmy to tu i teraz!”

Jego ochrypli głos dudnił w całej sali. Barney przypadkowo oberwał i spadł z krzesła. Strażnicy chwycili Rona, skuli go i próbowali go uspokoić. Ale on wrywał się i wierzał jak szaleniec, tak że mieli co robić. Dennis Fritz, Greg Saunders i urzędnicy sądowi wycofali się na bezpieczną odległość i z niedowierzaniem patrzyli na stertę rozedrganych ciał na podłodze.

Ron był większy i silniejszy od strażników i zanim go obezwładniono, minęło dobrych kilka minut. Kiedy wywlekali go z sali, wulgarnie przeklinał i groził Fritzowi.

Gdy osiadł kurz, poustawiano krzesła i stoły i wszyscy głęboko odechnęli. Barney nie widział tej burdy, lecz wiedział - i czuł - że wziął w niej czynny udział. Dlatego wstał i oświadczył:

- Proszę o zaprotokołowanie, że niniejszym rezygnuję z obrony. Ten chłopak nie chce ze mną współpracować. Gdyby mi płacił, na pewno by mnie tu nie było. Nie mogę go reprezentować, Wysoki Sądzie, po prostu nie mogę. Nie wiem, kto podejmie się obrony, ale ja nie mogę. Uprzedzam, że jeśli moja rezygnacja nie zostanie przyjęta, odwołam się do sądu apelacyjnego. Nie zamierzam tego znościć. Jestem na to za stary, Wysoki Sądzie.

Nie chcę mieć z nim nic wspólnego, w żadnych okolicznościach. Nie wiem, czy jest winny czy nie, i nie o to mi chodzi, ale nie zamierzam tego znosić. Jeszcze trochę i rzuci się z pięściami na mnie. Jeśli to zrobi, będzie miał duże kłopoty, a ja na pewno jeszcze większe.

Sędzia Miller natychmiast odparł:

- Wniosek obrony zostaje oddalony.

**Annette** i Renee z rozdartym sercem patrzyły, jak ich brat szaleje i jak wywlekają go z sali skutego i w łańcuchach. Był chory i potrzebował pomocy, długotrwałego leczenia szpitalnego i dobrych lekarzy, którzy by się nim zajęli. Skoro nie ulegało wątpliwości, że jest niepoczytalny, jak to możliwe, żeby prokuratura wytoczyła mu proces?

Siedząca po drugiej stronie przejścia Peggy Stillwell zadrżała, patrząc na wyrwywającego się policji szaleńca i myśląc, jak potworne cierpieć musiała jej córka.

**Kilka** minut później sędzia Miller kazał przyprowadzić Rona z powrotem. W pokoju dla oskarżonych strażnicy wytłumaczyli mu, że jego zachowanie nie licuje z obliczem sądu i że zareagują stanowczo na każdy wybuch gniewu. Ale gdy tylko Ron wszedł do sali i zobaczył Dennisa Fritza, znowu posypały się przekleństwa. Sędzia odesłał go do aresztu, zarządził godzinną przerwę i kazał opróżnić salę.

W areszcie rozwścieczeni strażnicy grozili Ronowi i wielokrotnie go ostrzegali, ale on miał to gdzieś. Fikcyjne przyznania się do winy zdarzały się w hrabstwie zbyt często i po prostu nie mógł uwierzyć, że gliniarze wydusili je z Fritza. Był niewinny i nie chciał, żeby potraktowano go tak jak Warda i Fontenota. Gdyby tylko mógł chwycić Dennisa za szyję, na pewno wydusiłby z niego prawdę.

Trzecie wejście wyglądało identycznie jak dwa pierwsze. Ron przekroczył próg sali i natychmiast wrzasnął:

- Fritz, załatwmy to tu i teraz, ty i ja!

Sędzia Miller chciał coś powiedzieć, lecz nie zdążył. —Ty i ja, zaraz to załatwimy! - wrzeszczał Ron. - Ja nikogo nie zabiłem!

- Przytrzymajcie go - rozkazał strażnikom sędzia. - Panie Williamson, jeszcze jeden wybuch gniewu i rozprawa odbędzie się bez pana.

- Proszę bardzo - odparował Ron.

- Dobrze, zatem rozumie pan, że...
  - Nie chcę tu być. Wolałbym wrócić do celi.
  - Chce pan zrzec się prawa do obecności na rozprawę wstępnej?
  - Tak, chcę.
  - Nikt panu nie grozi ani nikt pana do tego nie zmusza, jest to pana własna...
  - To ja tu komuś grożę - warknął Ron, łypiąc spode łba na Fritza.
  - Czy ktoś panu groził? Jest to pańska własna decyzja, zrzeka się pan prawa do...
  - Powiedziałem, że to ja tu komuś grożę.
  - Dobrze. Nie chce pan uczestniczyć w rozprawie wstępnej, tak?
  - Nie, nie chcę.
  - Dobrze. Możecie odprowadzić go do aresztu. Proszę zaprotokołować, że oskarżony Ronald K. Williamson zrzeka się prawa do obecności w tej sali, ponieważ ciągle wybucha gniewem, wywołując ogólne zamieszanie. Sąd stwierdza, że rozprawa nie może odbyć się w jego obecności zarówno ze względu na powyższe, jak i na oświadczenie oskarżonego.
- Rona odprowadzono do aresztu i rozpoczęła się rozprawa.

**W roku 1956**, w sprawie Bishop versus Stany Zjednoczone, Sąd Najwyższy orzekł, że skazanie osoby niezdolnej do czynności prawnych unieważnia cały proces. Jeśli w przypadku jakichkolwiek wątpliwości co do stanu umysłowego oskarżonego sąd nie przeprowadzi odpowiedniego dochodzenia, proces taki jest naruszeniem jego konstytucyjnych praw.

Ron Williamson spędził w areszcie dwa miesiące, mimo to ani obrona, ani oskarżenie nie próbowało podważyć jego poczytalności. Tymczasem dowody rzucały się w oczy. Historia jego choroby była długa i sąd miał do niej pełny dostęp. Jego ciągle krzyki i wygłaszane w areszcie tyrady, chociaż w pewnym stopniu kontrolowane arbitralnym dawkowaniem leków, były wyraźnym ostrzeżeniem. Wszyscy mieszkańcy Ady, a zwłaszcza policja, dobrze wiedzieli, jaką cieszył się opinią.

W sali rozpraw też nie zachowywał się tak pierwszy raz. Dwa lata wcześniej, gdy prokurator próbował odwiesić jego wyrok za ucieczkę, Ron zakłócił przebieg rozprawy do tego stopnia, że wysłano go na badania do szpitala dla umysłowo chorych. Rozprawie przewodniczył wtedy John David Miller, ten sam sędzia Miller, który przewodniczył teraz rozprawie wstępnej. To właśnie on orzekł, że Ron nie może stanąć przed sądem ze względu na swój stan.

Ale już dwa lata później, gdy Williamsonowi groziła kara śmierci, sędzia Miller najwyraźniej nie dostrzegł potrzeby zbadania poczytalności oskarżonego.

W Oklahomie obowiązuje ustawa, która pozwala sędziemu - w tym sędziemu prowadzącemu rozprawę wstępną - zawiesić posiedzenie w przypadku podejrzeń o niepoczytalność oskarżonego. Sędzia może to zrobić nawet bez wniosku obrony. W podobnych przypadkach większość obrońców dowodzi, że ich klient od dawna ma kłopoty ze zdrowiem psychicznym i że powinno się go ponownie zbadać, jeśli jednak nie złożą takiego wniosku, obrona konstytucyjnych praw oskarżonego jest obowiązkiem sędziego.

**Milczenie** sędziego Millera powinien był przerwać Barney Ward. Jako obrońca mógł zażądać przeprowadzenia kompletnego badania psychologicznego swego klienta. Następnie powinien był wnieść o wszczęcie dochodzenia mającego ustalić, czy klient jest poczytalny i zdolny do czynności prawnych, dochodzenia takiego samego jak to, które kazał przeprowadzić David Morris dwa lata wcześniej. Ostatnim krokiem powinna być obrona oparta na zarzucie niepoczytalności pozwanego.

Pod nieobecność Rona rozprawa potoczyła się spokojnie i bez żadnych incydentów. Trwała kilka dni i przez ten czas Ron nie wychodził z celi. To, czy był w stanie powiedzieć coś na swoją obronę, nie miało najmniejszego znaczenia.

**Jako** pierwszy zeznawał dr Fred Jordan, który przedstawił wyniki sekcji zwłok i określił przyczynę śmierci: uduszenie paskiem zaciśniętym na szyi, wepchniętą do ust myjką lub - najprawdopodobniej - paskiem i myjką jednocześnie.

Serię kłamstw rozpoczął drugi świadek, Glen Gore, który zeznał, że siódmego grudnia był Pod Latarnią z przyjaciółmi, w tym z Debbie Carter, dziewczyną, z którą chodził do szkoły, i którą znał prawie od urodzenia. Debbie poprosiła go wtedy, żeby „ratował” lub „chronił ją” przez Williamsonem, który też tam wtedy był i ją nagabywał.

Nie, tego wieczoru nie widział Pod Latarnią Dennisa Fritza.

Odpowiadając na pytania obrony, zeznał, że powiedział o tym policji ósmego grudnia, jednak w policyjnym raporcie ani razu nie pada nazwisko Williamsona. Raportu tego nie okazano również obronie, czego wymagało prawo.

I tak Glen Gore stał się jedynym świadkiem, który dostarczył sądowi bezpośrednich dowodów przeciwko Ronowi. Twierdząc, że na kilka godzin przed śmiercią Debbie Carter pokłóciła się z oskarżonym, ustanowił związek przyczynowo-skutkowy między mordercą i ofiarą. Wszystkie pozostałe dowody były dowodami poszlakowymi.

Tylko prokurator tak zdeterminowany jak Bill Peterson mógł być na tyle bezczelny, żeby dopuścić do sprawy kryminalistę w rodzaju Glena Gore'a. Do sali wprowadzono go w kajdankach i łańcuchach, ponieważ odsiadywał właśnie czterdziestoletni wyrok za włamanie, uprowadzenie i usiłowanie zabójstwa funkcjonariusza policji. Pięć miesięcy wcześniej włamał się do domu swojej byłej żony Gwen i wziął dwie zakładniczki, ją i swoją własną córkę. Był pijany i przez pięć godzin przetrzymywał je pod groźbą pistoletu. Kiedy policjant Rick Carson zajrzał do domu przez okno, Gore wycelował, wypalił i trafił go w twarz; rany okazały się na szczęście niegroźne. Gore w końcu wytrzeźwiał i się poddał, ale przedtem zdążył wystrzelić do jeszcze jednego funkcjonariusza.

Nie była to jego pierwsza awantura z Gwen. W 1986, gdy ich burzliwe małżeństwo dobiegało już końca, oskarżono go o włamanie do domu żony i o to, że kilkakrotnie dźgnął ją rzeźnickim nożem. Gwen przeżyła, wniosła oskarżenie i Gore stanął przed sądem pod zarzutem dwukrotnego wtargnięcia do jej domu z zamiarem popełnienia przestępstwa oraz pod zarzutem pobicia z użyciem niebezpiecznego narzędzia.

Dwa miesiące wcześniej oskarżono go o to, że napadł ją i próbował udusić.

W 1981 został oskarżony o wtargnięcie do domu innej kobiety. Ciężył na nim również wyrok za napaść z pobiciem podczas odbywania służby wojskowej oraz wiele innych wyroków za drobne przestępstwa.

Tydzień po tym, gdy został wpisany na listę jako dodatkowy świadek oskarżenia w procesie Rona Williamsona, do prokuratury trafił wniosek o ugodę i wkrótce potem oficjalnie wycofano zarzut uprowadzenia i napaści z użyciem niebezpiecznego narzędzia. Gdy Gore został wreszcie skazany, rodzice jego byłej żony wystosowali do sądu list, w którym błagali o wieloletni wyrok. Napisali między innymi tak:

Wysoki Sąd musi wiedzieć, jak bardzo niebezpieczny jest to człowiek. Chce zabić naszą córkę, naszą wnuczkę i nas samych. Tak nam powiedział. Zrobiliśmy, co tylko mogliśmy, żeby zabezpieczyć dom córki przed włamaniem, lecz na próżno. Za długo by opisywać, ile razy napadł ją i pobił. Prosimy, niech Wysoki Sąd da naszej córce czas, żeby zdążyła wychować dziecko,



zanim ten człowiek wyjdzie z więzienia i znowu zacznie ją terroryzować, i żeby mała nie musiała znowu tego przeżywać.

**Barney Ward** od lat podejrzewał, że Glen Gore jest zamieszany w morderstwo Debbie Carter. Gore był przestępcą wielokrotnie notowanym za napaść na kobiety i człowiekiem, z którym po raz ostatni widziano Debbie żywą. Było zupełnie niezrozumiałe, dlaczego policja tak mało się nim interesowała.

Jego odciski palców nigdy nie trafiły do laboratorium kryminalistycznego Oklahomskiego Biura Śledczego. Trafiły tam odciski czterdziestu czterech osób, ale nie jego. Gore zgodził się co prawda poddać badaniu na wykrywaczu kłamstw, jednak badania takiego nigdy nie przeprowadzono. Policja z Ady zgubiła pierwszą próbkę włosów, którą dostarczył im dwa lata po zabójstwie Debbie Carter. Potem dostarczył im drugą, może nawet i trzecią. Nikt tego dokładnie nie pamiętał.

Barney, który słyszał i pamiętał wszystkie sądowe plotki, zawsze uważał, że policja powinna była przesłuchać Gore'a.

Wiedział też, że jego chłopak, Ronnie Williamson, jest niewinny.

**Tajemnica** wyjaśniła się częściowo czternaście lat później. Wciąż siedząc w więzieniu, Glen Gore podpisał złożone pod przysięgą oświadczenie, w którym stwierdził, że na początku lat osiemdziesiątych sprzedawał w Adzie narkotyki, amfetaminę. Handlował między innymi z miejscowymi policjantami, najczęściej z niejakim Dennisem Corvinem, którego opisał jako „głównego dostawcę”, i który często bywał w klubie Harolda, gdzie Gore naonczas pracował.

Ilekcroć był winny policjantom pieniądze, ci zatrzymywali go pod spreparowanym zarzutem, lecz zazwyczaj dawali mu spokój. Gore zaznał pod przysięgą, co następuje: „Na początku lat osiemdziesiątych prawie przez cały czas zdawałem sobie sprawę, że miejscowa policja traktuje mnie ulgowo, ponieważ handlowałem z nimi narkotykami”.

Oraz: „Ulgowe traktowanie skończyło się, kiedy przestałem z nimi handlować”.

Uważał, że skazano go na czterdzieści lat więzienia tylko dlatego, że, jak pisze: „przestałem sprzedawać narkotyki policjantom z Ady”.

Stwierdził również, że nie wie, czy Ron Williamson był Pod Latarnią w dniu morderstwa. Policjanci pokazali mu kilka zdjęć, wskazali zdjęcie Rona

i powiedzieli, że interesuje ich ten człowiek. „Potem dyskretnie zasugerowali mi, żebym rozpoznał go na okazaniu”.

Zeznał również, co następuje: „Po dziś dzień nie wiem, czy Ron Williamson był Pod Latarnią w dniu morderstwa Debbie Carter. Rozpoznałem go, bo chciała tego policja”.

Oświadczenie to przygotował jego pełnomocnik. Zanim Gore złożył pod nim podpis, przeczytał je również jego adwokat.

**Kolejnym** świadkiem oskarżenia był Tommy Glover, stały bywalec klubu Pod Latarnią i jeden z ostatnich świadków, którzy widzieli Debbie Carter. Podczas pierwszego przesłuchania zeznał, że Debbie rozmawiała z Glenem Gore'em na parking, że odepchnęła go i odjechała.

Ale cztery lata i siedem miesięcy później pamiętał już to trochę inaczej. Na rozprawie wstępnej zeznał, że widział, jak Gore rozmawiał z Debbie, jak Debbie wsiadła do samochodu i odjechała. Nie, nic więcej się wtedy nie wydarzyło.

Jako kolejny świadek zeznawał Charlie Carter, który opowiedział sądowi, jak znalazł ciało córki ósmego grudnia 1982 roku.

Potem wezwano agenta Jerry'ego Petersa z Oklahomskiego Biura Śledczego, „specjalistę od badania śladów z miejsca zbrodni”, który bardzo szybko wpadł w tarapaty. Barney wyczuł pismo nosem i zaczął wypytywać go o sprzeczne interpretacje krwawego odcisku dłoni na fragmencie płyty gipsowo-kartonowej. Jednoznaczna opinia z marca 1983 roku, a potem, w maju 1987 roku - cóż za niespodzianka - zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Co skłoniło go do zmiany zdania, że odcisk ten nie należy ani do Debbie Carter, ani do Rona Williamsona, ani do Dennisa Fritza? Może to, że wyniki badań z marca 1983 roku nie bardzo odpowiadały prokuraturze?

Peters przyznał, że przez cztery lata nic się nie działo i że dopiero telefon Billa Petersona na początku 1987 roku skłonił go do ponownego przemyślenia pierwotnej opinii. Po ekshumacji zwłok i ponownej analizie odcisku dłoni zmienił zdanie i napisał raport zgodny z oczekiwaniami prokuratury.

Do ataku przyłączył się Greg Saunders, działający w imieniu Dennisa Fritza, i szybko stało się oczywiste, że dowody rzeczowe zostały spreparowane. Była to jednak tylko rozprawa wstępna, a nie proces właściwy, który wymaga dowodzenia ponad wszelką wątpliwość.

Peters zeznał również, że z dwudziestu jeden odcisków palców, znalezionych w mieszkaniu i w samochodzie ofiary, dziewiętnaście należało do

Debbie Carter, jeden do Mike'a Carpentera, jeden do Dennisa Smitha i że nie było wśród nich odcisków palców Fritza czy Williamsona.

**Gwiazdą** oskarżenia była zadziwiająca Terri Holland. Od października 1984 do stycznia 1985 roku siedziała w areszcie hrabstwa Pontotoc za wystawianie fałszywych czeków. Jak na jej zaangażowanie w sprawę dwóch nierozwiązanych morderstw, był to okres bardzo niezwykły i płodny.

Najpierw twierdziła, że słyszała, jak Karl Fontenot przyznaje się do uprowadzenia i zamordowania Denice Haraway. Zeznawała na pierwszym procesie Ward/Fontenot we wrześniu 1985 roku i zapoznała przysięgłych ze wszystkimi drastycznymi szczegółami, którymi detektywi Smith i Rogers okrasili „senne” zeznanie Tommy'ego Warda. Zaraz potem, mimo dwóch wcześniejszych przestępstw, otrzymała bardzo niski wyrok za wystawianie fałszywych czeków. Ward i Fontenot wylądowali w celi śmierci, a ona uciekła z hrabstwa.

Pozostawiła po sobie niezapłacone kary sądowe i temu podobne drobności, słowem, nie zrobiła nic, za co w normalnych okolicznościach władze by ją ścigały. Mimo to odszukano ją i sprowadzono z powrotem. Stanąwszy przed perspektywą kolejnych zarzutów, Terri przypomniała sobie nagle, że dysponuje wprost niewiarygodnymi i jakże cennymi dla śledztwa informacjami. Otóż siedząc w areszcie, podsłuchiwała nie tylko Karla Fontenota: słyszała również, jak do winy przyznaje się Ron Williamson.

Cóż za zdumiewająco szczęśliwy traf! Policja dysponowała teraz nie tylko zeznaniami Williamsona - czyli odpowiednio spreparowanym snem, coraz popularniejszym w Adzie narzędziem śledczym - ale i kolejnym kapsułem, ich drugą ulubioną bronią.

Holland nie bardzo wiedziała, dlaczego o wyznaniu Rona postanowiła powiedzieć dopiero teraz, wiosną 1987 roku. Przez ponad dwa lata milczała. Nikt też jej nigdy nie spytał, dlaczego pospieszyła do Smitha i Rogersa z informacjami na temat podsłuchanych wyznań Fontenota.

Stojąc na miejscu dla świadków podczas rozprawy wstępnej, puściła wodze fantazji. Ponieważ Rona nie było na sali, mogła mówić, co jej ślina na język przyniesie. Między innymi opowiedziała sędziemu, jak to Ron skrzyczał matkę przez telefon, mówiąc: „Zabiję cię, tak jak zabiłem Debbie Carter!”

Jedyny w areszcie telefon wisiał na ścianie w dyżurce przy wejściu. Ilekroć ten czy inny aresztant gdzieś telefonował - a rzadko kiedy im na to pozwalano - musiał pochylić się nad ladą, porządnie się wyciągnąć i roz-

mawiać w obecności pełniącego służbę strażnika. To, żeby podsłuchał go wówczas inny aresztant, było bardzo mało prawdopodobne, a nawet niemożliwe.

Terri Holland zeznała również, że Ron zadzwonił kiedyś do kościoła, poprosił o papierosy i zagroził, że spali kościół, jeśli ich nie dostanie.

I znowu nikt nie mógł tego potwierdzić. Poza tym, nikt nie spytał jej o rozkład aresztu i o to jakim cudem ona, kobieta, mogła swobodnie przebywać wśród osadzonych tam mężczyzn?

Peterson prowadził ją jak za rączkę:

- Czy kiedykolwiek słyszała pani, jak Ron Williamson mówi coś o Debbie Carter?

- Tak, mówił o niej w celi ogólnej - odparła Terri. - Zaraz po tym, jak przywieziono do nas Tommy'ego Warda i Karla Fontenota.

- Co wtedy powiedział o tym, co jej zrobił?

- Powiedział, że... Nie wiem, jak to... Powiedział, że ta suka Debbie uważała się za lepszą od niego, a on pokazał jej, że tak nie jest.

- Mówił coś jeszcze?

- Że zmusił ją do stosunku, tylko nie tymi słowami. Nie pamiętam, jakich użył. Powiedział, że wsadził jej butelkę coli... butelkę keczupu w tyłek, że zatkał jej usta majtkami i dał jej nauczkę.

Bill Peterson pytał ją dalej:

- Czy powiedział, dlaczego to zrobił, co go do tego sprowokowało?

- Tak, chciał z nią chodzić, ale ona nie chciała. Powiedział, że byłoby dla niej lepiej, gdyby mu dała.

- Bo wtedy nie musiałby robić czego? - drażył rozpaczliwie Peterson, naprowadzając niepewnego świadka.

- Nie musiałby jej zabijać.

To niezwykle, że on, urzędnik obarczony obowiązkiem poszukiwania prawdy, mógł wyprodukować takie bzdury.

Najważniejsza w donoszeniu jest zapłata. Prokuratura poszła na ugodę, dzięki czemu Terri Holland wygrzebała się z kłopotów i odzyskała wolność. Musiała tylko zwrócić nielegalnie przywłaszczone pieniądze - spłatę rozłożono na miesięczne raty — ale szybko o tym zapomniała.

**W owym** czasie niewielu wiedziało, że Holland miała z Williamsonem na pieńku. Lata wcześniej, kiedy Ron sprzedawał jeszcze produkty kuchenne Rawleigha w Adzie, miał pewnego dnia nieoczekiwaną przygodę seksualną. Gdy zapukał do kolejnych drzwi, głos jakiejś kobiety zaprosił go do środka.

Ron wszedł i zobaczył zupełnie nagą Marlene Keutel. Wyglądało na to, że jest w domu sama i jedno szybko doprowadziło do drugiego.

Marlenę Keutel była niezrównoważona psychicznie i tydzień po ich spotkaniu popełniła samobójstwo. Ron był u niej jeszcze kilka razy, próbując coś sprzedać, lecz nie zastał jej w domu. Nie wiedział, że Marlene nie żyje.

Jej siostrą była Terri Holland. Kilka dni po tej seksualnej przygodzie Marlene opowiedziała o niej Terri, twierdząc, że Ron ją zgwałcił. Oskarżenia nie wniesiono; nawet tego nie rozważano. Terri wiedziała, że siostra jest obłąkana, mimo to uważała, że to właśnie Ron doprowadził do jej śmierci. Tymczasem on już dawno zapomniał o tym szybkim numerku i nie miał nawet pojęcia, kim Terri jest.

**Niemal** cały pierwszy dzień rozprawy wstępnej zajęły zmuśnione zeznania Dennisa Smitha, który szczegółowo opisywał miejsce zbrodni i przebieg śledztwa. W zaskoczenie wprawił sąd tylko raz, omawiając pozostawione przez morderców napisy: ten na ścianie, namazany czerwonym lakierem do paznokci i napis: „Nie szókaście nas ani nikogo innego” sporządzony keczupem na kuchennym stole i niewyraźne napisy na brzuchu i plecach ofiary. Smith i Rogers uważali, że doprowadzą ich do sprawców, dlatego cztery lata wcześniej poprosili Dennisa Fritza i Rona Williamsona, żeby napisali coś na białej fiszce.

Detektywi nie mieli dosłownie żadnego doświadczenia w analizie pisma ręcznego, nic więc dziwnego, że byli przekonani, iż wpadli na dobry trop. Słowa napisane na fiszkach - te z próbek dostarczonych przez Fritza i Williamsona - były podejrzanie podobne do napisu sporządzonego czerwonym lakierem do paznokci na ścianie i do napisu keczupem na kuchennym stole.

Podzielili się swoimi podejrzeniami z anonimowym agentem Oklahomskiego Biura Śledczego, ten uznał, że mają rację i potwierdził to „ustnie”.

Odpowiadając na pytania Grega Saundersa, Smith zeznał:

- Cóż, według osoby, z którą rozmawialiśmy, charakter pisma był podobny do tego, którym zrobiono napis na ścianie w mieszkaniu ofiary.
- Do tego na kuchennym stole też?
- Do obydwu.

Kilka minut później Smitha wymagłował Barney. Spytał go, czy ten dysponuje opinią z laboratorium kryminalistycznego OSBI na temat charakteru pisma Rona Williamsona.

- Nie przesłaliśmy im próbek - przyznał Smith.

Barney nie mógł uwierzyć własnym uszom. Jak to? Dlaczego? Przecież OSBI ma ekspertów. Może mogliby wykluczyć Rona i Dennisa z kręgu podejrzanych.

Smith przeszedł do obrony:

- Charakter pisma był podobny, ale wie pan, to były tylko nasze spostrzeżenia, nic naukowego. To znaczy, uważaliśmy... dostrzeżliśmy pewne podobieństwa, ale wie pan, porównanie dwóch różnych napisów tego rodzaju jest prawie niemożliwe. Napis pędzelkiem i napis długopisem to zupełnie co innego.

Barney odparł:

- Nie próbuje pan chyba powiedzieć, że ci dwaj chłopcy, Dennis Fritz i Ronnie Williamson, pisali na zmianę pędzelkiem do lakieru do paznokci, że sporządzili nim napis o Jimie Smisie i ten drugi, że jeden pisał jedną literę, a drugi drugą, i tak na zmianę, i że nawet gdyby tak było, doszlibyście do tych samych wniosków, prawda?

- No nie, ale naszym zdaniem, obydwaj coś tam napisali, niekoniecznie wspólnie, bo w mieszkaniu było kilka napisów.

Dowody z badań pisma ręcznego miały pchnąć sprawę do przodu, lecz okazały się za słabe nawet dla samego Billa Petersona, który nie wykorzystał ich później w procesie.

**Pod** koniec pierwszego dnia sędzia Miller zaniepokoił się nieobecnością Rona. Podczas narady z obrońcą i oskarżycielem dał temu wyraz, mówiąc:

- Poczytałem trochę więcej na temat powodów nieobecności pozwanego. Za kwadrans dziewiąta każę sprowadzić tu pana Williamsona i jeszcze raz spytać go, czy wciąż nie chce być na rozprawie. Jeśli nie chce, wróci z powrotem do aresztu.

Na co Barney usłużnie spytał:

- Czy mam podać mu sto miligramów...

- Tego panu nie powiem - przerwał mu Miller.

Nazajutrz, za kwadrans dziewiąta rano, Rona wprowadzono do sali.

- Panie Williamson — zwrócił się do niego sędzia. — Wczoraj oświadczył pan, że nie chce pan być obecny na rozprawie wstępnej.

- Nie chcę być nawet w tej sali - odparł Ron. - Nie mam nic wspólnego z tym morderstwem. Nigdy... Nie wiem, kto ją zabił. Nic o tym nie wiem.

—Dobrze. Pańskie zakłócające spokój zachowanie... Może pan zmienić zdanie i zostać, ale musi pan obiecać, że nie będzie pan już zakłócał spokoju. Żeby odzyskać prawo do obecności na sali, musi pan zachowywać się spokojnie. Czy chce pan zostać?

—Nie, nie chcę.

—Ale rozumie pan, że ma pan prawo tu być i wysłuchać zeznań wszystkich świadków?

—Nie chcę tu być. I tak zrobicie, co zechcecie, nic na to nie poradzę. Mam dość nerwów. Nerwy mnie wykańczają. Po prostu nie chcę tu być.

—Dobrze, to pańska decyzja. Nie chce pan tu być?

—Nie chcę.

—I zrzeka się pan konstytucyjnego prawa do konfrontacji ze świadkami?

- Tak. Możecie mnie oskarżyć o coś, czego nie zrobiłem. Róbcie, co chcecie. — Tu Ron spojrział na Gary'ego Rogersa i dodał: - Boję się pana, Gary. Oskarża mnie pan po czterech i pół roku ciągłego napastowania, wszyscy mnie oskarżacie, bo to wy jesteście panami sytuacji, nie ja.

Odprawiono go do aresztu i Dennis Smith dokończył zeznanie. Potem nudne sprawozdanie ze śledztwa zdał Gary Rogers, a jeszcze potem zeznawali agenci Oklahomskiego Biura Śledczego Melvin Hett i Mary Long, którzy przedstawili sądowi wyniki badań odcisków palców i wyniki analizy porównawczej włosów, krwi i śliny.

Gdy oskarżenie skończyło przedstawiać swoich świadków, Barney wezwał swoich, dokładnie dziesięciu, samych strażników i byłych aresztantów uprzywilejowanych. Żaden z nich nie przypominał sobie niczego, choćby zbliżonego do tego, co miała jakoby podsłuchać Terri Holland.

Gdy przesłuchanie dobiegło końca, Barney i Greg Saunders złożyli wniosek o oddalenie zarzutu o gwałt, ponieważ zarzut ten nie wpłynął w ciągu trzech lat od chwili popełnienia, tak jak wymaga tego obowiązujące w Oklahomie prawo. Zarzutu morderstwa limity czasowe nie obowiązują, ale wszystkie pozostałe przestępstwa tak. Sędzia Miller oświadczył, że ustosunkuje się do wniosku później.

W całym tym zamieszaniu omal nie zapomniano o Dennisie Fritzu. Prowadzone przez Petersona śledztwo skupiało się oczywiście na Ronie Williamsonie i jego gwiazdorskich świadkach: na Gorze, Terri Holland i Garym Rogersie (i jego śnie) — wszyscy oni zeznawali przeciwko Williamsonowi. Jedynym dowodem, który w sposób bardzo luźny i wątpliwy łączył go z morderstwem Debbie Carter, było zeznanie Melvina Hetta, specjalisty od badania włosów.

Greg Saunders argumentował długo i logicznie, że oskarżenie nie przedstawiło wystarczających dowodów, iż Dennis Fritz miał coś wspólnego z zabójstwem Debbie Carter. Sędzia Miller oznajmił, że weźmie to pod uwagę.

Potem do ataku przystąpił Barney, który wniósł o oddalenie wszystkich zarzutów ze względu na oczywistą słabość materiału dowodowego; Saunders go poparł. Gdy sędzia nie podjął natychmiastowej decyzji i gdy stało oczywiste, że rozważa możliwość przyjęcia wniosku obrony, policja i prokuratura zdały sobie sprawę, że potrzebują więcej dowodów.

**Biegli** mają wielki wpływ na przysięgłych, zwłaszcza tych z małych miast, i jeśli są ekspertami zatrudnionymi na etacie państwowym i jeśli oskarżenie wzywa ich na świadków, uważani są za nieomylnych.

Barney i Greg Saunders wiedzieli, że wyniki badań włosów i odcisków palców, przeprowadzone w laboratorium kryminalistycznym Oklahomskiego Biura Śledczego, są bardzo podejrzane, jednak musieli mieć kogoś, kto pomógłby im to naukowo wykazać. Chociaż w trakcie procesu mogli zadawać pytania biegłym powołanym przez oskarżenie - choćby tylko po to, żeby ich zdyskredytować - doskonale zdawali sobie sprawę, że adwokaci rzadko kiedy z nimi wygrywają. Biegłych trudno jest przyprzeć do muru, a przysięgli szybko się gubią. Nie, obrona potrzebowała własnego eksperta, najlepiej paru.

Złożyli odpowiedni wniosek. Tego rodzaju wnioski składane są dość powszechnie, jednak sąd niechętnie się do nich przychyła. Biegli kosztują, a wielu miejscowych urzędników, w tym sędziów, krzywi się na myśl, że podatnicy musieliby płacić zbyt wysokie rachunki za ekspertów powołanych na obronę kogoś ubogiego.

Wniosek zakwestionowano. Całkowitym milczeniem pominięto fakt, że Barney był niewidomy. Jeśli ktokolwiek potrzebował pomocy przy ocenie wyników badań włosów i odcisków palców, tym kimś był na pewno on.



## Rozdział 8

**Dokumenty** wędrowały tam i z powrotem. Prokuratura wniosła autopoprawkę i wycofała oskarżenie o gwałt. Obrona zaatakowała nowy akt oskarżenia. Konieczne było kolejne przesłuchanie.

Sędzią okręgowym był Ronald Jones z hrabstwa Pontotoc, które wraz z hrabstwami Seminole i Hughes wchodziło w skład dwudziestego drugiego okręgu sądowego. Jones, wybrany w 1982 roku, był znany z tego, że zwykle popierał stronę skarżącą i nie cackał się z pozwanymi. Był też gorącym zwolennikiem kary śmierci i pobożnym chrześcijaninem, diakonem o przydomku Ron Baptysta i Regulaminowy Jones. Miał jednak słabość do więziennych nawróceń, dlatego niektórzy obrońcy tłumaczyli klientom, że nagłe odnalezienie Pana może być niezwykle pomocne, gdy staną przed obliczem sędziego Jonesa.

Dwudziestego sierpnia po raz pierwszy stanął przed nim nieskruszony Ron. Jones spytał go, jak się miewa. No i się nasłuchał.

- Mam do powiedzenia tylko jedno - zaczął głośno Ron. - A mianowicie to: bardzo współczuję rodzinie Carterów i ich krewnym.

Sędzia poprosił o ciszę.

- Wysoki Sądzie - kontynuował Ron. - Wiem, że nie chcecie...Ja tego nie zrobiłem, Wysoki Sądzie.

Strażnicy szturchnęli go i zamilkł. Formalne postawienie w stan oskarżenia zostało odroczone, żeby sędzia mógł zapoznać się ze stenogramem rozprawy wstępnej.

Dwa tygodnie później Ron wrócił z kolejnymi wnioskami obrony. Strażnicy wprawnie dostosowali dawkę torazyny. Kiedy siedział w celi i kiedy chcieli mieć święty spokój, faszzerowali go tabletkami na całego i wszyscy byli zadowoleni. Ale kiedy miał iść do sądu, zmniejszali dawkę, żeby był

głośniejszy, bardziej rozemocjonowany i wojowniczy. Norma Walker z poradni zdrowia psychicznego podejrzewała, że to robią i nie omieszkła odnotować tego w dokumentach.

Drugie spotkanie z sędzią Jonesem przebiegło niezbyt dobrze. Ron był gadatliwy. Twierdził, że jest niewinny i że ludzie wygadują o nim same kłamstwa. W pewnym momencie powiedział:

„Matka wiedziała, że tamtego wieczoru byłem w domu”.

Odprowadzono go w końcu do aresztu i przesłuchanie potoczyło się dalej. Barney Ward i Greg Saunders wnieśli o dwa niezależne procesy i obydwaj bardzo na to nalegali. Zwłaszcza Saunders chciał, żeby jego klient stanął przed przysięgłymi, których nie obciążał bagaż doświadczeń z Ronem Williamsonem.

Sędzia wyraził zgodę i zarządził przeprowadzenie dwóch niezależnych procesów. Poruszył również temat niepoczytalności Rona i jego niezdolności do czynności prawnych, mówiąc Barneyowi, że sprawę tę trzeba rozstrzygnąć przed procesem. Ron został w końcu formalnie postawiony w stan oskarżenia, nie przyznał się do winy i wrócił do aresztu.

Sprawa Dennisa Fritza przeskoczyła teraz na inny tor. Ponieważ na rozprawie wstępnej oskarżenie przedstawiło tak mało dowodów rzeczowych, sędzia Jones zarządził przeprowadzenie nowej.

Prokuratura miała za mało świadków.

**Dochodzenie** bez mocnego materiału dowodowego przysporzyłoby zmar-twień każdej policji, ale nie policji w Adzie. Tu nikt nie wpadł w panikę. Przecież w areszcie roiło się od potencjalnych kapusiów. Pierwszym, którego przydzielono Dennisowi Fritzowi, była drobna przestępczyni nazwiskiem Cindy McIntosh.

Dennis został strategicznie przeniesiony bliżej celi Rona, żeby mógł z nim pogadać. Ich waśń dobiegła końca; Dennis przekonał go, że jednak nie przyznał się do winy.

Cindy McIntosh przyczała się jakoby na tyle blisko, że mogła podsłuchać ich rozmowę, a potem zawiadomiła policję, że ma dobre nowiny. Według niej, Fritz i Williamson rozmawiali o zdjęciach, które okazano na rozprawie wstępnej. Oczywiście Rona na rozprawie nie było, dlatego ciekawo go, co widział Dennis. Zdjęcia zrobiono na miejscu zabójstwa Debbie Carter i Ron spytał go:

- Leżała na łóżku czy na podłodze?
- Na podłodze - odparł Fritz.

Dla policji był to jednoznaczny dowód, że obydwoj byli w mieszkaniu ofiary, którą zgwałcili i zamordowali.

Bill Peterson dał się szybko przekonać. Dwudziestego drugiego września wniósł o powołanie Cindy McIntosh na świadka.

Kolejnym kapusiem był James Riggins, chociaż jego donosielska kariera trwała bardzo krótko. Ściągnięty z więzienia do Ady, gdzie czekał go kolejny proces, mijął pewnego wieczoru drzwi jednej z aresztanckich cel. Mijając je, usłyszał, jak ktoś, możliwe że Ron, przyznaje się do zabójstwa Debbie Carter, jak mówi, że dwukrotnie oskarżono go o gwałt i że wyjdzie z tego suchą stopą, tak samo jak w Tulsie. Riggins nie był pewien, komu Ron to wszystko opowiadał, ale w świątku kapusiów takie drobiazgi nie mają znaczenia.

Mniej więcej miesiąc później Riggins zmienił zeznanie. Podczas przesłuchania na policji oświadczył, że się pomylił, że to nie Rona Williamsona wtedy słyszał, tylko Glena Gore'a.

**Przyznania** się do winy były w Adzie zaraźliwe. Dwudziestego trzeciego września na komendę zgłosił się niejaki Rickey Joe Simmons, który oznajmił, że to on zabił Debbie Carter i że chce o tym pogadać. Dennis Smith i Gary Rogers bez problemu znaleźli kamerę i Simmons zaczął zeznawać. Zaczął od tego, że przez wiele lat ćpał i że jego ulubioną używką był domowej roboty wywar zwany makiwarą, w którego skład wchodził między innymi kwas akumulatorowy. Podkreślił, że w końcu rzucił narkotyki, że odnalazł Boga i że pewnego wieczoru w 1982 roku — prawdopodobnie w 1982, bo nie był tego pewny - jak zwykle czytał Biblię, gdy nagle, nie wiedząc czemu, poszedł się trochę przejść. Chodząc po mieście, natknął się na jakąś dziewczynę, prawdopodobnie Debbie Carter, chociaż tego też nie był pewien, i podał kilka sprzecznych z sobą wersji tegoż spotkania. Tak, mógł ją zgwałcić, chociaż może jednak nie zgwałcił, ale chyba udusił ją gołymi rękami, a potem długo się modlił i zarzygał całe mieszkanie.

Dziwne głosy mówiły mu, co robić. Szczegółów dokładnie nie pamiętał, lecz w pewnym momencie stwierdził, że: „To było jak we śnie”.

To dziwne, ale perspektywa kolejnego „sennego” przyznania się do winy bynajmniej detektywów nie podnieciła.

Spytany, dlaczego przychodzi na policję dopiero po pięciu latach, Simmons w końcu przyznał, że słysząc krążące po mieście plotki, przypomniał sobie tę brzemiennej w skutki noc z 1982, a może 1981 roku. Ale za nic nie mógł przypomnieć sobie, jak dostał się do mieszkania ofiary, ile było tam pokojów ani w którym ją zabił. Zupełnie nagle przypomniała mu się za to

butelka keczupu i słowa wypisane na ścianie. Potem przyznał, że słyszał te szczegóły od kolegi z pracy.

Twierdził, że jest zupełnie trzeźwy i czysty, jednak dla Smitha i Rogersa było oczywiste, iż makiwara zdążyła zrobić swoje. Natychmiast uznali, że zmyśla. Chociaż jego zeznanie było równie nieściste jak zeznanie Tommy'ego Warda, zupełnie ich to nie wzruszyło. Smith miał w końcu dość i oznajmił: „Moim zdaniem, nie zabił pan Debbie Carter”. A potem zaproponował Simmonsowi leczenie.

Coraz bardziej zbity z tropu Simmons upierał się, że jednak ją zabił. Detektywi twierdzili, że nie.

Mimo to podziękowali mu i odesłali go do domu.

**Dobre** nowiny docierały do aresztu bardzo rzadko, jednak na początku listopada Ron otrzymał nieoczekiwany list. Zgodnie z Social Security Act, prawem o ubezpieczeniach społecznych, sędzia administracyjny przyznał mu rentę.

Rok wcześniej w jego imieniu wystąpiła o nią Annette, twierdząc, że od roku 1979 brat nie może pracować. Sędzia, Howard O'Bryan, przejrzał dokumentację medyczną i zarządził przesłuchanie, które odbyło się dwudziestego szóstego października 1987 roku. Rona przyprawiono z aresztu.

W swojej decyzji sędzia napisał: „Roszczący sobie prawo do renty dysponuje pełną dokumentacją medyczną, z której wynika, że stabilizowano go litem, że zdiagnozowano u niego nietypową psychozę dwubiegunową, do której dołączyły się nietypowe zaburzenia psychiczne, prawdopodobnie graniczne, paranoidalne i antyspołeczne. Gdy nie przyjmuje leków, jest osobnikiem agresywnym, napastliwym i gwałtownym, ma urojenia religijne i zaburzenia procesów myślowych”.

Dodał, że: „Odnotowano powtarzające się przypadki dezorientacji, zaburzenia uwagi, niezdolności do myślenia abstrakcyjnego i upośledzenia świadomości”.

Sędzia O'Bryan niemal natychmiast doszedł do wniosku, że Ron cierpi na „ciężką psychozę dwubiegunową, zaburzenia osobowości oraz zaburzenia wywołane uzależnieniem” (od alkoholu i narkotyków). Co więcej, że jego stan jest poważny na tyle, że uniemożliwia mu znalezienie sensownego, względnie dobrze płatnego zajęcia.

Uznał, że okres niezdolności do pracy rozpoczął się trzydziestego pierwszego marca 1985 roku i trwa nadal.

Głównym zadaniem sędziego administracyjnego jest ustalenie, czy roszcący sobie prawo do renty jest człowiekiem niepełnosprawnym fizycznie lub umysłowo i tym samym uprawnionym. Są to sprawy ważne, lecz na pewno nie decydują one o czyimś życiu lub śmierci. Na sędziach Millerze i Jonesie natomiast spoczywał obowiązek dopilnowania, żeby każdy oskarżony, zwłaszcza ten, któremu groził najwyższy wymiar kary, miał sprawiedliwy proces. To ironiczne i smutne zarazem, że O'Bryan dostrzegł problem Rona, podczas gdy Miller i Jones byli nań ślepi.

**Barney** był na ryle zaniepokojony, że wysłał Rona na badania do kliniki departamentu zdrowia hrabstwa Pontotoc. Dyrektorka kliniki, Claudette Ray, przeprowadziła serię testów psychologicznych i sporządziła dla Barneya ekspertyzę. Ekspertyza kończyła się następującym stwierdzeniem: „Ron odczuwa nieustanny lęk będący wynikiem stresu sytuacyjnego. Czuje się bezradny, ponieważ nie może temu zaradzić i polepszyć swego położenia. Ogarnięty paniką i zdezorientowany zachowuje się dziwnie i nieodpowiednio — nie przyszedł na rozprawę wstępną, chociaż mogło to polepszyć jego sytuację; większość ludzi chciałaby zapoznać się z informacjami i opiniami decydującymi o ich dalszym życiu lub śmierci”.

Ekspertyza trafiła do akt Barneya i tam utknęła. Wniosek o ustalenie zdolności do czynności prawnych jest wnioskiem rutynowym i Barney nieraz takie składał. Jego klient siedział w areszcie ledwie trzydzieści metrów od gmachu sądu, miejsca, gdzie Barney bywał niemal codziennie.

Aż się prosiło, żeby ktoś podniósł wreszcie kwestię jego poczytalności.

**Dochodzenie** w sprawie Dennisa Fritza nabrało wielkiego przyspieszenia dzięki zeznaniu pewnego półanalfabety, Indianina nazwiskiem James C. Harjo. Dwudziestodwuletni Harjo siedział za włamanie; złapano go, kiedy po raz drugi włamał się do tego samego domu. Gdy we wrześniu i październiku czekał na przeniesienie do więzienia stanowego, jego współtowarzyszem z celi był Dennis Fritz.

Trochę się nawet zaprzyjaźnili. Dennis mu współczuł i pisał za niego listy, głównie do żony. Dokładnie rozgryzł też plany gliniarzy. Codziennie

- bez żadnego konkretnego powodu, bo jego proces dobiegł już końca
- Harja wywoływano z celi, a gdy wracał, natychmiast zaczynał wypytywać Dennisa o sprawę morderstwa Debbie Carter. Ze wszystkich najbardziej oślizgłych kapusiów w areszcie on musiał być najgorszy.

Podstęp był tak oczywisty, że Dennis przygotował jednozdaniowe oświadczenie i kazał mu je podpisywać przed każdym wyjściem z celi. Brzmiało następująco: „Dennis Fritz zawsze powtarza, że jest niewinny”.

I kategorycznie odmawiał jakiegokolwiek rozmowy na temat Debbie.

Ale to Harja nie powstrzymało. Dziewiętnastego listopada Bill Peterson dodał jego nazwisko do listy świadków. Tego samego dnia rozpoczęła się rozprawa wstępna Dennisa. Przewodniczył sędzia John David Miller.

Gdy Peterson oznajmił, że jego kolejnym świadkiem będzie Harjo, Dennis aż się wzdrygnął. Co ten głupek znowu wydumał?

Harjo złożył przysięgę i nieudolnie kłamiąc, oświadczył poważnemu Petersonowi, że siedział w jednej celi z Fritzem. Zdażyli się nawet zaprzyjaźnić, ale w wigilię Wszystkich Świętych mieli paskudną rozmowę. On, Harjo, zaczął wypytywać go o sprawę morderstwa Debbie Carter. Fritz zaczął mylić szczegóły i Harjo zrećnie dopatrywał się dziur w jego wersji. Przekonało go to, że Dennis jest winny i odważnie mu to powiedział. Dennis bardzo się zdenerwował. Zaczął krążyć po pomieszczeniu ogólnym, najwyraźniej walcząc z wyrzutami sumienia, a kiedy wrócił, spojrzał na niego i ze łzami w oczach powiedział:

- Nie chcieliśmy zrobić jej krzywdy.

Słyszac to w sądzie Dennis, nie wytrzymał.

- Kłamiesz! - wrzasnął. - Kłamiesz! Kłamiesz!

Sędzia przywołał go do porządku. Harjo i Peterson parli dalej. Otóż Dennis miał jakoby wyrazić niepokój o swoją córeczkę. „Co by pomyślała, gdyby jej tatuś okazał się mordercą?” - rozpaczał rzekomo. A potem sąd usłyszał coś naprawdę niesamowitego. Otóż Dennis miał jakoby powiedzieć, że on i Ron przynieśli piwo do mieszkania Debbie i kiedy już ją zgwałcili, pozbierali puste puszki, dokładnie wszystko powycierali, żeby zatrzeć odciski palców, a potem wyszli.

Greg Saunders spytał go, czy Dennis wytłumaczył mu, jak to możliwe, że on i Ron Williamson wytarli tylko swoje odciski palców, pozostawiając odciski innych? Harjo tego nie wiedział. Odparł, że kiedy rozmawiał z Dennisem w wigilię Wszystkich Świętych, w pobliżu byli inni aresztanci, ale ich nie słyszeli. Greg przedłożył sądowi oświadczenie przygotowane przez Fritza i podpisane przez Harja.

Indianin skompromitował się i zdyskredytował już w chwili składania przysięgi, ale po ataku Saundersa wyszedł na ostatniego głupca. Było to jednak bez znaczenia. Sędzia Miller nie miał wyboru i uznał, że winę oskarżonego musi udowodnić proces. Zgodnie z prawem obowiązującym

w Oklahomie, podczas rozprawy wstępnej sędzia nie może podważać wiarygodności świadka.

**Datę** procesu ustalono, a potem zmieniono. Zima 1987-1988 wlokła się w nieskończoność: Ron i Dennis wciąż siedzieli w areszcie, nie tracąc nadziei, że ich dzień wkrótce nadejdzie. Choć spędzili za kratami wiele miesięcy, nie tracili wiary w sprawiedliwość i w to, że prawda wyjdzie na jaw.

Jedynym zwycięstwem, jakie obrona odniosła w przedprocesowych potyczkach, było to, że sędzia Jones uznał konieczność przeprowadzenia dwóch niezależnych procesów. Choć Bill Peterson ostro się temu sprzeciwiał, sytuacja ta była dla niego bardzo korzystna: wystarczyło, żeby Fritz stanął przed sądem jako pierwszy, a prasa przekazała szczegóły zdenerwowanym i bardzo zaciekawionym mieszkańcom Ady.

Od dnia morderstwa policja utrzymywała, że morderców było dwóch i w skład pierwszej (i jedynej) dwójki, jaką podejrzewali, weszli natychmiast Fritz i Williamson. Na każdym etapie sprawy - pierwsze podejrzenia, śledztwo, postawienie zarzutów, aresztowanie, formalne oskarżenie, rozprawa wstępna — zawsze ich ze sobą łączono. Ich policyjne zdjęcia zostały opublikowane tuż obok siebie. Nagłówki miejscowej gazety nieustannie krzyczały: „Williamson i Fritz...”

Gdyby Fritza skazano już podczas pierwszego procesu, przysięgli z procesu Williamsona rozglądaliby się za kolejnym stryczkiem.

Tak więc Ada kierowała się następującym pojęciem sprawiedliwości: najpierw osądzić Fritza, a zaraz potem Williamsona: w tej samej sali rozpraw, pod przewodnictwem tego samego sędziego, z tymi samymi świadkami i tymi samymi reporterami, którzy opisywaliby wszystko w tej samej gazecie.

**Pierwszego** kwietnia, trzy tygodnie przed procesem Rona, jego wyznaczony przez sąd współobrońca Frank Baber złożył rezygnację; został prokuratorem w innym okręgu.

Sędzia Jones rezygnację przyjął. Baber wyjechał. Niewidomy Barney został bez pomocnika. Nie miał nikogo, kto znałby się na prawie i pomógłby mu przeglądać dokumenty, oceniać dowody rzeczowe, oglądać zdjęcia oraz wykresy świadczące przeciwko jego klientowi.

**Szóstego** kwietnia 1988, pięć i pół roku po morderstwie Debbie Carter, Dennisa Fritza wprowadzono pod strażą do zatłoczonej sali na pierwszym piętrze sądu w Adzie. Ogolony i prosto od fryzjera był w swoim jedynym garniturze, który na proces kupiła mu matka. Wanda Fritz siedziała w pierwszym rzędzie, żeby być jak najbliżej syna. Obok niej siedziała jej siostra, Wilma Foss. Obydwie nie chciały uronić ani jednego słowa.

Gdy zdjęto mu kajdanki, Dennis popatrzył na siedzący w sali tłum, zastanawiając się, którzy z tych ponad stu kandydatów wejdą do ostatecznej dwunastki i zasiądą w ławie przysięgłych. Którzy z tych zarejestrowanych wyborców będą go sądzić?

Czas oczekiwania nareszcie minął. Po długich jedenastu miesiącach w ciasnej, dusznej celi był w sali rozpraw. Miał dobrego adwokata, zakładał, że sędzia zadba o sprawiedliwy proces, że dwunastu ławników starannie wszystko rozważy i szybko zrozumie, że Peterson nie ma żadnych dowodów.

Początek procesu przyjął z ulgą, ale i z przerażeniem. Było to ostatecznie hrabstwo Pontotoc, a on dobrze wiedział, jak łatwo jest tu zrobić człowieka zupełnie niewinnego. Przez krótki czas dzielił celę z Karlem Fontenotem, prostym, zagubionym chłopakiem, który siedział teraz w celi śmierci za coś, czego nie zrobił.

Sędzia Jones wszedł i powitał zebranych. Zaczęto od spraw organizacyjnych, a potem przystąpiono do wyboru przysięgłych. Był to proces powolny i zmuśny. Godzinami eliminowano kandydatów starych, głuchych i chorych. Potem trzeba było przesłuchać pozostałych; robili to przedstawiciele stron, ale głównie sędzia Jones. Greg Saunders i Bill Peterson spierali się ze sobą, których kandydatów zatrzymać, a z których zrezygnować.

W pewnym momencie tego długotrwałego procesu sędzia zadał następujące pytanie kandydatowi nazwiskiem Cecil Smith:

- Gdzie pan przedtem pracował?
- W Oklahomskiej Komisji Korporacyjnej - odparł Smith.

Ani sędzia Jones, ani przedstawiciele stron nie zadali żadnych pytań dodatkowych. Problem w tym, że w swojej krótkiej odpowiedzi Cecil Smith zataił fakt, iż przez wiele lat pracował w policji.

Chwilę później sędzia spytał, czy Smith zna detektywa Dennisa Smitha i czy jest z nim spokrewniony.

- Nie, nie jestem - odparł Smith.
- Więc skąd go pan zna?
- Po prostu słyszałem o nim, kilka razy z nim rozmawiałem, zrobiliśmy razem parę interesów.



Kilka godzin później skład ławy został zaprzysiężony. Fritza szczególnie niepokoił Cecil Smith. Zająwszy swoje miejsce, Smith, już jako przysięgły, przeszył go ostrym spojrzeniem; jak się miało okazać, nie pierwszy raz.

Proces rozpoczął nazajutrz. Nancy Shew, wiceprokurator okręgowy, poinformowała przysięgłych, co zamierza udowodnić i jakie dowody przedstawić. Greg Saunders zreplikował, twierdząc w mowie wstępnej, że oskarżenie dowodów żadnych nie ma.

Pierwszym świadkiem był Glen Gore, którego przywieziono do Ady z więzienia. Przesłuchiwany przez Petersona Gore złożył dość dziwne zeznanie, że w noc morderstwa nie widział Dennisa Fritza z Debbie Carter.

Większość oskarżycieli woli zaczynać od dobrego, mocnego świadka, który może potwierdzić, że w chwili morderstwa zabójca był blisko ofiary. Peterson zagrał inaczej. Gore zeznał, że w bliżej niesprecyzowanej przeszłości mógł widzieć Dennisa Pod Latarnią, niewykluczone jednak, że go tam nie widział.

Cel tej dziwacznej strategii szybko się wyjaśnił. Otóż Gore mówił więcej o Williamsonie niż o Fritzu, a większość pytań Petersona również dotyczyła Rona. Winny poprzez skojarzenie: oto jaki zastosowano plan.

Zanim Saunders zdążył podważyć wiarygodność Gore'a, zapoznając przysięgłych z jego kryminalną przeszłością, Peterson postanowił zdyskredytować świadka osobiście. Spytał go, czy był karany. Tak, wielokrotnie, za przestępstwa takie jak uprowadzenie, czynna napaść z użyciem niebezpiecznego, narzędzia, użycie broni palnej przeciwko policjantowi.

Główny świadek oskarżenia nie tylko nie obciążył Dennisa, ale i dowiódł, że jest zatwardziałym przestępcą, który odsiaduje czterdziestoletni wyrok.

Niezrażony tym słabym początkiem Peterson powołał kolejnego świadka, który nic nie wiedział. Tommy Glover opisał przysięgłym, jak to na parkingu przed klubem Pod Latarnią widział Glena Gore'a rozmawiającego z Debbie Carter, która następnie odjechała samochodem. Zeznawał krótko i ani razu nie wymienił nazwiska Dennisa Fritza.

Gina Vietta opowiedziała przysięgłym o dziwnych telefonach Debbie we wczesnych godzinach porannych ósmego grudnia. Zeznała również, że kilka razy widziała Fritza Pod Latarnią, ale nie w noc morderstwa.

Następnie Charlie Carter opowiedział sądowi rozzierającą historię o tym, jak znalazł martwą córkę, a po nim wezwano Dennisa Smitha. Ten długo opisywał miejsce zbrodni oraz uwiecznione na zdjęciach dowody rzeczowe. Mówił o śledztwie, o próbkach śliny i włosów, i tak dalej. Pierwsze

pytanie Nancy Shew - cóż za zaskoczenie — bynajmniej nie dotyczyło Dennisa Fritza.

- Czy w trakcie śledztwa przesłuchiwaliście niejakiego Ronalda Keitha Williamsona?

- Tak, przesłuchiwaliśmy — odparł Smith i bez żadnego sprzeciwu ze strony sądu zaczął opisywać przebieg śledztwa przeciwko Ronowi Williamsonowi i wyjaśniać, jak i dlaczego został podejrzanym. Nancy Shew przypomniała sobie w końcu, czyj to proces i spytała o próbki śliny Dennisa Fritza.

Smith opowiedział, jak pobrali próbki i wysłali je do laboratorium kryminalistycznego Oklahomskiego Biura Śledczego. Na tym Shew skończyła i oddała głos obronie. Tak więc oskarżenie nie przedstawiło sądowi ani jednego powodu, dla którego policja zaczęła podejrzewać Fritza. Fritz nie znał ofiary. Ani jeden świadek nie potwierdził, że w chwili morderstwa był w pobliżu Debbie Carter, chociaż, według Smitha, mieszkał „blisko” jej domu. O motywie nie wspomniano ani słowem.

Z morderstwem połączył go w końcu kolejny świadek, Gary Rogers, który zeznał: „Nazwisko Dennisa Fritza wypłynęło podczas śledztwa w sprawie Rona Williamsona jako jego współnika”.

Po czym wyjaśnił przysięgłym, jak to sprytnie doszli do wniosku, że tego rodzaju przestępstwa nie mógł dokonać jeden zabójca. Na miejscu zbrodni panował za duży bałagan, poza tym zabójca (lub zabójcy) pozostawili na to dowód w postaci napisu: „Nie szókaście nas ani nikogo innego”. Słowo: „nas” sugerowało, że było ich co najmniej dwóch i detektywi szybko poszli tym tropem.

Dzięki solidnej policyjnej robocie dowiedzieli się, że Williamson i Fritz byli przyjaciółmi. A to - w ich teorii - łączyło ich jako morderców.

**Greg Saunders** kazał Dennisowi nie zwracać uwagi na przysięgłych, lecz okazało się to niemożliwe. Od tych dwunastu ludzi zależał jego los, dlatego nie mógł się powstrzymać, żeby chociaż od czasu do czasu na nich nie zerknąć. Cecil Smith siedział w pierwszym rzędzie i ilekroć Greg spoglądał w tamtą stronę, Smith łypał na niego spode łba.

O co mu chodzi? - myślał Dennis. Wkrótce się tego dowiedział.

Gdy podczas przerwy Saunders wchodził do sali rozpraw, pewien stary adwokat, jeden z sądowych weteranów, zatrzymał go i spytał:

- Co to za kretyn wpuścił na ławę Cecila Smitha?
- To chyba ja - odparł Greg.
- A kto to jest ten Smith?
- Był kiedyś naczelnikiem naszej policji.

Saunders osłupiał. Wpadł do gabinetu sędziego i zażądał unieważnienia procesu, twierdząc, że jeden z przysięgłych zataił istotną dla sądu wiadomość i że z racji wykonywanego kiedyś zawodu będzie sprzyjał policji i oskarżeniu.

Jego wniosek został oddalony.

**Doktor** Fred Jordan przedstawił sądowi wyniki sekcji zwłok i przysięgli usłyszeli mnóstwo makabrycznych szczegółów. Pokazano im zdjęcia, które wywołały szok, oburzenie i gniew, uczucia nieodłącznie związane z każdym procesem o morderstwo. Kilku przysięgłych spojrzało na Dennisa z jawną odrazą.

Ponieważ w sali wciąż pobrzmiwało echo konkretnych i niepodważalnych zeznań Jordana, oskarżenie postanowiło przemycić kilku świadków z sufitu. Zaprzysiężono niejakiego Gary'ego Allena. Jego związek ze sprawą był dość słaby. Allen zeznał, że mieszkał niedaleko Fritza i że pewnej nocy na początku grudnia 1982 roku, mniej więcej o wpół do czwartej nad ranem, słyszał, jak na dworze hałasuje dwóch mężczyzn. Nie pamiętał dokładnej daty, ale z jakichś powodów był pewien, że zdarzyło się to przed dziesiątym grudnia. Mężczyźni ci - nie widział ich wyraźnie na tyle, by ich rozpoznać - śmiali się, przeklinali i polewali się wodą z ogrodowego węża. Było zimno, a oni byli bez koszul. Allen znał Fritza już od jakiegoś czasu i zdawało mu się, że słyszał jego głos. Ale nie był tego pewny. Przysłuchiwał się tym odgłosom przez dziesięć minut, a potem wrócił do łóżka.

Kiedy mu podziękowano, wielu z obecnych na sali wymieniło zaskoczone spojrzenia. Bo co właściwie to zeznanie miało udowodnić? Ale zaskoczenie było jeszcze większe, kiedy oskarżenie powołało kolejnego świadka, Tony'ego Vicka.

Vick mieszkał w małym mieszkaniu pod Garym Allenem i znał Dennisa Fritza. Znał również Rona Williamsona. Zeznał, że widział go na ganku u Dennisa i że wie na pewno, iż latem 1982 roku Fritz i Williamson pojechali razem do Teksasu.

Czy przysięgli mogliby chcieć czegoś więcej?

Jeszcze bardziej obciążyla Fritza Donna Walker, sprzedawczyni, która rozpoznała go w sądzie i oświadczyła, że kiedyś dobrze go znała. Otóż w 1982 Dennis często bywał w jej sklepie, gdzie pijał rano kawę i lubił sobie pogadać. Ron też często tam bywał i wiedziała, że się przyjaźnią. I nagle, zaraz po morderstwie Debbie Carter, przestali do niej przychodzić. Po prostu zniknęli. A potem, jakieś dwa tygodnie później, jakby nigdy nic znowu przyszli na kawę. Ale jak bardzo się przez ten czas zmienili!

- Ich sposób bycia, ubranie - mówiła Donna. - Zawsze ubierali się ładnie i byli ogoleni, a tu raptem jakby zeszli na psy, bo byli brudni, zaróżnieni i rozkułdani. I inaczej się zachowywali. Byli jacyś tacy nerwowi, znerwicowani.

Przyciśnięta przez Grega Saundersa nie umiała wyjaśnić, dlaczego czekała aż pięć lat, żeby podzielić się z policją tą także ważną informacją, chociaż przyznała, że przesłuchiowano ją w sierpniu, zaraz po aresztowaniu Dennisa i Rona.

Następnie w paradzie świadków wystąpiła Letha Caldwell, rozwódka, która chodziła z Ronem do ogólniaka w Byng. Powiedziała przysięgłym, że Fritz i Williamson byli częstymi gośćmi w jej domu, że zjawiali się tam o różnych porach, nieraz nocą, i że zawsze wtedy pili alkohol. Kiedyś się ich przestraszyła i zabroniła im przychodzić. Gdy odmówili, kupiła pistolet i pokazała im go, i dopiero wtedy uwierzyli, że mówi serio.

Jej zeznanie nie miało nic wspólnego z morderstwem Debbie Carter i w wielu innych sądach zostałoby oprotestowane i przerwane jako niewnoszące niczego nowego.

Obrońca Dennisa zaprotestował jednak dopiero wtedy, gdy zeznawać zaczął agent Rusty Featherstone z Oklahomskiego Biura Śledczego. Peterson, który próbował niezdarnie dowieść, że Williamson i Fritz balowali razem w Norman cztery miesiące przed śmiercią Debbie, powołał go na świadka. W 1983 Featherstone dwukrotnie badał Dennisa na wykrywaczu kłamstw, ale w wielu znakomitych powodów wyniki tych badań były dowodem niedopuszczalnym w sądzie. Podczas przesłuchania Dennis opowiedział o pewnej nocy w Norman, kiedy to wraz z Ronem pili i szlajali się po knajpach. Gdy Peterson poprosił, żeby Featherstone powtórzył tę historię przysięgłym, Saunders zgłosił stanowczy sprzeciw. Sędzia Jones podtrzymał go - epizod w Norman nie miał żadnego związku ze sprawą - poprosił do siebie oskarżyciela i obrońcę, ci posprzecziali się i w trakcie tej sprzeczki Peterson powiedział:

- Dzięki jego zeznaniu (Featherstone'a) udowodnię, że Ron Williamson i Dennis Fritz przestawali z sobą już w sierpniu 1982 roku.

- Proszę wykazać, jaki to ma związek ze sprawą - polecił sędzia.

Peterson wykazać tego nie potrafił i Featherstone szybko wyszedł z sali. Był po prostu kolejnym świadkiem, który nie wiedział nic o morderstwie Debbie Carter.

Następny również nie wniósł niczego nowego, chociaż jego zeznania były dość ciekawe. William Martin był dyrektorem gimnazjum, w którym Dennis uczył w 1982 roku. Powiedział przysięgłym, że w środę ósmego grudnia Fritz powiadomił go, że jest chory i że tego dnia ktoś go zastępował.

Według listy obecności, którą Martin przyniósł do sądu, w ciągu dziewięciu miesięcy pracy Dennis opuścił w sumie siedem dni.

**Mimo** dwunastu świadków oskarżenie nie zdołało nawet Dennisa zadrasnąć. Ponad wszelką wątpliwość dowiodło jedynie tego, że pił alkohol, zadawał się z kompromitującymi osobnikami (czytaj: z Ronem Williamsonem), mieszkał z matką i córką w sąsiedztwie Debbie Carter i że dzień po morderstwie nie przyszedł do pracy.

Peterson wierzył w metodyczność. Uważał, że słuszności sprawy trzeba dowodzić bardzo powoli, systematycznie, krok po kroku, świadkiem po świadku, że niepotrzebna jest do tego fantazja czy zręczność. Że trzeba stopniowo ujawniać dowody rzeczowe i rozpędzać wątpliwości przysięgłych. Sęk w tym, że Fritz stanowił trudny orzech do zgryzienia, ponieważ oskarżenie nic na niego nie miało.

Nadeszła pora na kapusiów.

Pierwszym był James Harjo, którego podobnie jak Gore'a przywieziono prosto z więzienia. Tępy i przyglupi Harjo nie tylko włamał się dwukrotnie do tego samego domu, ale i dwukrotnie zrobił to tym samym sposobem: przez to samo okno wszedł do tego samego pokoju. Złapano go i przesłuchano. Ciągami kółek i krzyżyków, za pomocą długopisu i kartki papieru, a więc przedmiotów zupełnie mu obcych, policjanci prześledzili przebieg włamania i rozwiązali całą zagadkę. Na Harju musiało zrobić to wielkie wrażenie, bo siedząc w areszcie z Dennisem, postanowił rozwikłać zagadkę morderstwa Debbie tą samą metodą.

Swoją przebiegłą strategię chętnie wyjaśnił przysięgłym. Otóż wypytał Dennisa w zatłoczonej celi ogólnej. W pewnym momencie, gdy wszystkie kółka i krzyżyki ułożyły się w całość, oświadczył:

- Wygląda na to, że jesteś winny.

Porażony logiką jego myślenia Dennis ugiął się pod ciężarem niezbitych dowodów i ze łzami w oczach odparł:

- Nie chcieliśmy zrobić jej krzywdy.

Kiedy Harjo opowiadał te bzdury na rozprawie wstępnej, Dennis nie wytrzymał i krzyknął: „Kłamiesz! Kłamiesz!” Ale teraz, w obecności przysięgłych, musiał znieść to, nie okazując żadnych emocji. Było mu bardzo ciężko, lecz na duchu podniosło go kilku przysięgłych, którzy z trudem stłumili śmiech, słysząc głupkowatą opowieść świadka.

Zabierając głos, Greg Saunders ustalił, że Dennisa i Harja osadzono w dwuosobowej celi wychodzącej na jedno z dwóch pomieszczeń ogólnych, małych, otwartych izb przeznaczonych dla czterech cel każda. Zaprojektowano je dla

ośmiu aresztantów, lecz zwykle tłoczyło się ich tam znacznie więcej. Dosłownie siedzieli sobie na karku, mimo to nikt inny nie słyszał dramatycznego wyznania Dennisa.

Harjo zeznał, że lubił opowiadać kłamstwa o Ronie Dennisowi i odwrotnie.

- Dlaczego ich pan okłamywał? - spytał go Greg Saunders. - Dlaczego chodził pan od jednego do drugiego i kłamał?

- Żeby zobaczyć, co powiedzą. Tacy to skaczą sobie do gardła.

- Więc Ronowi opowiadał pan kłamstwa o Dennisie, a Dennisowi o Ronie, tak? Żeby zobaczyć, jak skaczą sobie do gardła?

- Tak, żeby zobaczyć... zobaczyć, co powiedzą.

Harjo wyznał później, że znaczenie słowa: „krzywoprzysięstwo” było mu zupełnie obce.

**Kolejnym** informatorem był Mike Tenney, kandydat na strażnika, którego policja wykorzystwała do zbierania brudów na Fritza. Nie mając prawie żadnego doświadczenia i nie ukończywszy żadnego szkolenia w siłach policyjnych, Tenney chciał pracować w areszcie i jego pierwszym zadaniem był Dennis Fritz. Żeby zaimponować swoim przyszłym chlebodawcom, którzy mogli zatrudnić go tam na stałe, spędzał dużo czasu przed jego celą, gawędząc niby o wszystkim, lecz o morderstwie Debbie Carter w szczególności. Chętnie udzielał Fritzowi rad. Jego wielce uczonym zdaniem, sytuacja Dennisa była paskudna, dlatego powinien czym prędzej pogadać z prokuratorem, wynegocjować układ, ocalić skórę i zeznawać przeciwko Williamsonowi. Peterson na pewno go nie skrzywdzi.

Dennis spokojnie go słuchał, pamiętając, żeby nie powiedzieć niczego, co mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niemu w sądzie.

Jako nowicjusz, Tenney wystąpił ledwie w kilku procesach i niezbyt dobrze przećwiczył swój tekst. Zaczął od tego, że próbował przypomnieć sobie, jak to Dennis i Ron szlajali się po barach w Oklahoma City, co nie miało absolutnie żadnego, nawet najbardziej odległego związku z morderstwem Debbie Carter. Saunders zgłosił sprzeciw. Sędzia Jones go podtrzymał.

Potem Tenney wylał na siebie garnek wrzątku, zeznając, że rozmawiał z Dennisem o przetargach z prokuraturą. Aż dwa razy wspomniał o ewentualnej ugodzie, co było dla Fritza bardzo niekorzystne, ponieważ jednoznacznie sugerowało, że oskarżony poważnie rozważał przyznanie się do winy.

Greg Saunders stanowczo zaprotestował i wniósł o unieważnienie procesu. Sędzia Jones wniosek oddalił.

Tenney zdołał dokończyć zeznanie, nie zmuszając obrony do dalszych sprzeciwów. Powiedział przysięgłym, że często rozmawiał z Dennisem i że po każdej rozmowie szybko wracał do dyżurki, żeby zapisać wszystko to, co od niego usłyszał. Według Gary'ego Rogersa, jego prowadzącego, tak się właśnie robiło. Nie ma to jak dobra policyjna robota. Podczas jednej z tych pogawędek Dennis miał jakoby powiedzieć: „Założmy, że mogło tak być. Założmy, że Ron włamał się do mieszkania Debbie Carter. Założmy, że sobie zaszalał. Że trochę go poniosło i chciał dać jej nauczkę. Że Debbie umarła. Założmy, że tak było. Ale ja nie widziałem, jak ją zabijał, więc jak mogę powiedzieć prokuratorowi, że widziałem”.

Po jego zeznaniach sędzia zarządził przerwę i Dennis wrócił do aresztu. Ostrożnie zdjął swój nowy garnitur, powiesił go na wieszaku i oddał strażnikowi. Wyciągnął się na pryczy, zamknął oczy i zastanawiał się, jak się ten koszmar skończy. On wiedział, że świadkowie kłamią, ale czy wiedzieli o tym przysięgli?

**Nazajutrz** rano Bill Peterson wezwał na świadka Cindy McIntosh, która siedząc w areszcie pod zarzutem fałszowania czeków, poznała tam Dennisa Fritza i Rona Williamsona. Cindy zeznała, że podsłuchiwała ich rozmowę, podczas której Ron pytał Dennisa o zdjęcia Debbie Carter zrobione na miejscu zbrodni.

„Leżała na łóżku czy na podłodze?” — miał jakoby spytać Ron.

Odpowiedzi nie było.

McIntosh przyznała, że uniknęła procesu. „Spłaciłam te czeki i mnie wypuścili” - powiedziała.

Parada kapusiów wreszcie dobiegła końca i Peterson powrócił do dowodów bardziej wiarygodnych. Ale tylko trochę bardziej wiarygodnych. Jego czterech kolejnych świadków pracowało w stanowym laboratorium kryminalistycznym. Świadcowi ci wywarli na przysięgłych wielkie wrażenie, bo tacy jak oni zawsze je wywierają. Byli wykształceni, wykwalifikowani i doświadczeni, mieli dyplomy, no i byli pracownikami państwowymi. Byli ekspertami! I mieli zeznawać przeciwko oskarżonemu, żeby dowieść jego winy.

Pierwszym był specjalista od odcisków palców, Jerry Peters. Zeznał, że zbadał dwadzieścia jeden odcisków zebranych w mieszkaniu i w samochodzie Debbie Carter, z których dziewiętnaście należało do Debbie. Jeden należał do detektywa Dennisa Smitha, jeden do Mike'a Carpentera i ani jeden do Dennisa Fritza czy Rona Williamsona.

To dziwne: specjalista od odcisków palców zeznaje, że żaden z odcisków znalezionych na miejscu zbrodni nie należy do oskarżonych.

Larry Mullins opisał, w jaki sposób pobrał odcisk dłoni Debbie Carter po ekshumacji zwłok w maju. Nowe odciski przekazał Jerry'emu Petersowi, który dostrzegł w nich nagle coś, czego nie zauważył cztery i pół roku wcześniej.

Oskarżenie zakładało - podobnie jak w przypadku Rona Williamsona — że podczas długotrwałej i gwałtownej napaści Debbie została ranna, że jej krew trafiła w jakiś sposób na jej lewą rękę i że ręką tą Debbie dotknęła płyty kartonowo-gipsowej na ścianie tuż nad podłogą. Ponieważ odcisk ten nie należał ani do Rona, ani do Dennisa, a już na pewno nie mógł należeć do prawdziwego zabójcy, musiał więc należeć do Debbie.

**Mary Long** była kryminalistyką specjalizującą się w płynach ustrojowych. Wyjaśniła przysięgłym, że w przypadku około dwudziestu procent ludzi nie sposób jest określić ich grupy krwi na podstawie śliny, nasienia czy potu. W żargonie fachowym ludzi tych określa się nazwą „niewydzielaczy”. Mary Long zbadała krew i ślinę Rona i Dennisa i była pewna, że obydwaj są właśnie takimi osobnikami.

Prawdopodobnie był nim również mężczyzna, który pozostawił spermę na miejscu zbrodni, chociaż nie mogła tego stwierdzić na sto procent ze względu na brak wystarczającej ilości materiału dowodowego do zbadania.

W taki oto sposób z kręgu podejrzanych wyeliminowano osiemdziesiąt procent populacji. A raczej „około” osiemdziesięciu procent, tak plus minus. Niemniej do Fritza i Williamsona przyłgnęło złowieszcze miano „niewydzielaczy”.

Cała logika tego wyводу wzięła w łeb, gdy Greg Saunders zmusił Mary Long do przyznania, że większość próbek śliny i krwi, które zbadała w związku z morderstwem Debbie Carter, należy do niewydzielaczy. Było ich w sumie dwadzieścia, z czego dwanaście pochodziło od tychże osobników, w tym od Fritza i Williamsona.

Tak więc w testowanej przez nią grupie podejrzanych było ich aż sześćdziesiąt procent, w przeciwieństwie do o czterdzieści procent niższej średniej krajowej.

Ale nie miało to żadnego znaczenia. Zeznanie Mary Long wielu oczyściło i jeszcze bardziej zagęściło cień podejrzania wiszący nad głową Dennisa Fritza.



Najskuteczniejszym świadkiem oskarżenia był świadek ostatni. Peterson zaczekał do ostatniej rundy i dopiero wtedy zadał cios ostateczny. Gdy Mehrin Hett skończył zeznawać, przysięgli wyzbyli się wszelkich wątpliwości.

Hett pracował w Olahomskim Biurze Śledczym. Był specjalistą od włosów, weteranem wśród biegłych, człowiekiem, który pomógł sądowi wysłać wielu do więzienia.

**Nowa** dziedzina kryminalistyki jaką jest badanie ludzkich włosów, wystartowała niepewnie już w roku 1882. W toczącym się w Wisconsin procesie pewien zeznający na korzyść oskarżenia „ekspert” orzekł, że znalezione na miejscu zbrodni włosy oraz włosy stanowiące próbki porównawcze pochodzą z tego samego źródła. „Źródło” zostało skazane, jednak sąd apelacyjny uchylił wyrok ze stanowczym uzasadnieniem, które podkreślało, że: „Tego rodzaju dowody rzeczowe są niezwykle ryzykowne”.

Gdyby sądy wzięły to pod uwagę, więzienia uniknęłyby tysiące niewinnie skazanych. Tymczasem policja, śledczy, laboratoria kryminalistyczne i prokuratorzy uparcie brnęli dalej, przedstawiając sądowi wyniki badania włosów, które były częstokroć jedynym namacalnym dowodem z miejsca zbrodni. Badania te stały się tak powszechne i tyle narosło wokół nich kontrowersji, że w XX wieku były częstym obiektem studiów i analiz naukowych.

Wiele z nich podkreślało wysoki poziom błędów, dlatego w roku 1978 Law Enforcement Assistance Administration, agencja federalna założona w 1968 w celu dofinansowywania stanowych i lokalnych sił policyjnych - realizowała między innymi wiele programów edukacyjnych i naukowych — postanowiła zainicjować program mający zbadać skuteczność działania amerykańskich laboratoriów kryminalistycznych. Wzięło w nim udział dwieście czterdzieści najlepszych laboratoriów z całego kraju, które porównywały wyniki badań różnych dowodów rzeczowych, w tym ludzkich włosów.

Okazało się, że wiarygodność wyników tych ostatnich jest praktycznie żadna. W czterech przypadkach na pięć większość laboratoriów po prostu się myliła.

Dalsze studia jeszcze bardziej zaostrzyły dyskusję. Okazało się mianowicie, że dokładność badań wzrasta, jeśli ekspert porównuje włosy z miejsca zbrodni z włosami pięciu innych osobników, nie wiedząc, który z nich jest podejrzanym - można dzięki temu uniknąć niezamierzonej stronniczości.

Jednakże te same studia wykazały, że jeśli ekspert zna nazwisko prawdziwego „podejznanego”, dokładność badania dramatycznie spada. Tak więc okazało się, że z góry przyjęty wniosek może mieć wpływ na wyniki badań i obciążyć podsądnego.

Specjaliści od badania włosów stąpają po cienkim lodzie i w ich ekspertyzach roi się od dwuznaczności w rodzaju: „Włosy z próbki porównawczej i włosy badane są mikroskopowo zgodne i mogą pochodzić z tego samego źródła”.

Tak więc istnieje również bardzo duże prawdopodobieństwo, że mogą z tego źródła nie pochodzić, jednak tę opinię przedstawia się niezmiernie rzadko, przynajmniej w sali rozpraw.

**Żeby** trafić wreszcie do sądu, setki włosów, zebranych na miejscu zbrodni przez Dennisa Smitha, musiało pokonać długą, najeżoną przeszkodami drogę. Zajmowało się nimi co najmniej trzech różnych ekspertów z Oklahomskiego Biura Śledczego, którzy zbadali również dziesiątki włosów z próbek porównawczych pobranych przez Smitha i Rogersa zaraz po morderstwie Debbie Carter, podczas rutynowej nagonki na podejrzanych.

Najpierw Mary Long zebrała i uporządkowała włosy w swoim laboratorium, ale już niebawem przekazała je Susan Land. Land otrzymała je dopiero w marcu 1983 roku, a w marcu Smith i Rogers byli już całkowicie przekonani, że mordercami są Fritz i Williamson. Ku ich konsternacji jednak Land stwierdziła, że włosy z miejsca zbrodni są mikroskopowo zgodne jedynie z włosami Debbie Carter.

Tak więc na chwilę obydwu podejrzanych zdjęto z haka, chociaż oczywiście nie mogli o tym wiedzieć. A wiele lat później ich obrońców nie poinformowano o wynikach badań Susan Land.

Oskarżenie potrzebowało drugiej ekspertyzy.

Powołując się na wynikający z przepracowania stres i napięcie, we wrześniu 1983 roku szef Susan Land polecił jej „przekazać” sprawę Melwinowi Hettowi. Tego rodzaju „przekazanie” było tym bardziej niezwykle, że Land i Hett pracowali w odległych od siebie częściach stanu, Land w centralnym laboratorium w Oklahoma City, Hett natomiast w filii laboratorium w Enid. Jego region obejmował osiemnaście hrabstw i nie było wśród nich hrabstwa Pontotoc.

Hett okazał się ekspertem bardzo metodycznym. Zbadanie włosów zajęło mu aż dwadzieścia siedem miesięcy - zważywszy, że miał na warsztacie tylko włosy Fritza, Williamsona i Debbie Carter, trwało to niezwykle długo.

Pozostałe dwadzieścia trzy próbki były mniej ważne i mogły poczekać.

Wiedział, kto zabił Debbie, policja usłużnie go o tym poinformowała. Na próbkach od Susan Land przy nazwisku Fritza i Williamsona widniał dopisek: „Podejrzany”.

Glen Gore wciąż nie dostarczył policji swoich włosów.

Trzynastego grudnia 1985 roku, trzy lata po morderstwie, Melvin Hett skończył pisać swój pierwszy raport, stwierdzając, że siedemnaście zakwestionowanych włosów pasuje do włosów Fritza i Williamsona.

Poświęciwszy ponad dwa lata i ponad dwieście godzin na badania pierwszych próbek, wyraźnie przyspieszył, bo pozostałe dwadzieścia jeden zaliczył w niecały miesiąc. Dziewiątego stycznia 1986 roku sporządził drugi raport, uznając, że żadna próbka pobrana od młodych mężczyzn, mieszkańców Ady, nie pasuje do włosów znalezionych na miejscu zbrodni.

Glen Gore wciąż nie dostarczył policji swoich.

Było to zajęcie żmudne, a jego rezultaty niepozbawione wątpliwości. Pochylając się nad mikroskopem, Hett wielokrotnie zmieniał zdanie. To był pewien, że jakiś włos jest włosiem Debbie Carter, to znowu włosiem Fritza.

Tak to już w tej pracy jest. Hett stanowczo zanegował wyniki badań Susan Land i zdołał nawet zakwestionować swoje. Początkowo uznał, że trzynaście włosów łonowych należy do Fritza i tylko dwa do Williamsona. Później jednak liczby się zmieniły: dwanaście włosów łonowych należało do Fritza, a dwa do Williamsona. Jeszcze potem do Fritza należało jedenaście włosów łonowych i dwa głowowe.

Włosy Gore'a wkroczyły na arenę wydarzeń dopiero w lipcu 1986 roku. Ktoś z komendy policji w Adzie nagle się obudził i zdał sobie sprawę, że zapomniano o Glenie Górze. Dennis Smith pobrał mu próbkę włosów głowowych i łonowych - przedtem pobrał próbki od Ricky'ego Joe Simmonsa, tego, który dobrowolnie przyznał się do zamordowania Debbie - i wysłał je pocztą do Melvina Hetta, który musiał być bardzo zajęty, ponieważ przez rok nie działo się absolutnie nic. W lipcu 1987 roku Gore'a poproszono o nową próbkę. Dlaczego? - spytał. Dlatego, że policja nie mogła znaleźć tej pierwszej.

Mijały miesiące, a Hett wciąż milczał. Była wiosna 1988 roku, zbliżał się proces, a on wciąż nie zbadał włosów jego i Simmonsa.

Siódmego kwietnia 1988 roku, tuż po rozpoczęciu procesu Dennisa Fritza, Hett sporządził w końcu swoją trzecią opinię. Wynikało z niej, że włosy, Gore'a nie są mikroskopowo zgodne z włosami dowodowymi. Wyciągnięcie

-

tego wniosku zajęło mu prawie dwa lata; nikt nie uznał tego za podejrzane. Była to natomiast kolejna wskazówka, że oskarżenie tak bardzo wierzyło w winę Fritza i Williamsona, iż nie uznało nawet za konieczne zaczekać na ostateczne wyniki badań.

**Mimo** różnych zastrzeżeń i niepewności związanych z badaniem włosów, Melvin Hett był zagorzałym zwolennikiem tej metody. Zaprzyjaźnił się z Petersonem i przed procesem Fritza podesłał mu kilka naukowych artykułów na temat wiarygodności tych jakże niewiarygodnych badań. Nie dostarczył mu jednak ani jednego z licznych artykułów stanowczo je potępiających.

Dwa miesiące przed procesem Fritza zawiózł swoje wyniki do prywatnego laboratorium McCrone w Chicago. Tam przejrzał je jeden z jego znajomych, niejaki Richard Bisbing. Wynajęła go Wanda Fritz; Bisbing miał zweryfikować materiał dowodowy i zeznawać w sądzie. Żeby mu zapłacić, Wanda musiała sprzedać samochód Dennisa.

Okazało się, że Bisbing pracuje znacznie szybciej, ale wyniki jego badań były równie zaskakujące.

W niecałe sześć godzin wszystkie ustalenia Hetta zostały obalone. Obejrzawszy tylko jedenaście włosów łonowych — według Hetta, mikroskopowo zgodnych z włosami łonowymi Fritza - Bisbing stwierdził, że mikroskopowo zgodne są jedynie trzy. Że jedynie trzy „mogą” być włosami Dennisa Fritza. Co do pozostałych ośmiu Hett się po prostu mylił.

Niezrażony opinią kolegi po fachu Hett wrócił do Oklahomy. Nie zmienił zdania i był gotów zeznawać.

**Miejsce** dla świadków zajął ósmego kwietnia po południu i natychmiast rozpoczął długi wykład naszpikowany naukowymi określeniami i mądrymi słowami, których celem było bardziej zaimponowanie przysięgłym niż ich poinformowanie. Dennis, człowiek wykształcony i mający doświadczenie w nauczaniu przedmiotów ścisłych, nie mógł za nim nadążyć i wiedział, że przysięgli też nie nadążają. Kilka razy na nich zerknął. Byli beznadziejnie zagubieni, lecz biegły wyraźnie im zaimponował. Tyle wiedział!

Hett rzucał słowami takimi jak „morfologia”, „warstwa korowa”, „wychylenie łusek”, „płytki odstęp”, „osłona korowa” i „ciała owalne” z taką swobodą, jakby wszyscy zebrani doskonale rozumieli, o czym mówi. Rzadko kiedy zwalniał, żeby cokolwiek naprawdę wyjaśnić.

Był ekspertem-gwiazdorem z aurą wiarygodności podsycaną jego doświadczeniem, słownictwem, pewnością siebie i „niepodważalnymi” wnioskami, że niektóre z włosów Dennisa Fritza pasują do włosów znalezionych na miejscu zbrodni. Aż sześć razy powtórzył, że włosy Dennisa są mikroskopowo zgodne z włosami zakwestionowanymi i mogą pochodzić z tego samego źródła. Ani razu natomiast nie wspomniał, że równie dobrze mogą należeć do kogoś innego.

Zadając mu pytania, Bill Peterson nieustannie mówił o „oskarżonych Ronie Williamsonie i Dennisie Fritzu”. Ron siedział w tym czasie w osobnej celi, brzdąkając na gitarze i nie zdając sobie sprawy, że sądzą go in absentia i że sprawy nie mają się zbyt dobrze.

Hett zakończył zeznanie podsumowaniem. Jedenaście włosów łonowych i dwa włosy głowowe mogły należeć do Dennisa Fritza. Chodziło o te same jedenaście włosów łonowych, które zawiózł do Chicago i pokazał Richardowi Bisbingowi celem zasięgnięcia jego opinii.

Greg Saunders osiągnął niewiele. Po jego pytaniach Hett musiał przyznać, że badanie włosów jest badaniem zbyt spekulatywnym, żeby na jego podstawie jednoznacznie zidentyfikować sprawcę. Podobnie jak inni eksperci, zdołał wyłgać się od odpowiedzi na trudne pytania dzięki nieskończonemu zapasowi mglistych terminów naukowych.

Wreszcie mu podziękowano. Oskarżenie skończyło.

**Pierwszym** świadkiem obrony był Dennis Fritz. Opowiedział przysięgłym o swojej przeszłości, o przyjaźni z Ronem, i tak dalej. Przyznał, że w 1973 roku skazano go za uprawianie marihuany i że siedem lat później zataił to w podaniu o posadę nauczyciela. Dlaczego skłaniał? To proste: potrzebował pracy. Wielokrotnie zaprzeczał, że znał Debbie Carter i że ma coś wspólnego z morderstwem.

Potem zajął się nim Bill Peterson.

Stare porzekadło kiepskich adwokatów mówi, że jeśli nie dysponuje się faktami, trzeba dużo krzyczeć. Peterson podszedł bliżej, łypnął spode łba na mordercę o wielce podejrzanых włosach i zaczął wrzeszczeć.

Już kilka sekund później sędzia Jones poprosił go do siebie na krótką pogawędkę.

- Może pan nie lubić oskarżonego - szepnął surowo - ale nie ma pan prawa wpadać w złość.

- Nie jestem zły - odparował gniewnie Peterson.

- Owszem, jest pan. Nie pierwszy raz podnosi pan głos.

- Dobrze.

Peterson był wściekły, że Fritz skłamał w podaniu o pracę. Skoro skłamał, to po prostu nie można mu wierzyć. W dramatycznym stylu ujawnił również jego drugie kłamstwo, formularz, który Dennis wypełnił, zostawiając pistolet w lombardzie w Durant. Tam też ukrył fakt, że był karany za posiadanie marihuany.

Oto dwa przykłady jawnego oszustwa; oczywiście ani jeden, ani drugi nie miał nic wspólnego z morderstwem Debbie Carter. Peterson katował Dennisa, jak tylko mógł, żeby wycisnąć jak najwięcej z tego według niego zdeklarowanego kłamcy.

Ironiczne - gdyby nie napięta sytuacja, można by rzec, że nawet komiczne - było to, że rozwścieczony próbował „bić pianę” wokół wyjaśnień świadka, który po prostu nie znał prawdy. I robił to oskarżyciel, którego cały materiał dowodowy składał się z zeznań kryminalistów i kapusiów.

Gdy wreszcie postanowił iść dalej, okazało się, że nie ma dokąd. Przeskakiwał od niepopartych dowodami zeznań jednego świadka do drugiego, ale Dennis trzymał się swojej wersji dzielnie i wiarygodnie. Po godzinnym, bardzo agresywnym przesłuchaniu Peterson wreszcie usiadł.

Drugim i ostatnim świadkiem, powołanym przez Grega Saundersa, był Richard Bisbing, który oświadczył, że nie zgadza się z większością wniosków Melvina Hetta.

Było już późne piątkowe popołudnie i sędzia Jones ogłosił przerwę do poniedziałku. Dennis wrócił do aresztu, przebrał się i spróbował odpocząć w dusznej, ciasnej jak nora celi. Był przekonany, że oskarżenie nie zdołało dowieść swego, jednak wciąż dręczyła go niepewność. Widział, jak patrzyli na niego przysięgli, gdy pokazano im makabryczne zdjęcia z miejsca zbrodni. Widział, z jaką uwagą słuchali Melvina Hetta i czuł, że mu uwierzyli.

Czekał go bardzo długi weekend.

**Mowy** końcowe zaczęto wygłaszać w poniedziałek rano. Jako pierwsza głos zabrała Nancy Shew, która w sposób długi i nużący streściła przysięgłym to, co mówili świadkowie oskarżenia.

Greg Saunders zripostował, twierdząc, że oskarżenie nie dowiodło praktycznie niczego, że nie wywiązało się z obowiązku udowodnienia winy ponad wszelką wątpliwość, że jest to nic więcej jak przypadek winy poprzez skojarzenie i że przysięgli powinni uznać jego klienta za niewinnego.

Ostatnie słowo należało do Billa Petersona. Gadał i gadał niemal przez godzinę, powracając do najważniejszych - jego zdaniem - argumentów

wszystkich świadków po kolei i rozpaczliwie próbując przekonać ławników; że jego oszuści i kapusie są jak najbardziej wiarygodni.

Przysięgli udali się na naradę w południe i sześć godzin później wrócili, by ogłosić, że podzielili się w stosunku jedenaście do jednego. Sędzia Jones odesłał ich z powrotem z obietnicą szybkiej kolacji. Około ósmej wieczorem wrócili ponownie z orzeczeniem: „winny”.

Dennis słuchał tego w stężącej ciszy, wstrząśnięty, bo niewinny, i zaszkokowany, bo skazano go na podstawie tak słabych dowodów. Miał ochotę zwymyślać przysięgłych, sędziego, policję i cały wymiar sprawiedliwości, ale proces jeszcze się nie skończył.

W sumie nie był aż tak bardzo zaskoczony. Obserwował przysięgłych, widział, jak bardzo byli nieufni i podejrzliwi. Reprezentowali miasto, a miasto domagało się krwi. Skoro policja i prokuratura była przekonana, że jest mordercą, w takim razie musiał nim być.

Zamknął oczy i pomyślał o córce Elizabeth, która miała już czternaście lat i na pewno rozumiała, czym jest wina i niewinność. Jak miał ją teraz przekonać, że nie zrobił tego, o co go oskarżają?

Peggy Stillwell zemdląła po wyjściu z tłumem na trawnik przed sądem. Była wyczerpana, owładnięta emocjami i smutkiem. Odwieziono ją do najbliższego szpitala, lecz wkrótce wypisano.

Ustalwszy, że oskarżony jest winny, sąd musiał teraz wymierzyć mu karę. Teoretycznie rzecz biorąc, przysięgli mieli ustalić wyrok na podstawie okoliczności obciążających, przedstawionych przez oskarżenie, które chciało uzyskać karę śmierci, oraz na podstawie okoliczności łagodzących przedstawionych przez obronę, które mogły ocalić mu życie.

W przypadku Fritza druga faza procesu była bardzo krótka. Peterson powołał na świadka Rusty'ego Featherstone'a, który mógł w końcu powiedzieć przysięgłym, że Dennis wyznał mu, iż cztery miesiące przed morderstwem on i Ron szlajali się po knajpach w Norman. Do tego sprowadzało się jego zeznanie. Dwaj podejrzani o morderstwo pojechali do oddalonego o sto dwanaście kilometrów Norman i spędzili tam całą noc, chodząc po klubach i barach.

Kolejny świadek omówił szerzej tę jakże „wstrząsającą” historię. Nazywała się Lavita Brewer i pijąc drinka w barze w Holiday Inn w Norman, poznała Fritza i Williamsona. Po kilku kieliszkach wyszli razem. Ona usiadła na tylnym siedzeniu. Dennis za kierownicą. Ron usiadł obok niego i ruszyli. Padało. Dennis jechał szybko, przejeżdżał przez skrzyżowania na czerwonym świetle, i tak dalej, i Lavita wpadła w histerię. Ani jeden, ani drugi nie grozili jej ani nawet jej nie dotknęli, mimo to postanowiła wysiąść. Ale Dennis nie chciał się zatrzymać. Pędzili tak przez piętnaście, może

dwadzieścia minut, a potem zwolnili na tyle, że mogła otworzyć drzwiczki i wyskoczyć. Pobieгла do budki i zadzwoniła na policję.

Nikt nie został ranny. Nie wniesiono oskarżenia. Nikogo nie aresztowano ani nie skazano.

Ale dla Billa Petersona incydent ten był wyraźnym dowodem, że Dennis Fritz zagraża społeczeństwu i że powinno się go skazać na śmierć, żeby chronić przed nim inne młode damy. Lavita Brewer była najlepszym i jedynym świadkiem, jakiego mógł znaleźć.

Zwracając się do przysięgłych z żarliwą prośbą o wymierzenie mu najwyższej kary, spojrzął na oskarżonego i powiedział:

- Dennisie Fritz, za to, co pan i Ron Williamson zrobiliście Deborze Sue Carter zasługuje pan na śmierć.

Na co Dennis przerwał mu, mówiąc:

- Ja nie zabiłem Debbie Carter.

Dwie godziny później przysięgli wrócili do sali z wyrokiem dożywotniego więzienia. Gdy odczytano werdykt, Dennis wstał, spojrzął na nich i powiedział:

- Panie i panowie przysięgli, chciałbym...

- Przepraszam pana... - przerwał mu sędzia Jones.

- Dennis, nie może pan tego robić - ostrzegł go Greg Saunders.

Ale Dennisa nie dało się powstrzymać.

- Mój Pan, dobry Jezus, wie, że tego nie zrobiłem. Chcę tylko, żebyście wiedzieli, że wam wybaczam. Będę się za was modlił.

W celi, w swoim małym, dusznym kąciку, nie znalazł żadnego ukojenia w tym, że uniknął kary śmierci. Miał trzydzieści osiem lat, był niewinnym, łagodnym człowiekiem i perspektywa spędzenia reszty życia w więzieniu go przytłaczała.



## Rozdział 9

**Annette Hudson** uważnie śledziła przebieg rozprawy, czytając codzienne reportaże w „Ada Evening News”. We wtorek dwunastego kwietnia nagłówek na pierwszej stronie gazety krzychał: Fritz winnym morderstwa Debbie Carter.

W artykule jak zwykle wspomniano o jej bracie. „Ron Williamson, również oskarżony o morderstwo Debbie Carter, ma stanąć przed sądem dwudziestego pierwszego kwietnia”. Jego nazwisko padało we wszystkich sześciu artykułach relacjonujących przebieg procesu Dennisa Fritza i zapowiadających proces kolejny: jego własny.

I jak tu znaleźć bezstronnych przysięgłych? - myślała nieustannie Annette. Jeśli skazano już jednego współoskarżonego, czy to możliwe, żeby ten drugi miał sprawiedliwy proces w tym samym mieście?

Kupiła Ronowi nowy, szary garnitur, granatowe spodnie, dwie białe koszule, dwa krawaty i nowe buty.

**Dwudziestego** kwietnia, w przededniu procesu, Rona zaprowadzono do sądu na rozmowę. Sędzia Jones martwił się, że oskarżony może być wybuchowy i - zważywszy wcześniejsze z nim doświadczenia - martwił się niebezpieczeństwem. Na widok Rona rzekł:

„Chciałem się dowiedzieć, czy stawi się pan jutro na rozprawie i upewnić się, że jeśli tak, nie dojdzie tu do żadnych awantur. Czy rozumie pan mój niepokój?”

Ron: „Nie dojdzie pod warunkiem, że nie zaczną na mnie krzyżeć i mówić, że kogoś zabiłem”.

Sędzia Jones: „Ale wie pan, że zaczną”.

Ron: „Wiem, ale to nie w porządku”.

Sędzia wiedział, że Ron był kiedyś wspaniałym sportowcem, użył więc sportowej analogii:

„Kontradyktoryjność procesu sądowego przypomina mecz futbolowy. Każda ze stron ma prawo do ataku i obrony i nie może pan z tym polemizować. Tak się po prostu w to gra”.

Ron: „Tak, ale w tym meczu ja jestem piłką, którą wszyscy kopią”.

**Proces** Dennisa Fritza był dla oskarżenia miłą rozgrzewką przed meczem głównym. Peterson zamierzał powołać tych samych świadków i prawie w tej samej kolejności. Jednakże w procesie Williamsona miał nad obroną pewną przewagę, a nawet dwie. Po pierwsze, oskarżony był człowiekiem niezrównowazonym psychicznie, który chętnie przewracał stoły i obrzucał wszystkich wyzwiskami, a więc zachowywał się w sposób, jakiego większość ludzi - w tym przysięgłych - nie toleruje. Bywał upiorny i przerażający, wszyscy się go bali. Po drugie, miał niewidomego adwokata - niewidomego i osamotnionego. Barber, obrońca z urzędu, zrezygnował ze sprawy w marcu i sąd nie wyznaczył nikogo na jego miejsce. Barney umiał szybko myśleć i świetnie przesłuchiwał świadków, był jednak mniej skuteczny w dyskusjach na temat odcisków palców, zdjęć czy wyników badań włosów.

I nie mógł się już doczekać procesu. Miał dość Williamsona; dobijała go sama liczba godzin, które zamiast jemu, mogłyby poświęcić bogatym klientom. Poza tym, bał się. Bał się go fizycznie. Dlatego poprosił swego syna, nie prawnika, żeby usiadł tuż za nim na sali rozpraw. On sam zamierzał usiąść jak najdalej od Williamsona - chociaż odległość ta wcale nie była tak duża - i gdyby Ron nagle się na niego rzucił, syn chwyciłby go od tyłu i przytrzymał.

Oto jak wielkim zaufaniem darzyli się wzajemnie adwokat i jego klient.

Jednakże niewielu z tych, którzy dwudziestego pierwszego kwietnia po brzegi wypełnili salę rozpraw, zdawało sobie sprawę, że syn ma bronić ojca przed oskarżonym. Większość obecnych była kandydatami na przysięgłych, ludźmi nieobeznanyymi z nowym otoczeniem, którzy po prostu nie wiedzieli, kto jest kim. Byli tam również reporterzy, ciekawscy prawnicy i tłum gapiów; jakich przyciąga każdy proces w małym mieście. Zwłaszcza proces o morderstwo.

Annette Hudson i Renee Simmons siedziały w pierwszym rzędzie, jak najbliżej Rona. Kilka przyjaciółek Renee zaoferowało się, że będą jej

towarzyszyć i wspierać ją przez cały proces. Renee odmówiła. Jej brat był chory i nieprzewidywalny i nie chciała, żeby widziały go w łańcuchach i kajdanach. Nie chciała też, żeby były świadkami plastycznych i makabrycznych zeznań. Wraz z siostrą przecierpiała rozprawę wstępną i miały już przedsmak tego, co czekało je podczas procesu.

Ron nie miał tu żadnych przyjaciół.

W pierwszym rzędzie po drugiej stronie przejścia, w tym samym miejscu co na procesie Dennisa Fritza, siedziała rodzina Carterów. I jedni, i drudzy starali się na siebie nie patrzeć.

Było czwartek, niemal cały rok po ekshumacji zwłok Debbie i aresztowaniu Rona i Dennisa. Ostatnią poważniejszą kurację Ron przeszedł w szpitalu trzynaście miesięcy wcześniej. Na prośbę Barneya raz zbadala go Norma Walker, podczas krótkiej wizyty, która zakończyła się tak jak wszystkie poprzednie. Przez cały rok przyjmował lekarstwa bardzo sporadycznie, jeśli w ogóle. Dostawał je od strażników a czas spędzony samotnie w aresztanckiej celi na pewno nie wpłynął korzystnie na jego zdrowie psychiczne.

Ale jego zdrowie nie obchodziło nikogo oprócz najbliższej rodziny. Ani oskarżyciel, ani obrońca, ani nawet sam sędzia nie podniósł tego problemu.

Nadeszła pora na proces.

**Podniecenie** towarzyszące otwarciu posiedzenia szybko ustąpiło miejsca nudzie: rozpoczął się znużony proces wyboru przysięgłych. Mijały godziny, a oskarżyciel, obrońca i sędzia metodycznie odrzucali jednego kandydata po drugim.

Ron zachowywał się jak trzeba. Wyglądał ładnie: był ostrzyżony i ogolony, miał na sobie nowy garnitur. Przez cały czas robił notatki, wszystko pod czujnym okiem syna Barneya, który choć znudzony tak jak pozostali, przez cały czas dobrze na niego uważał. Ron nie miał pojęcia dlaczego.

Pod wieczór wybrano wreszcie ostateczną dwunastkę: siedmiu mężczyzn i pięć kobiet; wszyscy byli biali. Sędzia Jones pouczył ich i odesłał do domu. Nie zostali izolowani.

Annette i Renee nie traciły nadziei. Jeden z przysięgłych był zięciem sąsiada, który mieszkał naprzeciwko Annette. Drugi krewnym kuznodziei, który na pewno znał Juanitę Williamson i wiedział jak bardzo była oddana kościołowi. Trzeci był dalekim kuzynem jednego z Williamsonów, związanym z rodziną poprzez małżeństwo.

Większość wyglądała znajomo. Annette i Renee widywały ich wszystkich w Adzie. Ada była naprawdę bardzo małym miastem.

**Przysięgli** wrócili nazajutrz o dziewiątej rano. Mowę wstępną wygłosiła Nancy Shew; mowa była niemal dokładną kalką tej, którą wygłosiła na procesie Fritza. Barney wstrzymał się z wygłoszeniem swojej do chwili, aż oskarżenie skończy przesłuchiwać swoich świadków.

Pierwszym znowu był Glen Gore, ale sprawy nie potoczyły się zgodnie z planem. Podawszy swoje imię i nazwisko, Gore zamilkł i odmówił składania zeznań. Sędzia zagroził mu karą za lekceważenie sądu, ale jakie to miało znaczenie? Gore i tak odsiadywał już czterdziestoletni wyrok. Powody jego milczenia były niejasne, ale prawdopodobnie miały coś wspólnego z tym, że Gore siedział w więzieniu stanowym, gdzie kapusiów nie darzono sympatią tak wielką, jak w areszcie hrabstwa Pontotoc.

Doszło do małego zamieszania, wreszcie sędzia zdecydował, że przysięgli wysłuchają jego zeznań z lipcowej rozprawy wstępnej. Tak też zrobiono i chociaż wrażenie było dużo mniejsze, ławnicy zapoznali się z jego fikcyjną historyjką o tym, że w dniu morderstwa widział Rona na parkingu Pod Latarnią.

Jednakże Barney stracił tym samym okazję do wypytania Gore'a o jego liczne wykroczenia i przestępstwa. Nie mógł też spytać go, co w tym dniu robił i gdzie przebywał.

Mając Gore'a z głowy, oskarżenie szybko powróciło do starej, wypróbowanej już taktyki. Tommy Glover, Giną Vietta i Charlie Carter po raz trzeci złożyli te same zeznania.

Gary Allen powtórzył przysięgłym tę samą opowieść o tym, jak to na początku grudnia o wpół do czwartej nad ranem słyszał głosy dwóch mężczyzn polewających się wodą z węża na podwórzu, wyraźnie podkreślając, że nie rozpoznał wśród nich głosu Rona Williamsona. Tym drugim mógł być Fritz, chociaż niekoniecznie.

**Tymczasem** prawda była taka, że Allen nie mógł nikogo rozpoznać i nie miał nawet pojęcia, kiedy doszło do tego incydentu. Był dobrze znanym policji narkomanem. Znał Dennisa Smitha, bo chodzili razem do miejscowego college'u.

Smith przyszedł do niego kilka dni po morderstwie i spytał, czy Allen widział lub słyszał coś podejrzanego ósmego grudnia we wczesnych

godzinach porannych. Allen odparł, że widział dwóch mężczyzn polewających się wodą z węża na sąsiednim podwórku, ale nie pamiętał dokładnej daty. Smith i Rogers wyciągnęli z tego wniosek, że mężczyznami tymi byli Fritz i Williamson, którzy zmywali z siebie krew Debbie Carter. Przycisnęli Allena, wypytując o szczegóły i pokazali mu nawet zdjęcia z miejsca zbrodni. Sugerowali, że słyszał Fritza i Williamsona, mimo to Allen nie chciał tego potwierdzić, bo po prostu nie mógł.

Na krótko przed procesem wpadł do niego Gary Rogers i ponownie spytał go o szczegóły. Czy to na pewno nie Fritza i Williamsona widział rano na początku grudnia?

Nie, Allen nie dawał za to głowy. Wtedy Rogers lekko odchylił połą marynarki, tak żeby widać było służbowy rewolwer, i powiedział, że Allen może umrzeć na ołowicę, jeśli nie polepszy mu się pamięć. Pamięć się polepszyła, ale tylko na tyle, żeby przyjść z Allenem do sądu.

**Potem** Dennis Smith powiedział przysięgłym, czym zajmowała się policja na miejscu zbrodni; mówił, o robieniu zdjęć, zbieraniu odcisków palców, dowodów rzeczowych, i tak dalej. Pokazano im zdjęcia i na widok ofiary zareagowali zgodnie z oczekiwaniami. Korzystając ze strażackiej drabiny, policyjny fotograf zrobił kilka ujęć najbliższego otoczenia domu Debbie i Peterson poprosił Smitha, żeby ten wskazał przysięgłym dom Williamsonów. Dom stał kilkadziesiąt metrów dalej.

Barney powiedział: „Poproszę o te zdjęcia” i oczywiście je dostał. Zgodnie z obowiązującą w Adzie niepisaną umową, wziął je i wyszedł z Lindą z sali. Linda szczegółowo mu je opisała.

Przesłuchiwał Smitha krótko i treściwie, lecz miał w zanadrzu kilka fajerków. Zawsze uważał, że to bardzo dziwne, iż dwóch domniemanych morderców zdołało popełnić tak potworną zbrodnię, nie zostawiając w mieszkaniu Debbie ani jednego odcisku palca. Dlatego spytał Smitha, z jakich powierzchni najlepiej się je zbiera. Z gładkich, twardych, takich jak lustro, twardy plastik, malowane drewno, i tak dalej. Potem zaprosił świadka na wymyśloną przechadzkę po mieszkaniu Debbie i niebicie wykazał, że detektyw zaniedbał wiele oczywistych miejsc: urządzenia kuchenne, szyba w otwartym oknie sypialni, krany w łazience, listwa przy futrynie drzwi, lustro. Lista robiła się coraz dłuższa i dłuższa i wkrótce było już zupełnie jasne, że Smith spaprał robotę.

Świadek zaczynał się gubić, a Barney wciąż atakował. Kiedy stawał się zbyt agresywny, Bill Peterson i Nancy Shew zgłaszali sprzeciw, jednak sprzeciw ten spotykał się zwykle ze zjadliwą ripostą.

Jako kolejny zeznawał Gary Rogers, który zdał przysięgłym szczegółowe sprawozdanie z dalszego przebiegu śledztwa. Ale jego największym wkładem do procesu była opowieść o „sennym” przyznaniu się do winy, które wymusił na Ronie dzień po aresztowaniu. Przyznanie się to brzmiało całkiem niezłe, lecz Barney miał kilka drobnych wątpliwości.

Otóż bardzo ciekawiło go, dlaczego zeznania tego nie nagrano. Rogers przyznał, że policja dysponowała i często używała kamery wideo, jednak przyciśnięty do muru ujawnił, że kamerę włączano tylko wtedy, kiedy przesłuchujący wiedzieli, co podejrzany powie. Po co ryzykować i nagrywać coś, co może okazać się szkodliwe dla oskarżenia i korzystne dla obrony?

Rogers potwierdził, że na komendzie jest także magnetofon i że on, detektyw Rogers, umie go obsługiwać. Ale podczas przesłuchania Rona go nie włączono, bo po prostu nigdy się tego nie robiło. Barney nie mógł w to uwierzyć.

Rogers przyznał również, że na komendzie jest spory zapas gotowych do użycia ołówków i papieru, ale bardzo się zaplątał, próbując wyjaśnić ławnikom, dlaczego on i Rusty Featherstone nie pozwolili Ronowi tych zeznań spisać. Co więcej, po przesłuchaniu Rogers i Featherstone nie pokazali mu protokołu — Barney stał się jeszcze bardziej podejrzliwy. Maglował go dalej i Rogers popełnił wielki błąd. Wspomniał o przesłuchaniu z 1983 roku, o przesłuchaniu nagrany na wideo, w którym Ron Williamson kategorycznie zaprzeczył że miał jakikolwiek związek z morderstwem Debbie Carter.

Barney nie wierzył własnym uszom. Dlaczego nic mu o tym nie powiedziano? Zgodnie z zasadami przedprocesowego ujawnienia dowodów, oskarżenie po prostu musiało zapoznać obronę z materiałem, który mógł mieć wpływ na ewentualne uniewinnienie pozwanego. Rok wcześniej, we wrześniu, sąd nakazał oskarżycielowi przekazanie obrońcy wszystkich zeznań Rona związanych ze sprawą morderstwa Debbie Carter.

Jak to możliwe, że policja i prokuratura dysponowała tym nagraniem już od czterech lat i od czterech lat je ukrywała?

Barney miał ledwie kilku świadków, ponieważ sprawa była w gruncie rzeczy poszlakowa: oskarżenie wykorzystywało w niej wielu różnych, aczkolwiek niezbyt wiarygodnych świadków, którzy twierdzili, że Williamson w ten czy inny sposób przyznał się do winy. Jediną metodą obalenia tego rodzaju zeznań jest konsekwentne zaprzeczanie, a jedyną osobą, która mogła to zrobić, był sam Ron. Barney zamierzał wezwać go na świadka, jednak perspektywa ta napawała go przerażeniem.

Nagranie z 1983 roku byłoby potężną bronią. Pokazywało bowiem, że cztery i pół roku wcześniej, a więc zanim oskarżenie zdołało zgromadzić menażerię podejrzanych świadków i zanim Ron zdążył tak bardzo wzbogacić swoją przeszłość kryminalną, ten sam Ron siedział przed kamerą, wielokrotnie zaprzeczając jakiegokolwiek związku z tą sprawą.

**W słynnej** decyzji z 1963 roku - w sprawie Brady versus Maryland — Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych orzekł, że „zatajenie przez prokuraturę dowodów świadczących na korzyść oskarżonego - bez względu na to, czy prokuratura zataiła je w dobrej, czy złej wierze - jest pogwałceniem zasad sprawiedliwego procesu sądowego, podczas którego dowody te mają stanowić o winie lub niewinności tegoż oskarżonego”.

Prokuratura i policja dysponują wszystkimi zasobami i materiałami. I często ujawniają świadków lub dowody rzeczowe korzystne dla podejrzanego lub oskarżonego. Jednakże przez dziesięciolecia mogły po prostu ignorować te ostatnie i dalej prowadzić śledztwo. Orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie Brady'ego zaprowadziło wreszcie ład i porządek i natychmiast stało się częścią obowiązujących procedur karnych. „Wniosek Brady'ego „jest rutynowym wnioskiem składanym na początku procesu przez wszystkich obrońców. „Wniosek Brady'ego”. „Postępowanie Brady'ego”. „Dowody Brady'ego”. „Udupiłem go na Bradym”. Określenia te weszły na stałe do żargonu adwokatów specjalizujących się w sprawach karnych.

**I teraz** Barney stał przed sędzią Jonesem — Rogers wciąż czekał na miejscu dla świadków, a Peterson z uwagą oglądał czubki swoich butów - zarzucając oskarżeniu jawne naruszenie prawa Brady'ego. Natychmiast wniósł o unieważnienie całego postępowania, lecz wniosek został oddalony. Sędzia obiecał przeprowadzić w tej sprawie specjalne dochodzenie - po procesie!

Było późne, piątkowe popołudnie i wszyscy byli zmęczeni. Sędzia zarządził przerwę do wpół do dziewiątej rano w poniedziałek. Rona skuto i policjanci wyprowadzili go z sali. Jak dotąd zachowywał się przyzwoicie i zwrócono na to uwagę.

Na pierwszej stronie niedzielного wydania „Ada Evening News” widniał nagłówek: Pierwszy dzień procesu — Williamson opanowany.

**Pierwszym** świadkiem w poniedziałek rano był dr Fred Jordan, który po raz trzeci szczegółowo opowiedział o sekcji zwłok Debbie Carter i o przyczynach jej śmierci. Peggy Stillwell musiała tego wysłuchać również po raz trzeci i na pewno nie było jej łatwo. Na szczęście nie widziała zdjęć, które rozdano przysięgłym. Widziała jednak ich reakcję i to jej wystarczyło.

Po dr Jordanie wezwano na świadka Tony'ego Vicka, sąsiada, Donnę Walker, sprzedawczynię ze sklepu spożywczego oraz Letę Caldwell, u której bywali nocą Dennis i Ron. Wszyscy troje okazali się zupełnie bezużyteczni, podobnie jak w procesie Fritza.

Pokaz ogni sztucznych rozpoczęła Terri Holland. Na rozprawie wstępnej mogła kłamać, ile dusza zapagnie, nie bojąc się, że ktoś ją na tym przyłapie. Teraz jednak gniewnie łypał na nią Ron, więc było trochę inaczej.

Łgarstwa rozpoczęły się natychmiast - Terri Holland powtórzyła sądowi historyjkę o tym, jak to podsłuchiwała Rona w areszcie - i natychmiast stało się oczywiste, że Ron zaraz wybuchnie. Kręcił głową, zaciskał pięści, patrzył na nią tak, jakby chciał ją udusić. Wreszcie Holland powiedziała:

„Mówił, że gdyby się zgodziła i z nim poszła, to nie musiałby jej zabijać  
Ron: „Ach tak”.

Nancy Shew: „Czy słyszała pani rozmowę telefoniczną, w której wspominał o Debbie Carter?”

Terri Holland: „Pracowałam w pralni; byłam uprzywilejowana. Ron rozmawiał przez telefon z matką i kazał jej... Chciał, żeby przyniosła mu papierosy czy coś. Nie wiem co, ale... ale krzyczał na nią. Powiedział, że jeśli tego czegoś nie przyniesie, to zabije ją, tak jak zabił Debbie Carter”.

„Ona kłamie!” - ryknął Ron.

„Pani Holland - kontynuowała Nancy Shew. - Czy słyszała pani kiedykolwiek, jak oskarżony opisywał lub opowiadał o śmierci Debbie Carter?”

Terri Holland: „Rozmawiał... chyba w celi ogólnej, z chłopakami, i mówił, że... że wsadził jej w tyłek butelkę coli i zatkał jej usta majtkami”.

Ron zerwał się z krzesła, wskazał ją palcem i krzyknął:

„Kłamiesz! W życiu tego nie powiedziałem! Nie zabiłem tej dziewczyny, a ty łżesz”.

Barney: „Cicho, Ron”

Ron: „Nie wiem nawet, dlaczego... Zapłacisz za to”.

Zapadła cisza, wszyscy wstrzymali oddech, Barney powoli wstał. Dobrze wiedział, co teraz będzie: mały remoncik. Gwiazda oskarżenia spartaczyła, pomyliła szczegóły, majtki i keczup. Takie pomyłki to powszechny problem wśród kłamliwych świadków.



Napięta atmosfera, gotowy do ataku Barney - Nancy Shew próbowała naprawić szkody:

„Chciałabym to uściślić. Czy jest pani absolutnie pewna, że oskarżony mówił o tych właśnie przedmiotach? Wspomniała pani o butelce coli...”

Barney: „Wysoki Sądzie, dobrze słyszałem, co świadek powiedział i nie chcę, żeby oskarżenie wpływało na jej zeznania. Zgłaszam sprzeciw”.

Terri Holland: „Powiedział, butelkę coli. Coli, keczupu czy”...

Barney: „Widzi sąd? Zgłaszam sprzeciw”.

Terri Holland: „Minęły już cztery lata”.

Ron: „Tak, a ty jesteś”...

Barney: „Cicho”.

Nancy Shew: „Wiem, że słyszała pani też inne rzeczy”...

Barney: „Proszę Wysokiego Sądu”...

Nancy Shew: „Czy pamięta pani”...

Barney: „Zgłaszam sprzeciw. Oskarżenie naprowadza świadka pytaniami, próbuje mu coś zasugerować”.

Sędzia Jones: „Oskarżenie zechce inaczej sformułować pytanie”.

Nancy Shew: „Czy Ron Williamson powiedział kiedykolwiek, dlaczego... Mówił, że ją zabił, tak?”

Terri Holland: „Bo chciał się z nią przespać”.

Ron: „To kłamstwo!”

Barney: „Zamknij się”.

Ron (wstając): „Ona kłamie. Mam tego dość. Nie zabiłem Debbie Carter, ona kłamie”.

Barney: „Przestań, Ronnie, usiądź”.

Peterson: „Wysoki Sądzie, czy możemy zrobić przerwę? Barney... Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw. Obrona nie ma prawa komentować zeznań świadka”.

Sędzia Jones: „Chwileczkę”...

Barney: „Mówiłem do oskarżonego”.

Sędzia Jones: „Chwileczkę. Proszę zadać kolejne pytanie. Panie Williamson, muszę pana pouczyć, że nie wolno panu zabierać głosu z tamtego miejsca”.

Nancy Shew: „Pani Holland, czy oskarżony powiedział kiedykolwiek, dlaczego zrobił to, co zrobił? Przypomina pani sobie?”

Terri Holland: „Bo nie chciała z nim spać”.

Ron: „Kłamiesz! Powiedz prawdę, do cholery! W życiu nikogo nie zabiłem”.

Barney: „Wysoki Sądzie, czy moglibyśmy zrobić kilkuminutową przerwę?”

Sędzia Jones: „Dobrze. Proszę pamiętać o moich wskazówkach. Przysięgli mogą opuścić salę”.

Ron: „Mógłbym z nią porozmawiać? Proszę, pozwólcie mi z nią porozmawiać. O czym ona mówi?”

**Krótką** przerwa ostudziła atmosferę. Pod nieobecność przysięgłych sędzia Jones odbył miłą pogawędkę z Ronem, który zapewnił Wysoki Sąd, że potrafi nad sobą zapanować. Po powrocie przysięgłych sędzia wyjaśnił, że o winie lub niewinności oskarżonego mają decydować wyłącznie dowody, nic innego. I żadnych komentarzy ze strony adwokata i oskarżyciela, a już na pewno nie ze strony oskarżonego.

Ale przysięgli słyszeli mrozącą krew w żyłach groźbę Rona: „Zapłacisz za to”. Oni też się go bali.

Podczas tego zamieszania Nancy Shew nie zdołała w pełni reanimować swojego świadka. Naprowadzając Terri Holland pytaniami, udało jej się co prawda przekształcić butelkę coli w butelkę keczupu jednak drobny szczegół, jakim były majtki w ustach Debbie Carter, nie uległ zmianie. Holland ani razu nie wspomniała o zakrwawionej myjce.

**Kolejnym** świadkiem oskarżenia była Cindy McIntosh, specjalistka od fałszywych czeków, ale biedna Cindy tak się we wszystkim pogubiła, że za nic nie mogła sobie przypomnieć, co ma właściwie powiedzieć. Nie powiedziała nic i nie wypełniwszy zadania, została zwolniona.

Mike Tenney i John Christian opowiedzieli przysięgłym o nocnych pogaduszkach pod celą Rona i o dziwnych rzeczach, jakie miał mówić. Żaden z nich nie raczył wspomnieć, że Ron wielokrotnie zaprzeczał, iż ma cokolwiek wspólnego z morderstwem i że godzinami krzyczał, że jest niewinny.

Po krótkiej przerwie na lunch Peterson skrzyknął agentów z Oklahomskiego Biura Śledczego i ustawił ich w takiej samej kolejności jak na procesie Dennisa Fritza. Jako pierwszy wystąpił Jerry Peters, który opowiedział sądowi historyjkę o tym, jak to pobrał odcisk dłoni Debbie Carter - po ekshumacji zwłok - ponieważ miał wątpliwości co do fragmentu odcisku. Barney próbował go przygwoździć, pytając, dlaczego problem ów powstał aż cztery i pół roku po sekcji zwłok, ale Peterson mu się wywinął. Czy miał wątpliwości przez cały ten czas? A może na początku 1987 roku zadzwonił do niego Bill Peterson i coś mu zasugerował? Peters odpowiadał niejasno i wykrętnie.

Larry Mullins przedstawił identyczną opinię: krwawy odcisk dłoni na płycie gipsowo-kartonowej należał do Debbie Carter, a nie do jakiegoś tajemniczego mordercy.

Mary Long zeznała, że Ron Williamson jest niewydzielaczem i jako taki należy do mniejszej, bo ledwie dwudziestoprocentowej grupy populacyjnej. I że do grupy tej należy również mężczyzna, który zgwałcił Debbie. Barney przyparł ją do muru - choć z trudem - pytając, ilu dokładnie osobników przebadala. Okazało się, że dwudziestu, w tym ofiarę. I że z tych dwudziestu dwunastu - czyli sześćdziesiąt procent - było niewydzielaczami. Potem Barney pobawił się trochę liczbami.

Susan Land zeznawała krótko. Zaczęła badać włosy dostarczone przez detektywów z Ady, ale po pewnym czasie przekazała próbki Mehdnowi Hettowi. Spytana dlaczego, odparła: „Miałam wtedy na głowie wiele spraw o zabójstwo, cały ten stres i napięcie, i po prostu czułam, że mogę być nieobiektywna, że mogę popełnić jakiś błąd”.

Potem zaprzysiężono Melvina Hetta i natychmiast rozpoczął się wykład, który sąd słyszał już kilka dni wcześniej na procesie Dennisa Fritza. Hett opisał metody mikroskopowego porównywania włosów porównawczych z włosami zakwestionowanymi. Zrobił wszystko, żeby przysięgli odnieśli wrażenie, iż jest to metoda całkowicie wiarygodna. Musiała taka być — powoływano się na nią niemal we wszystkich procesach o zabójstwo. On, Melvin Hett, miał na swoim koncie „tysiące” takich spraw. Zaprezentował kilka diagramów i wyjaśnił, że każdy włos ma od dwudziestu pięciu do trzydziestu wyróżniających cech charakterystycznych.

Przechodząc do sprawy Rona Williamsona, zeznał, że dwa znalezione na łóżku włosy łonowe są mikroskopowo zgodne i mogą pochodzić z tego samego źródła: od Rona Williamsona. I że z tego samego źródła mogą pochodzić dwa włosy głowowe, znalezione na zakrwawionej myjce.

Wspomniane cztery włosy mogły równie dobrze należeć do kogoś innego, ale tego Hett już nie powiedział.

W pewnym momencie przejęczył się i zaczął oszukiwać. Mówiąc o dwóch włosach głowowych, powiedział: „To jedyne włosy, które pasowały lub były zgodne do włosów Rona Williamsona”.

Słowo: „pasować” jest w tym kontekście słowem zakazanym jako bardzo mylące. Zasiadający w ławie przysięgłych laicy mogli mieć trudności ze zrozumieniem określenia: „mikroskopowo zgodne”, ale natychmiast zrozumieli określenie: „pasować”. Dotarło do nich znacznie szybciej, było bardziej wyraziste i łatwiejsze do uchwycenia. Podobnie jak z odciskami palców: jeśli odcisk pasuje, przyskają wszelkie wątpliwości.

Kiedy Hett użył tego słowa po raz drugi, Barney zgłosił sprzeciw. Sędzia Jones go oddalił, mówiąc, że obrona będzie mogła wyjaśnić to podczas dalszego postępowania.

Jednakże najbardziej bezczelne w tym wszystkim było to, w jaki sposób Hett zeznawał. Zamiast uświadamiać przysięgłych, hojnie obdarowywał ich uczonymi opiniami.

Żeby ławnicy mogli lepiej zrozumieć o co chodzi, większość biegłych przynosi ze sobą powiększone zdjęcia włosów stanowiących dowód rzeczowy w sprawie. Zdjęcie włosa z próbki porównawczej ustawia się tuż obok zdjęcia włosa zakwestionowanego i biegły szczegółowo opisuje wszystkie podobieństwa i różnice. Tak jak powiedział Hett, istnieje około dwudziestu pięciu cech charakterystycznych i dobry specjalista potrafi wytłumaczyć, o co mu — lub jej — chodzi.

Hett tego nie zrobił. Po prawie pięciu latach, po setkach godzin pracy i trzech różnych opiniach nie zademonstrował sądowi ani jednego zdjęcia. Ani jeden włos Rona Williamsona nie został porównany z włosami znalezionymi w sypialni Debbie Carter.

To, co mówił przysięgłym Hett, sprowadzało się w sumie do jednego: nie pytajcie o dowody, po prostu mi uwierzcie.

**Z jego** zeznań jednoznacznie wynikało, że cztery włosy z mieszkania Debbie Carter należały do Rona Williamsona. I o to właśnie chodziło. Tylko dlatego powołano go na świadka.

Jego zeznania jeszcze dobitniej podkreśliły jakże błędne i niesprawiedliwe przekonanie, że bez dostępu do biegłych ubogi oskarżony może mieć sprawiedliwy proces. Barney poprosił o biegłego miesiąc wcześniej, lecz sędzia Jones mu odmówił.

Jones powinien był o czymś wiedzieć. Trzy lata wcześniej do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych trafiła sprawa z Oklahomy, a wydane w niej orzeczenie wstrząsnęło wszystkimi sądami karnymi w kraju. Otóż w sprawie Ake versus Oklahoma Sąd Najwyższy orzekł: „Jeśli w procesie karnym stan obejmuje opieką prawną ubogiego pozwanego, musi podjąć kroki, żeby umożliwić mu skuteczną obronę... Nie można mówić o równych szansach, jeśli na skutek ubóstwa oskarżonego odbiera mu się możliwość pełnego uczestnictwa w postępowaniu sądowym, w którym stawką jest sprawiedliwość”.

Orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawie Ake versus Oklahoma nakładało na sądy obowiązek zapewnienia ubogiemu oskarżonemu podstawowych

środków niezbędnych do prowadzenia skutecznej obrony. Sędzia Jones obowiązku tego nie dopełnił ani w procesie Fritza, ani w procesie Williamsona.

Wyniki analiz kryminalistycznych były najważniejszym elementem dochodzenia. Jerry Peters, Larry Mullins, Mary Long, Susan Land i Melvin Hett byli ekspertami. Ronowi natomiast pozostał jedynie Barney, znakomity karnista, który jednak - co smutne - wyników tych nie mógł nawet zobaczyć.

**Hett** był ostatnim świadkiem oskarżenia. Na początku procesu Barney zrezygnował z wygłoszenia mowy wstępnej, chcąc wygłosić ją przed powołaniem pierwszego świadka obrony. Był to manewr dość ryzykowny. Większość obrońców nie może się wprost doczekać, żeby jak najwcześniej zwrócić się do przysięgłych i zasiał w nich ziarno niepewności co do wywodów oskarżyciela. Mowa wstępna i końcowa są jedynymi momentami, kiedy adwokat może przemówić do nich bezpośrednio - takiej okazji się nie przepuszcza.

Ale Barney znowu wszystkich zaskoczył, ponownie rezygnując z mowy wstępnej. Nie podał żadnych powodów - nikt też o nie nie pytał - była to jednak naprawdę niezwykła taktyka.

Powołał na świadków siedmiu strażników z miejscowego aresztu. Żaden z nich nie słyszał, żeby Ron Williamson mówił cokolwiek na temat swojego związku z morderstwem Debbie Carter.

Wayne Joplin był urzędnikiem sądowym. Barney powołał go na świadka, żeby zapoznać przysięgłych z przeszłością kryminalną Terri Holland. W październiku 1984 roku Holland została aresztowana w Nowym Meksyku, przewieziona do Ady i osadzona w areszcie, gdzie natychmiast pomogła rozwikłać dwie sensacyjne sprawy o morderstwo, chociaż czekała aż dwa lata, żeby poinformować policję o dramatycznym wyznaniu Rona Williamsona. Przyznała się do winy - chodziło o fałszowanie czeków - i dostała pięć lat w zawieszeniu na trzy. Poza tym musiała pokryć koszty sądowe w wysokości siedemdziesięciu dolarów, zwrócić zagarnięte mienie - pięćset dwadzieścia siedem dolarów i dziewięć centów - zapłacić adwokatowi - dwieście dwadzieścia pięć dolarów w miesięcznych ratach po pięćdziesiąt dolarów - płacić dziesięć dolarów miesięcznie na fundusz więziennictwa oraz pięćdziesiąt dolarów miesięcznie na Fundusz Ofiar Przemocy.

W maju 1986 roku uiściła jedynie pięćdziesiąt dolarów, a resztę najwyraźniej jej darowano.

Barneyowi pozostał tylko jeden świadek: sam oskarżony. Ale kazać mu zeznawać? To bardzo ryzykowne posunięcie. Ron był wybuchowy - niedawno nawrzeszczał na Terri Holland -i przysięgli się go bali. Był karany i Peterson na pewno nie omieszkałby tego podkreślić, próbując podważyć jego wiarygodność. Nikt nie wiedział, czy Ron bierze jakieś lekarstwa, ile, jakie i czy w ogóle je bierze. Był zły, gniewny i nieprzewidywalny, a przede wszystkim nieprzygotowany do zeznań.

Barney poprosił o krótką naradę z sędzią i powiedział:

- Teraz zacznie się zabawa. Chciałbym prosić o przerwę i jakoś go uspokoić. Wydaje mi się, że... Cóż, jak dotąd nie podskakiwał. Zresztą, przerwa przydałaby się tak czy inaczej.

- Został panu tylko jeden potencjalny świadek? - spytał sędzia Jones.

- Tak, tylko jeden potencjalny. To dobre określenie, Wysoki Sądzie.

Zarządzono przerwę i Rona sprowadzono na dół, do przejścia do aresztu. Po drodze, na widok ojca Debbie, krzyknął:

- Panie Carter, nie zabiłem pańskiej córki!

Policjanci pchnęli go, żeby szedł szybciej.

Zaprzyjęto go o pierwszej po południu. Po kilku pytaniach wstępnych zaprzeczył, że kiedykolwiek rozmawiał z Terri Holland i że znał Debbie Carter.

- Kiedy po raz pierwszy usłyszał pan o jej śmierci? - spytał Barney.

- Ósmego grudnia. Zadzwoiła do nas moja siostra, Annette Hudson; telefon odebrała matka. Słyszałem, jak mówi: „Wiem, że Ronnie tego nie zrobił, bo był w domu”. Spytałem ją, o co chodzi. Powiedziała, że dzwoniła Annette i że zabito koło nas jakąś dziewczynę.

Brak przygotowania stał się oczywisty kilka minut później, kiedy Barney spytał Rona o pierwsze spotkanie z Garym Rogersem. Ron odparł:

- Niedługo po tym, jak poszedłem na komendę, żeby zrobili mi test na wykrywaczu kłamstw.

Barney omal się nie zakrztusił.

- Ronnie, nie możesz... Nie wolno ci o tym mówić.

W obecności przysięgłych Ron nie miał prawa wspominać o poligrafie. Gdyby zrobiło to oskarżenie, obrona natychmiast zażądałaby unieważnienia procesu. Nikt nie pofatygował się, żeby poinformować o tym Rona. Kilka sekund później znowu popełnił błąd, opisując incydent z Dennisem Fritzem.

- Jadąc z Fritzem, powiedziałem mu, że dzwonił do mnie Smith i że wyniki badań na poligrafie są niejednoznaczne.

Barney szybko zmienił temat. Zadał mu kilka pytań na temat wyroku za sfalszowanie czeku. Potem spytał go, gdzie był w noc morderstwa. I zakończył słabiutkim:

- Czy zabił pan Debbie Carter?
- Nie, nie zabiłem jej.
- To chyba wszystko.

W pośpiechu, chcąc jak najszybciej zakończyć przesłuchanie - i wyrządzić przy tym jak najmniej szkód - Barney nie odparł większości zarzutów oskarżenia. Ron mógł przecież opowiedzieć przysięgłym o swoim „sennym” przyznaniu się do winy, które wymusili na nim Rogers i Featherstone dzień po aresztowaniu. Mógł opowiedzieć im o swoich aresztanckich rozmowach z Johnem Christianem i Mikiem Tenneyem. Mógł opisać rozkład aresztu i wykazać, że gdyby Terri Holland naprawdę słyszała to, co jakoby słyszała, słyszeć to musieliby również inni. Mógł kategorycznie zaprzeczyć zeznaniom Glana Gore'a, Gary'ego Allena, Tony'ego Vicka, Donny Walker i Lethy Calwell.

Podobnie jak wszyscy oskarżyciele, Peterson nie mógł się już doczekać, kiedy będzie mógł rozłożyć pozwanego w krzyżowym ogniu pytań. Nie spodziewał się jednak, że pozwany nie da się tak łatwo zastraszyć. Zaczął od tego, że zrobił wielką sprawę z jego przyjaźni ze skazanym już za morderstwo Dennisem Fritzem.

- Czy to prawda, że pan i Dennis Fritz nie macie innych przyjaciół poza sobą. To prawda?

- Ujmijmy to tak - odparł chłodno Ron. - Wrobiliście go, a teraz próbujecie wrobić mnie. - Słowa te rozbrzmiały echem w całej sali i Petersona zatkąło.

Zmieniając temat, spytał, czy Ron pamięta, jak poznał Debbie Carter; Ron nieustannie się tego wypierał. Gdy je powtórzył, Williamson wypalił:

- Peterson, wyjaśniani ci to po raz ostatni.

Tu wtrącił się sędzia, który kazał świadkowi odpowiedzieć na pytanie. Ron po raz kolejny zaprzeczył, że znał Debbie Carter.

Peterson krążył wokół niego i krążył, zdając ciosy i trafiając w pustkę. Ponownie wpadł w kłopoty, gdy z uporem maniaka powrócił do swojej wydumanej historyjki.

- Gdzie pan był siódmego grudnia po dziesiątej wieczorem?

Ron: „W domu”.

Peterson: „Co pan robił?”

Ron: „Po dziesiątej wieczorem pięć lat temu pewnie oglądałem telewizję albo spałem”.

Peterson: „Czy to prawda, że wyszliście tymi drzwiami, skręciliście w tę alejkę...”

Ron: „Nie, nie, panie kolego, odpada”.

Peterson: „Że skręciliście w tę alejkę”.

Ron: „Nie, absolutnie”.

Peterson: „Pan i Dennis Fritz”.

Ron: „Pan chyba... Nie, to odpada”.

Peterson: „Poszliście do tego mieszkania”.

Ron: „Akurat”.

Peterson: „Czy wie pan, gdzie Dennis Fritz był tamtej nocy?”

Ron: „Wiem, że nie u Debbie Carter. Tak bym to ujął”.

Peterson: „Skąd pan wie, że nie u niej?”

Ron: „Bo go wrobiliście”.

Peterson: „Skąd pan wie, że nie był u Debbie Carter?”

Ron: „Dałbym za to głowę. Tak to ujmijmy”.

Peterson: „Niech pan powie, skąd pan wie”.

Ron: „Po prostu nie chcę... Nie chcę już więcej pytań. Ja wrócę na miejsce, a pan niech spyta o to przysięgłych, ale powtarzam, wrobiliście go, a teraz próbujecie zrobić mnie”.

Barney: „Ronnie”.

Ron: Moja matka wiedziała, że byłem wtedy w domu. Dręczycie mnie od pięciu lat. Możecie zrobić ze mną, co chcecie. Wszystko mi jedno”.

Peterson zwolnił świadka i usiadł.

**Podczas** mowy końcowej Barney zrobił sporo, żeby zaszkodzić policji: przedłużające się śledztwo, zawieruszona próbka włosów Gore'a, pozorna ślepotą - niedostrzeżenie Gore'a jako podejrzanego - spartaczona robota Dennisa Smitha na miejscu zbrodni, wielce dyskusyjna taktyka zastosowana podczas przesłuchania - „sennie” przyznanie się do winy - ciągle zmieniające się opinie tych z Oklahomskiego Biura Śledczego. Lista błędów była długa i bogata i mówiąc o zaangażowanych w sprawę policjantach, Barney kilkakrotnie nazywał ich Keystone Kops, Gliniarzami z Keystone, co było aluzją do niemych komedii filmowych z lat 1913-1917.

Jak na dobrego adwokata przystało, podkreślił, że istnieje szereg uzasadnionych wątpliwości co do winy oskarżonego i zaapelował do przysięgłych, żeby kierowali się zdrowym rozsądkiem.

Peterson natomiast stwierdził, że żadnych wątpliwości nie ma. Policjanci - wszyscy byli oczywiście świetnie wyszkolonymi fachowcami - odwalili



kawał dobrej roboty, a on, Peterson, i jego ekipa przedstawili przysięgłym niezbite dowody winy.

Idąc w ślady Melvina Hetta, pozwolił sobie na pewną swobodę terminologiczną. O wynikach analizy włosów powiedział:

- Tak więc, przez bardzo długi czas Hett bada je, bada i bada, i nagle, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym, znajduje włos pasujący.

Ale Barney był już gotowy. Natychmiast zgłosił sprzeciw:

- Wysoki Sądzie, włosa pasującego nie znaleziono u nas, odkąd Oklahoma stała się niezależnym stanem. Oskarżenie nie ma prawa używać takiego określenia.

Sprzeciw został podtrzymany.

Peterson z mozołem parł naprzód, streszczając zeznania poszczególnych świadków. Kiedy doszedł do Terri Holland, Ron stężał.

Peterson: „Terri Holland mówi państwu to, co pamięta po dwóch latach, a mianowicie, że słyszała, jak oskarżony groził matce, że jeśli czegoś mu nie przyniesie...”

Ron zerwał się z krzesła i krzyknął:

- Chwileczkę!

Peterson: „...to zabije ją, tak jak zabił Debbie Carter”.

Ron: „Zamknij się, nigdy tego nie powiedziałem!”

Barney: „Siadaj. Cicho”.

Sędzia Jones: „Panie Williamson”.

Ron: „Nie powiedziałem tak do matki”.

Barney: „Ronnie”.

Sędzia Jones: „Niech pan lepiej posłucha swego obrońcy”.

Ron usiadł, kipiąc gniewem. Peterson mozolił się dalej. Zeznania świadków oskarżenia przedstawiał w tak dobrym świetle, że Barney musiał wielokrotnie zgłaszać sprzeciw i prosić sędziego, żeby ten przypomniawszy mu o konieczności trzymania się faktów.

**Przysięgli** udali się na naradę kwadrans po dziesiątej. Annette i Renee posiedziały przez chwilę w sali, a potem poszły na lunch. Prawie nie mogły jeść. Wysłuchawszy wszystkich zeznań, były jeszcze bardziej przekonane, że brat jest niewinny, lecz w sali rozpraw niepodzielnie królował Bill Peterson. Sędzia był mu przychylny. Z tymi samymi świadkami i przy braku jednoznacznych dowodów rzeczowych Peterson uzyskał wyrok skazujący w procesie Fritza.

Pogardały nim. Był głośny, arogancki i miażdżył ludzi jak walec. Nie nawidziły go za to, co robił ich bratu.

Mijały godziny. O wpół do piątej rozeszła się wieść, że przysięgli ustalili werdykt i sala rozpraw szybko się wypełniła. Sędzia Jones usiadł i ostrzegł publiczność, że jeśli dojdzie do jakichkolwiek ekscesów, każe wszystkim wyjść. Annette i Renee wzięły się za ręce i zaczęły się modlić.

Po drugiej stronie przejścia za ręce trzymała się i modliła rodzina Carterów. Ich udreka dobiegała końca.

O czwartej czterdzieści przewodniczący ławy przysięgłych podał werdykt urzędnikowi sądowemu, który zerknął nań i przekazał go sędziemu. Ten go przeczytał: „winny wszystkich zarzutów”. Triumfalnym gestem Carterowie w milczeniu podnieśli ręce do góry. Annette i Renee cicho zapłakały, podobnie jak Peggy Stillwell.

Ron zwiesił głowę wstrząśnięty, lecz niezupełnie zaskoczony. Po jedenastu miesiącach spędzonych w areszcie hrabstwa Pontotoc stał się częścią tego zepsutego systemu. Wiedział, że Dennis Fritz jest niewinny, mimo to został skazany w tej samej sali przez tych samych policjantów i tego samego oskarżyciela.

Sędzia Jones chciał jak najszybciej zakończyć proces. Nie robiąc przerwy, przeszedł do fazy drugiej: do ustalenia wymiaru kary. Nancy Shew zwróciła się do przysięgłych, mówiąc, że ponieważ morderstwo Debbie Carter było wyjątkowo okrutne, ohydne i odrażające, ponieważ popełniono je, żeby uniknąć aresztowania i ponieważ istnieje duże prawdopodobieństwo, że Ron Williamson zabije ponownie, nie przestając zagrażać społeczeństwu, powinno się go skazać na śmierć.

Żeby to udowodnić, oskarżenie powołało czterech świadków, cztery kobiety, znajome Rona, z których żadna nigdy go o nic nie oskarżyła. Pierwszą była Beverly Setliff, która zeznała, że późną nocą czternastego czerwca 1981 roku, a więc siedem lat wcześniej, widziała Rona Williamsona przed swoim domem. Właśnie szła spać, gdy krzyknął: „Hej! Wiem, że tam jesteś i zaraz do ciebie przyjdę”. Nie znała go, nigdy przedtem go nie widziała. Zamknęła drzwi na klucz i Ron zniknął.

Nie zadzwoniła na policję, nawet o tym nie pomyślała i dopiero nazajutrz, widząc policjanta w sklepie spożywczym, podeszła do niego i opowiedziała mu o incydencie. Jeśli policjant sporządził oficjalny meldunek, ona nic o tym nie wie.

Trzy tygodnie później zobaczyła Rona ponownie i koleżanka powiedziała jej jak się ten typ nazywa. Minęło sześć lat. Kiedy Rona aresztowano, zadzwoniła na policję i wszystko im opowiedziała.

Kolejnym świadkiem była Lavita Brewer, ta sama, która zeznawała przeciwko Dennisowi Fritzowi. I ponownie opowiedziała przysięgłym tę

samą historię: poznała Rona i Dennisa w barze w Norman, wsiadał do ich samochodu, przestraszyła się, wyskoczyła i zadzwoniła na policję. Ron nawet jej nie tknął ani w jakikolwiek sposób jej nie groził. Wpadła w histerię, bo nie chciał się zatrzymać i jej wypuścić, a najgorszą rzeczą, jaką wtedy zrobił, było to, że kazał jej się zamknąć.

W końcu wyskoczyła z samochodu, uciekła i zadzwoniła na policję, lecz nie wniosła oskarżenia.

- Ponownie zeznawała Letha Caldwell. Znała Rona Williamsona od czasów gimnazjum w Byng i zawsze utrzymywała z nim przyjazne stosunki. Na początku lat osiemdziesiątych on i Dennis Fritz zaczęli odwiedzać ją późną nocą i zawsze wtedy pili. Ron przyszedł do niej pewnego dnia, gdy pielęła klomby. Rozmawiała z nim, nie przerywając pracy, co go zirytowało. W pewnej chwili chwycił ją za rękę. Wyrwała się, weszła do domu i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że są tam jej dzieci. Ron poszedł za nią, lecz już jej nie dotknął i zaraz potem się pożegnał. Nie zgłosiła tego policji.

Ostatni świadek narobił największych szkód. Rozwódka nazwiskiem Andrea Hardcastle opowiedziała przysięgłym wstrząsającą historię o trwającej ponad cztery godziny gehennie. W 1981 roku Ron i jego przyjaciel przyszedli do niej, chcąc wyciągnąć ją do miasta. Jechali Pod Latarnię. Andrea miała troje własnych dzieci i dwoje innych pod opieką, więc nie mogła z nimi jechać. W końcu obydwaj wyszli, lecz Ron wkrótce wrócił, bo zapomniał papierosów. Wszedł do domu bez pytania i zaczął się do niej dobierać. Było po dziesiątej wieczorem, dzieci już spały i Andrea się przestraszyła. Seks ją nie interesował. Ron wybuchnął gniewem, zaczął bić ją po twarzy i domagać się seksu oralnego. Andrea odmówiła i zdała sobie sprawę, że im więcej mówi, tym Ron mniej ją bije.

Tak więc zaczęli rozmawiać. Rozmawiali o jego karierze baseballowej, o nieudanym małżeństwie, o grze na gitarze, o Bogu i religii, o jego matce. Ron chodził do szkoły z jej byłym mężem, który pracował dorywczo jako bramkarz Pod Latarnią. Chwilami był cichy, spokojny, a nawet płaczliwy, a zaraz potem nieobliczalny, głośny i zły. Andrea bała się o dzieci, o całą piątkę. Ron od czasu do czasu wybuchał gniewem, znowu ją bił i próbował zerwać z niej ubranie. Był zbyt pijany, żeby utrzymać erekcję.

W pewnej chwili miał powiedzieć, że będzie musiał ją zabić. Andrea zaczęła się gorączkowo modlić. Postanowiła zagrać *va banque*. Zaprosiła go nazajutrz po południu, obiecując, że odprawi dzieci i że będą mogli kochać się do woli. Ta perspektywa bardzo przypadła mu do gustu i zaraz potem wyszedł.

Andrea zadzwoniła do ojca i swego byłego męża i razem wyszli na ulicę, żeby go poszukać. Byli po zęby uzbrojeni i gotowi go zlinczować.

Andrea miała straszliwie pokiereszowaną twarz: skaleczenia, sińce, podbite oczy. Ron nosił sygnet z wygrawerowaną głową konia, dlatego uderzenia spowodowały liczne drobne rany klute wokół jej oczu. Nazajutrz wezwali policję, jednak Andrea stanowczo nie chciała wnieść oskarżenia. Ron mieszkał w sąsiedztwie i bardzo się go bała.

Nieprzygotowany na takie zeznania Barney przebrnął przez swoją część przesłuchania z trudem i bez entuzjazmu.

Gdy Andrea szła do drzwi, w sali panowała martwa cisza. Nadeszła pora na egzekucję.

Z niewyjaśnionych przyczyn Barney nie powołał ani jednego świadka, żeby złagodzić szkody i uratować Ronowi życie. Tuż obok siedziały Annette i Renee, które w każdej chwili mogły zeznawać. W ciągu całego procesu nie padło ani jedno słowo na temat zaburzeń psychicznych Rona. Nie przedstawiono żadnych dokumentów medycznych.

Ostatnimi słowami, jakie usłyszeli przysięgli z miejsca dla świadków, były słowa Andrei Hardcastle.

**W mowie** końcowej Bill Peterson poprosił ich o karę śmierci. Miał poza tym nowe dowody, nowe fakty, o których wcześniej nie wspomniano. Sygnet z końską głową pojawił się dopiero teraz i Peterson wysnuł z tego kilka wniosków, poszerzył materiał dowodowy, stwierdzając, że bijąc Debbie Carter, Ron miał go na palcu, stąd rany na jej twarzy, bardzo podobne do tych, jakie odniosła Andrea Hardcastle podczas ataku w styczniu 1981 roku. Oczywiście tylko zgadywał. Nie był to konkretny dowód, ale żaden nie był już potrzebny.

Dramatycznie podnosząc głos, powiedział:

- Zostawił swój podpis na twarzy Andrei Hardcastle i podkreślił go jeszcze bardziej na twarzy Debbie Carter.

Mowę zakończył tak:

- Panie i panowie, kiedy tu wrócicie, chciałbym usłyszeć od was następujące słowa: Ronie Williamsonie, za to, co zrobiłeś Debbie Sue Carter, zasługujesz na śmierć.

- Ja jej nie zabiłem - wypalił Ron ze znakomitym wyczuciem czasu. Przysięgli wyszli z sali, lecz narada trwała krótko. Niecałe dwie godziny później wrócili z wyrokiem śmierci.

**W dziwnym** geście krytyki po fakcie sędzia Jones otworzył nazajutrz dochodzenie w sprawie pogwałcenia prawa Brady'ego. Chociaż Barney był wyczerpany i miał już dość procesu, wciąż oburzało go, że policja i Peterson celowo ukryli kasety z nagraniem zeznań Rona z 1983 roku.

Ale po co zawracać sobie tym głowę? Proces już się skończył. Kasety na nic by się teraz nie przydały.

Dlatego bez większego zdziwienia wysłuchał decyzji sędziego, który uznał, że zatajenie kasety nie było jednak naruszeniem prawa. Bo tak naprawdę to kasety nie ukryto - przekazano ją po procesie w ramach czegoś w rodzaju spóźnionego ujawnienia dowodów.

Ron Williamson był w drodze do bloku F, słynnego bloku śmierci w oklahomskim więzieniu stanowym w McAlester.

## Rozdział 10

**Oklahoma** podchodzi bardzo surowo do problemu kary śmierci. Gdy w 1976 roku Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zatwierdził jej przywrócenie, oklahomska legislatura zwołała specjalne posiedzenie tylko po to, żeby prawo to ponownie przyjąć. Rok później zajęła się nowatorskim pomysłem wprowadzenia śmiertelnych zastrzyków, zamiast dalszego wykorzystywania „Iskierki”, starego, wiernego krzesła elektrycznego. Użycie środków chemicznych miało być bardziej humanitarne i jako takie zmniejszyłoby natężenie konstytucyjnych ataków na stosowanie okrutnych i niehumanitarnych kar; nie wspominając już o tym, że wpłynęłoby na zwiększenie liczby egzekucji. Podnieceni chwilą, na oczach czujnej prasy i zachęcających ich do czynu wyborców, ustawodawcy zaczęli debatować nad różnymi sposobami odbierania człowiekowi życia. Twardogłowi byli za wieszaniem, rozstrzelaniem i temu podobnymi sposobami, jednak w końcu znaczną ilością głosów zwyciężyły śmiertelne zastrzyki i Oklahoma stała się pierwszym stanem, który przyjął takie rozwiązanie.

Jednakże nie pierwszym, który z niego skorzystał. Ku wielkiemu sfrustrowaniu ustawodawców, policji, prokuratury i szerokich mas społecznych Oklahoma szybko została w tyle za innymi stosującymi najwyższą karę stanami. Bez egzekucji upłynęło trzynaście długich lat. Wreszcie, w 1990 roku, czekanie dobiegło końca i komora śmierci znowu ożyła.

Gdy tama pękła, nadeszła powódź. W przeliczeniu na głowę, od 1990 roku Oklahoma straciła więcej skazanych niż jakikolwiek inny stan. Nie dorównuje jej nikt, nawet ci z Teksasu.

**Egzekucje** wykonuje się w McAlester, więzieniu o zaostrzonym rygorze, sto sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Oklahoma City. W jego cieszącej się złą sławą bloku H mieszczą się cele śmierci.

Praktyka czyni mistrza, dlatego egzekucje w McAlester przeprowadza się bardzo starannie. Skazany, którego czas dobiega końca, spędza ostatni dzień na przyjmowaniu gości, członków rodziny, przyjaciół, czasem adwokatów. Wizyty te są oczywiście bardzo bolesne, tym bardziej, że zabrania się podczas nich kontaktu fizycznego. Skazani i ich rodziny rozmawiają i płaczą przez grubą szklaną ścianę, korzystając z telefonów. Nie ma tu objęć czy pocałunków na pożegnanie, jedynie rozdzierające serce: „Kocham cię” z czarnej słuchawki. Bardzo często bywa tak, że skazany i jego gość wymieniają pocałunki symboliczne, przyciskając usta do szkła. Przez szkło się również dotykają.

Nie ma odgórnego prawa, które zabraniałoby kontaktu fizycznego przed egzekucją. Każdy stan kieruje się własnym, a Oklahoma woli prawo surowe.

Jeśli naczelnik więzienia jest w dobrym humorze, pozwala skazanemu na kilka telefonów. Kiedy czas wizyt dobiega końca, nadchodzi pora na ostatni posiłek. Posiłek może kosztować najwyżej piętnaście dolarów i naczelnik ma prawo zakwestionować jego skład. Największą popularnością cieszą się cheeseburgery, pieczony kurczak, sum i lody.

Przygotowania do egzekucji rozpoczynają się mniej więcej na godzinę przed wyznaczonym terminem. Skazany przebiera się w jasnoniebieski kombinezon przypominający strój chirurga. Strażnicy unieruchamiają go na wózku pasami zaopatrzonymi w rzepy i kiedy rusza w swoją ostatnią drogę, współtowarzysze urządzają mu głośne pożegnanie. Kopiają w drzwi celi. Trzęsą kratami. Krzyczą i wrzeszczą i rwetes ten trwa jeszcze kilka sekund po wyznaczonej godzinie egzekucji. Potem nagle ustaje.

Kiedy strażnicy przygotowują skazanego, komora śmierci już czeka i jest bardzo dobrze przygotowana. Świadkowie wchodzą z powagą do dwóch pomieszczeń dla obserwatorów - jedno jest przeznaczone dla członków rodziny ofiary, drugie dla rodziny zabójcy. W pomieszczeniu dla tych pierwszych stoi dwadzieścia cztery składanych krzesel, ale część jest zarezerwowana dla prasy - zwykle cztery, pięć miejsc — dwa dla prawników i kilka dla naczelnika więzienia i jego podwładnych. Prawie zawsze przychodzi miejscowy szeryf i prokurator.

Za pomieszczeniem dla rodziny ofiary, i za lustrem weneckim, jest pomieszczenie dla rodziny zabójcy. Stoi tam dwanaście składanych krzesel, lecz kilka jest z reguły wolnych. Niektórzy skazani nie chcą, żeby rodzina oglądała

ich śmierć. Niektórzy nie mają rodziny. Podobnie jak niektóre ofiary. Ich pomieszczenie też bywa w połowie puste.

Pomieszczenie te są od siebie oddzielone, tak że świadkowie się nie spotykają. Siadając, nic nie widzą — okno z widokiem na komorę śmierci jest zasłonięte.

Do komory wjeżdża wózek. Staje na swoim miejscu. Na skazanego czekają już technicy, każdy z rurką kroplówki w ręku. Kiedy wszystko jest już przygotowane i wyregulowane, zasłona się podnosi. Skazany nie widzi rodziny ofiary — po tej stronie jest lustro weneckie - widzi za to swoją i często ją pozdrawia. Sześćdziesiąt centymetrów nad głową ma sterczący ze ściany mikrofon.

Lekarz przymocowuje mu do piersi końcówkę stetoskopu. Zastępca naczelnika staje na małym podium w kącie i notuje wszystko w notesie. Na ścianie tuż obok niego jest telefon na wypadek, gdyby w ostatniej chwili nadeszły dobre wieści z prawniczego frontu lub gdyby gubernator zmienił nagle zdanie. Kiedyś w drugim kącie komory stał kapelan, który przez całą egzekucję czytał Pismo Święte, ale teraz już nie stoi.

Naczelnik podchodzi bliżej i pyta skazanego, czy ten chce coś powiedzieć. Skazani zwykle nie chcą, chociaż bywa, że proszą o przebaczenie, mówią, że są niewinni, modlą się lub rozgoryczeni zaczynają kogoś gwałtownie oskarżać. Jeden odśpiewał hymn. Inny uścisnął rękę naczelnikowi i podziękował mu -jego podwładnym i całemu więzieniu - za to, że podczas jego przedłużającego się pobytu tak dobrze się nim opiekowano.

Ostatnie słowo skazanego nie może trwać dłużej niż dwie minuty, lecz zarządzenie to nigdy nie jest respektowane.

Skazani są zawsze spokojni i wyciszeni. Pogodzili się z losem i mieli wiele lat, żeby przygotować się do tej chwili. Wielu z utęsknieniem na nią czekało. Wolą śmierć niż horror kolejnych dwudziestu lat w bloku H.

W małym pomieszczeniu tuż za wózkiem ukrywa się trzech katów. Nikt nie może ich zobaczyć. W więzieniu nikt ich nie zna. Nie są pracownikami państwowymi, tylko wolnymi strzelcami, których przed laty zatrudnił potajemnie stary naczelnik. Nie wiadomo, kiedy przyjeżdżają i wyjeżdżają z więzienia. Tylko naczelnik wie, kim są, gdzie mieszkają i skąd biorą chemikalia. Za egzekucję każdy z nich dostaje trzysta dolarów.

Rurki wystające z ramion skazanego biegną przez dwie pięciocentymetrowej średnicy dziury do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie kaci robią swoje.

Kiedy wszystkie formalności są załatwione i naczelnik jest pewien, że telefon już nie zadzwoni, daje głową znak i rozpoczyna się wstrzykiwanie trucizn.



Najpierw do otwartych żył pompuje się roztwór fizjologiczny. Zaraz potem tiopental sodowy, który szybko pozbawia skazanego przytomności. Potem znowu roztwór fizjologiczny, a jeszcze potem wekuronium, a dokładniej, bromek wekuronium, który zatrzymuje oddech. Po kolejnej dawce roztworu fizjologicznego podaje się chlorek potasu, który z kolei zatrzymuje serce.

Do komory wchodzi lekarz. Przeprowadza krótkie badanie i stwierdza zgon. Zasłony opadają i świadkowie — wielu jest bardzo przejętych i poruszonych - wychodzą szybko i w milczeniu. Technicy wytaczają wózek. Ciało skazanego przenosi się do karetki. Żeby je odebrać, rodzina musi złożyć podanie do naczelnika, w przeciwnym wypadku nieboszczyk trafi na więzienny cmentarz.

Przed więzieniem czuwają dwie grupy ludzi. Członkowie Homicide Survivors, Ocalałych Ofiar Zabójstwa, siedzą przed swoimi samochodami kempingowymi i niecierpliwie czekają na wiadomość, że egzekucję wykonano. W pobliżu stoi ich pomnik, duża, trzyczęściowa tablica z nazwiskami ofiar morderców, z kolorowymi zdjęciami dzieci i uśmiechniętych studentów, wierszami ku pamięci zabitych, powiększonymi nagłówkami z gazet krzyczącymi o jakimś koszmarnym, podwójnym morderstwie, z mnóstwem zdjęć tych, których zaszlachtowali lokatorzy bloku śmierci. „Pamiętajcie o ofiarach” - tak zwą ten pomnik.

Kilkadziesiąt metrów dalej katolicki ksiądz przewodzi drugiej grupie, modląc się z nimi w kręgu i śpiewając nabożne pieśni. Niektórzy przeciwnicy kary śmierci przyjeżdżają na każdą egzekucję i odprawiają modły nie tylko za skazanych, ale i za ich ofiary.

Grupy te dobrze się znają i darzą wzajemnym szacunkiem, chociaż bardzo różnią się poglądami.

Kiedy z więzienia przychodzi wiadomość, że jest już po wszystkim, żarliwość modlitw przybiera na sile. Potem gasi się świece i odkłada śpiewniki.

Ludzie obejmują się i żegnają. Do zobaczenia na kolejnej egzekucji.

**Gdy** dwudziestego dziewiątego kwietnia 1988 roku Ron Williamson przybył do McAlester, budowa bloku H była dopiero w planach. Ponieważ skazanych na najwyższy wymiar kary szybko przybywało, kierownictwo więzienia chciało mieć nowy blok śmierci, lecz władze skąpiły funduszy. Dlatego Rona osadzono w bloku F, gdzie przebywało osiemdziesięciu jeden więźniów. Blok F, lub blok śmierci, jak go powszechnie nazywano, obejmował parter i pierwsze piętro skrzydła starego więzienia, Wielkiego Domu,

olbrzymiego, trzypiętrowego gmaszydła wzniesionego w 1935 roku i pięćdziesiąt lat później opuszczonego. Do jego nieuniknionego zamknięcia przyczyniło się chroniczne przepełnienie, przemoc, liczne procesy i bunty.

W pustym, ogromnym i niszczącym Wielkim Domu wykorzystywano tylko blok F, a jego jedynym zadaniem było przetrzymywania skazanych pod kluczem.

W bloku tym Ron został przyjęty. Dano mu dwie pary spodni khaki, dwie niebieskie koszule z krótkimi rękawami, dwa białe podkoszulki, dwie pary białych skarpetek i dwie pary białych bokserek. Wszystko to było bardzo zużyte. Czyste, lecz z trwałymi plamami, zwłaszcza bokserki. Robocze buty z czarnej skóry też były solidnie podniszczone. Dano mu również poduszkę, koc, papier toaletowy, szczoteczka do zębów i pastę. Podczas bardzo krótkiego instruktażu powiedziano mu, że pozostałe przybory toaletowe, oraz jedzenie, napoje i inne rzeczy, można kupić w więziennym sklepie zaopatrzeniowym, lepiej znanym jako „kantyna”, miejscu, którego nie pozwolono mu zobaczyć. Pieniądze zza murów miały trafiać na jego konto, a z konta tam.

Gdy już się przebrał, skuto mu ręce i nogi i zaprowadzono go „na wybieg”, gdzie miał spędzić kilkanaście lat, czekając na stracenie. Przytulił do piersi poduszkę, koc, zapasowe ubranie i inne rzeczy, a wtedy strażnicy otworzyli wielkie, zakratowane drzwi i rozpoczęła się parada.

Wysoko nad głową zobaczył swój nowy adres: BLOK ŚMIERCI.

Wybieg miał trzydzieści metrów długości i tylko trzy metry sześćdziesiąt szerokości, a po jego obu stronach - jedna przy drugiej - były cele. Sufit znajdował się na wysokości dwóch metrów i czterdziestu centymetrów.

Ron i dwaj strażnicy szli bardzo powoli. Był to swoisty rytuał, krótka ceremonia powitalna. Jego nowi sąsiedzi wiedzieli, że przyjdzie i rozpoczęły się wrzaski i gwizdy: „Nowy na wybiegu!”, „Świeże mięsko!”, „Hej, przystojniaczku!”

Z krat zwiślały ręce, których mógł niemal dotknąć. Białe, czarne i brązowe. Z mnóstwem tatuaży. Bądź twardy, powtarzał sobie w duchu Ron. Nie okazuj strachu. Więźniowie kopali w drzwi, krzyczeli, wyzywali go, rzucali seksualne groźby. Bądź twardy.

Widywał już więzienia, jedenaście miesięcy spędził w areszcie hrabstwa Pontotoc. Nie może być nic gorszego, myślał.

Zatrzymali się przed celą numer 16 i hałas ucichł. Witaj w bloku śmierci. Strażnik otworzył drzwi i Ron wszedł do swego nowego domu.

O kimś, kto odsiaduje wyrok w McAlester, stare oklahomskie powiedzenie mówi: „Facet mieszka w Dużym Macu”. Ron wyciągnął się na prycy i zamknął oczy. Wciąż nie wierzył, że siedzi w Dużym Macu.

**W celi** były dwie metalowe prycze, metalowy stolik z metalowym taboretom przymocowanym do betonowej podłogi, muszla klozetowa i umywalka z nierdzewnej stali, lustro, kilka metalowych półek i jedna żarówka. Cella miała cztery metry osiemdziesiąt centymetrów długości, dwa metry dziesięć szerokości i dwa czterdzieści wysokości. Podłoga była wyłożona czarno-białym linoleum. Ceglane ściany były białe i tyle razy malowane, że prawie idealnie gładkie.

Dzięki Bogu, że jest okno, pomyślał Ron, bo chociaż nie mógł przez nie wyrzucić, wpuszczało do środka trochę światła. W areszcie w Adzie okien nie było.

Podszedł do drzwi, do krat z dziurą, zwaną tu „fasolą”, przez którą strażnicy podawali tacę zjedzeniem i małe paczki. Wyjrzał na wybieg i zobaczył trzech mężczyzn: jednego dokładnie naprzeciwko, w celi numer 9, i tych po jego obu stronach. Nie odezwał się. Nie odezwali się i oni.

W pierwszych dniach pobytu większość nowych więźniów mówiło niewiele. Wstrząs towarzyszący świadomości, że oto przybyli do miejsca, gdzie przyjdzie im spędzić kilka lat, zanim ich zabiją, był porażający. Wszędzie czaił się strach: strach przed przyszłością, strach, że nie zobaczą już tego, co stracili, strach, że tu nie przeżyją, że zaszlachtuje ich lub zgwałci jeden z bezdusznym bandziorów dyszących ledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej.

Ron posłał pryczę i poukładał rzeczy. Cieszył się z samotności — większość osadzonych siedziała w pojedynkę, chociaż miejsca w celi wystarczyłoby na dwóch. Na wybiegu panował nieustanny hałas: gwar rozmów, śmiech strażników, głośno grający telewizor, radio, krzyk kogoś, kto woła kumpla z drugiego końca korytarza. Ron trzymał się z daleka od drzwi, aby jak najdalej od tego zgiełku i jazgotu. Spał, czytał książki i palił. W bloku śmierci palili wszyscy i nad wybiegiem niczym gęsta, cuchnąca mgła nieustannie wisiał smród starego i świeżego dymu papierosowego. Było tam coś w rodzaju wentylacji, lecz już nie działała. Okien oczywiście nie dało się otworzyć, chociaż były zakratowane. Panowała potworna nuda. Nie było żadnego planu dnia. Niczego, na co można by czekać. Tylko jedna krótka godzina na dworze, i to nie zawsze. Bezczyorność odrętwiała.

Dla śmiertelnie znudzonych mężczyzn, zamkniętych przez dwadzieścia trzy godziny na dobę bez niczego do roboty, niekwestionowaną - i główną - atrakcją dnia było jedzenie. Trzy razy dziennie wybiegiem jechał wózek z tacami, które wsuwano im przez otwory w kratkach. Wszystkie posiłki jedzono w celi, samotnie. Śniadanie podawano o siódmej i składało się zazwyczaj z jajecznicy z mamiągą, smażonego bekonu i dwóch, trzech tostów.

Kawa była zimna i rurowata, mimo to uchodziła za skarb. Na lunch serwowano kanapki i fasolę. Kolacja była najgorsza, bo dostawali wtedy obrzydliwe mięso niewiadomego pochodzenia z niedogotowanymi warzywami. Porcje były absurdalnie małe, jedzenie zawsze zimne. Przyrządzano je w sąsiednim budynku i bardzo powoli przewożono do bloku F. No bo kogo to obchodziło? I tak byli już trupami. Jedzenie było straszne, niemniej ważne.

Annette i Renee przysyłały Ronowi pieniądze, za które kupował w kantynie jedzenie, papierosy, przybory toaletowe i napoje. Wypełniał zamówienie, stawiając ptaszki na krótkiej liście dostępnych artykułów, po czym dawał je najważniejszemu człowiekowi w bloku, posłańcowi. Posłaniec był więźniem, który zdobywszy względy strażników, mógł spędzać większość czasu poza celą, załatwiając sprawy dla kolegów. Przekazywał im plotki i grypsy, odbierał i przynosił pranie, rzeczy z kantyny, udzielał rad, czasami sprzedawał narkotyki.

Boisko do ćwiczeń, ogrodzony teren wielkości dwóch boisk do koszykówki przy bloku F, było prawdziwą świętością. Na godzinę dziennie, przez pięć dni w tygodniu, każdy więzień miał prawo wyjść tam, żeby zobaczyć choć trochę słońca, odwiedzić kumpli, pograć w kosza, w karty czy w domino. Grupy były małe, zwykle pięcio-, sześciuosobowe i ściśle kontrolowane przez samych osadzonych. Na boisko wychodzili przyjaciele i tylko przyjaciele. Często wybuchały bójki, zdarzały się pobicia, dlatego strażnicy zdawali wtedy kontrolę. Przez pierwszy miesiąc pobytu Ron wolał wychodzić sam. W bloku śmierci roilo się od morderców, a on nie miał z nimi nic wspólnego.

Drugim i ostatnim miejscem, gdzie więźniowie mogli się spotkać, były prysznice. Mieli prawo kąpać się trzy razy tygodniowo, maksymalnie przez kwadrans, i tylko po dwóch osadzonych naraz. Jeśli ktoś nie chciał lub nie ufał swemu partnerowi, mógł iść pod prysznic sam. Gorącej i zimnej wody zawsze było pod dostatkiem, ale nie dawała się wymieszać. Była albo wrząca, albo lodowato zimna.

**W tym** czasie w bloku śmierci przebywały dwie inne ofiary wymiaru sprawiedliwości w hrabstwie Pontotoc, chociaż Ron początkowo o tym nie wiedział. Tommy Ward i Karl Fontenot siedzieli tam już prawie od trzech lat, czekając, aż młyn sprawiedliwości przemiele ich apelacje.

Pewnego dnia posłaniec przekazał Ronowi gryps, nielegalny list; strażnicy zwykle przymykali na to oko. Napisał do niego Tommy Ward, który pozdrawiał go i życzył wszystkiego dobrego. Ron mu odpisał i poprosił go

o papierosy. Choć bardzo współczuł Tommy'emu i Karlowi, z ulgą uświadomił sobie, że nie wszyscy w bloku śmierci są rzeźnikami. Nigdy nie wierzył, że Ward i Fontenot kogoś zabili i często myślał o nich podczas swojej gehenny.

Tommy siedział z Ronem w areszcie w Adzie i wiedział, że Williamson jest niezrównoważony emocjonalnie. Klawisze i aresztanci dokuczali im obydwu. Lata wcześniej w środku nocy często budził go głos z ciemnego końca korytarza: „Tommy, mówi Denice Haraway. Proszę, powiedz im, gdzie leżą moje zwłoki”. Słyszał szepty strażników, słyszał stłumiony śmiech aresztantów. Ignorował ich i w końcu dali mu spokój.

Ale Ron ignorować ich nie potrafił. Ilekroć w mrocznym areszcie rozbrzmiewało echo upiornego głosu — „Ron, dlaczego zabiłeś Debbie Carter?” — zrywał się z pryczy i zaczynał krzyczeć.

W bloku śmierci Tommy codziennie walczył o zachowanie zdrowych zmysłów. Z trudem wytrzymywali tu prawdziwi mordercy, a człowieka niewinnego miejsce to mogło doprowadzić do obłądzenia. Odkąd osadzono tu Rona, bardzo się o niego bał.

Jeden ze strażników znał szczegóły morderstwa Debbie Carter i już wkrótce na wybiegu zabrzmiał złowieszczy głos: „Ron, mówi Debbie. Dlaczego mnie zabiłeś?”

Ron, początkowo spokojny, natychmiast zaczął krzyczeć i zapewniać o swojej niewinności. Klawiszom spodobała się ta reakcja i zaczęli go dręczyć. Pozostali więźniowie świetnie się bawili i często się do nich przyłączali. Ot tak, dla rozrywki.

**Niedługo** po przybyciu Rona kilkunastu gburowatych, po zęby uzbrojonych klawiszów wyciągnęło Tommy'ego z celi i skuło mu ręce i nogi. Kroiło się coś poważnego, chociaż Tommy nie miał pojęcia co. Tamci nigdy takich rzeczy nie mówili.

On, drobny chudzina, szedł wybiegiem w otoczeniu tylu strażników, że wystarczyłoby ich do ochrony prezydenta USA. „Dokąd idziemy?” - spytał, lecz odpowiedź była zbyt tajna i ważna, żeby mogli jej udzielić. Minęli wybieg, wyszli z bloku F, przeszli przez kopulastą rotundę Wielkiego Domu, zupełnie pustą, jeśli nie liczyć gołębi, i weszli do sali konferencyjnej w budynku administracyjnym.

Czekał tam na nich naczelnik. Miał złe nowiny.

Nie zdjąwszy Tommy'emu kajdanek, strażnicy posadzili go na najbardziej wyeksponowanym miejscu, na końcu długiego stołu, przy którym roilo

się od asystentów, urzędników, sekretarek i wszystkich tych, którzy chcieli uczestniczyć w tym makabrycznym spektaklu. Tuż za nim, niczym wartownicy z kamiennymi twarzami, stanęli klawisze gotowi zatrzymać go, gdyby usłyszawszy wiadomość, zerwał się z krzesła i chciał dokądś uciec. Wszyscy trzymali w ręku długopisy, chcąc upamiętnić to, co miało się za chwilę wydarzyć.

Naczelnik mówił poważnym głosem. Nie udało się wywalczyć zawieszenia egzekucji i na Tommy'ego przyszła pora. Owszem, trochę to dziwne, bo składał apelacje dopiero od trzech lat, ale czasami takie rzeczy się zdarzają.

Naczelnikowi było bardzo przykro, ale robił tylko swoje. Ten wielki dzień miał nadejść za dwa tygodnie.

Tommy głęboko wciągnął powietrze i spróbował to sobie przyswoić. Adwokaci wciąż pracowali nad jego apelacjami, które - jak mu powiedziano - mogły potrwać jeszcze wiele lat. Istniały uzasadnione nadzieje na nowy proces w Adzie.

Był rok 1988. Od ponad dwudziestu lat w Oklahomie nie wykonano ani jednej egzekucji. Może machina trochę zardzewiała i tamci nie bardzo wiedzieli, co robią?

Naczelnik mówił dalej. Przygotowania rozpoczną się natychmiast. Jedną z najważniejszych rzeczy jest to, co mają zrobić z ciałem.

Z ciałem, pomyślał Tommy. Z moim ciałem?

Urzednicy, asystenci i sekretarki ze zmarszczonym czołem zapisywali te same słowa. Po co tu ci wszyscy ludzie? - zastanawiał się Tommy.

Po prostu wyślijcie je mojej matce, powiedział albo próbował powiedzieć.

Gdy wstał, ugięły się pod nim nogi. Strażnicy podtrzymali go i odprowadzili z powrotem do bloku F. Tommy wpełzł na pryczę i rozplakał się z żalu, ale nie było mu żal siebie, tylko rodziny, zwłaszcza matki.

Dwa dni później poinformowano go, że zaszła pomyłka. Gdzieś tam, na górze, ktoś źle poprzekładał papierki. Zawieszenie egzekucji wciąż obowiązywało, tak że pani Ward nie będzie musiała odbierać ciała syna. W każdym razie jeszcze nie teraz.

**Takie** falstarty nie były niczym niezwykłym. Kilka tygodni po wyjeździe Rona z Ady Annette otrzymała list od naczelnika. Założyła, że chodzi o zwykłą, rutynową sprawę. I według kierownictwa więzienia pewnie o taką chodziło, zważywszy jak pochopne podejmowano tam działania.

Szanowna Pani Hudson

Z głębokim współczuciem pragnę poinformować Panią, że Pani brat, Ronald Keith Williamson, nr 134846, zostanie stracony 18 lipca 1988 o godz. 12.01 w oklahomskim więzieniu stanowym.

Rano w przededniu egzekucji zostanie przeniesiony do innej celi, w związku z czym godziny widzeń ulegną zmianie i będą następujące: 9.00-12.00, 13.00-16.00 i 18.00-20.00.

W ciągu ostatniej doby widzenia będą zarezerwowane wyłącznie dla duchownego, występującego w sprawie adwokata oraz dwóch gości zatwierdzonych przez naczelnika więzienia. Na egzekucji ma prawo być obecnych pięciu świadków Pani brata. Świadkowie ci muszą być zatwierdzeni przez naczelnika.

Chociaż to bardzo trudne, trzeba poczynić również przygotowania do pogrzebu i przygotowania te są obowiązkiem rodziny. Jeśli rodzina go nie wypełni, pochówkiem zajmą się władze stanowe. Proszę powiadomić nas o swojej decyzji w tej kwestii.

Jeśli będzie miała Pani jakieś niejasności lub będzie potrzebowała Pani pomocy, proszę się z nami skontaktować. Z poważaniem James L. Saffle, naczelnik

List napisano dwudziestego pierwszego czerwca 1988 roku, niecałe dwa miesiące po przybyciu Rona do McAlester. Annette wiedziała, że w sprawach o morderstwo zagrożone najwyższym wymiarem kary apelacja jest wnoszona automatycznie. Może ktoś powinien poinformować o tym odpowiedzialnych za egzekucję?

Chociaż list bardzo ją zdenerwował, zdołała odłożyć go na bok. Brat był niewinny i kiedyś, w nowym procesie, na pewno to wszystkim udowodni. Wierzyła w to uparcie i niezachwianie. Czytała Biblię, nieustannie się modliła i często rozmawiała ze swoim pastorem.

Mimo to wielokrotnie zastanawiała się, co to za ludzie kierują więzieniem w McAlester.

**Mniej** więcej po tygodniu pobytu w bloku śmierci Ron podszedł pewnego dnia do drzwi i pozdrowił sąsiada z celi 9, dokładnie naprzeciwko, niecałe cztery metry dalej. Greg Wilhoit pozdrowił jego i zamienili ze sobą kilka słów. Ani jeden, ani drugi nie miał ochoty na długą rozmowę. Nazajutrz Ron pozdrowił Grega ponownie i trochę pogawędzili. Dwa dni później Greg

wspomniał, że jest z Tulsy. Ron kiedyś tam mieszkał, z niejakim Stanem Wilkinsem.

- Ten Wilkins pracuje w zakładach metalowych? — spytał Greg.

Tak, w zakładach, i Greg go znał. Ten zabawny zbieg okoliczności przełamał ostatnie lody. Długo rozmawiali o starych znajomych i ulubionych miejscach w Tulsie.

Greg też miał trzydzieści cztery lata, też uwielbiał baseball i też miał dwie siostry, które go wspierały.

I też był niewinny.

Był to początek głębokiej przyjaźni, która pomogła im przetrwać więzienną gehennę. Greg zaprosił Rona do kaplicy, na cotygodniowe nabożeństwo dla więźniów z bloku śmierci. Przychodziło na nie wielu, w kajdanach i łańcuchach. Spędzano ich do niewielkiego pomieszczenia, gdzie mszę odprawiał święty wprost człowiek, kapelan nazwiskiem Charles Story. Greg i Ron rzadko kiedy ją opuszczali i zawsze siedzieli razem.

**Greg Wilhoit** przebywał w McAlester od dziewięciu miesięcy. Był robotnikiem z zakładów metalowych, twardym związkowcem z wyrokiem za posiadanie marihuany, za nic związanego z użyciem przemocy.

W 1985 roku on i jego żona Kathy postanowili się na jakiś czas rozstać. Mieli dwie malutkie córeczki i mnóstwo problemów. Greg pomógł Kathy przeprowadzić się do innego mieszkania i niemal co wieczór wpadał tam, żeby odwiedzić dzieci. Miał nadzieję, że małżeństwo da się jeszcze uratować, jednak obydwoje potrzebowali trochę czasu spędzić osobno. Nadal uprawiali ze sobą seks; ona nie zdradzała jego, on nie zdradzał jej.

Pierwszego czerwca, trzy tygodnie po rozstaniu, sąsiadkę Kathy zaniepokoił nieustanny płacz jej córeczek. Zapukała do drzwi, a ponieważ nikt jej nie otworzył, zadzwoniła na policję. Na podłodze na parterze policjanci znaleźli martwą Kathy. W łóżeczkach na górze płakały głodne i wystraszone dziewczynki.

Kathy została zgwałcona i uduszona. Śmierć nastąpiła między pierwszą i szóstą nad ranem. Na przesłuchaniu Greg powiedział, że był wtedy u siebie, że spał, ale ponieważ spał sam, nie miał żadnego alibi. Uparcie zaprzeczał, że ma cokolwiek wspólnego z morderstwem żony i oburzył się, że policja w ogóle go o to wypytuje.

W trakcie oględzin mieszkania znaleziono odcisk palca na telefonie, który zerwano ze ściany, i który leżał obok zwłok. Odcisk nie był odciskiem ani jej, ani Grega. Znaleziono również włos łonowy i, co ważniejsze, znak po



ugryzieniu na piersi Kathy. Specjalista-kryminalistyk potwierdził, że napastnik ugryzł ją podczas gwałtu.

Jako małżonek pozostający w separacji, Greg szybko stał się głównym podejrzanym, mimo niepasującego odcisku palca. Melvin Hett ze stanowego laboratorium kryminalistycznego stwierdził, że włos łonowy nie jest mikroskopowo zgodny z włosami podejrzanego. Policja poprosiła Grega o odcisk jego zębów, żeby mogli porównać go ze śladem na piersi ofiary.

Gregowi nie podobało się, że go podejrzewają. Był niewinny i nie ufał policji. Dzięki pomocy rodziców zapłacił dwadzieścia pięć tysięcy dolarów kaucji i wynajął adwokata.

To z kolei nie spodobało się policji. Uzyskali sądowy nakaz zmuszający go do dostarczenia odcisku zębów. Greg go dostarczył i sprawa ucichła na pięć miesięcy. Greg wychowywał dwie córki, pracował na pełnym etacie w zakładach metalowych i miał nadzieję, że policja to już przeszłość, gdy nagle, pewnego styczniowego dnia w 1986 roku, zjawili się u niego z nakazem aresztowania za morderstwo pierwszego stopnia, zbrodnię karaną śmiercią.

Jego pierwszy adwokat, chociaż dobrze opłacany i cieszący się dobrą reputacją, za bardzo interesował się przetargami z prokuraturą. Greg zrezygnował z jego usług na miesiąc przed procesem i popełnił olbrzymi błąd, angażując George'a Briggsa, starego, wypalonego adwokata, którego kariera dobiegała już końca, i który zażądał dwa i pół tysiąca dolarów.

Briggs pochodził ze starej szkoły adwokackiej. Ty weźmiesz swojego świadka, ja swojego, pójdziemy do sądu i powalczymy. Żadnego tam przedprocesowego ujawniania dowodów. Jak masz wątpliwości, zaufaj instynktowi i działaj na wyczucie.

Był również alkoholikiem uzależnionym od środków przeciwbólowych; zaczął je zażywać kilka lat wcześniej, po wypadku motocyklowym, w którym doznał częściowego uszkodzenia mózgu. W dobry dzień zajeżdżał co prawda wódką, ale mógł jako tako funkcjonować. W dzień zły potrafił chrapać w sali rozpraw, oddać mocz w spodnie czy zwymiotować w gabinecie sędziego. Często widywano, jak zataczał się od ściany do ściany w sądowych korytarzach. Greg i jego rodzice wpadli w popłoch, gdy podczas lunchu wypił kilka butelek piwa.

Sędzia wiedział o jego alkoholizmie i lekomanii, wiedziała o tym i oklahomska rada adwokacka, mimo to nie zrobiono absolutnie nic, żeby go powstrzymać, pomóc mu lub też chronić jego klientów.

Rodzina Grega znalazła w Kansas wybitnego eksperta od śladów po ugryzieniach, ale Briggs był zbyt zajęty albo skacowany, żeby z nim po-

rozmawiać. Nie przesłuchał ani jednego świadka i — przynajmniej według Grega — prawie wcale nie przygotowywał się do procesu.

Sam proces był prawdziwym koszmarem. Oskarżenie powołało dwóch specjalistów od śladów po ugryzieniach, z których jeden ukończył stomatologię niecały rok wcześniej. Briggs nie miał czym podważyć jego ekspertyzy, więc jej nie podważył. Przysięgli naradzali się przez dwie godziny i uznali Grega za winnego. Briggs nie powołał żadnych świadków, których zeznania mogłyby wpłynąć na złagodzenie kary, więc po godzinnej naradzie skazano go na śmierć.

Miesiąc później sędzia odczytał mu wyrok.

**Greg** zasłonił kraty w drzwiach gazetami, żeby nikt go nie widział. Wmówił sobie, że nie siedzi w bloku śmierci, tylko w swoim małym, prywatnym kononie, zupełnie gdzie indziej. Czekał na właściwy moment. Czekając, zachłannie czytał i oglądał telewizję na małym telewizorze, który przysłała mu rodzina. Nie rozmawiał z nikim oprócz posłańca, który już podczas pierwszego spotkania spytał, czy Greg chce kupić marihuanę. Greg chciał.

Początkowo nie zdawał sobie sprawy, że kilku farciarzom z bloku śmierci udało się przeżyć. Bywało, że apelacje skutkowały, że do sprawy włączali się dobrzy adwokaci, że budzili się sędziowie, że zdarzały się cuda, ale nikt mu o tym nie powiedział. Był pewien, że zostanie stracony i szczerze mówiąc, chciał mieć to już z głowy.

Przez pół roku wychodził z celi tylko po to, żeby wziąć prysznic, szybko i w samotności. Jednakże z czasem poznał paru kolegów i zaczął bywać na godzinnych spacerach na boisku. Gdy tylko się odezwał, kumple natychmiast go zniechęcili. Był wśród nich prawdziwą rzadkością, bo należał do gorących zwolenników kary śmierci. Uważał, że jeśli ktoś odbiera komuś życie, musi za to zapłacić własnym. Tego rodzaju opinie były tu czymś niesłychanym.

Rozwinał też w sobie irytujący zwyczaj oglądania programu Davida Lettermana na pełny regulator. Sen jest w bloku śmierci czymś niezwykle cennym i wielu skazanych spędza w innym świecie ponad pół dnia. Kiedy śpisz, oszukujesz system. Śpij w czasie prywatnym, nie państwowym.

Skazani zabójcy nie zawahają się zabić ponownie i do Grega zaczęły docierać plotki, że wzięto go na cel. Każdy blok śmierci ma co najmniej jednego przywódcę i kilku takich, którzy chcą nim zostać. Są tam zwalczające się wzajemnie frakcje. Żerują na słabych, często domagając się pieniędzy za

prawo do „życia” w bloku śmierci. Kiedy do Grega dotarł gryps z żądaniem haraczu, roześmiał się w głos i odpisał, że nie zapłaci ani centa za życie w takiej norze.

W ich bloku rządził niejaki Soledad, morderca, który siedział w słynnym kalifornijskim więzieniu. Nie podobała mu się postawa Grega, nie lubił też Davida Lettermana, a ponieważ żeby zdobyć respekt, przywódca musi zabić, Soledad postanowił zabić Grega.

W bloku śmierci każdy ma jakiegoś wroga. Sprzeczki są zażarte i wybuchają przy byle okazji. Paczka papierosów może sprowokować atak na boisku lub pod prysznicem. Za dwie można zginąć.

Greg potrzebował przyjaciela, który by nad nim czuwał.

**Pierwsza** wizyta Annette była smutna i przerażająca; nie, żeby spodziewała się czegoś innego. Wolałaby tam nie jechać, ale Ronnie nie miał nikogo oprócz sióstr.

, Strażnik obszukał ją i zajrzał do torebki. Wędrując przez ciasne warstwy Wielkiego Domu, czuła się tak jakby schodziła w głąb mrocznego brzucha bestii. Trzaski drzwi, brzęczały klucze, strażnicy patrzyli na nią tak jakby nie miała tam nic do roboty. Była odrętwiała, szła jak we śnie, miała gulę w żołądku i przyspieszony puls.

Obydwoje pochodzili z przyzwoitej rodziny, mieszkali w ładnym domu przy cienistej ulicy. Coniedzielne nabożeństwa w kościele. Tysiące baseballowych meczów, kiedy Ronnie był małym chłopcem. Jak to możliwe, że tak się to wszystko skończyło?

Przywyknę do tego, powtarzała sobie w duchu. Do tych odgłosów, do strażników; których często będę widywała. Spytała, czy może bratu coś przynieść, ciasteczka, ubranie, pieniądze, coś innego. Nie, tylko drobne, dała więc strażnikowi garść ćwierćdolarówek z nadzieją, że przekaże je Ronniemu.

Sala widzeń była kiszkowata i przecięta na pół rzędem przepierzeń z grubego pleksiglasu, żeby skazany i jego gość mieli chociaż trochę prywatności. Wszystkie rozmowy odbywały się tylko przez telefon. Żadnego dotykania, żadnego kontaktu fizycznego.

W końcu przyszedł Ronnie. W więzieniu nikt się nie spieszył. Ronnie robił wrażenie zdrowego, chyba nawet trochę przytył, z drugiej strony, zawsze miał kłopoty z utrzymaniem wagi.

Podziękował jej, że przyjechała, powiedział, że jakoś żyje, ale potrzebuje pieniędzy. Jedzenie było straszne i chciał kupić coś w kantynie. Bardzo bra-

kowało mu również gitary, książek, czasopism i małego telewizora, który mógł kupić za pośrednictwem kantyny.

- Wyciągnij mnie stąd - powtarzał. - Ja jej nie zabiłem, przecież wiesz.

Annette niezachwianie wierzyła, że brat jest niewinny, chociaż pozostali członkowie rodziny mieli wątpliwości. Obydwoje z mężem pracowali, mieli dzieci, próbowali oszczędzać. Z pieniędzmi było krucho. Co miała robić? Państwowi adwokaci dla ubogich szykowali apelację.

Sprzedaj dom i wynajmij jakąś szychę, zażądał. Sprzedaj wszystko. Zrób coś. Wyciągnij mnie stąd.

Atmosfera była napięta, płynęły łzy. Do kabiny obok przyszedł jakiś więzień. Annette prawie go nie widziała, lecz zaintrygowało ją, kim jest i kogo zabił.

To Roger Dale Stafford, odparł Ronnie, słynny rzeźnik ze stekhausu. Miał na koncie dziewięć wyroków śmierci, to u nich aktualny rekord. Podczas nieudanego skoku, na tyłach stekhausu w Oklahoma City zabił sześcioro ludzi, w tym pięcioro nastolatków, a potem zaszlachtował trzyosobową rodzinę.

- To sami mordercy - powtarzał Ronnie - mówią tylko o zabijaniu. Cały blok o tym mówi. Wyciągnij mnie stąd!

- Czujesz się tu bezpiecznie? — spytała.

- Bezpiecznie? Jak można czuć się bezpiecznie z bandą morderców?

Zawsze popierał karę śmierci, ale teraz stał się jej zagorzałym zwolennikiem. Jednakże tutaj przed nikim się z tym nie zdradzał.

Czas wizyt był nieograniczony. W końcu się pożegnali ze szczerą obietnicą, że będą do siebie pisać i dzwonić. Wyjeżdżając z McAlester, Annette była wykończona psychicznie.

Ronnie zaczął dzwonić niemal natychmiast. W bloku śmierci telefon przywożono pod celę wózkiem. Klawisz wybierał numer i przez kraty podawał więźniowi słuchawkę. Ponieważ wszystkie rozmowy były na koszt abonenta, strażników nie obchodziło, jak często skazani dzwonią. Z rozpaczy i z nudów Ron krzyczał o wózek o wiele częściej niż pozostali.

Zwykle domagał się pieniędzy, dwudziestu, trzydziestu dolarów na jeźdzenie i papierosy. Siostry próbowaly przysyłać mu po czterdzieści dolarów miesięcznie, miały jednak swoje wydatki i bardzo skromne oszczędności. Ciągłe przysyłały za mało i Ronnie zawsze im to wytykał. Często był zły, mówił, że go nie kochają i że nie chcą wyciągnąć go z pudła. Był niewinny, wszyscy o tym wiedzieli, i tylko one mogły go uratować.

Rozmowy te rzadko kiedy były przyjemne, mimo to Annette i Renee próbowaly się nim nie kłócić. W którymś momencie Ron zwykle potrafił powiedzieć im, jak bardzo je kocha.

Mąż Annette opłacił mu subskrypcję „National Geographic” i „Ada Evening News”. Ronnie chciał na bieżąco śledzić to, co działo się w jego rodzinnym mieście.

Niedługo po przybyciu do McAlester po raz pierwszy dowiedział się o dziwnym przyznaniu się do winy Ricky'ego Joe Simmonsa. Barney wiedział o jego nagranych na taśmę zeznaniach, ale postanowił nie wykorzystywać ich w sądzie ani nawet nie wspominać o nich swojemu klientowi. Jeden z adwokatów dla ubogich przywiózł nagranie do McAlester i pokazał je Ronowi. Ron wpadł w szal. Ktoś przyznał się do zamordowania Debbie Carter, a przysięgli nic o tym nie wiedzieli!

Był pewien, że wiadomość ta trafi niebawem do Ady i chciał przeczytać o tym w gazecie.

Ricky Joe Simmons stał się jego kolejną obsesją, być może największą; dręczyła go przez wiele lat.

Ron wydzwaniał do kogo się dało; pragnął, żeby o Simmonsie dowiedział się cały świat. Zeznania Ricky'ego były jego biletem na wolność i chciał, żeby postawiono go przed sądem. Dzwonił do Barneya i innych adwokatów, dzwonił do urzędników hrabstwa, a nawet do dawnych znajomych, ale większość nie chciała z nim rozmawiać.

Zasady uległy zmianie i korzystanie z telefonu zostało poważnie ograniczone, gdy odkryto, że dwóch skazanych z bloku śmierci ot tak, dla zabawy wydzwaniało do rodzin swoich ofiar. Od tej pory pozwalano im tylko na dwa telefony tygodniowo po uprzednim zatwierdzeniu numeru przez naczelnika.

**Raz** na tydzień posłaniec przechodził przez blok F z wózkiem pełnym starych, mocno już podniszczonych książek z więziennej biblioteki. Greg Wilhoit czytał wszystko jak leci, biografie, kryminały i westerny. Jego faworytem był Stephen King, ale bardzo lubił też powieści Johna Steinbecka.

Zachęcał do czytania i Rona, tłumacząc mu, że książki to ucieczka, i już wkrótce dyskutowali zawzięcie na temat Gron gniewu i Na wschód od Edenu, co w bloku śmierci było dość niezwykle. Godzinami stali pod drzwiami, opierając się o kraty i rozmawiając, rozmawiając bez końca. O książkach, o baseballu, o kobietach i swoich procesach.

Obydwaj byli zaskoczeni, że większość skazanych bynajmniej nie przeczy, że jest winna. Że podczas rozmów we własnym gronie ludzie ci często swe zbrodnie ubarwiają i upiększają. Śmierć była tu tematem numer jeden: morderstwa, procesy o morderstwo, morderstwa jeszcze niepopelnione.

W przeciwieństwie do nich Ron zawsze twierdził, że jest niewinny i Greg mu wierzył. Każdy skazany ma pod ręką kopię stenogramu procesowego, więc przeczytał stenogram Rona, bite dwa tysiące stron. Proces w Adzie go zaszokował. Ron z kolei przeczytał jego stenogram i był równie wstrząśnięty procesem Grega w hrabstwie Osage.

Wierzyli sobie nawzajem i nie zwracali uwagi na sceptycyzm sąsiadów.

W pierwszych tygodniach ich przyjaźń działała na Rona terapeutycznie. Ktoś mu w końcu uwierzył, w końcu miał kogoś, z kim mógł godzinami rozmawiać, kto chciał go wysłuchać, kto był inteligentny i okazywał mu współczucie. Z dala od przypominającego jaskinię aresztu w Adzie, mogąc się wreszcie komuś zwierzyć, zachowywał się spokojnie. Nie krzyczał, nie krążył po celi jak zwierzę w klatce, nie zapewniał nikogo o swej niewinności. Wciąż dręczyła go zmienność nastrojów, lecz nie tak dramatyczna jak w Adzie. Dużo spał, godzinami czytał, palił jednego papierosa po drugim i rozmawiał z Gregiem. Wychodzili razem na boisko, wzajemnie się pilnując. Annette przysłała więcej pieniędzy i kupił w kantynie mały telewizor. Siostra wiedziała, jak dużo znaczy dla niego gitara i próbowała ją dla niego załatwić. W kantynie ich nie było. Po wielu listach i telefonach władze zgodziły się wreszcie, żeby miejscowy sklep muzyczny sprzedał i wysłał gitarę więźniowi.

Kłopoty zaczęły się, gdy tylko ją dostał. Chcąc zaimponować kolegom swoim talentem, głośno grał i śpiewał, ile sił w płucach. Posypały się skargi, ale on miał to gdzieś. Kochał swoją gitarę i kochał śpiewać, zwłaszcza piosenki Hanka Williamsa. Na wybiegu nieustannie rozbrzmiewało Your Cheating Heart. Koledzy obrzucali go wyzwiskami. Ron obrzucał wyzwiskami ich.

Soledad miał dość tego wycia i zagroził, że go zabije. A co mi tam. I tak mam czapę.

**W bloku F** nie działała wentylacja - nie zrobiono nic, żeby ją naprawić - więc kiedy nadeszło lato, zrobiło się tam jak w saunie. Skazani rozbierali się do szortów i chłodzili małymi wentylatorami z kantyny. Często budzili się o świcie w pościeli mokrej od potu. Kilku siedziało w celi zupełnie nago.

Z jakiegoś powodu kierownictwo więzienia organizowało wycieczki do bloku śmierci. Ich uczestnikami byli zwykle uczniowie szkół średnich; rodzice wysyłali tam dzieci z nadzieją, że widok ten odstraszy ich

od przestępstwa. Gdy przychodzili, strażnicy kazali się więźniom ubierać, nawet w upał. Jedni się ubierali, inni nie.

Indianin o ksywie Nagi Koziół przez cały czas chodził bez ubrania. Posiadł rzadką umiejętność puszczenia gazów na zawołanie, więc kiedy zbliżała się wycieczka, przystawiał pośladki do krat w drzwiach i puszczał potężnego bąka. Uczniowie byli zaszokowani, wycieczka dobiegała końca.

Klawisze próbowali go powstrzymać. Bezskutecznie. Koledzy podpuszczali go, ale tylko wtedy, kiedy mieli gości. W końcu strażnicy zaczęły wyprowadzać go z bloku przed nadejściem wycieczki. Kilku usiłowało go naśladować, lecz natura poskapiła im talentu.

Ron śpiewał dla uczniów i grał.

**Czwartego** lipca 1988 roku obudził się w parszywym nastroju i już się z niego nie otrząsnął. Był Dzień Niepodległości, dzień parad i obchodów, a on smażył się za kratami za zbrodnię, której nie popełnił. Gdzie była ta wolność i niepodległość?

Zaczął wrzeszczeć, przeklinać i zapewniać o swojej niewinności. Doping kolegów doprowadził go do szału, więc już po chwili rzucał wszystkim tym, co wpadło mu w ręce, książkami, czasopismami, przyborami toaletowymi, radiem, Biblią i ubraniami. Strażnicy kazali mu się uspokoić. Ron zwymyślał ich i stał się jeszcze głośniejszy. Na wybieg poleciały ołówki, gazety i jedzenie z kantyny. Potem chwycił telewizor i roztrzaskał go o ścianę. Na końcu roztrzaskał o kraty swoją ukochaną gitarę.

Większość skazanych brała codziennie łagodny antydepresant o nazwie sinequan. Miał uspokajać i pomagać zasnąć.

Strażnicy zdołali wreszcie namówić go do wzięcia czegoś silniejszego i Ron popadł w apatię. Pod wieczór posprzątał w celi.

Potem zadzwonił do Annette i z płaczem opowiedział jej o zajściu. Siostra odwiedziła go i doszło do nieprzyjemnej rozmowy. Ron krzychał, zarzucał jej, że nie chce go uwolnić i znowu zażądał, żeby wszystko sprzedała i wynajęła słynnego adwokata, który mógłby naprawić tę niesprawiedliwość. Annette prosiła go, żeby się uspokoił i przestał krzyczeć, a kiedy to nie poskutkowało, zagroziła, że go zostawi.

Z czasem ona i Renee kupiły bratu nowy telewizor, radio i gitarę.

**We wrześniu** 1988 roku na spotkanie z nowym klientem do McAlester przyjechał prawnik z Norman, adwokat nazwiskiem Mark Barrett. Mark był

jednym z czterech adwokatów odpowiedzialnych za apelacje skazanych na śmierć ubogich. Przydzielono mu sprawę Williamsona. Barney Ward zniknął ze sceny wydarzeń.

W przypadku skazania na najwyższy wymiar kary apelacja jest składana automatycznie. Złożono stosowne dokumenty, rozpoczęło się żmudne postępowanie. Mark wyjaśnił to Ronowi i wysłuchał długiej tyrady o niewinności. Tego rodzaju zapewnienia bynajmniej go nie zaskoczyły, no i nie przeczytał jeszcze stenogramu procesowego.

Żeby mu pomóc, Ron dał mu listę wszystkich fałszywych świadków i szczegółowo wyjaśnił, na czym polegały ich kłamstwa.

Mark stwierdził, że jego nowy klient jest człowiekiem inteligentnym, racjonalnie myślącym, świadomym swego losu i otoczenia. Był elokwentny: szczegółowo opowiedział mu o kłamstwach jakie policja i prokuratura wykorzystywała przeciwko niemu w sądzie. Był też trochę spanikowany, ale należało się tego spodziewać. Mark nie wiedział, że Ron miał kłopoty ze zdrowiem psychicznym.

Jego ojciec był kaznodzieją w Kościele Uczniów Chrystusa, co spowodowało Rona do długiej wypowiedzi na tematy religijne. Chciał przekonać Marka, że jest pobożnym chrześcijaninem, że miał bogobożnych rodziców i że często czyta Biblię. Zasypał go cytatami z Pisma Świętego i bardzo mu tym zaimponował. Jeden z wersetów nie dawał mu spokoju, więc spytał go, jak go rozumie. Dokładnie go przeanalizowali. Ronowi bardzo na tym zależało; był wyraźnie sfrustrowany, że nie pojmuje jego znaczenia. Widzenia z adwokatem nie podlegały ograniczeniom czasowym, a klienci nie mieli ochoty wracać do celi. Rozmawiali ponad godzinę.

Mark odniósł wrażenie, że Ron jest fundamentalistą i dobrym mówcą, może trochę zbyt ugładzonym i gadatliwym. Jego zapewnienia o niewinności traktował ze zwykłym w takich przypadkach sceptycyzmem, lecz nie miał do niego żadnych uprzedzeń. Prowadził również apelację Wilhoita i był całkowicie przekonany, że Greg nie zabił żony.

Wiedział, że w bloku śmierci siedzą niewinni ludzie i im głębiej wgrzyzał się w sprawę Rona, tym bardziej mu wierzył.



## Rozdział 11

**Dennis Fritz** nie zdawał sobie z tego sprawy, ale rok spędzony w lochach aresztu przygotował go do surowych warunków więziennego życia.

Przyjechał do Conner w czerwcu, furgonetką pełną nowych więźniów, wciąż oszołomionych, przerażonych i wciąż niedowierzających, że dzieje się to naprawdę. Ważne było, żeby wyglądać i zachowywać się butnie, z jak największą pewnością siebie. Conner, więzienie o średnim rygorze, miało opinię „śmietnika”. Było ciężkie, cięższe niż inne i Dennis nieustannie zadawał sobie pytanie, dlaczego na chybił trafił osadzono go właśnie tutaj.

Wraz z innymi przepędzono go przez izbę przyjęć, zarejestrowano, ogłoszono mu standardowy wykład na temat obowiązujących zasad i przepisów, następnie przydzielono dwuosobową celę z oknem, przez które widać było podwórze. Podobnie jak Ron, Dennis bardzo się z tego ucieszył. W Adzie tygodniami nie widywał słońca.

Dzielił celę z Meksykaninem, który prawie nie mówił po angielsku, ale wcale mu nie przeszkadzało. On z kolei nie mówił po hiszpańsku i nie miał nastroju do nauki. Pierwszym, jakże trudnym zadaniem było znalezienie sposobu na chociaż kilka chwil prywatności z drugim człowiekiem zawsze w zasięgu ręki.

Poprzysiął sobie, że każdą wolną sekundę poświęci na zmianę wyroku i odzyskanie wolności. Poddać się byłoby łatwo. Wymiar sprawiedliwości działał na niekorzyść skazanych, mimo to postanowił wygrać.

Conner było przepełnione i znane z przemocy. Grasowały tam gangi, dochodziło do zabójstw, pobić i gwałtów, królowały tam wszechobecne narkotyki i przekupni strażnicy. Dennis szybko znalazł w gmachu bezpieczniejsze strefy, unikając tych, którzy mogli sprawić mu kłopoty. Jego bronią był strach. Po kilku miesiącach skazani ulegali rutynie, stawali się więźniami

zintytucjonalizowanymi. Opuszczali gardę, zaczęli ryzykować, brać bezpieczeństwo za coś oczywistego.

Był to dobry sposób na zrobienie sobie krzywdy i Dennis postanowił, że nigdy nie przestanie się bać.

Budzono ich o siódmej i otwierano drzwi wszystkich cel. Jedli w dużej stołówce i mogli tam siadać, gdzie chcieli. Biali zajmowali jedną stronę, czarni drugą - Indianie i Latynosi utknęli w środku, chociaż skłaniali się ku czarnym. Śniadania nie były złe: jajka, mamałyga, bekon. Przy stołach toczyły się ożywione rozmowy, kontakt z ludźmi bardzo cieszył.

Większość chciała pracować; zrobiliby wszystko, żeby tylko nie wracać do celi. Ponieważ Dennis kiedyś uczył, zatrudniono go jako nauczyciela na kursie przygotowawczym do egzaminu General Equivalency Diploma. Po śniadaniu szedł do klasy i uczył do południa. Dostawał za to siedem dolarów i dwadzieścia centów miesięcznie.

Matka i ciotka przysyłały mu co miesiąc pięćdziesiąt dolarów, pieniądze, które z trudem odkładały, uważając jednak, że to najpilniejsza potrzeba. Wydawał je w kantynie na papierosy, tuńczyka w puszcze, krakersy i herbatniki. W celi urządził sobie swój prywatny „magazyn” i strzegł go jak żrenicy oka. Dosłownie każdy skazany palił i papierosy były najlepszą walutą. Jeśli ktoś miał w kieszeni paczkę marlboro, miał w kieszeni kupę szmalu.

Wkrótce odkrył więzienną bibliotekę prawniczą i z zadowoleniem stwierdził, że może korzystać z niej codziennie między trzynastą a szesnastą. Nigdy w życiu nie przeczytał żadnej książki prawniczej, ale bardzo chciał przejrzeć i zebrać wszystkie dostępne materiały. Dwóch urzędników sądowych - osadzonych, którzy uważali się za więziennych prawników i sporo umieli - zaprzyjaźniło się z nim i zaproponowało, że pokażą mu, jak przedrzeć się przez gąszcz grubych traktatów i kompendiów. Za poradę zażądali oczywiście honorarium — w postaci papierosów.

Swoją edukację prawniczą rozpoczął od lektury setek oklahomskich spraw, w których szukał podobieństw i ewentualnych błędów takich samych jak te, które popełniono podczas jego procesu. Wkrótce miały rozpocząć się apelacje i chciał umieć tyle, ile jego adwokat. Znalazł dział kompendiów federalnych i porobił notatki z tysięcy procesów z całego kraju.

Między szesnastą a siedemnastą więźniów zamykano w celach; sprawdzano stan i sporządzano raporty. Kolacja była o dziewiętnastej trzydzieści, a po kolacji, aż do zamknięcia cel o dwudziestej drugiej piętnaście, osadzeni mogli przemieszczać się swobodnie w obrębie bloku, ćwicząc, grając w karty, domino czy koszykówkę. Wielu wolało siedzieć w grupie, rozmawiać, palić i po prostu zabijać czas.

Dennis chodził do biblioteki.

Jego córka Elizabeth miała piętnaście lat i prowadzili ze sobą ożywioną korespondencję. Wychowywała ją babka ze strony matki, w stabilnej rodzinie, gdzie poświęcano jej dużo uwagi. Elizabeth wierzyła, że ojciec jest niewinny, chociaż Dennis podejrzewał, że ma wątpliwości. Pisali do siebie listy i co najmniej raz w tygodniu rozmawiali ze sobą przez telefon. Dennis nie chciał, żeby córka go odwiedzała. Żeby widziała go w więziennych pa-siakach za najeżonymi drutem kolczastym murami.

Wanda Fritz, jego matka, przyjechała do Conner zaraz po tym, jak go tam osadzono. Widzenia odbywały się w niedzielę, między dziesiątą a szesnastą, w sali z rzędami składanych stołów i krzeseł. To było prawdziwe zoo. Naraz wpuszczano tam około dwudziestu osadzonych, a w sali czekały już rodziny: żony, dzieci, matki i ojcowie. Emocje sięgały zenitu. Dzieci często rozrabiały i głośno krzyczały. Więźniowie byli bez kajdanek; zezwalano na kontakt fizyczny.

I właśnie tego kontaktu osadzeni najbardziej pragnęli, chociaż wyuzdane „pocałunki i obmacywanie było zakazane. Cała sztuka polegała na tym, żeby któryś z kumpli „puścił ścierne”, na kilka sekund odwrócił uwagę klawisza, umożliwiając innym odbycie błyskawicznego stosunku płciowego. Niczym niezwykłym był widok pary, która kopuluje wciśnięta między dwa automaty do napojów. Spokojnie siedzące żony znikają nagle pod stołem na szybkiego „loda”.

Mimo tego szaleństwa Dennisowi udało się skutecznie zagadać matkę, jednak dzień odwiedzin należał do najbardziej stresujących dni w tygodniu. Dennis zniechęcał ją do ponownego przyjazdu.

**Ron** zaczął wkrótce krzyczeć i krążyć po celi jak dzikie zwierzę. Jeśli nawet wchodziło się do bloku śmierci, będąc zdrowym psychicznie, szybko popadało się w obłąd. Ron stawał przy drzwiach i wrzeszczał: "Jestem niewinny! Jestem niewinny!" Wrzeszczał tak godzinami, dopóki nie ochrypl. Ale szybko nabył wprawy i gdy wzmocnił mu się głos, mógł krzyczeć jeszcze dłużej. „Nie zabiłem Debbie Carter! Nie zabiłem Debbie Carter!”

Nauczył się na pamięć całego zeznania Ricky'ego Joe Simmonsa i słowo po słowie, wykrzykiwał je strażnikom i sąsiadom. Mógł też godzinami cytować stenogram swojego procesu, całe strony zeznań, które wysłały go do celi śmierci. Koledzy mieli ochotę go udusić, chociaż podziwiali jego pamięć.

Ale nie o drugiej nad ranem.

Renee dostała dziwny list od jednego z osadzonych. Osadzony pisał między innymi tak:

Droga Renee

Bogu niech będzie chwała! Pisze do Ciebie Jay Neill, numer 141128, w imieniu i na prośbę Twojego brata Rona. Ron siedzi w celi sąsiadującej z moją. Przeżywa teraz bardzo trudne chwile. Mam wrażenie, że jest pod wpływem jakichś leków, które mają go uspokoić i wyciszyć. Ale leki, które tu dają, w najlepszym przypadku działają tylko częściowo. Jego największą porażką jest to, że tak nisko siebie ceni. Ci z O.S.P wmawiają mu, że jego iloraz inteligencji jest poniżej przeciętnej.

W najgorszym stanie Ron bywa między północą i czwartą nad ranem. Czasami, w różnych odstępach czasu, wykrzykuje ze wszystkich sił różne rzeczy. Przeszkadza sąsiadom. Sąsiedzi próbowali początkowo przemówić mu do rozsądku, potem go tolerować. Ale jest ich za dużo i stracili cierpliwość. (Na pewno przez te bezsenne noce).

Jestem chrześcijaninem i codziennie się za niego modlę. Rozmawiam z nim i słuchani jego opowieści. On bardzo kocha Ciebie i Annette. Jestem jego przyjacielem. I czymś w rodzaju bufora między nim i tymi, którym jego krzyk przeszkadza, bo kiedy zaczyna krzyczeć, wstaję i przemawiam do niego, dopóki się nie uspokoi. Niech Bóg błogosławi Ciebie i Twoją rodzinę. Z poważaniem Jay Neill

Przyjaźń Neilla z Ronem czy jakimkolwiek innym osadzonym z bloku śmierci zawsze budziła wątpliwości, a jego nawrócenie na chrześcijaństwo stanowiło częsty temat rozmów. Tak czy inaczej, „przyjaciele” traktowali go z dużym sceptycyzmem. Neill i jego kochanek chcieli wyjechać do San Francisco, żeby nacieszyć się bardziej swobodnym i otwartym stylem życia. Ponieważ nie mieli pieniędzy, postanowili obrabować bank, a więc zrobić coś, w czym nie mieli żadnego doświadczenia. Wybrali bank w Geronimo, weszli tam z wrzaskiem, powiedzieli, że to napad i wtedy wszystko się posypało. W zamieszaniu on i jego partner śmiertelnie dźgnęli nożem trzech kasjerów, zastrzelili jednego klienta, a trzech innych ranili. Podczas tej jatki Neillovi skończyły się naboje, z czego zdał sobie sprawę dopiero wtedy, gdy przytknąwszy lufę rewolweru do głowy jakiegoś dziecka, pociągnął za spust. Dziecku nic się nie stało, przynajmniej fizycznie. Obydwaj uciekli z dwudziestoma tysiącami dolarów i wkrótce dotarli do San Francisco, gdzie

ogarnął ich szal zakupów; kupowali długie futra z norek, piękne apaszki i temu podobne. Szastali pieniędzmi w gejowskich barach i przez niewiele ponad dobę bawili się jak dekadenci wśród dekadentów. Potem odwieziono ich z powrotem do Oklahomy, gdzie Neill został w końcu stracony.

W bloku śmierci lubił cytować Pismo Święte i wygłaszać krótkie kazania, chociaż mało kto ich słuchał.

**W Wielkim** Domu opieka medyczna nie była rzeczą najważniejszą. Każdy osadzony wiedział, że w bloku najpierw traci się zdrowie, a potem popada w obłąd. Rona zbadał więzienny lekarz, który miał dostęp do jego dokumentów szpitalnych i kart z poradni zdrowia psychicznego. Odnotował, że osadzony był narkomanem i alkoholikiem - co w bloku F nikogo nie dziwiło - i że co najmniej od dziesięciu lat cierpi na depresję dwubiegunową. Stwierdził również objawy schizofrenii i zaburzeń osobowości.

Przypisał mu mellaril i lek ten go uspokoił.

Większość więźniów uważała, że Ron „świruje”, że udaje wariata, chcąc uniknąć egzekucji.

Dwie cele od Grega Wilhoita mieszkał starzec nazwiskiem Sonny Hays. Nikt dokładnie nie wiedział, jak długo czeka, ale na pewno osadzono go przed wszystkimi innymi. Dobijał siedemdziesiątki, był ciężko chory, do nikogo się nie odzywał i nikogo nie chciał widzieć. Drzwi zasłonił gazetami i kocami, nigdy nie zapalał światła, jadł tylko tyle, żeby utrzymać się przy życiu, nigdy się nie kąpał, nie golił i nie strzygł i nigdy się z nikim nie widywał, nawet z adwokatami. Nie wysyłał i nie dostawał żadnych listów, do nikogo nie dzwonił, nie kupował niczego w kantynie, nie oddawał rzeczy do pralni, nie miał ani telewizora, ani radia. Nigdy nie wychodził ze swego małego, ciemnego lochu i często przez wiele dni z rzędu nie dawał znaku życia.

Był zupełnie obłąkany, a ponieważ obłąkanego nie można stracić, po prostu gnił tam i powoli umierał na swoich własnych warunkach. Teraz w bloku pojawił się nowy szaleniec, chociaż Ronowi trudno było przekonać kolegów, że naprawdę nim jest. Nie, on po prostu udawał świra.

Ale pewien incydent zdecydowanie przykuł ich uwagę. Ron zatkał muszlę klozetową i na podłodze celi zebrała się gruba na pięć centymetrów warstwa wody. Rozebrał się do naga i wrzeszcząc coś niezrozumiałego, z najwyższej pryczy zaczął skakać na brzuch do swego minibasenu. Strażnicy zdołali w końcu obezwładnić go i uspokoić.

**W bloku F** nie było klimatyzacji, było za to ogrzewanie i nadejście zimy wzbudziło słusne oczekiwania, że prastarymi szybami wentylacyjnymi popłynie strumień ciepłego powietrza. Strumień nie popłynął. W celach było przeraźliwie zimno. Nocą wewnętrzna strona szyb pokrywała się lodem, dlatego grubo opatuleni więźniowie jak najdłużej pozostawali w łóżku.

Spać mogli tylko wtedy, kiedy włożyli na siebie wszystkie ubrania, jakie mieli, podwójną parę skarpetek, zapasowe szorty, podkoszulek, spodnie, koszulę roboczą oraz to, co udało im się kupić w kantynie. Dodatkowy koc był luksusem i więzienie go nie zapewniało. Jedzenie, latem zimne, było teraz prawie niejadalne.

**Wyrok** w sprawie Tommy'ego Warda i Karla Fontenota został uchylony przez Oklahomski Sąd Karny Apelacyjny z uzasadnieniem, że przyznanie się do winy jednego oskarżonego wykorzystano przeciwko drugiemu, a ponieważ ani jeden, ani drugi nie składał zeznań, odmówiono im również prawa do konfrontacji.

Gdyby przeprowadzono dwa oddzielne procesy, uniknięto by konstytucyjnych problemów.

Gdyby nie uwzględniono przyznania się do winy, ani jeden, ani drugi nie zostałby oczywiście skazany.

Odesłano ich z powrotem do Ady. Tommy trafił następnie do Shawnee w hrabstwie Pottawatomie. Ponieważ ponownie oskarżał go Bill Peterson - wraz z Chrisem Rossem - i ponieważ sędzia ponownie pozwolił przysięgłym obejrzeć nagrane na taśmie zeznanie, ponownie uznano go za winnego i ponownie wymierzono mu karę śmierci. Podczas procesu Annette Hudson codziennie dowoziła do sądu jego matkę. Karl natomiast trafił do Holdenville w hrabstwie Hughes. Jego też uznano za winnego i skazano na najwyższy wymiar kary.

Dowiedziawszy się o uchyleniu wyroku, Ron wpadł w entuzjazm -i w przerażenie, gdy ponownie dostali czapę. Jego apelacja wędrowała powoli przez labirynty wymiaru sprawiedliwości. Prowadziło ją Apelacyjne Biuro obrońcy Publicznego. Ponieważ liczba skazanych na śmierć stale wzrastała, zatrudniono tam więcej prawników. Mark Barrett był zavalony robotą i musiał pozbyć się paru spraw. Niecierpliwie czekał też na decyzję sądu apelacyjnego w sprawie Grega Wilhoita. Sąd traktował skazanych bardzo surowo, lecz on był przekonany, że Greg dostanie szansę na nowy proces.

Kolejnym adwokatem Rona był Bill Luker, który w swoim wniosku z werwą dowodził, że jego proces był niesprawiedliwy. Zaatakował w nim

obrońcę, Barneya Warda, twierdząc, że Ron nie otrzymał „skutecznej pomocy prawnej”, co było zwykle głównym argumentem w tego rodzaju przypadkach. Największym grzechem Barneya było według niego to, że nie podniósł kwestii niepoczytalności Rona. I że nie przedstawił sądowi żadnej dokumentacji medycznej. Luker dogłębnie przeanalizował ten błąd i lista się wydłużyła.

Zaatakował również metody i taktykę zastosowaną przez policję i prokuraturę i wniosek stał się jeszcze dłuższy. Podważał także decyzje sędziego Jonesa, a konkretnie to, że pozwolił przysięgłym wysłuchać „sennego” przyznania się do winy, że wielokrotnie dopuścił się pogwałcenia prawa Brady'ego i że nie zapewnił oskarżonemu sprawiedliwego procesu.

Nie miał wątpliwości, że znaczna większość jego klientów jest winna. On miał tylko sprawić, żeby sprawiedliwie przeprowadzono ich rozprawę apelacyjną. Ale sprawa Rona była inna. Im bardziej się w nią zagłębiał, im więcej zadawał pytań, tym większego nabierał przekonania, że może wygrać.

Ron chętnie z nim współpracował. Miał wyrobione poglądy i z ochotą się nimi dzielił. Często dzwonił i pisał do niego sążniste listy. Jego uwagi i komentarze bardzo się Lukerowi przydawały. Miał zadziwiającą pamięć do szczegółów, zwłaszcza do szczegółów historii swojej choroby.

Nieustannie rozводził się nad przyznaniem się do winy Ricky'ego Joe Simmonsa i uważał, że niedopuszczenie jego zeznań do procesu było parodią sprawiedliwości. Pisał do Lukera tak:

Drogi Billu

Myślę, że to Ricky Simmons zabił Debbie. Musiał, inaczej by się do tego nie przyznał. Przechodzę teraz fizyczne piekło. Uważam, że Simmons powinien zapłacić za to, co zrobił i że mnie powinni uwolnić, że tak byłoby sprawiedliwie. Nie chcą udostępnić Ci jego zeznań, bo wiedzą, że dołączyłbyś je do wniosku i od razu wygrał sprawę. Dlatego, na miłość boską, powiedz tym sukinsynom, żeby wreszcie Ci je dali. Twój przyjaciel Ron

**Mając** mnóstwo wolnego czasu, zaczął prowadzić intensywną korespondencję, zwłaszcza z siostrami. Annette i Renee wiedziały, jak ważne są dla niego listy, dlatego zawsze znajdowały czas, żeby odpisać. Najczęściej chodziło o pieniądze. Ron nie mógł jeść więziennego jedzenia i wołał kupować je w kantynie. Kiedyś napisał do Renee tak:

Renee

Wiem, że Annette przysłała mi pieniądze. Ale moja niedola ciągle się pogłębia. Jest tu Karl Fontenot, a on nic od nikogo nie dostaje. Mogłabyś przysłać mi coś ekstra, chociaż dziesięć dolarów? Serdecznie Cię pozdrawiam. Ronnie

Tuż przed Bożym Narodzeniem napisał do niej następujący list:

Renee

Hej, dzięki za pieniądze. Pójdą na konkretne cele. Głównie na struny do gitary i na kawę.

Dostałem w tym roku pięć kartek świątecznych, w tym jedną od Ciebie. Boże Narodzenie może jednak wzbudzić dobre uczucia. Renee, te dwadzieścia dolarów przysłałaś mi w dobrym momencie. Właśnie pożyczyłem pieniądze na struny do gitary i zamierzałem je zwrócić z pięćdziesięciu dolarów od Annette. Niewiele by mi zostało. Wiem, że pięćdziesiąt dolarów to dużo, ale dzielę się pieniędzmi z facetem, którego matki nie stać na taki wydatek. Raz przysłała mu dziesięć dolarów i były to pierwsze pieniądze, jakie dostał do września. Daję mu kawę, papierosy, i tak dalej. Jest naprawdę biedny.

Dzisiaj piątek, jutro prezenty. Mam nadzieję, że wszyscy dostaną to, czego potrzebują. Dzieci szybko rosną. Rozplączę się, jeśli nie wezmę się w garść. Powiedz wszystkim, że ich kocham. Ronnie

**Trudno** było sobie wyobrazić, że Boże Narodzenie może wzbudzać w Ronniem „dobre uczucia”. Potworna była już panująca w bloku nuda, ale brak kontaktu z rodziną doprowadzał go do tak bolesnej rozpacz, że z trudem nad sobą panował. Na początku wiosny 1989 roku zaczął się załamywać. Ciągły stres, nuda, frustracja wypływająca ze świadomości, że skazano go na piekło za zbrodnię, której nie popełnił, dobiła go i wreszcie pękł. Pociął sobie nadgarstki, chcąc popełnić samobójstwo. Był przygnębiony i chciał umrzeć. Rany były powierzchowne, lecz blizny pozostały. Robił to kilka razy i zaczęli go obserwować strażnicy. Ponieważ przecinanie skóry na nadgarstkach nie poskutkowało, podpalił materac i poparzył sobie ręce i nogi. Oparzenia opatrzone i w końcu się zagoiły. Parę razy trafiał na obserwację dla niedoszłych samobójców.



Dwunastego lipca 1989 roku napisał do Renee tak:

Kochana Renee

Bardzo cierpię. Poparzyłem się, mam oparzenia drugiego i trzeciego stopnia. Panuje tu potworny stres. Kiedy cierpienie staje się nie do zniesienia, nie mam dokąd iść, boli mnie głowa, waliłem nią w beton, upadłem na podłogę i waliłem w beton. Uderzyłem się w twarz tak mocno, że następnego dnia miałem sińce. Tłoczmy się tu jak szprotki w puszcze. Wiem na pewno, że większego cierpienia nigdy dotąd nie zaznałem. Problem ten może rozwiązać tylko magiczna sztuczka, jaką są pieniądze. Żeby raz na zawsze skończyć zjedzeniem tych wszystkich gówień. Tutejsze żarcie przypomina wojskowe racje żywnościowe na jakiejś zapomnianej przez Boga wyspie. Ludzie tu są biedni, a ja jestem tak głodny, że muszę żebrać o resztki. Schudłem. Tyle tu cierpienia. Proszę, pomóż mi. Ron

**W długim** napadzie depresji w ogóle przestał się odzywać i zupełnie odpłynął. Strażnicy znaleźli go zwiniętego w kłębek na pryczy. Na nic nie reagował.

Potem, dwudziestego dziewiątego września, ponownie próbował podciąć sobie żyły. Leki przyjmował bardzo sporadycznie, ciągle mówił o samobójstwie i w końcu uznano, że zagraża samemu sobie. Został przeniesiony do szpitala stanowego w Vinita. W izbie przyjęć powiedział: „Cierpię za niepopelnione krzywdy”, dodając, że jest to jego największa dolegliwość.

Najpierw zbadał go dr Lizarraga, który stwierdził, że ma przed sobą trzydziestosześcioletniego pacjenta, byłego alkoholika i narkomana, mężczyznę zaniedbanego, nieogolonego i nieostrzyżonego, że mężczyzna ten jest w sfatygowanych więziennych pasiakach, że na rękach i nogach ma ślady po oparzeniach i blizny na nadgarstkach. Pacjent dobrowolnie przyznał się do wielu występków, jednak uparcie zaprzeczał, że zabił Debbie Carter. Nie sprawiedliwość, jaką cierpiał z tego powodu, spowodowała, że stracił nadzieję i pragnął umrzeć.

Ron spędził w szpitalu trzy miesiące. Dobrano mu odpowiednie leki. Badali go różni lekarze, neurolog, psycholog i kilku psychiatrów. Wielokrotnie odnotowano, że jest rozchwiany emocjonalnie, podatny na frustrację i egocentryczny, że ma małe poczucie wartości własnej, że bywa wybuchowy i oderwany od rzeczywistości. Miał również częste i ekstremalne zmiany nastrojów.

Był trudnym pacjentem i z czasem stał się agresywny wobec personelu i innych chorych. Agresji nie można było tolerować, więc wypisano go i odesłano do bloku śmierci. Doktor Lizarraga przepisał mu lit, węglan, nawanę i cogentin, lek stosowany w leczeniu objawów choroby Parkinsona, który łagodzi roztrzęsienie wywołane przez silne środki uspokajające.

**Niejaki** Savage, strażnik z Wielkiego Domu, został brutalnie zaatakowany przez Mikella Patricka Smitha, więźnia z bloku śmierci, jednego z najbardziej niebezpiecznych zabójców w McAlester. Smith przymocował nóż, tak zwaną „kose”, do trzonka miody i pchnął nim Savage'a przez otwór na tacę, gdy ten podawał mu lunch. „Kosa” przebiła pierś i serce, jednak Savage cudem przeżył.

Dwa lata wcześniej Smith dźgnął nożem kolegę więźnia.

Do ataku doszło nie w bloku F, tylko w bloku D, gdzie Smith siedział za wykroczenia dyscyplinarne. Niemniej władze doszły do wniosku, że potrzebny jest nowy, supernowoczesny blok śmierci. Napaść tę szeroko rozreklamowano, co pomogło zebrać niezbędne fundusze.

I tak powstały plany bloku H, który od samego początku zaprojektowano w celu „zmaksymalizowania bezpieczeństwa i kontroli nad osadzonymi, przy jednoczesnym zapewnieniu więźniom i personelowi całkowicie bezpiecznego i nowoczesnego środowiska pracy i życia”. Blok miał być piętrowy i składać się z dwustu cel rozmieszczonych wokół czterech czworoboków.

Nad pracami projektowymi czuwali przedstawiciele personelu więziennego. Po ataku na Savage'a atmosfera była bardzo napięta, dlatego chciano, żeby ludzie ci mieli jak największy wkład w stworzenie bloku całkowicie „bezkontaktowego”. W pierwszej fazie projektowania z architektami z Tulsy, zaangażowanymi przez Stanowy Departament Więziennictwa, spotkało się trzydziestu pięciu pracowników Wielkiego Domu.

Chociaż z McAlester nikt nigdy nie uciekł, projektanci zaakceptowali niesamowity wręcz plan zbudowania bloku całkowicie pod ziemią.

**Po dwóch** latach w celi śmierci zdrowie psychiczne Rona uległo znacznemu pogorszeniu. Stał się jeszcze głośniejszy i bardziej hałaśliwy; krzyki, wrzaski, sypiące się o każdej porze nocy i dnia wyzwiska. Był też coraz bardziej zdesperowany. Potrafił wybuchnąć bez żadnego powodu, przeklinać i rzucać tym, co miał akurat pod ręką. Potrafił również pluć godzinami na wybiegu;

raz opluł strażnika. Ale kiedy zaczął rzucać przez kraty swoimi odchodami, uznano, że pora zabrać go do szpitala.

- Znowu rzuca gównem! - krzyknął strażnik i wszyscy dali nura za pryczę. Kiedy skończyła mu się amunicja, wywleczono go z celi i wysłano na badania.

W szpitalu leżał miesiąc, połowę lipca i sierpnia 1990 roku. Znowu badał do dr Lizarraga, który zdiagnozował te same zaburzenia co przedtem. Po trzech tygodniach Ron zaczął domagać się powrotu do bloku śmierci. Martwił się o swoją apelację i uważał, że dopilnuje jej lepiej w McAlester, gdzie miał dostęp do biblioteki prawniczej. Ponieważ przyjmował już odpowiednie leki i robił wrażenie stabilnego, tydzień później został wypisany.

## Rozdział 12

**Po trzynastu** latach frustracji Oklahoma zdołała w końcu przebrnąć przez proces apelacyjny i wyznaczyć datę pierwszej egzekucji. Straconym nie-szczęśnikiem był Charles Troy Coleman, biały, który zabił troje ludzi i spędził w bloku śmierci jedenaście lat. Był przywódcą małej frakcji, która sprawiała tam najwięcej kłopotów, dlatego wielu osadzonych nie zmartwiło się zbytnio, że Chuck dostanie wreszcie szprycę. Jednakże większość z nich zdawała sobie sprawę, że kiedy egzekucje się już zaczną, nie będzie odwrotu.

Egzekucja Colemana była wielkim wydarzeniem medialnym i przed Wielkim Domem zebrali się liczni przedstawiciele prasy. Odbywało się tam również czuwanie przy świecach, przeprowadzano wywiady z rodzinami ofiar, z demonstrantami, kaznodziejami, z każdym, kto tamtędy przechodził. Mijały godziny, narastało podniecenie.

Greg Wilhoit i Coleman byli przyjaciółmi, chociaż zażarcie sprzecali się o problem kary śmierci. Ron wciąż ją popierał, chociaż często się wahał. Nie lubił Colemana, który - nie było w tym nic dziwnego - nie lubił z kolei Rona za jego głośne tyrady i wrzaski.

W noc egzekucji w pilnie strzeżonym bloku śmierci panowała cisza. Cyrk był przed więzieniem, gdzie dziennikarze odliczali minuty jak przed nadejściem Nowego Roku. Greg siedział w celi i oglądał to wszystko w telewizji. Tuż po północy nadeszła wiadomość: Charles Troy Coleman nie żyje.

Kilku więźniów nagrodziło ją oklaskami i gwizdami; większość milczała. Niektórzy się modlili.

Greg zareagował zupełnie niespodziewanie. Nagle ogarnęło go wzruszenie i rozgoryczenie w stosunku do tych, którzy klaskali. Umarł jego przyjaciel. Świat przestał być bezpieczny. Jego śmierć nikogo nie odstraszy;

dobrze znał morderców i wiedział, co popycha ich do działania. Jeśli rodzina ofiary jest usatysfakcjonowana, daleko im do zamknięcia sprawy i pogodzenia się z losem. Greg wychował się u metodystów i codziennie czytał Biblię. Czyż Jezus nie uczył przebaczenia? Jeśli zabijanie jest złe, w takim razie dlaczego państwu wolno zabijać? Na czyje polecenie wykonano egzekucję? Pytanie te zastanawiały go już przedtem, ale teraz zaatakowały go z zupełnie innego powodu.

Śmierć Charlesa Colemana była dla niego dramatycznym objawieniem. Po egzekucji zmienił się o sto osiemdziesiąt stopni i już nigdy nie powrócił do poglądów z cyklu oko za oko.

Zdradził swe myśli Ronowi, który przyznał, że wiele z nich podziela. Ale już nazajutrz znowu był zagorzałym zwolennikiem kary śmierci i chciał, żeby wywlec Ricky'ego Simmonsa na ulice Ady i zastrzelić go na miejscu jak psa.

**Piętnastego** maja 1991 roku Oklahomski Sąd Karny Apelacyjny oczyścił z zarzutów oskarżycieli Rona Williamsona. Jednogłośnie zatwierdzając jego skazanie i wyrok. Sąd - w opinii sporządzonej przez sędziego Gary'ego Lumpkina - dopatrywał się co prawda kilku uchybień procesowych, jednak „przytłaczające dowody”, świadczące przeciwko skazanemu, były daleko istotniejsze niż drobne błędy popełnione przez Barneya, policjantów, Petersona i sędziego Jonesa. Sąd poświęcił mało czasu na wyjaśnienie, jakie to dowody były aż tak przytłaczające.

Złą wiadomość przekazał Bill Luker i Ron przyjął ją w miarę dobrze. Wiele razy z nim rozmawiał, znał treść wniosków i wiedział, że nie powinien żywić wielkich nadziei.

**Tego** samego dnia Dennis Fritz otrzymał z sądu podobną wiadomość. Sąd dopatrywał się w procesie kilku uchybień jednak przekonały go „przytłaczające dowody” oskarżenia.

Gregowi nie podobał się wniosek sporządzony i złożony przez adwokata apelacyjnego, dlatego nie był zaskoczony, że wyrok podtrzymano. Po trzech latach w więziennej bibliotece uważał, że zna prawo lepiej niż on.

Był rozczarowany, lecz się nie poddał. Podobnie jak Ron, miał swoje argumenty. Rezygnacja nie wchodziła w rachubę. Ale w przeciwieństwie do Rona, był zupełnie sam. Ponieważ siedział teraz w celi śmierci, nie przychodził mu adwokat dla ubogich.

**Jednakże** Sąd Karny Apelacyjny nie zawsze brał stronę oskarżenia. Ku uciesze Marka Barretta, 16 kwietnia 1991 roku nadeszła wiadomość, że Gregowi Wilhoitowi przyznano prawo do nowego procesu. Sąd stwierdził, że nie sposób jest zignorować fatalną obronę George'a Briggsa i orzekł, że oskarżony nie był odpowiednio reprezentowany.

Jeśli walczysz się o życie, wynajmij albo najlepszego, albo najgorszego adwokata w mieście. Greg niechętny wynajął najgorszego i czekał go teraz nowy proces.

Jeżeli osadzonego w bloku śmierci wyprasza się z celi i dokądś go zabiera, nigdy nie towarzyszą temu żadne wyjaśnienia. Strażnicy każą mu się po prostu ubrać, i to szybko.

Ale Greg wiedział, co jest grane i gdy klawisze stanęli przed drzwiami celi, nadszedł jego wielki dzień.

„Pakuj się”, rzucił jeden i Greg zaczął się pakować. W dwie minuty wrzucił do pudełka wszystkie swoje rzeczy i pod eskortą opuścił blok śmierci. Rona przeniesiono na drugi koniec wybiegu, dlatego nie mógł się z nim nawet pożegnać. Ale gdy wyjeżdżał z McAlester, był myślami z przyjacielem, którego zostawiał za kratami.

Gdy przywieziono go do aresztu hrabstwa Osage, Mark Barrett szybko zorganizował rozprawę, której celem było wyznaczenie kaucji. Ponieważ Grega skazano na karę śmierci i ponieważ nie ustalono jeszcze daty nowego procesu, Wilhoit był człowiekiem wolnym, lecz nie do końca. Jednakże zamiast astronomicznej, niemożliwej do zdobycia kwoty, sędzia wyznaczył kaucję w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów, którą rodzice Grega szybko zapłacili.

Po pięciu latach w więzieniu, w tym czterech w celi śmierci, Greg Wilhoit był wolny i już nigdy nie miał wrócić za kraty.

**Budowa** bloku H ruszyła w 1990 roku. Dosłownie wszystko było z betonu: podłogi, ściany, sufit, prycze, półki. Żeby osadzeni nie mogli zrobić „kosy”, z planów wyeliminowano metal. Było mnóstwo krat i trochę szkła, ale nie w celach. W celach wszystko było z betonu.

Kiedy ukończono budowę, blok przysypano ziemią. Oficjalnie z powodów lepszej wydajności energetycznej. Naturalne światło i wentylacja nie istniały.

Blok otwarto w listopadzie 1991 roku i kierownictwo więzienia uczciło to, wydając wielkie przyjęcie. Zaproszono grube ryby. Przecięto wstęgę. Więzienną orkiestrę zmuszono do odegrania kilku melodii. Oprawdzano

gości - przyszli lokatorzy przebywali jeszcze w Wielkim Domu, kilkaset metrów dalej. Goście mogli zapłacić za noc spędzoną w nowiuteńkiej, betonowej celi wedle własnego wyboru.

Żeby wykryć i naprawić ewentualne błędy, po przyjęciu osadzono tam kilkudziesięciu średnio niebezpiecznych więźniów. Strażnicy uważnie ich obserwowali, żeby sprawdzić, co mogą napsocić i jakie wyrządzić szkody. Gdy okazało się, że blok jest solidny, funkcjonalny i że nie można z niego uciec, ściągnięto tam niegrzecznych chłopców z bloku F.

I natychmiast rozpoczęły się skargi i narzekania. Nie było okien, nie było naturalnego światła, nie było świeżego powietrza. Były za to podwójne sufity i cele za małe dla dwóch osób. Betonowe prycze były za twarde i oddalone od siebie tylko o dziewięćdziesiąt centymetrów. Wciśnięto między nie muszlę klozetową i umywalkę z nierdzewnej stali, więc każde wypróżnienie było wydarzeniem publicznym. Układ cel uniemożliwiał codzienne pogawędki, odbierając więźniom siłę do życia. Blok zaprojektowano w taki sposób, żeby nie tylko trzymać strażników z dala od osadzonych, ale i żeby całkowicie odizolować osadzonych od samych siebie. Jedzenie było jeszcze gorsze niż w bloku F. Podwórze, miejsce dla więźniów wprost bezcenne, przypominało betonowe pudło o wiele mniejsze od kortu tenisowego. Jego ściany miały prawie pięć i pół metra wysokości, a przeszkloną kopułę przysypano grubym żwirem, który prawie nie przepuszczał światła. Nie było stamtąd widać ani źdźbła zielonej trawy.

Betonu ani nie uszczelniono, ani nie pomalowano. Wszędzie osiadał pył. Zbierał się w kątach cel. Przywierał do ścian, brudził podłogę, wisiał w powietrzu, no i oczywiście trafiał do płuc. Odwiedzający klientów adwokaci wychodzili stamtąd, kaszląc i chrypiąc.

Najnowocześniejszy system wentylacyjny był systemem „zamkniętym”, co oznaczało całkowity brak świeżego powietrza. Można to było jakoś znieść, lecz nie wtedy, gdy wysiadała elektryczność, co zdarzało się często, bo wciąż naprawiano błędy konstrukcyjne.

Leslie Delk, adwokatka prowadząca sprawę Rona Williamsona, pisała o tych problemach w liście do kolegi, który pozwał kierownictwo więzienia.

Sytuacja żywnościowa jest koszmarna i niemal wszyscy moi klienci stracili na wadze. Jeden z nich schudł czterdzieści jeden kilo w ciągu dziesięciu miesięcy. Zawiadomiłam władze, ale władze twierdzą oczywiście, że wszystko jest w porządku, i tak dalej. Byłam ostatnio w gabinecie lekarskim i dowiedziałam się przy okazji, że jedzenie jest przygotowywane w starym więzieniu. W bloku H rozwożą je chyba

przestępcy dotychczas niekarani, ci z programu odstraszenia. Powiedziano im, że mogą zatrzymać dla siebie wszystko to, co zostanie, dlatego porcje dla osadzonych z bloku śmierci są o połowę mniejsze. Wnoszę z tego, że Departament Więziennictwa nie wie, co i ile ludzie ci dostają i że pod tym względem nie ma tam jakiegokolwiek nadzoru. Wszyscy moi klienci skarżą się, że jedzenie jest zawsze zimne, że często po nim chorują i że porcje są tak małe, iż większość skazanych musi kupować żywność w kantine. To kantina więzienna, więc ceny są tam oczywiście dowolne. (Zazwyczaj o wiele wyższe niż w zwykłym sklepie spożywczym). Wielu moich klientów nie ma rodziny, która mogłaby ich wspierać, i jakoś muszą sobie radzić.

Dla więźniów blok H był prawdziwym szokiem. Przez dwa lata słyszeli plotki o nowym, supernowoczesnym gmachu za jedenaście milionów dolarów, więc byli wstrząśnięci, gdy przeniesiono ich do podziemnego lochu, gdzie mieli jeszcze mniej miejsca niż w bloku F i gdzie obowiązywały znacznie ostrzejsze obostrzenia.

Ron nienawidził bloku H. Siedział razem z Rickiem Rojemem, który miał na niego kojący wpływ, i który przebywał w bloku śmierci od 1985 roku. Był buddystą i godzinami medytował albo grał na gitarze. W tak ciasnej celi o prywatności mogli sobie tylko pomarzyć. Rozdzielili prycze kocem w nieudanej próbie ucieczki do własnego świata.

Rojem martwił się o kolegę. Ron stracił zainteresowanie czytaniem. Myślał i mówił tylko o jednym. Czasami brał jakieś lekarstwa, ale nie miało to nic wspólnego z prawdziwym leczeniem. Godzinami spał, a potem krążył po maleńkiej celi przez całą noc, niezrozumiale mamrocząc lub bredząc o swoich urojeniach. Stawał przy drzwiach i w udręce krzyczał. Ponieważ spędzali razem dwadzieścia trzy godziny na dobę, Rick widział, jak popada w obłęd i nie mógł mu pomóc.

W bloku H Ron schudł prawie czterdzieści jeden kilo. Posiwał i wyglądał jak upiór. Pewnego dnia Annette czekała na niego w sali widzeń, gdy wtem zobaczyła, jak strażnik prowadzi w jej stronę wymizerowanego, brodatego starca o długich, siwych włosach. Kto to jest? - pomyślała. Był to jej brat.

Później powiedziała: „Po tym, jak przyprowadzili mi tego potwornego, wychudzonego, długowłosego starca, którego nie poznałabym na ulicy, wróciłam do domu i napisałam do naczelnika list, żeby sprawdzili, czy Ron nie ma przypadkiem AIDS. Wyglądał jak szkielet, dlatego słysząc, co dzieje się w więzieniach, poprosiłam ich, żeby przebadali go na AIDS”.



Naczelnik odpisał, zapewniając, że Ron nie ma AIDS. Wtedy Annette napisała kolejny list ze skargą na więzienne jedzenie, na wysokie ceny w kantine i na to, że dochody z kantyny są przeznaczane na zakup sprzętu rekreacyjnego dla strażników.

**W roku** 1992 w McAlester zaczął pracować psychiatra nazwiskiem Ken Foster, który wkrótce spotkał się z Ronem Williamsonem. Stwierdził, że Ron jest zaniedbany, zdezorientowany, oderwany od rzeczywistości, wąty, osłabiony i wychudzony, że ma siwe włosy i jest w fatalnym stanie fizycznym. Było dla niego oczywiste — tak jak powinno być oczywiste dla naczelnika - że coś jest z nim nie tak.

Stan psychiczny Rona był jeszcze gorszy. Jego wybuchy były o wiele głośniejsze i agresywniejsze niż ataki szału innych więźniów, poza tym wszyscy w bloku H wiedzieli, że stracił kontakt z rzeczywistością. Dr Foster był świadkiem takich wybuchów i odnotował, że przewijają się w nich trzy tematy: 1) to, że Ron jest niewinny, 2) że Ricky Joe Simmons przyznał się do morderstwa i że powinno się go postawić przed sądem i 3) że Ron odczuwa silne bóle w piersi i boi się, że umrze.

Chociaż symptomy były oczywiste i ekstremalne, z dokumentów wynikało, że od długiego już czasu Ron nie leczy się psychiatrycznie. W przypadku kogoś tak chorego jak on brak leczenia powoduje nasilenie się symptomów psychotycznych.

Doktor Foster napisał:

Reakcja psychotyczna i towarzyszące jej pogorszenie stanu zdrowia nasilają się, gdy pacjent podlega licznym stresom, jakie wywołuje pobyt w bloku śmierci i świadomość, że jest się przeznaczonym na stracenie. Według skali GAF z najbardziej miarodajnych podręczników zdrowia psychicznego, uwięzienie jest „katastrofalnym” czynnikiem stresującym.

Trudno się było nawet domyślać, o ile większą katastrofą jest pobyt w więzieniu dla człowieka niewinnego.

Dr Foster uznał, że Ron wymaga lepszego leczenia i pobytu w przyjaźniejszym środowisku. Wiedział, że już nigdy nie wyzdrowieje, ale wiedział również, że poprawa stanu zdrowia jest możliwa nawet u osadzonego w celi śmierci. Miał się jednak wkrótce przekonać, że leczenie skazanych jest w więzieniu sprawą trzeciorzędą.

- Rozmawiał z Jamesem Saffle'em, regionalnym dyrektorem Departamentu Więziennictwa, i z Danem Reynoldsem, naczelnikiem więzienia

w McAlester. Obydwaj znali sprawę Rona Williamsona i obydwaj mieli na głowie ważniejsze problemy.

Ale dr Foster okazał się człowiekiem upartym i niezależnym, który nie toleruje biurokratycznych decyzji i naprawdę chce pomóc pacjentowi. Zasympywał Saffle'a i Reynoldsa raportami, żeby dogłębnie poznali szczegóły zdrowia psychicznego i fizycznego Rona Williamsona. Nalegał na cotygodniowe spotkania z tym ostatnim i omawiał na nich stan swoich pacjentów, zawsze wspominając o Ronie. Codziennie rozmawiał z zastępcą naczelnika, na bieżąco zapoznawał go z sytuacją i pilnował, żeby jego monity trafiły wyżej.

Wielokrotnie tłumaczył władzom, że Ron nie dostaje odpowiednich leków, że ze względu na brak właściwego leczenia szybko podupada na zdrowiu fizycznym i psychicznym. Do wściekłości doprowadzał go fakt, że nie chcą przenieść go na OSOM, oddział specjalnej opieki medycznej, do budynku widocznego z bloku H.

Osadzonych z poważnymi problemami psychicznymi przenoszono tam rutynowo, ponieważ OSOM był jedynym tego rodzaju ośrodkiem w McAlester. Jednakże Departament Więziennictwa już od dawna uprawiał politykę, która zabraniała tam wstępu osadzonym z bloku śmierci. Oficjalne powody były niejasne, jednak wielu adwokatów podejrzewało, że celem tejże polityki jest przyspieszenie egzekucji. Gdyby ciężko chorego więźnia dokładnie przebadano, mogłoby się okazać, że ze względu na stan zdrowia nie można go stracić i wyprawa do komory śmierci uległaby opóźnieniu.

Wielokrotnie próbowano to zmienić. Bezskutecznie.

Ken Foster spróbował jeszcze raz. Nieustannie tłumaczył Saffle'owi i Reynoldsowi, że nie będzie w stanie leczyć Rona Williamsona, dopóki nie przeniosą go na OSOM, gdzie istnieje możliwość monitorowania jego stanu zdrowia i dobrania skutecznej terapii. Jego wyjaśnienia były często ostre, uszczypliwe i emocjonalne. Jednakże Dan Reynolds też okazał się uparty i nie widział żadnej potrzeby, żeby gdziekolwiek Rona przenieść.

„Tymi z bloku śmierci niech się pan nie przejmuje - mówił. - Oni i tak umrą”.

Prośby doktora Fostera były tak natrętne, że Reynolds odebrał mu w końcu prawo wstępu do więzienia.

Po pewnym czasie Foster je odzyskał i natychmiast wznowił wysiłki w celu przeniesienia Rona na oddział specjalnej opieki medycznej. Wysiłki te trwały cztery lata.

**Po apelacji** bezpośrednio sprawa Rona wkroczyła w fazę „ujawnienia dowodowego po skazaniu”, w której można było przedstawić dowody nieprzedstawione na procesie.

Zgodnie z ówczesną praktyką, Bill Luker przesłał jego akta Leslie Delk z Biura Obrońcy Publicznego. Pierwszym zadaniem Leslie było załatwienie opieki lekarskiej dla nowego klienta. Widziała Rona w bloku F i wiedziała, że jest bardzo chory. Po tym, gdy przeniesiono go do bloku H, jego szybko pogarszający się stan zaniepokoił ją jeszcze bardziej.

Chociaż nie była psychiatrą ani psychologiem, przeszła intensywne przeszkolenie w wykrywaniu i rozpoznawaniu chorób psychicznych i jako adwokatka musiała zapewnić klientom odpowiednie leczenie. Polegała na opinii fachowców, jednak w przypadku Rona było to trudne, ponieważ nikt nie mógł go zbadać. W bloku H obowiązywał całkowity zakaz kontaktu fizycznego, dlatego więzień nie mógł przebywać z nikim sam na sam, nawet z adwokatem. Chcąc ocenić jego stan psychiczny, psychiatra musiał robić to przez grubą szybę i przez telefon.

Zgodnie z procedurą stosowaną po skazaniu, Leslie poprosiła, żeby zbadała go dr Pat Fleming. Dr Fleming próbowała trzykrotnie, lecz nie zdołała. Pacjent był rozdrażniony, odmawiał współpracy, miał urojenia i halucynacje. Personel bloku H poinformował ją, że takie zachowanie nie jest tam niczym niezwykłym. Było oczywiste, że Williamson jest bardzo rozchwiany psychicznie i nie może normalnie funkcjonować. Dr Fleming miała bardzo ograniczone możliwości pracy, ponieważ nie pozwolono jej na poufną rozmowę z pacjentem, podczas której - siedząc w tym samym pomieszczeniu co on — mogłaby zadawać mu pytania, obserwować go i przeprowadzić niezbędne testy.

Spotkała się z lekarzem więziennym z bloku H i przedstawiła mu swoje zastrzeżenia. Później zapewniono ją, że Ronem zajęli się psychiatrzy, lecz nie dostrzegła u niego żadnej poprawy. Stanowczo zasugerowała przeniesienie pacjenta do szpitala cywilnego, żeby ustabilizować go i zbadać.

Sugestię odrzucono.

Tymczasem Leslie Delk wciąż atakowała kierownictwo i personel więzienia w McAlester. Spotykała się z lekarzami, z naczelnikiem i jego zastępcami, zasypując ich skargami i żądaniem lepszego leczenia. Składano jej obietnice i szybko o nich zapominano. Coś tam niby robiono - zmieniono Ronowi zestaw leków - jednak uparcie odmawiano skierowania go na poważną kurację. Leslie udokumentowała swoją frustrację serią listów do władz. Odwiedzała Rona, kiedy tylko mogła i gdy była już pewna, że jego

stan nie może się bardziej pogorszyć, stan ów się pogorszył. Bała się, że Ron może w każdej chwili umrzeć.

**Podczas** gdy personel medyczny walczył o leczenie dla Rona, personel więzienny umiłał sobie czas jego kosztem. Niektórzy strażnicy lubili bawić się nowym interkomem w bloku H. W każdej celi znajdował się dwu-drożny głośnik, kolejny zmyślny gadżet, który miał zapobiec bezpośrednim kontaktom strażników z osadzonymi.

Nie zapobiegał jednak kontaktom pośrednim.

W środku nocy w celi Rona dudnił złowieszczy głos:

„Ron, tu mówi Bóg. Dlaczego zabiłeś Debbie Carter?”

Chwila ciszy i strażnicy mogli się pośmiać, bo Ron stawał przy drzwiach i wrzeszczał:

„Ja nikogo nie zabiłem! Jestem niewinny!”

Jego głęboki, chrapliwy głos rozbrzmiewał echem w całym południowo-zachodnim skrzydle bloku, burząc nocną ciszę. Napad trwał zwykle godzinę. Denerwował więźniów, za to niezmiernie bawił strażników.

Gdy zapadała cisza, głos oczywiście powracał:

„Ron, mówi Debbie Carter. Dlaczego mnie zabiłeś?”

Pełen udręki krzyk rozbrzmiewał ponownie.

„Ron, mówi Charlie Carter. Dlaczego zabiłeś moją córkę?”

Osadzeni prosili strażników, żeby ci przestali, ale oni za dobrze się bawili. Zdaniem Ricka Rojema, w dręczeniu Rona przodowało zwłaszcza dwóch - największych sadystów w bloku. Znęcali się nad Ronem miesiącami.

- Olej ich - mówił koledze Rick. - Jak ich olejesz, dadzą ci spokój.

Ron nie mógł tego zrozumieć. Chciał przekonać wszystkich o swej niewinności i uważał, że głośny krzyk jest świetnym na to sposobem. Bywało, że zbyt wycieńczony fizycznie, by krzyczeć dalej, stawał tuż przed głośnikiem i godzinami szeptał coś niezrozumiałego.

Leslie Delk dowiedziała się w końcu o tych praktykach i dwunastego października 1992 kierownik bloku otrzymał od niej list, w którym pisała między innymi tak:

Jak już wspomniałam, z wielu różnych źródeł dochodzą mnie słuchy, że niektórzy strażnicy dręczą Rona Williamsona przez interkom; ludzie ci najwyraźniej uważają, że podpuszczanie „wariatów” jest zabawne. Problem ten jest wciąż aktualny, ponieważ ostatnio dowiedziałam się, że strażnik Martin dręczył go przez drzwi celi (według moich

informatatorów, tematem tych zaczepek i prowokacji są zwykle Debra Sue Carter i Ricky Joe Simmons). Z tego, co zrozumiałam, Martina powstrzymał strażnik Reading, jednak dopiero po wielu próbach. Nazwisko Martina słyszałam z wielu różnych źródeł jako tego, który dręczy Williamsona przy każdej okazji, dlatego bardzo proszę, żeby zbadał Pan tę sprawę i podjął stosowne kroki. Może dobrze by było zorganizować szkolenie dla strażników, którzy mają kontakt z więźniami chorymi psychicznie.

Ale nie wszyscy strażnicy byli okrutni. Pewnej nocy przed drzwiami celi Rona przystanąła strażniczka. Ron wyglądał strasznie, powiedział, że jest głodny, że nie jadł od wielu dni. Strażniczka uwierzyła mu. Odeszła i po kilka minut wróciła ze słoikiem masła orzechowego i bochenkiem czerstwego chleba.

W liście do Renee Ron napisał, że miał prawdziwą „uczotę” i że zjadł wszystko do ostatniej okruszynki.

**Kim Marks** była śledczą z Oklahomskiego Biura obrońcy dla Ubogich, która — jak się miało okazać - spędziła z Ronem więcej czasu niż ktokolwiek inny. Gdy dostała jego sprawę, natychmiast przejrzała stenogramy procesowe, raporty i dowody rzeczowe. Była kiedyś reporterką i zawodowa ciekawość doprowadziła w końcu do tego, że Kim zaczęła co najmniej kwestionować jego winę.

Zrobiła listę potencjalnych podejrzanych, w sumie dwunastu, w tym wielu z przeszłością kryminalną. Numerem jeden był Glen Gore, z oczywistych powodów. W noc morderstwa był z Debbie Carter. Znali się od lat, dzięki czemu mógł wejść do jej mieszkania bez użycia siły. Wielokrotnie był notowany za przemoc w stosunku do kobiet. Wskazał na Rona jako na głównego podejrzanego.

Dlaczego policja tak mało się nim interesowała? Im bardziej Kim zagłębiała się w policyjne raporty i w przebieg samego procesu, tym bardziej była przekonana, że protesty Rona są jak najbardziej uzasadnione.

Wiele razy odwiedzała go w bloku H i podobnie jak Leslie Delk, widziała, jak puszczają mu nerwy. Na każdą wizytę szła z ciekawością i lękiem. Nigdy dotąd nie widziała, żeby więzień starzał się tak szybko jak on. Na każdej następnej wizycie jego kasztanowe włosy były bardziej siwe, a przecież nie skończył jeszcze czterdziestu lat. Ponieważ do cel nie dochodziło

słońce, był chudy i przezroczysty jak duch. Chodził w brudnym i źle dopasowanym pasiaku. Oczy miał zapadnięte i niespokojne.

Jej najważniejszym zadaniem było ustalenie, czy klient ma problemy ze zdrowiem psychicznym, a potem nie tylko zapewnienie mu odpowiedniego leczenia, ale i znalezienie biegłych. Tak jak dla każdego laika, było dla niej zupełnie oczywiste, że Ron jest psychicznie chory i bardzo cierpi. Już na samym początku nadziała się na mur polityki Departamentu Więziennictwa, która zabraniała leczyć skazanych na śmierć na oddziale specjalnej opieki medycznej. Podobnie jak dr Foster, Kim miała toczyć swoją bitwę przez wiele lat.

Znalazła i obejrzała taśmę z nagraniem drugiego badania Rona na poligrafie. Badanie to przeprowadzono w 1983 roku i chociaż już wtedy zdiagnozowano u niego silną depresję dwubiegunową i schizofrenię, był koherentny, komunikatywny, opanowany i robił wrażenie człowieka zupełnie normalnego. Jednakże dziewięć lat później po normalności tej nie pozostał najmniejszy ślad. Ron zupełnie stracił kontakt z rzeczywistością, miał urojenia i obsesję na punkcie Ricky'ego Joe Simmonsa, religii, kłamliwych świadków procesowych, braku pieniędzy, Debbie Carter, prawa, muzyki, procesu o gigantyczne odszkodowanie, jaki zamierzał wytoczyć kiedyś Oklahomie, swojej kariery baseballowej, złego traktowania i niesprawiedliwości, jaką cierpiał.

Kim rozmawiała z personelem i wiedziała, że Ron potrafi krzyczeć przez cały dzień i wkrótce sama była tego świadkiem. Ze względu na specyficzny rozkład pomieszczeń w bloku H, przez toaletę dla kobiet biegł szyb wentylacyjny, przez który słychać było odgłosy z południowo-zachodniego skrzydła, gdzie go osadzono. Będąc w toalecie, wstrząśnięta Kim słyszała jego obłąkane wycie.

Bardzo ją to poruszyło, dlatego wraz z Leslie Delk jeszcze mocniej zaatakowała władze, domagając się skuteczniejszego leczenia. Chciały, żeby zrobiono dla niego wyjątek i przeniesiono go na OSOM. Próbowaty załatwić mu badania w szpitalu.

Nadaremnie.

**W ramach** postępowania po skazaniu, w czerwcu 1992 roku Leslie Delk złożyła wniosek w celu ustalenia, czy Ron Williamson jest zdolny do czynności prawnych. Bill Peterson zgłosił sprzeciw i sąd hrabstwa Pontotoc wniosek oddalił.

Leslie natychmiast odwołała się do Oklahomskiego Sądu Karnego Apelacyjnego, który decyzję podtrzymał.

W lipcu Leslie złożyła obszernie podanie z prośbą o możliwość ujawnienia dowodów po skazaniu. Prośbę motywowała głównie tym, że żaden sąd nie uwzględnił jak dotąd obszernej dokumentacji medycznej Rona i nie ustosunkował się do jego poczytalności. Dwa miesiące później podanie zostało odrzucone i Leslie ponownie odwołała się do Oklahomskiego Sądu Karnego Apelacyjnego.

Znowu przegrała, co przyjęła bez większego zaskoczenia. Kolejnym krokiem było rutynowe i nierokujące nadziei odwołanie się do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Rok później Sąd Najwyższy apelację odrzucił. Poczyniono inne rutynowe starania, otrzymano szereg rutynowych odmów i gdy wyczerpano wszystkie możliwości, dwudziestego szóstego sierpnia 1994 roku Oklahomski Sąd Karny Apelacyjny wyznaczył datę egzekucji Rona Williamsona: dwudziestego siódmego września 1994 roku.

Ron przebywał w bloku śmierci sześć lat i cztery miesiące.

**Po dwóch** latach na wolności Grega Wilhoita ponownie zaciągnięto do sądu, gdzie znów postawiono mu zarzut zamordowania żony.

Po wyjeździe z McAlester Greg zamieszkał w Tulsie i spróbował powrócić do w miarę normalnego życia. Nie było mu łatwo. Miał mnóstwo emocjonalnych i psychicznych blizn. Jego córki - jedna miała już osiem, a druga dziewięć lat - wychowywały się w rodzinie nauczycieli, przyjaciół z kościoła, i wiodły dobre, unormowane życie. Jak zawsze wspierali go rodzice i siostry.

Jego sprawa zwróciła uwagę opinii publicznej. George Briggs, jego adwokat, litościwie odszedł z tego świata, ale tuż przedtem odebrano mu prawo do uprawiania zawodu. Z Gregiem skontaktowało się kilku znanych karnistów, którzy chcieli go reprezentować. Prawnicy Igna do kamer jak pszczoły do miodu i Grega bardzo to bawiło.

Ale wybór był łatwy. Z więzienia wyciągnął go Mark Barrett, najlepszy kumpel, i Greg był pewien, że teraz wywalczy dla niego wolność.

Najbardziej obciążającym dowodem, przedstawionym na pierwszym procesie przez oskarżenie, było zeznanie dwóch specjalistów od śladów po ugryzieniach. Obydwaj potwierdzili, że znak na piersi Kathy Wilhoit pozostawił żyjący z nią w separacji mąż. Rodzina Grega skontaktowała się z wybitnym ekspertem w tej dziedzinie, dr Thomasem Kraussem z Kansas. Dr Krauss był zdumiony różnicami między odciskiem zębów Grega i znakami na piersi ofiary. Radykalnie się różniły.

Mark Barrett wysłał znak z piersi Kathy do jedenastu uznanych ekspertów z całego kraju, z których wielu zeznawało w sądzie jako świadkowie

oskarżenia. Byli wśród nich najlepsi specjaliści z FBI oraz biegły, który zeznał w procesie Teda Bundy'ego. Ich opinia była jednomyślna: cała dwunastka uznała, że Grega Wilhoita należy wykluczyć z kręgu podejrzanych. Odcisk jego zębów i znaki na piersi ofiary nie miały ze sobą nic wspólnego.

Na przesłuchaniu dowodowym ekspert obrony przedstawił dwadzieścia zasadniczych różnic między zębami oskarżonego i śladami na ciele Kathy, podkreślając, że każda z nich definitywnie eliminuje Grega jako podejrzanego.

Mimo to, oskarżenie nie ustępowało, domagając się procesu, który szybko zmienił się w farsę. Mark Barrett skutecznie obalił zeznania biegłych strony przeciwnej, a potem podważył wiarygodność ich specjalisty od DNA.

Następnie, gdy tylko przyszła jego kolej, złożył stanowczy, bardzo przekonujący wniosek o oddalenie wszystkich zarzutów i o całkowite uniewinnienie Grega Wilhoita. Sędzia zarządził przerwę i poszli razem na lunch. Gdy wrócili, i gdy po powrocie przysięgłych w sali zapanował wreszcie spokój, sędzia - nader rzadka to decyzja - oznajmił, że przyjmuje wniosek. Sprawa została oddalona.

- Panie Wilhoit - powiedział. - Jest pan teraz wolnym człowiekiem.

Po całonocnym świętowaniu z rodziną i przyjaciółmi Greg pojechał szybko na lotnisko i poleciał do Kalifornii. Poprzysiął sobie, że jeśli w ogóle wróci kiedyś do Oklahomy, to tylko po to, żeby odwiedzić rodzinę lub walczyć o zniesienie kary śmierci. Po ośmiu latach od zabójstwa żony był nareszcie wolny.

Ścigając nie tego podejrzanego, co trzeba, policja i prokuratura dopuściła do tego, że trop prawdziwego mordercy uległ zatarciu. Jak dotąd go nie odnaleziono.

**Nowa** komora śmierci w bloku H działała znakomicie. Dziesiątego marca 1992 roku stracono w niej Robyna Leroya Parksa, czterdziestotrzyletniego Murzyna skazanego za morderstwo sprzedawcy ze stacji benzynowej w 1978 roku. W bloku śmierci przesiedział trzynaście lat.

Trzy dni później stracono Olana Randle'a Robinsona, czterdziesto-sześćoletniego białego skazanego za morderstwo dwojga właścicieli wiejskiego domu, do którego włamał się w 1980 roku.

Ron Williamson miał być trzecim osadzonym, którego zamierzano unieruchomić na wózku, żeby dać mu możliwość wygłoszenia ostatniego słowa.



**Trzydziestego** sierpnia 1994 roku w drzwiach celi Rona stanęło pięciu groźnie nachmurzonych strażników. Skuli mu ręce i nogi, założyli mu łańcuchy. Zanosiło się na coś poważnego.

Ron był jak zwykle brudny, nieogolony i impulsywny, więc trzymali się od niego z daleka. Jednym z nich był sadysta Martin.

Wprowadzono go z bloku, wsadzono do furgonetki, zawieziono do pobliskiego budynku administracyjnego i pod eskortą wprowadzono do gabinetu naczelnika, pokoju z długim stołem konferencyjnym, gdzie tłum ludzi wyraźnie czekał na coś dramatycznego. Wciąż w kajdanach i pod silną strażą Ron usiadł na końcu stołu. Na drugim końcu siedział naczelnik, który rozpoczął spotkanie od przedstawienia go ponurym członkom personelu więziennego.

- Bardzo mi miło, to dla mnie wielka przyjemność.

Następnie wręczono mu „zawiadomienie”. Naczelnik zaczął czytać je na głos.

Skazano pana na śmierć i zostanie pan stracony we wtorek dwudziestego siódmego września 1994 roku o godzinie 12.01. Celem tego spotkania jest poinformowanie pana o zasadach i procedurach, które będą obowiązywały przez następne trzydzieści dni, i omówienie przywilejów, które mogą zostać panu przyznane.

Ron zdenerwował się i oświadczył, że nikogo nie zabił. Może i zrobił w życiu kilka złych rzeczy, ale na pewno nikogo nie zamordował.

Naczelnik czytał dalej, a on wciąż powtarzał swoje.

Naczelnik przerwał i wraz z kierownikiem bloku H porozmawiał z nim przez chwilę, żeby go uspokoić. Nie są tu po to, żeby go sądzić, powiedział, tylko po to, żeby zapoznać go z przepisami.

Ale Ron miał kasetę z nagraniem zeznania Ricky'ego Simmonsa i chciał ją im pokazać. Ponownie zaprzeczył, że zabił Debbie Carter i zaczął mówić coś o tym, że wystąpi w telewizji w Adzie, żeby przekonać wszystkich o swej niewinności; wspomniał również, że jego siostra chodzi tam do college'u.

Naczelnik kontynuował:

Rano w dniu egzekucji zostanie pan przeniesiony do specjalnej celi, gdzie pozostanie pan aż do końca. W celi tej będzie pan pod nieustanną obserwacją strażników.

Ron ponownie mu przerwał, krzycząc, że nie zabił Debbie Carter.

Naczelnik parł dalej, odczytując mu przepisy dotyczące odwiedzin, rzeczy osobistych i pogrzebu. Ron wyłączył się i zamknął w sobie.

- Co mamy zrobić z ciałem?

Targany emocjami i zdezorientowany Ron nie był przygotowany na takie pytanie. W końcu zdołał wykrztusić, że chce, by odesłano go siostrze.

Ponieważ twierdził, że wszystko zrozumiał i nie miał żadnych pytań, odprowadzono go z powrotem do celi. Rozpoczęło się odliczanie.

**Zapomniał** zadzwonić do sióstr. Dwa dni później Annette przeglądała pocztę i zobaczyła list z Departamentu Więziennictwa w McAlester. W liście naczelnik napisał:

Z głębokim współczuciem pragnę poinformować Panią, że Pani brat, Ronald Keith Williamson, nr 134846, zostanie stracony we wtorek dwudziestego siódmego września 1994 roku o godz. 12.01 w oklahomskim więzieniu stanowym. W ciągu ostatniej doby widzenia będą zarezerwowane wyłącznie dla duchownego, występującego w sprawie adwokata oraz dwóch gości zatwierdzonych przez naczelnika więzienia. Chociaż to bardzo trudne, trzeba poczynić również przygotowania do pogrzebu i przygotowania te są obowiązkiem rodziny. Jeśli rodzina go nie wypełni, pochówkiem zajmą się władze stanowe. Proszę powiadomić nas o swojej decyzji w tej kwestii. Z poważaniem Ken Klinger

Annette zatelefonowała do Renee i przekazała jej tę straszną wiadomość. Obydwie były zrozpaczone i ze wszystkich sił próbowały wmówić sobie, że to nieprawda. Podczas kilku następnych rozmów ustaliły, że nie sprowadzą zwłok Rona do Ady. Nie chciały wystawiać ich na widok publiczny w domu pogrzebowym Criswella, żeby gapiło się na nie całe miasto. Postanowiły, że zorganizują skromny, prywatny pogrzeb w McAlester, tylko dla rodziny i kilku najbliższych przyjaciół.

Władze powiadomiły je, że mają prawo być na egzekucji. Renee odmówiła; po prostu by tego nie zniosła. Annette chciała być z bratem do samego końca.

Wiadomość obiegła całą Adę. Peggy Stillwell oglądała właśnie lokalną telewizję, gdy usłyszała komunikat, że ustalono datę egzekucji Rona

Williamsona. Choć była to dobra nowina, Peggy wpadła w złość, bo nikt jej o tym nie poinformował. Obiecano jej, że będzie mogła być na egzekucji i bardzo tego chciała. Cóż, może zadzwonią do niej za kilka dni.

Annette zamknęła się w sobie i próbowała nie przyjmować egzekucji do wiadomości. Coraz rzadziej jeździła do McAlester, jej wizyty trwały coraz krócej. Ronnie był obłąkany i albo na nią krzyczał, albo udawał, że jej tam nie ma. Kilka razy wyszła po niecałych pięciu minutach.

## Rozdział 13

Gdy sprawa Rona dobiegła końca i wyznaczono datę egzekucji, jego adwokaci przenieśli się do sądu federalnego na kolejną rundę apelacji. Procedury te znane są pod mianem habeas corpus, co po łacinie znaczy: „żebyś miał ciało”. Innymi słowy, jest to sądowy nakaz obrony nietykalności osobistej przed bezprawnym aresztowaniem i skazaniem. Skazany musi stanąć przed sądem, żeby ten ustalił legalność jego zatrzymania, skazania, uwięzienia i - ewentualnie - stracenia.

Sprawa Rona trafiła do Janet Chesley, adwokatki z Biura obrońcy dla Ubogich w Norman. Janet miała rozległe doświadczenie w apelacjach habeas corpus i przywykła do gorączkowego pośpiechu, jaki towarzyszył składanym w ostatniej chwili wnioskom, oraz do nieustannego spoglądania na odmierzający minuty zegar. Spotkała się z Ronem, wyjaśniła mu, na czym to wszystko polega i zapewniła go, że egzekucja zostanie odroczone. W jej pracy tego rodzaju rozmowy nie były niczym niezwykłym i klienci, choć - co zrozumiałe - bardzo roztrzęsieni, zwykle jej ufali. Wyznaczenie daty to poważna sprawa, ale jak dotąd nikogo jeszcze nie stracono przed wyzerpaniem wszystkich procedur habeas corpus.

Sprawa Rona była jednak zupełnie inna. Świadomość, że umrze tego i tego dnia, o tej i o tej godzinie jeszcze bardziej pogłębiła jego obłęd. Liczył dni; nie był w stanie uwierzyć w jej zapewnienia. Zegar stanął. Komora śmierci czekała.

Minął tydzień, potem drugi. Ron dużo się modlił i czytał Biblię. Dużo też spał i przestał krzyczeć. Dostawał tyle środków uspokajających, ile chciał. W bloku śmierci panowała cisza. Blok czekał. Więźniowie uważnie wszystko obserwowali, zastanawiając się, czy władze naprawdę stracą kogoś tak obłąkanego jak Ron Williamson.

Minęły trzy tygodnie.

**Oklahomski** Sąd Apelacyjny Okręgu Wschodniego mieści się w Muskogee. W 1994 sędzili tam dwaj sędziowie, z których żaden nie lubił apelacji habeas corpus ani procesów wytaczanych zakładom karnym. Obydwaj byli nimi zawaleni. Każdy osadzony miał jakąś zadrę czy skargę; większość twierdziła, że są niewinni i że źle się ich traktuje. Ci z bloku śmierci mieli dobrych obrońców, w tym pracujących gratis adwokatów ze znanych kancelarii prawniczych, dlatego wnioski apelacyjne były grube, pomysłowe i każdy sędzia musiał się z nimi liczyć. Szerokie rzesze zwykłych więźniów reprezentowali zazwyczaj oni sami, korzystając z rad fachmanów od sporządzania wniosków, którzy królowali w więziennych bibliotekach i doradzali za papierosy. Jeśli osadzeni nie składali apelacji habeas corpus, pozywali zakład karny za złe jedzenie, zimną wodę w prysznicach, wrednych strażników, zbyt ciasne kajdanki czy za brak słońca w celi. Lista była długa.

Większość pozwów była bezzasadna. Z miejsca je odrzucano i przekazywano Dziesiątemu Okręgowemu Sądowi Apelacyjnemu w Denver, głównej siedzibie rozległego okręgu federalnego, obejmującego również Oklahomę.

Sporządzony przez Janet Chesley wniosek habeas corpus trafił przypadkiem do Franka Seaya, sędziego powołanego w 1979 roku przez prezydenta Jimmy'ego Cartera. Seay pochodził z hrabstwa Seminole i zanim przeszedł do sądu federalnego, przez jedenaście lat był sędzią orzekającym w dwudziestym drugim okręgu, do którego należało hrabstwo Pontotoc. Znał tamtejszy sąd, znał miasto i pracujących tam adwokatów.

W maju 1971 roku przyjechał do Asher, żeby wygłosić przemówienie na uroczystości zakończenia roku w tamtejszej szkole. Jednym z absolwentów był wtedy Ron Williamson.

Po piętnastu latach sędziowania Seay stracił cierpliwość do apelacji habeas corpus, które do niego trafiały. Wniosek Williamsona wylądował na jego biurku we wrześniu 1994 roku, kilka dni przed egzekucją. Seay podejrzewał - w rzeczy samej był tego pewien - że adwokaci prowadzący sprawy skazanych na śmierć czekają do ostatniej chwili, żeby sędziowie musieli wstrzymać egzekucję do czasu, aż urzędnicy uporają się z papierkową robotą. Często zastanawiał się, przez co przechodzi biedny skazaniec, licząc godziny w celi śmierci, podczas gdy jego adwokat wdaje się w brawurową potyczkę z sędzią federalnym.

Ale na tym polegała ich praca i Seay dobrze to rozumiał. Rozumiał, mimo to bardzo tego nie lubił. Owszem, wstrzymał kilka egzekucji, jednak nigdy nie zezwolił na nowy proces w ramach habeas corpus.

Jak zwykle w takich przypadkach, wniosek Williamsona trafił najpierw do Jima Payne'a, urzędnika administracyjno-sądowego. Payne uchodził za konserwatystę i też nie lubił habeas corpus, jednak powszechnie szanowano go za głęboką uczciwość. Przez wiele lat przekopywał się przez wnioski w poszukiwaniu zasadnych skarg, które - choć rzadkie - występowały na tyle często, żeby uatrakcyjnić lekturę.

Payne wiedział, że jego praca ma kluczowe znaczenie. Gdyby przegapił coś pogrzebanego w opasłych wnioskach i stenogramach, stracono by niewinnego człowieka.

Wniosek Janet Chesley był napisany tak dobrze, że przykuł jego uwagę już od pierwszego akapitu, a po przeczytaniu ostatniego nabrał poważnych wątpliwości co do uczciwego przebiegu procesu Rona Williamsona. Argumenty Janet skupiały się wokół sprawy nieudolnej obrony, niezdolności skazanego do czynności prawnych i niewiarygodności dowodów rzeczowych w postaci włosów.

Payne przeczytał wniosek jeszcze raz, nocą i w domu, i gdy wrócił rano do pracy, poszedł do sędziego Seaya i zasugerował zawieszenie wykonania wyroku. Seay miał szacunek dla swojego podwładnego i po długiej dyskusji zgodził się z jego sugestią.

Ron, który przez dwadzieścia trzy dni patrzył na zegarek i gorączkowo się modlił, został poinformowany, że egzekucję bezterminowo odroczone. Dosłownie otarł się o śmierć, bo jeszcze pięć dni i dostałby szprycę.

**Jim Payne** udostępnił wniosek urzędnicze Gail Seward, która przeczytała go i zgodziła się, że sprawa wymaga głębokiej rewizji. Wtedy Payne przekazał materiały nowicjuszcze, urzędnicze sądowno-administracyjnej Vicky Hildebrand, której - ze względu na brak stażu pracy - przyznano nieoficjalny tytuł „specjalistki od kary śmierci”. Przed ukończeniem studiów prawniczych Vicky była pracownicą socjalną i szybko stała się „czułym serduszkim” w umiarkowanie konserwatywnym biurze sędziego Seaya.

Sprawa Rona Williamsona miała być jej pierwszą apelacją habeas corpus, odwołaniem od wyroku śmierci, i gdy zaczęła czytać wniosek, natychmiast urzekł ją pierwszy akapit.

Jest to dziwna sprawa o śnie, który dla Ronalda Keitha Williamsona okazał się koszmarem. Aresztowano go prawie pięć lat po popełnieniu przestępstwa - już po śmierci świadka, który mógł zaświadczyć o jego niewinności - a podstawą aresztowania był sen, w którym człowiek

z poważnymi zaburzeniami umysłowymi przyznawał się do winy.

Vicky czytała dalej i wkrótce uderzył ją niemal całkowity brak wiarygodnych dowodów przedstawionych na procesie oraz chaotyczna strategia obrony. Kiedy skończyła, miała już duże wątpliwości co do winy skazanego-

I natychmiast zadała sobie pytanie, czy nadaje się do tej pracy, czy nie zjedzą jej nerwy. Czy każdy wniosek będzie równie przekonujący? Czy będzie teraz wierzyła każdemu więźniowi z celi śmierci? Zawierzyła Jimowi Payne'owi, który szybko opracował plan. Postanowili wciągnąć w to Gail Seward, centrystkę, i zasięgnąć jej opinii. Vicky spędziła cały piątek na kserowaniu długiego stenogramu procesowego; musiała zrobić trzy kopie, po jednej dla każdego uczestnika spisku. Każde z nich spędziło weekend na dokładnym studiowaniu materiałów i gdy spotkali się w poniedziałek rano, werdykt był jednogłośny. Od lewicy poprzez centrum po prawicę, wszyscy uznali, że sprawiedliwości nie stało się zadość, że proces naruszył konstytucję, a skazany mógł być człowiekiem zupełnie niewinnym.

Zaintrygowały ich zwłaszcza odniesienia do Snów Ady. W swoim wniosku Janet Chesley wielokrotnie podkreślała znaczenie „sennych” zeznań, które Ron miał jakoby złożyć. Przeczytał tę książkę tuż po aresztowaniu, leżała w jego celi, gdy opowiadał o swoim śnie Johnowi Christianowi. Wydano ją siedem lat wcześniej i nie było jej już w sprzedaży, ale Vicky znalazła kilka egzemplarzy w antykwariacie i bibliotece. Szybko przeczytali ją we troje i nabrali jeszcze większych podejrzeń w stosunku do władz Ady.

Ponieważ powszechnie wiadomo, że sędzia Seay reaguje dość gwałtownie na apelacje habeas corpus, postanowili, że pójdzie do niego Jim Payne. Seay wysłuchał go uważnie, a potem z równą uwagą wysłuchał Vicky i Gail. Ponieważ wszyscy troje nie mieli najmniejszych wątpliwości, że trzeba przeprowadzić nowy proces, zgodził się przejrzeć wniosek.

Znał Billa Petersona, Barneya Warda i większość innych z Ady. Barney był jego starym kumplem, jednak Petersona nie darzył zbyt wielką sympatią. Szczerze mówiąc, wcale nie zdziwiło go, że postępowanie przeprowadzono tak niechlujnie i że dopuszczono tak słaby materiał dowodowy. W Adzie działy się dziwne rzeczy i już od lat dochodziły go słuchy, że tamtejsza policja cieszy się złą opinią. Szczególnie zaniepokoiło go to, że sędzia Ronald Jones nie potrafił zapanować nad przebiegiem postępowania. Policijni partacze i stronnicza prokuratura nie była niczym niezwykłym, ale sędzia miał obowiązek zagwarantować oskarżonemu uczciwy proces.

Nie był też zaskoczony, że Oklahomski Sąd Karny Apelacyjny nie dostrzegł się w procesie żadnych uchybień.

Gdy nabrał przekonania, że sprawiedliwości nie stało się zadość, wraz z ze swymi podwładnymi dokładnie zbadał sprawę.

**Dennis Fritz** stracił kontakt z Ronem. Napisał do niego list, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Kim Marks i Leslie Delk przyjechały do Conner, żeby przesłuchać go w związku z postępowaniem w sprawie Williamsona i puściły mu taśmę z nagraniem zeznań Ricky'ego Joe Simmonsa. Podobnie jak Ron, Dennis wpadł w gniew, że chociaż ktoś przyznał się do zbrodni, o którą ich oskarżono, dowód ten nie został przez sędziego dopuszczony. Nawiązał z Kim korespondencję, a ta informowała go na bieżąco o postępach w sprawie Rona.

Jako stały bywalec więziennej biblioteki, Dennis znał wszystkie prawnicze plotki i najnowsze orzeczenia z całego kraju. Jego uwagi, i uwagi jego „kolegów po fachu”, nie uchodziła żadna nowinka z tej dziedziny. Na początku 1990 roku po raz pierwszy wspomniano o testach DNA i Dennis przeczytał na ten temat wszystkie dostępne materiały.

W 1993 roku fragment programu telewizyjnego Donahue poświęcono czterem skazanym, których testy te oczyściły z zarzutów. Program miał bardzo dużą oglądalność, zwłaszcza w więzieniach, i był katalizatorem krajowego ruchu walki o uniewinnienie niesłusznie skazanych.

Jedną z grup, która zwróciła na siebie szczególną uwagę, był tak zwany Innocence Project zainicjowany w 1992 roku przez dwóch nowojorskich prawników, Petera Neufelda i Barry'ego Schecka. Neufeld i Scheck zainstalowali się na wydziale prawa Uniwersytetu im. Benjamina N. Cardozo, gdzie założyli niedochodową poradnię prawniczą, w której pod ich nadzorem pracowali studenci. Neufeld był znanym brooklińskim aktywistą prawniczym. Scheck sądowym ekspertem od badań DNA i zasłynął jako jeden z obrońców O. J. Simpsona.

Dennis uważnie ten proces śledził, zastanawiając się nad możliwością nawiązania z nim kontaktu.

**Po licznych** skargach na blok H, w 1994 roku Amnesty International przeprowadziła jego dokładną inspekcję. Stwierdzono wiele naruszeń międzynarodowych standardów, łącznie z traktatami podpisanymi przez USA i



minimalnymi normami narzuconymi przez ONZ. Naruszenia te dotyczyły między innymi cel, za małych, ślepych, źle umeblowanych, źle oświetlonych, praktycznie nie wentylowanych i bez dostępu do naturalnego światła. Plac do ćwiczeń rekreacyjnych był o wiele za mały i otoczony zbyt wysokimi murami. Wielu osadzonych rezygnowało z godzinnego spaceru tylko po to, żeby pobyć w celi bez współlokatora. Nie licząc kursu maturalnego, więzienie nie prowadziło żadnych programów edukacyjnych i nie pozwalało więźniom pracować. Dostęp do praktyk religijnych był zbyt ograniczony, a izolacja osadzonych zbyt duża. Stanowczej poprawy wymagało również przygotowywanie i dystrybucja posiłków.

W podsumowaniu komisja Amnesty International stwierdziła, że warunki panujące w bloku H są okrutne, nieludzkie i poniżające i że nie odpowiadają międzynarodowym normom. Nadmieniła również, że: „jeśli więźniowie będą przebywali w nich przez dłuższy czas, może to odbić się niekorzystnie na ich zdrowiu fizycznym i psychicznym”.

Raport opublikowano, jednak nie miało to żadnego wpływu na sytuację osadzonych. Dolało tylko oliwy do ognia i zwiększyło liczbę pozwów przeciwko naczelnikowi i jego podwładnym.

**Po trzech** latach przerwy machina komory śmierci znowu ruszyła. Dwudziestego marca 1995 roku stracono Thomasa Grassa, trzydziestodwuletniego białego, który spędził w bloku tylko dwa lata. Chociaż było to trudne, Grasso zdołał powstrzymać wszystkie apelacje, żeby mieć to szybciej z głowy.

Zaraz potem stracono Rogera Dale'a Stafforda, słynnego rzeźnika ze stekhausu, który miał jedną z najbardziej nagłośnionych egzekucji. Seryjni mordercy z dużych miast przyciągają więcej prasy i Stafford odszedł w blasku reflektorów. Przesiedział w bloku piętnaście lat, a dla policji, prokuratury, a zwłaszcza dla polityków, jego sprawa była najlepszym przykładem niedociągnięć w amerykańskim systemie apelacyjnym.

Jedenastego sierpnia 1995 roku odbyła się jedna z najdziwniejszych egzekucji. Robert Brecheen, czterdziestoletni biały, ledwo do niej dożył. Dzień przedtem połknął garść środków przeciwbólowych, które jakimś cudem przemycił do więzienia i zachomikował. Swoim samobójstwem chciał po raz ostatni powiedzieć władzom, żeby się wypchały. Niestety, nie zdążył. Strażnicy znaleźli go nieprzytomnego i zawieźli do szpitala, gdzie przepłukano mu żołądek i odratowano, żeby zaraz potem przewieźć go z powrotem do bloku i zabić jak należy.

**Pod** kierownictwem sędziego Seaya jego urzędnicy prowadzili dogłębną analizę wszystkich aspektów sprawy Rona Williamsona. Czytali stenogramy z rozprawy wstępnej oraz z wszystkich pozostałych rozpraw i przesłuchań. Katalogowali jego obszerną dokumentację medyczną. Studiowali policyjne raporty i opinie biegłych z Oklahomskiego Biura Śledczego.

Pracą podzielili się Vicky Hildebrand, Jim Payne i Gail Seward. Był to projekt zespołowy obfitujący w pomysły i dobre chęci. Proces Williamsona przeprowadzono źle i niesprawiedliwie, i chcieli to naprawić.

Sędzia Seay nigdy nie ufał dowodom rzeczowym w postaci włosów. Kiedyś przewodniczył rozprawie w sądzie federalnym w sprawie zagrożonej karą śmierci, w której biegłym był jeden z najlepszych ekspertów FBI od włosów. Kwalifikacje miał bez zarzutu i wiele razy zeznawał jednak nie zrobiło to na Seayu wrażenia. Nie dopuścił go do głosu i odesłał do domu.

Próbkami włosów zajęła się na ochotnika Vicky Hildebrand. Przez wiele miesięcy czytała stenogramy z dziesiątków spraw i przeróżne studia naukowe, by przekonać się wreszcie, że badanie i porównywanie włosów nie ma nic wspólnego z prawdziwą nauką. Było to coś tak niewiarygodnego, że nie powinno się tego dopuszczać jako materiału dowodowego w sądzie, do czego Seay doszedł już dawno temu.

Gail Seward skupiła się na Barneyu Wardzie i popełnionych przez niego błędach. Jim Payne wziął na warsztat sprawę pogwałcenia prawa Brady'ego. Całymi miesiącami nie zajmowali się niczym innym, odkładając sprawę Williamsona tylko wtedy, gdy zlecano im coś pilniejszego. Nie mieli żadnych ograniczeń czasowych, ale sędzia Seay nie tolerował pustej wokandy. Pracowali dniami i nocami, pracowali w weekendy. Czytali i redagowali nawzajem swoje opracowania. Im bardziej się w to zagłębiali, tym więcej znajdowali błędów i z tym większym zapałem podchodzili do tego.

Jim Payne codziennie spotykał się z sędzią, który - jak można było tego oczekiwać — nie szczędził im uwag. Czytał wersje robocze ich opinii, nanosił poprawki i odsyłał materiał do dalszych przeróbek i uzupełnień.

Kiedy stało się oczywiste, że będzie nowy proces, sprawa zaczęła trapić go jeszcze bardziej. Barney był jego dobrym przyjacielem, starym wojownikiem i krytyka mogła go głęboko zranić. Poza tym, jak zareagują mieszkańcy Ady, gdy dowiedzą się, że ich były sędzia wziął stronę Rona Williamsona, cieszącego się złą sławą mordercy?

Seward, Hildebrand i Payne wiedzieli, że ich wnioski zostaną dokładnie zweryfikowane przez przełożonych z Dziesiątego Okręgowego Sądu Apelacyjnego w Denver. A jeśli tamci uchylą decyzję sędziego Seaya? Czy oni, jako zespół, są na pewno wystarczająco przekonani co do słuszności swojej

sprawy? Czy będą na tyle wiarygodni, że ci z Denver dadzą się przekonać?

Pod przewodnictwem Seaya pracowali niemal przez cały rok. I wreszcie, dziewiętnastego września 1995 roku, dwanaście miesięcy po zawieszeniu egzekucji Rona Williamsona, sędzia podpisał wniosek habeas corpus i wyraził oficjalną zgodę na nowy proces.

Załączona do wniosku opinia liczyła sto stron i była prawdziwym majstersztykiem analizy prawniczej i prawniczego rozumowania. Jasnym, lecz naukowym językiem sędzia Seay udzielił surowej reprimendy Barneyowi Wardowi, Billowi Petersonowi, policji w Adzie tudzież OSBI i chociaż oszczędził sędziego Jonesa, nie uległo wątpliwości, co o nim myśli.

Ron zasługiwał na proces z wielu względów, głównie dlatego, że nie zapewniono mu skutecznej obrony. Barney popełnił wiele szkodliwych błędów. Nie podniósł kwestii niepoczytalności swojego klienta, nie przeanalizował i nie przedstawił w sądzie dowodów przeciwko Glenowi Gore'owi, nie wytknął sądowi tego, że Terri Holland zeznawała również przeciwko Karlowi Fontenotowi i Tommy'emu Wardowi, nie poinformował przysięgłych, że Ricky Joe Simmons przyznał się do zabójstwa na taśmie wideo, którą Barney przecież dysponował, nie podważył zeznań Rona, w których ten przyznawał się do winy, i nie zrobił nic, żeby sąd nie włączył ich jako materiału dowodowego w sprawie, nie powołał świadków, którzy mogliby wpłynąć na złagodzenie wymiaru kary w ostatniej fazie procesu.

Billowi Petersonowi i policjantom z Ady zarzucił zatajenie taśmy z nagraniem drugiego badania na poligrafie w 1983 roku, wykorzystywanie w śledztwie zeznań uzyskanych wątpliwymi metodami, w tym „sennego” przyznania się do winy Rona Williamsona, powoływanie na świadków i zaprzysiężanie więziennych donosicieli, wnoszenie do sądu sprawy prawie bez żadnych dowodów rzeczowych oraz ukrywanie dowodów świadczących na korzyść oskarżonego.

Sędzia przeanalizował historię badania włosów jako dowodów rzeczowych i w sposób dobitny orzekł, że badania te są zbyt niewiarygodne i że ich wyników nie powinno dopuszczać się w żadnym amerykańskim sądzie. Skrytykował również biegłych z Oklahomskiego Biura Śledczego za niekompetencję w badaniach próbek włosów Fritza i Williamsona.

Billa Petersona, sędziego Jonesa i sędziego Johna Davida Millera obarczył winą za to, że nie przerwali dochodzenia i nie nakazali przeprowadzenia badań poczytalności Rona Williamsona.

Sędzia Jones winien był jawnego naruszenia prawa Brady' ego, ponieważ dowody świadczące na korzyść oskarżonego dopuścił dopiero po procesie!

To, że nie zgodził się na powołanie biegłego, który mógłby podważyć zeznania ekspertów z OSBI, było jeszcze błędem odwracalnym.

Z chirurgiczną wprost precyzją Seay odstąpił wszystkie aspekty procesu, ujawniając kpinę, jaką było skazanie Williamsona. W przeciwieństwie do Oklahomskiego Sądu Karnego Apelacyjnego, który aż dwukrotnie rozpatrywał jego sprawę, dopatrywał się w procesie licznych błędów i dokładnie przeanalizował każdy z nich.

Na końcu opinii zamieścił coś niezwykłego, a mianowicie epilog.

Zastanawiając się nad decyzją, powiedziałem mojemu przyjacielowi laikowi, że uważam, iż fakty i obowiązujące nas prawo każe mi wyrazić zgodę na nowy proces — chodzi przecież o człowieka oskarżonego i skazanego na śmierć.

Mój przyjaciel spytał: „Czy ten człowiek jest mordercą?” Odpowiedziałem krótko i po prostu: „Nie dowiemy się tego, dopóki nie będzie miał uczciwego procesu”.

Niech nam Bóg dopomoże, jeśli my, mieszkańcy tego wspaniałego kraju, będziemy odwracać głowy, żeby nie widzieć egzekucji kogoś, kogo bezprawnie skazano. A w tym przypadku omal się tak nie stało.

W kurtuazyjnym geście Seay wysłał kopię opinii Barneyowi Wardowi wraz z listem, w którym napisał, że jest mu bardzo przykro, ale że nie miał innego wyjścia. Barney już nigdy się do niego nie odezwał.

Chociaż Vicky Hildebrand, Gail Seward i Jim Payne byli całkowicie przekonani o słuszności swoich wywodów, odczuwali lekką treść, gdy opinia została opublikowana. Przyznanie prawa do nowego procesu skazańcowi z celi śmierci nie zdarzało się w Oklahomie codziennie. Sprawa Rona kosztowała ich rok życia i chociaż byli pewni siebie, nie chcieli, żeby ktokolwiek skrytykował sędziego Seaya i jego urząd.

**Walka o nowy proces** — krzyczał nagłówek „Ada Evening News” dwudziestego siódmego września 1995 roku. Po lewej stronie zamieszczono szkolne zdjęcie Rona Williamsona, po prawej zdjęcie Billa Petersom. Artykuł zaczynał się tak:

Rozsierdzony Bill Peterson powiedział, że w razie konieczności „z wielką przyjemnością” stawi się w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych, żeby uchylić decyzję sędziego federalnego, która przyznaje prawo do nowego procesu Ronaldowi Keithowi Williamsonowi, mordercy z Pontotoc.

Na szczęście, przynajmniej dla Petersona, nie dane mu było pojechać do Waszyngtonu. W wywiadzie dla gazety dodał, że prokurator stanowy zapewnił go, iż osobiście zajmie się sprawą „natychmiastowego” odwołania do Dziesiątego Sądu Okręgowego w Denver.

Jestem zdumiony, zaskoczony, zły, zdezorientowany, i w ogóle. Sprawa przeszła przez tyle apelacji, była tyle razy rozpatrywana. Nikt nigdy nie próbował podważyć wyroku i nagle taka opinia. To po prostu nie ma sensu.

Peterson zapomniał dodać, a reporter zanotować, że sprawy wszystkich skazanych na karę śmierci podlegają apelacji habeas corpus i trafiają do sądu federalnego, gdzie prędzej czy później powstaje jakaś opinia.

Ale Peterson był na fali i mówił dalej tak:

Ta sprawa była rozpatrywana przez Sąd Najwyższy aż dwukrotnie. I za pierwszym, i za drugim razem sąd utrzymał wyrok pierwszej instancji i odrzucił wniosek o wszczęcie nowego postępowania.

Niezupełnie. Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych nigdy nie rozpatrywał sprawy Rona pod względem merytorycznym: odmawiając przekazania akt sprawy z sądu niższego do sądu wyższej instancji, celem skontrolowania zasadności rozstrzygnięcia, odmówił tym samym jej zbadania i odesłał ją z powrotem do Oklahomy. Była to standardowa procedura.

Ale największe kłamstwo Peterson zachował na koniec. W jednym z przypisów do opinii sędziego Seaya powoływał się na Sny Ady, książkę Roberta Mayera, wspominając, że w tym samym sądzie, i w tej samej sali rozpraw zapadło wiele wyroków skazujących na podstawie zeznań zaczerpniętych ze snów oskarżonych. Petersona bardzo to zdenerwowało — wzmianka o książce w orzeczeniu sądowym? - i z kamienną twarzą oświadczył:

To nieprawda, że ci trzej - Williamson, Fontenot i Ward - zostali skazani na podstawie „sennych” zeznań.

**Stan** Oklahoma zaskarżył decyzję sędziego Seaya do Dziesiątego Okręgowego Sądu Apelacyjnego w Denver. Choć Ron był zadowolony z obrotu sprawy i perspektywy nowego procesu, dzień włókł się za dniem, a on wciąż siedział w więzieniu.

Ale nie walczył sam. Kim Marks, śledczy z Oklahomskiego Biura Obrońcy dla Ubogich, Janet Chesley, jego adwokatka i dr Foster nie ustalali w wysiłkach, żeby załatwić mu odpowiednie leczenie. Od czterech lat władze więzienia odmawiały mu prawa wstępu na oddział specjalnej opieki medycznej, gdzie mógłby dostać skuteczniejsze leki i gdzie można by mu było zapewnić lepsze warunki. OSOM mieścił się ledwie kilkadziesiąt metrów dalej, jednak osadzeni w bloku śmierci nie mieli tam wstępu.

Kim Marks opisała swego klienta w następujący sposób:

Bałam się nie jego, a o niego. Nalegałam, żebyśmy zwrócili się o pomoc do kogoś z góry, ponieważ włosy wyrosły mu aż do ramion i były w nich żółte pasma w miejscach, gdzie za nie ciągnął - ręce miał żółte od nikotyny, nie tylko czubki palców i same palce, ale dosłownie całe dłonie. Popsuły mu się wszystkie zęby; chyba je sobie wykręcał i wyrzywał. Poszarzała mu skóra, bo najwyraźniej nie kąpał się od wielu tygodni. Był chudy jak szczapa; chodził w bardzo obcisłym ubraniu. Koszula wyglądała tak, jakby nie prał jej od wielu miesięcy, nie wspominając już o prasowaniu. Przez cały czas nerwowo krążył po celi. Prawie nie mógł mówić, a ilekroć się odzywał, z ust tryskała mu ślina. Mówił zupełnie bez sensu i bałam się, że go stracimy, że umrze w więzieniu z osłabienia wynikającego z problemów ze zdrowiem psychicznym.

Janet Chesley, Kim Marks i Ken Foster zadreęczali wszystkich, często zmieniających się naczelników, ich zastępców i sekretarzy. Susan Otto, dyrektorka Federalnego Biura Obrońcy Publicznego i przełożona Janet, zdołała pociągnąć za kilka sznurków w Departamencie Więziennictwa i wreszcie, w lutym 1996 roku, James Saffle, naonczas wysoki urzędnik departamentu, zgodził się przyjąć Kima i Janet. Już na samym początku spotkania oznajmił, że polecił Ronowi Wardowi, aktualnemu naczelnikowi McAlester, zrobić wyjątek dla Rona Williamsona i natychmiast przenieść go na OSOM.

W okólniku do kierownika OSOM Ron Ward wyraźnie pisze, że osadzeni z bloku śmierci nie mają tam prawa wstępu.

Polecam zrobić odstępstwo od standardowych przepisów, obowiązujących na OSOM oklahomskiego więzienia stanowego, w punkcie, który głosi, że: „Każdy osadzony, z wyjątkiem osadzonych w bloku śmierci, ma prawo leczenia na oddziale specjalnej opieki medycznej”.

Co się kryło za tą nagłą zmianą polityki? Dwa tygodnie wcześniej więzienny psycholog przesłał naczelnikowi poufną notatkę na temat Rona Williamsona, w której przedstawił zasadne powody, dla których należałoby przenieść go na OSOM.

Przedyskutowaliśmy to w zespole i uznaliśmy, że Ron Williamson jest osobnikiem psychotycznym i gdybyśmy dobrali mu odpowiednią metodę leczenia, mógłby na tym skorzystać. Stwierdziliśmy również, że Williamson uparcie odrzuca taką możliwość i nie chce nawet o tym rozmawiać. Jak Pan wie, na OSOM-ie można by w razie potrzeby podać mu leki siłą.

Kierownictwo bloku H miało dość Rona i chciało od niego odpocząć. Więzienny psycholog pisał:

Nie ulega wątpliwości, że stan R. Williamsona pogarsza się z tygodnia na tydzień. Zauważyłem to nie tylko ja - personel bloku H podnosi tę kwestię regularnie. Mike Mullens podkreślił to nawet dzisiaj, twierdząc, że jego psychotyczne wybuchy mają zły wpływ na stan psychiczny osadzonych w południowo-zachodnim skrzydle bloku.

Jednakże najlepszym powodem przeniesienia Rona było przyspieszenie egzekucji.

Sądząc po zachowaniu R. Williamsona, uważam, że w tym stanie psychicznym i fizycznym nie nadawałby się do egzekucji. Pobyt w OSOM-ie przywróciłby mu stosowny poziom poczytalności i zdolności do czynności prawnych.

Rona przeprowadzono do ośrodka i przydzielono mu ładniejszą celę z oknem. Dr Foster zmienił mu leki i dostosował ich dawkowanie. Choć Ron był bardzo chory, szybko się uspokoił i przestał narzekać na ból.

Był jednak niezwykle wątpy i z trudem nad sobą panował. Jego stan zaczął się polepszać, gdy nagle, dwudziestego piątego kwietnia, trzy miesiące od przeniesienia na OSOM, na dwa tygodnie zabrano go z powrotem do bloku H. Nie zatwierdził tego żaden lekarz; dr Foster nic o tym nie wiedział. Nie podano żadnych powodów. Na OSOM wrócił w znacznie gorszym stanie. Dr Foster wysłał notatkę do naczelnika, w której opisał ten incydent i szkody, jakie wyrządził pacjentowi.

Dziwnym zbiegiem okoliczności przeniesiono go na dzień przed inną egzekucją. Dwudziestego szóstego kwietnia stracono Benjamina Brewera

za to, że w 1978 roku zadźgał w Tulsie dwudziestoletnią studentkę. W bloku śmierci spędził ponad dwanaście lat.

Chociaż Ron przebywał na OSOM-ie, wciąż był więźniem z bloku H. Władze nie mogły pozwolić, żeby opuścił dramatyczny spektakl zabijania kogoś, kogo pewnie znał.

Janet Chesley podejrzewała, że to nagłe przeniesienie miało coś wspólnego z manewrami prawnymi. Stan zaskarżył decyzję sędziego Seaya do Dziesiątego Okręgowego Sądu Apelacyjnego i uzgodniono już datę przesłuchania. Żeby uniemożliwić jej wytoczenie argumentu, że klient jest tak bardzo zaburzony psychicznie, iż zabrano go na OSOM, szybko przeniesiono go z powrotem do bloku H. Gdy Janet się o tym dowiedziała, wybuchła gniewem. Zrugała kierownictwo więzienia i prawników stanowych odpowiedzialnych za apelację. W końcu jednak obiecała nie wspominać o tym na przesłuchaniu.

Rona przeniesiono z powrotem, lecz szkody, jakie mu wyrządzono, były boleśnie oczywiste.

**Wiadomość**, że Ron wygrał w sądzie federalnym i że przyznano mu prawo do nowego procesu, dotarła i do Dennisa Fritza. Dennis nie miał takiego szczęścia. Ponieważ nie ciążył na nim wyrok śmierci, nie przysługiwał mu żaden adwokat i wniosek o habeas corpus musiał sporządzić sam. W 1995 przegrał w sądzie okręgowym i odwołał się do Dziesiątego Okręgowego Sądu Apelacyjnego.

Był bardzo przybity i nowy proces Rona miał dla niego słodko-gorzki smak - chociaż skazano go na podstawie zeznań tych samych świadków i tych samych faktów, jego apelację oddalono. Jednocześnie cieszył się, że Ronnie dostał drugą szansę.

W marcu 1996 roku zwrócił się w końcu do Innocence Project z prośbą o pomoc. Jeden ze studentów odpisał mu i przysłał kwestionariusz do wypełnienia. W czerwcu poproszono go o wyniki badań laboratoryjnych krwi, śliny i włosów. Dennis od dawna miał je w celi, więc szybko dotarły do Nowego Jorku. W sierpniu złożył wnioski apelacyjne, a w listopadzie wysłał do Nowego Jorku cały stenogram procesowy. Pod koniec listopada otrzymał wspaniałą wiadomość, że Innocence Project oficjalnie zajmie się jego sprawą.

Listy wędrowały w tę i z powrotem, mijały tygodnie i miesiące. Dziesiąty Sąd Okręgowy oddalił apelację, a gdy w maju 1997 roku oddalił ją również Sąd Najwyższy, Dennis się załamał. Skończyły się wszystkie odwołania.



Ci mądrzy sędziowie w czarnych togach z mądrymi, grubymi księgami nie dopatrzyli się w procesie żadnych uchybień. Ani jeden z nich nie dostrzegł oczywistego, tego, że skazano niewinnego człowieka.

Perspektywa dożywocia, przed którą tak bardzo się bronił, stawała się namacalną rzeczywistością.

W maju wysłał do Innocence Project cztery listy.

**W roku 1979**, w miasteczku Okarche na północ od Oklahoma City, Steven Hatch i Glen Ake włamali się do domu wielebnego Richarda Douglasa. W trakcie szamotaniny napastnicy śmiertelnie postrzelili Douglasa i jego żonę. Postrzelili również ich dwoje małych dzieci, które jakimś cudem przeżyły. Strzelał Glen Ake, którego skazano na karę śmierci, i któremu przyznano prawo do drugiego procesu, ponieważ sędzia uniemożliwił mu kontakt z biegłym psychiatrą. Decyzja w jego sprawie, Aka versus Oklahoma, była przełomowym orzeczeniem. Na procesie apelacyjnym skazano go na dożywocie, które obecnie odsiaduje.

Współdziałanie w zabójstwie Stevena Hacha budziło duże wątpliwości i liczne dyskusje, niemniej skazano go na śmierć. Dziewiątego sierpnia 1996 roku przymocowano go pasami do wózka i zawieziono do komory śmierci w bloku H.W pomieszczeniu dla świadków zasiadło dwoje dzieci Douglasów, wtedy już dorosłych.

Glen Ake, niekwestionowany zabójca, dostał dożywocie. Steven Hatch, który nikogo nie zabił, został stracony.

W 1994 dwudziestoletni Indianin nazwiskiem Scott Dawn Carpenter obrabował sklep w Lake Eufaula i zamordował właściciela. Już po dwóch latach w bloku śmierci uporał się ze wszystkimi apelacjami i dostał szprycę.

**Dziesiątego** kwietnia 1997 roku Dziesiąty Okręgowy Sąd Apelacyjny w Denver utrzymał w mocy orzeczenie sędziego Seaya. Nie zgodził się co prawda z propozycją całkowitego zakazu wykorzystywania włosów jako dowodów rzeczowych, uznał jednak, że Rona Williamsona skazano niesłusznie. Sprawa trafiła wówczas do Biura obrońcy dla Ubogich, do wydziału apelacyjnego spraw zagrożonych karą śmierci, gdzie wraz z grupą ośmiu prawników pracował nowy dyrektor, Mark Barrett. Ze względu na jej złożoność i ze względu na to, że Mark znał już skazanego, postanowił zająć się nią osobiście. Na dobry początek przywieziono mu szesnaście pudeł dokumentów.

W maju 1997 roku on i Janet Chesley pojechali do McAlester. Zadaniem Janet było przypomnienie Marka Ronowi. Ostatni raz widzieli się w 1988 roku, niedługo po osadzeniu Rona w bloku F, kiedy to Mark zajmował się jego pierwszą apelacją.

Chociaż Barrett znał Janet, Kim Marks i większość adwokatów apelacyjnych i chociaż słyszał wiele plotek i opowieści o Williamsonie i jego przygodach w bloku śmierci, był zaskoczony jego stanem. W roku 1988 Ron miał trzydzieści pięć lat, ciemne włosy, dziecięcą twarz, ważył prawie sto kilo, był atletycznie zbudowany, chodził szybkim, pewnym krokiem. Teraz miał lat czterdzieści trzy i mógł łatwo uchodzić za sześćdziesięcioletka. Po roku na OSOM-ie wciąż był blady, zaniedbany, upiornie chudy i najwyraźniej bardzo chory.

Mimo to potrafił aktywnie uczestniczyć w długiej rozmowie na temat swojej sprawy. Momentami co prawda odpływał i wygłaszał zupełnie bezsensowne monologi, jednak przez większość czasu wiedział, co się dzieje i co go czeka. Mark wytłumaczył mu, że specjaliści od DNA porównają jego krew, włosy i ślinę z próbkami włosów i spermy z miejsca zbrodni i że wnioski będą absolutnie jednoznaczne i niepodważalne. Badania DNA nie kłamią.

Ron zgodził się bez wahania. Co więcej, bardzo tego chciał.

„Jestem niewinny - powtarzał. - I nie mam nic do ukrycia”.

**Mark Barrett** i Bill Peterson zgodzili się, że trzeba ustalić, czy Ron jest zdolny do czynności prawnych i czy może stanąć przed sądem. Zgodzili się również co do konieczności badań DNA. Peterson bardzo na nie nalegał, ponieważ był przekonany, że wreszcie przygwoździ Rona.

Ale badania musiały poczekać, ponieważ nie pozwalał na nie budżet Barretta. Początkowo szacowano, że kosztować będą około pięciu tysięcy dolarów, lecz pieniądze te miały wpłynąć dopiero za kilka miesięcy. Jak się w końcu okazało, badania kosztowały znacznie więcej.

Mark zajął się tymczasem przygotowaniem do ustalenia zdolności Rona do czynności prawnych. On i jego stosunkowo nieliczny zespół zebrali całą dokumentację medyczną. Znaleźli również psychologa, który przejrzał ją, zbadał Rona i wyraził chęć przyjazdu do Ady na proces.

Po dwóch wyprawach do Oklahomskiego Sądu Apelacyjnego, po rocznym postoj u sędziego Seaya, po dwuletnim pobycie w Dziesiątym Okręgowym Sądzie Apelacyjnym, po dwóch bezużytecznych, lecz wymaganych prawem wizytach w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych

w Waszyngtonie, po wymianie setek rutynowych dokumentów z różnymi sądami i instytucjami, sprawa Oklahoma versus Ronald Keith Williamson wróciła do domu.

Znalazła się z powrotem w Adzie, dziesięć lat po tym, jak czterech policjantów otoczyło kudłatego, na wpół nagiego Rona ze zniszczoną kosiarką do trawy i aresztowało go za morderstwo.

## Rozdział 14

**Rodzina** Toma Landritha od trzech pokoleń mieszkała w hrabstwie Pontotoc. Tom chodził do ogólniaka w Adzie i wraz ze swoją drużyną dwukrotnie zdobył tytuł mistrza stanu w futbolu. Ukończył Uniwersytet Oklahomski i po egzaminie adwokackim osiadł w rodzinnym mieście, gdzie dostał pracę w małej kancelarii prawniczej. W 1994 roku wystartował w wyborach na sędziego okręgowego i bez trudu wygrał w nich z G.C. Mayhue, który cztery lata wcześniej pokonał sędziego Ronalda Jonesa.

Landrith dobrze znał Rona Williamsona i sprawę morderstwa Debbie Carter i kiedy Dziesiąty Sąd Karny Apelacyjny utrzymał w mocy decyzję sędziego Seaya, wiedział, że sprawa trafi z powrotem do Ady, do jego sądu. Co typowe dla małego miasta, na początku lat osiemdziesiątych bronił Rona, gdy oskarżono go o prowadzenie samochodu pod wpływem alkoholu, poza tym przez krótki czas grali w tej samej drużynie softballowej. W ogólniaku grał w futbol z Johnnym Carterem, wujkiem Debbie, i od dawna przyjaźnił się z Billem Petersonem. Podczas procesu Rona w roku 1988 z czystej ciekawości był na kilku rozprawach. No i oczywiście doskonale znał Barneya.

To była Ada, a tu wszyscy znali wszystkich.

Sędzia Landrith był lubiany, towarzyski i dowcipny, lecz surowy w sądzie. Chociaż nie do końca wierzył w winę Rona, nie do końca wierzył również w jego niewinność. Podobnie jak większość mieszkańców Ady, uważał, że brakuje mu piątej klepki. Mimo to bardzo chciał go zobaczyć i dopilnować, żeby proces przebiegł uczciwie.

Od wciąż niewyjaśnionego morderstwa minęło już piętnaście lat. Sędzia Landrith współczuł Carterom. Nadeszła pora rozwiązać tę sprawę zdecydowanie i do końca.

**W niedzielę** trzynastego lipca 1997 roku Ron Williamson opuścił McAlester, by już nigdy tam nie wrócić. Dwóch policjantów z hrabstwa Pontotoc zawiozło go do szpitala w Vinita. Szeryf Jeff Glase powiedział później reporterom, że więzień zachowywał się dobrze.

„Nie sprawiał żadnych kłopotów. Ale kiedy ma się skute ręce i nogi i kiedy jest się w kaftanie bezpieczeństwa, trudno je komuś sprawić”.

Był to czwarty pobyt Rona w szpitalu w Vinita. Zapisano go na „program przedprocesowy”; miał być przebadany i podleczone, żeby dotrwał do końca postępowania.

Sędzia Landrith wyznaczył datę rozpoczęcia procesu na dwudziestego ósmego lipca, lecz przesunął ją ze względu na stan zdrowia oskarżonego. Chociaż Bill Peterson nie sprzeciwił się leczeniu Rona, to wcale nie ukrywał, co myśli o jego poczytalności. W liście do Marka Barretta napisał: „Moim zdaniem, według obowiązującego w Oklahomie prawa, był całkowicie poczytalny i zdolny do czynności prawnych, a jego wybuchy w sali rozpraw były jedynie demonstracją gniewu”. I dodał: „W areszcie funkcjonował całym nieźle”.

Pomysł badań DNA bardzo przypadł mu do gustu. Wciąż niezachwianie wierzył, że Williamson jest zabójcą i teraz będzie można udowodnić to naukowo. Pisał listy do Marka Barretta i wyklócał się z nim o szczegóły — gdzie, w którym laboratorium, kto za to zapłaci, kiedy rozpocząć testy — jednak obaj byli zgodni co do tego, że badania te trzeba przeprowadzić.

Rona ustabilizowano i teraz czuł się lepiej. W porównaniu z McAlester każde miejsce było lepsze, nawet szpital dla umysłowo chorych. Szpital w Vinita miał kilka oddziałów, a jego umieszczono w tym najpilniej strzeżonym, z kratami w oknach, z widokiem na ogrodzenie z drutu kolczastego. Sale były małe, stare i brzydkie, oddziały dla więźniów roilo się od pacjentów. Ron miał szczęście, że w ogóle leżał w sali; wielu innych leżało na korytarzu.

Natychmiast zbadał go doktor Curtis Grundy, który uznał, że pacjent nie może stanąć przed sądem. Ron rozumiał ciężące na nim zarzuty, lecz nie był w stanie współpracować z adwokatami. Doktor Grundy napisał do sędziego Landritha list, w którym stwierdził, że przy odpowiednim leczeniu pacjent może odzyskać pełną zdolność do czynności prawnych.

Dwa miesiące później Grundy zbadał Rona ponownie. W szczegółowej, czterostronicowej ekspertyzie dla Landritha napisał, że Ron: 1) rozumie ciężące na nim zarzuty, 2) jest w stanie konsultować się z adwokatem i racjonalnie pomóc mu w przygotowaniach do obrony i że 3) jest chory psychicznie

i wymaga dalszego leczenia: „żeby mógł być zdolny do wykonywania czynności prawnych, należy kontynuować leczenie psychiatryczne w trakcie przygotowań przedprocesowych”.

Doktor Grundy nadmienił, że Ron jest pacjentem nieszkodliwym, pisząc, że:

Williamson nie stwarza bezpośredniego zagrożenia ani dla siebie, ani dla innych i nie musi być dłużej hospitalizowany. Nie ma już tendencji samobójczych, nie wykazuje również niebezpiecznych tendencji maniakalnych. Podczas hospitalizacji nie był agresywny ani w stosunku do samego siebie, ani do innych. Ekspertyza ta, przeprowadzona w środowisku bezpiecznym i uporządkowanym, może nie mieć zastosowania w innych warunkach.

**Przesłuchanie** mające ustalić zdolność do podejmowania czynności prawnych miało się odbyć dziesiątego grudnia; Rona przewieziono do Ady. Ponownie trafił do miejscowego aresztu, gdzie przywitał się ze swoim starym znajomym Johnem Christianem i gdzie przydzielono mu jego starą celę. Wkrótce odwiedziła go Annette z jedzeniem, która stwierdziła, że brat jest nastawiony optymistycznie, pełen nadziei i bardzo się cieszy z powrotu do „domu”. Był podekscytowany nowym procesem i tym, że nareszcie dano mu możliwość udowodnienia swojej niewinności. Ciągle wracał do Ricky'ego Joego Simmonsa, a siostra ciągle prosiła go, żeby zmienił temat. Na próżno.

Dzień przed przesłuchaniem spędził cztery godziny z doktor Sally Church, psychologiem wynajętym przez Marka Barretta, biegłą, która miała zeznawać na temat jego poczytalności. Doktor Church rozmawiała z nim już dwukrotnie i przejrzała obszerną dokumentację jego choroby. Nie miała żadnych wątpliwości, że Ron nie jest zdolny do żadnych czynności prawnych.

On jednak bardzo chciał udowodnić, że jest. Dziewięć lat marzył o konfrontacji z Billem Petersonem, Dennisem Smithem i Garym Rogersem, z tymi wszystkimi kłamcami i kapusiami. Nikogo nie zabił i rozpaczliwie pragnął tego dowieść. Lubił Barretta, ale był zły, że jego własny adwokat próbuje zrobić z niego wariata.

Chciał procesu.

**Sędzia** Landrith przeprowadził przesłuchanie w małej sali, ledwie kilka kroków od tej, w której Rona skazano. Rano dziesiątego grudnia wszystkie

miejsca były zajęte. Przyszła Annette, przyszło kilku reporterów. Na swoją kolej czekały Janet Chesley i Kim Marks. Barney Ward był nieobecny.

Po ostatnim spacerze w kajdanach z aresztu do sądu Rona skazano na śmierć. Miał wtedy trzydzieści pięć lat i ciemne włosy. Wciąż młody, był atletycznie zbudowany i nosił elegancki garnitur. Dziewięć lat później, gdy odbywał ten spacer ponownie, wyglądał jak wychudzony, siwowłosy starzec w więziennych łańcach. Gdy chwiejnym krokiem wszedł do sali rozpraw, Tom Landrith doznał wstrząsu. Ale Ron ucieszył się na widok „Tommy'ego” w sędziowskiej todze.

Gdy z uśmiechem skinął mu głową, Landrith zauważył, że jego dawny kolega stracił niemal wszystkie zęby. Włosy i ręce miał żółte od nikotyny.

Przedstawicielem stanu Oklahoma, który chciał podważyć zasadność żądań strony przeciwnej, twierdząc, że Ron jest poczytalny i zdolny do czynności prawnych, był Bill Peterson; przesłuchanie irytowało go i wzbudzało w nim pogardę. Marka Barretta wspomagała Sara Bonnell, prawniczka z Purcell, która podczas procesu miała być „drugą”, czyli siedzieć obok niego. Sara występowała w wielu sprawach karnych i Mark bardzo na niej polegał.

Nie tracili czasu. Ich pierwszym świadkiem był Ron, który w ciągu kilku sekund wszystkich zdeorientował. Mark spytał go o imię i nazwisko, a potem doszło do następującej wymiany zdań:

**Mark:** „Czy według świadka zbrodnię tę popełnił ktoś inny?”

Ron: „Tak. Nazywa się Ricky Joe Simmons, mieszka przy Trzeciej Zachodnie numer trzysta dwadzieścia trzy i dwudziestego czwartego września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku przyznał się do zabójstwa na komendzie policji w Adzie. Taki wtedy podał adres. Sprawdziłem to i okazało się, że rzeczywiście mieszkają tam Simmonsowie, a wśród nich Ricky Joe. Mieszkają tam również Cody i Debbie Simmonsowie”.

Mark: „Czy świadek próbował kogoś o tym zawiadomić?” Ron: „Mówiłem o nim wielu ludziom. Pisałem do Joego Gifforda, pisałem do Toma i Jerry'ego Criswellów z domu pogrzebowego, wiedząc, że jeśli kupili w Adzie pomnik, musieli go kupić u Joego, ponieważ nie ma tu innego kamieniarza. A kwiatarnia Niezapominajka załatwiała kwiaty. Do nich też napisałem. Napisałem do Solo Company, do jego byłego, jego byłego pracodawcy. Napisałem do huty szkła, do jego byłego pracodawcy i do byłego pracodawcy zmarłej”.

Mark: „Chwileczkę. Dlaczego list do zakładu kamieniarskiego był dla świadka taki ważny?”

Ron: „Bo znałem Joego Gifforda. Jako nastolatek kosiłem jego trawnik, jako młody chłopak, z Burtem Rosem, moim sąsiadem. Wiedząc, że jeśli pan Carter i pani Stillwell kupili pomnik w Adzie, domyśliłem się, że musieli kupić go u Gifforda, ponieważ tylko on robi pomniki. Wychowywałem się w pobliżu jego zakładu”.

Mark: „A po co świadek napisał do kwiaciarni?”

Ron: „Bo wiedząc, że jeśli kupowali kwiaty w Adzie - pani Stillwell mieszka w Stonewall, w Oklahomie — wiedząc, że jeśli kupowali kwiaty tu, w Adzie, to mogli je kupić w Niezapominajce.

Mark: „A do domu pogrzebowego?”

Ron: „Do domu pogrzebowego, do domu pogrzebowego Criswellów, bo we wniosku Billa Lukera przeczytałem, że to właśnie oni zajmują się pogrzebami i pochówkiem zmarłych”.

Mark: „Chciał świadek powiedzieć im, że Ricky...”

Ron: „Tak, że Ricky jest niezwykle niebezpiecznym człowiekiem i chciałem prosić ich, żeby pomogli go aresztować”.

Mark: „Dlatego, że zorganizowali pogrzeb pani Carter?”

Ron: „Tak, właśnie”.

Mark: „Czy świadek napisał również do menedżera Marlinów z Florydy?”

Ron: „Napisałem do trenera trzeciej bazy z Oakland Athletics, który został później, tak, menedżerem Marlinów”.

Mark: „Czy prosił go świadek o zatajenie pewnych informacji, które mu pan przekazał?”

Ron: „Nie, opowiedziałem mu o tej butelce, o keczupie Del Monte, tej, o której opowiadał Simmons, że znalazł ją Smith, że stał tu z tą butelką w ręku i że Ricky Joe Simmons zeznał, że zgwałcił nią zmarłą, więc napisałem do Rene i powiedziałem mu, że to najbardziej szokujący dowód rzeczowy, jaki widziałem w ciągu mojego czterdziestoczteroletniego życia”.

Mark: „Ale wie świadek, że menedżer Marlinów powtórzył to kilku osobom, prawda?”

Ron: „Prawdopodobnie powtórzył, bo Rene Lachemann jest moim dobrym przyjacielem”.

Mark: „Czy słyszał pan coś, co sprawiło, że pan w to uwierzył?”

Ron: „O tak, bo słuchałem poniedziałkowych transmisji i transmisji z Pucharu Świata i widziałem reportaże w telewizji, i wiem, że butelka keczupu Del Monte cieszy się teraz bardzo złą sławą”.



Mark: „Dobrze, a więc słyssał świadek, jak mówią o tym...”

Ron: „O tak, wiele razy”.

Mark: „Podczas poniedziałkowych transmisji...”

Ron: „Tak, właśnie”.

Mark: „I podczas transmisji z Pucharu Świata...”

Ron: „Przez te cheerleaderki przechodzę prawdziwą gehennę, ale znoszę to, bo muszę postawić Simmonsa przed sądem, żeby przyznał się do gwałtu, do gwałtu z użyciem narzędzia, do sodomii pod przymusem i do tego, że ósmego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku zamordował Debbie Carter zamieszkałą przy Ósmej Wschodniej pod numerem dziesięć dwadzieścia dwa B”.

Mark: „Czy podczas tych transmisji słyssał świadek również nazwisko Debry...”

Ron: „Tak, słyssałem”.

Mark: „Podczas poniedziałkowych transmisji też?”

Ron: „Słyssa jej nazwisko nieustannie”.

Mark: „Ale w celi nie ma świadek telewizora, prawda?”

Ron: „Słyssa telewizory innych. Słyssałem w szpitalu w Vinita. Miałem telewizor w bloku śmierci. Przez cały czas słyssa, że łączy się mnie z tą potworną zbrodnią, dlatego robię, co tylko mogę, żeby oczyścić moje nazwisko z tych śmierdzących brudów”.

**Mark** zrobił przerwę, żeby publiczność mogła ochłonać. Ludzie wymieniali spojrzenia. Niektórzy mieli zmarszczone czoło i unikali wzroku innych. Sędzia Landrith pisał coś w notesie. Adwokaci też, chociaż z tego bełkotu trudno było wyłowić coś sensownego.

Z ich punktu widzenia sprawdzenie, czy świadek jest zdolny do czynności prawnych, było prawie niemożliwe, ponieważ nikt, łącznie z samym świadkiem, nie wiedział, jaka za chwilę padnie odpowiedź. Mark pozwolił mu się wygadać.

W sali była Christy Shepherd, siostrzenica Debbie Carter, która wychowywała się w sąsiedztwie Williamsonów. Jako licencjonowana terapeutka przez wiele lat pracowała z ludźmi ciężko chorymi umysłowo. Po kilku minutach słuchania wywodów Rona wyzbyła się ostatnich wątpliwości. Jeszcze tego samego dnia powiedziała Peggy Stillwell, że Williamson jest bardzo chory.

Z zupełnie innych powodów Ronowi przysłuchiwał się doktor Curtis Grundy, główny świadek Billa Petersona.

Rozprawa trwała, chociaż pytania były już zbędne. Ron albo je ignorował, albo udzielał szybkiej odpowiedzi i natychmiast wracał do tematu Ricky'ego Joego Simmonsa, ciągnąc swój monolog, dopóki mu nie przerywano. Po dziesięciu minutach Mark Barrett mu podziękował.

Później miejsce dla świadków zajęła Annette, która opowiedziała sądowi o psychicznym rozchwianiu brata i obsesji na punkcie Simmonsa.

Janet Chesley opowiedziała szczegółowo o tym, jak reprezentowała Rona i jak załatwiła mu przeniesienie na OSOM. Ona też wspomniała o nieustannych tyradach Rona na temat Simmonsa i podkreśliła, że oskarżony nie mógł pomóc jej w obronie, ponieważ nie był w stanie mówić o niczym innym. Uważała, że jego stan się poprawia, i miała nadzieję, iż pewnego dnia Ron będzie mógł stanąć przed sądem na nowym procesie. Ale ten dzień był odległy.

Kim Marks mówiła mniej więcej o tym samym. Nie widziała Rona od kilku miesięcy i cieszyła się, że wygląda teraz lepiej. Z plastycznymi szczegółami opisała jego pobyt w bloku H, dodając, że często bała się, iż Ron może umrzeć. Jego stan psychiczny nieustannie się polepszał, mimo to wciąż dominowała obsesja na punkcie Ricky'ego Joego Simmonsa. Jej zdaniem Ron nie był gotowy do procesu.

Sally Church była ich ostatnim świadkiem. Ale - co w długiej i barwnej historii Rona Williamsona było naprawdę niezwykle - pierwszym, który zeznawał na temat stanu jego zdrowia psychicznego.

Cierpiał na depresję dwubiegunową i schizofrenię - zaburzenia niezmierne trudne do wyleczenia, ponieważ chory nie zawsze rozumie, jak działają leki. Ron bardzo często przestawał je brać, co jest powszechne wśród dotkniętych tymi schorzeniami. Doktor Church opisała potencjalne przyczyny ich powstawania, sposoby leczenia oraz skutki.

Podczas badania, które przeprowadziła poprzedniego dnia w miejskim areszcie, Ron spytał ją, czy słyszy w oddali telewizor. Doktor nie była tego pewna. On słyszał wszystko doskonale: nadawano akurat jakiś show i mówiono o Debbie Carter i o butelce keczupu. A doszło do tego tak: napisał do Rene Lachemanna, byłego zawodnika i trenera Oakland Athletics, i opowiedział mu o Rickym Simmonsie, Debbie Carter i butelce keczupu. Uważał, że Lachemann z jakiegoś powodu wspominał o butelce komentatorom sportowym, którzy zaczęli mówić o niej w eterze. Sprawa szybko się rozniosła - „Monday Night Football”, Puchar Świata i tak dalej - i teraz mówiono o niej na wszystkich kanałach.

- Nie słyszy pani? — krzyczał Ron. -Wrzeszczą: Keczup! Keczup! Keczup!

Zeznania zakończyła opinią, że Ron nie jest w stanie współpracować z adwokatem i przygotować się do procesu.

Podczas przerwy na lunch doktor Grundy spytał Barretta, czy mógłby porozmawiać z Ronem w cztery oczy. Mark ufał mu i nie miał żadnych zastrzeżeń. Psychiatra i pacjent więzień spotkali się w areszcie, w sali widzeń.

Gdy sędzia wznowił posiedzenie, Bill Peterson wstał i z zażenowaniem oznajmił:

— Wysoki Sądzie, podczas przerwy rozmawiałem z moim świadkiem (doktorem Grundym) i myślę, że stan Oklahoma jest skłonny uznać, że... oskarżony będzie zdolny do czynów prawnych, ale w tej chwili nie jest w stanie ich podejmować.

Grundy obserwował Rona w sądzie, a po piętnastominutowej z nim rozmowie zupełnie zmienił zdanie. Ron nie był gotowy do procesu.

Sędzia Landrith uznał, że oskarżony nie jest zdolny do czynności prawnych i chciał go ponownie zobaczyć za miesiąc. Przesłuchanie powoli dobiegało końca, gdy wtem Ron powiedział:

- Czy mogę o coś spytać?

Sędzia Landrith: „Tak, proszę”.

Ron: „Tommy, znam cię i znałem Paula, twojego tatę, dlatego mówię najszczerzą prawdę: nie wiem, jak ten Duke Graham i Jim Smith, no wiesz, co oni mają wspólnego z Rickym Joe Simmonsem. Po prostu nie wiem. Ale jeśli chodzi o moją poczytalność, pozwól mi przyjść tu za miesiąc i aresztujmy tego Simmonsa, niech tu stanie, obejrzy tę kasetę i niech się wreszcie przyzna do tego, co zrobił”.

Sędzia Landrith: „Rozumiem”.

„Tommy” był chyba jedyną osobą, która coś z tego zrozumiała - jeśli naprawdę zrozumiała.

Chociaż Ron tego nie chciał, odesłano go z powrotem do szpitala na obserwację i leczenie. Wolał zostać w Adzie, żeby przyspieszyć sprawy, i wściekł się, że zmusza go to tego jego adwokat. Tymczasem Mark Barrett chciał tylko wyciągnąć go z aresztu, zanim pojawią się tam kolejni kapusie.

Ale potem szpitalny dentysta obejrzał jego górne podniebienia. Znalazł tam mały wrzód, zrobił biopsję i stwierdził raka. Owrzodzenie było otorbione i łatwe do usunięcia. Zabieg przebiegł pomyślnie, ale chirurg powiedział, że gdyby wrzodu nie wycięto, gdyby Ron nadal przebywał w areszcie lub więzieniu, rak dotarłby aż do mózgu.

Ron zatelefonował do Marka i podziękował mu za przeniesienie. -  
Uratowałeś mi życie - dodał i znowu byli przyjaciółmi.

**Na polecenie** władz stanu Oklahoma w 1995 roku zaczęto pobierać próbki krwi wszystkim więźniom, analizować je i wprowadzać wyniki do banku DNA.

Dowody rzeczowe ze śledztwa w sprawie Debbie Carter wciąż leżały w laboratorium kryminalistycznym Oklahomskiego Biura Śledczego w Oklahoma City. Ślady krwi, odciski palców, sperma i włosy z miejsca zbrodni oraz odciski palców, próbki krwi, włosów i śliny pobrane od świadków i podejrzanych - wszystko to spoczywało w magazynie.

To, że jedynym dysponentem dowodów rzeczowych jest oskarżenie, bynajmniej Fritza nie cieszyło. Dennis nie ufał Billowi Petersonowi i policji w Adzie, a już na pewno nie jego kumplom z OSBI. Cholera, przecież Gary Rogers też był z OSBI!

Fritz czekał. Przez cały rok 1998 korespondował z kierownictwem Innocence Project, próbował zachować cierpliwość i czekał. Dziesięć lat w więzieniu nauczyło go wytrwałości i odporności na torturę złudnych nadziei.

Bardzo pomógł mu list od Rona. Był długi i chaotyczny — Ron napisał go na szpitalnym papierze firmowym - i czytając go, Dennis przez cały czas chichotał. Jego stary kumpel nie stracił poczucia humoru i zadziorności. Ricky Joe Simmons wciąż był na wolności, a on zamierzał go dopaść, choćby po trupach.

Żeby nie postradać zmysłów, Dennis całe dni spędzał w bibliotece prawniczej na lekturze spraw. Dokonał tam napawającego nadzieją odkrycia: jego apelacja habeas corpus została złożona w Sądzie Okręgowym Wydziału Zachodniego. Hrabstwo Pontotoc podlegało Sądowi Okręgowemu Wydziału Wschodniego. Porównał notatki z notatkami więziennych specjalistów i doszedł do wniosku, że Wydział Zachodni nie ma nad nim władzy prawnej. Przepisał wniosek i wysłał go do odpowiedniego sądu. Szanse powodzenia były małe, lecz dodało mu to sił do dalszej walki.

W styczniu 1999 roku rozmawiał przez telefon z Barrym Scheckiem. Scheck walczył na wielu frontach; Innocence Project tonął w zalewie spraw o niesłuszne skazanie. Dennis wyraził niepokój, że władze Oklahoma położyły łapę na wszystkich dowodach rzeczowych, ale Barry wytłumaczył mu, że nie ma w tym niczego niezwykłego. „Spokojnie - mówił - z próbkami nic się nie stanie”. Wiedział, co zrobić, żeby ich nie podmieniono.

Sprawa Dennisa zafascynowała go z prostego powodu: policja odpuściła sobie świadka, którego widziano jako ostatniego z żywą Debbie Carter. Był to olbrzymi błąd i wyraźne ostrzeżenie, że coś tu nie gra. Tylko tego było mu trzeba.

**Dwudziestego** szóstego i dwudziestego siódmego stycznia 1999 roku w Laboratory Corporation of America (LabCorp) pod Raleigh w Karolinie Północnej przeprowadzono badania spermy znalezionej na miejscu zbrodni na porwanych figach, prześcieradle oraz w pochwie ofiary, po czym porównano jego wyniki z profilem DNA Rona Williamsona i Dennisa Fritza. Do nadzorowania badań adwokaci Rona i Dennisa wynajęli kalifornijskiego specjalistę od DNA, Briana Wraxalla.

Dwa dni później sędzia Landrith przekazał wszystkim wiadomość, o której Mark Barrett i wielu innych marzyło od dawna. LabCorp przeanalizowało wyniki badań i potwierdziło, że nasienie z miejsca zbrodni jednoznacznie wyklucza Williamsona i Fritza z kręgu podejrzanych.

Annette, która utrzymywała stały kontakt z Markiem, wiedziała, że badania trwają. Gdy zadzwonił telefon, była akurat w domu. Podniosła słuchawkę, a wówczas Mark powiedział:

- Annette, Ron jest niewinny.

Nogi się pod nią ugięły, omal nie zemdląła. - Jesteś tego pewny? - spytała.

- Ron jest niewinny - powtórzył Barrett. - Właśnie dostaliśmy wyniki badań.

Annette nie mogła mówić, bo się rozplakała, wreszcie obiecała, że odzwoni. Usiadła i długo się modliła, dziękując Bogu za Jego dobroć. Gehennę brata przetrwała tylko dzięki głębokiej wierze i Pan odpowiedział wreszcie na jej prośby. Zanuciła kilka nabożnych pieśni i zaczęła wydzwaniać do rodziny i przyjaciół. Renee zareagowała niemal identycznie.

Nazajutrz wybrały się w czterogodzinną podróż do Vinita. Czekali tam na nie Mark Barrett i Sara Bonnell - trzeba było to jakoś uczcić. Gdy do sali widzeń wprowadzano Rona, przechodził tamtędy doktor Grundy, zaproszono więc go do stołu. Ron był jego pacjentem i bardzo się zaprzyjaźnili. Po półtorarocznym pobycie w szpitalu jego stan był w miarę stabilny. Ron robił powoli postępy i przybierał na wadze.

- Mamy dobre wiadomości - zaczął Mark, zwracając się do swego klienta. - Są wyniki badań DNA. Ty i Dennis jesteście niewinni.

Ron wzruszył się i wyciągnął ręce do sióstr. Objęły się, rozplakali, a potem odśpiewali l'll Fly Away, popularną pieśń religijną, której nauczyli się w dzieciństwie.

**Mark Barrett** natychmiast złożył wniosek o oddalenie wszystkich zarzutów i uwolnienie Rona, a sędzia Landrith bardzo chciał się tą sprawą zająć. Ale Bill Peterson zgłosił sprzeciw, domagając się przeprowadzenia badań włosów z miejsca zbrodni. Rozprawę wyznaczono na trzeciego lutego.

Peterson oprotestował wniosek, ale, jak to on, nie mógł zrobić tego po cichu. Przed przesłuchaniem udzielił wywiadu dla „Ada Evening News”, w którym oświadczył: „Badania DNA próbek włosów, niedostępne w 1982 roku, udowodnią, że ludzie ci zamordowali Debbie Carter”.

Oświadczenie to wstrząsnęło Barrettem i Scheckiem. Jeśli Peterson jest na tyle arogancki, że składa je publicznie, i to w ostatniej chwili, może wie coś, o czym oni nie wiedzą? Może ma dostęp do próbek? Czy to możliwe, żeby je podmienił?

Trzeciego lutego główna sala rozpraw pękała w szwach. Ann Kelly, zafascynowana sprawą reporterka z „Ada Evening News”, dokładnie ją relacjonowała. Jej pierwszostronicowe reportaże miały olbrzymią poczytność, dlatego w chwili, gdy sędzia Landrith siadał na swoim miejscu, w sali tłoczyli się policjanci, urzędnicy sądowi, członkowie rodzin i miejscowi prawnicy.

Był tam i Barney, który nic nie widział, choć słyszał znacznie więcej niż inni. Jako człowiek gruboskórny nauczył się żyć z opinią sędziego Seaya i żył z nią od 1995 roku. Nie zgadzał się z jego orzeczeniem, lecz nie mógł go zmienić. Zawsze uważał, że jego klient został wrobiony przez policję i Petersona, dlatego z prawdziwą przyjemnością obserwował, jak ta sztyca grubymi nićmi afery pruje się w świetle reflektorów.

Adwokaci wykłócali się przez czterdzieści pięć minut, wreszcie sędzia oświadczył, że przed podjęciem ostatecznej decyzji chce mieć wyniki badań włosów. Polecił je przeprowadzić jak najszybciej.

Petersonowi należało się jednak uznanie, ponieważ oświadczył przed sądem, że zgodzi się na uwolnienie Williamsona i Fritza jeśli badania DNA włosów wyeliminują ich z kręgu podejrzanych.

**Dziesiątego** lutego 1999 roku Mark Barrett i Sara Bonnell pojechali do zakładu karnego w Lexington na pozornie zwykłą rozmowę z Glenem

Gorem. Chociaż nie wyznaczono jeszcze daty wznowienia procesu Rona, chcieli się doń jak najlepiej przygotować.

Gore zaskoczył ich, mówiąc, że spodziewał się tej wizyty. Czytał gazety i był na bieżąco. Znał orzeczenie sędziego Seaya i wiedział, że wcześniej czy później dojdzie do wznowienia procesu. Pogawędzili o tym, a potem zaczęli rozmawiać o Billu Petersonie. Gore nienawidził go, ponieważ to on wpakował go do więzienia aż na czterdzieści lat.

Barrett zdziwił się, że Gore zdecydował się zeznawać przeciwko Williamsonowi i Fritzowi.

— Przez Petersona — odparł Gore. — Peterson mi groził, mówił, że jeśli nie pomogę mu ich dopaść, to on dopadnie mnie.

— Potwierdzi pan to na badaniu na wykrywaczu kłamstw? - spytał Mark.

Gore odrzekł, że jasne, nie ma problemu i dodał, że sam proponował to policji, ale że oni nie wyrazili nawet najmniejszego zainteresowania.

Na pytanie Marka i Sary dotyczące badania jego śliny pod kątem DNA Gore odparł, że to niekonieczne. Tamci zbadali już jego DNA - badaniom tym musieli poddać się wszyscy osadzeni. Mark powiedział mu wtedy, że zbadano również DNA Williamsona i Fritza. Gore już o tym wiedział.

— Czy pańskie DNA mogło znaleźć się na ciele Debbie Carter? - spytał Barrett.

To całkiem prawdopodobne, odparł Gore, bo tamtej nocy pięć razy z nią tańczył. W tańcu DNA nie zmienia właściciela, odrzekł Mark i wyjaśnił mu, jak powstają tego rodzaju ślady. Krew, ślina, włosy, pot, sperma.

— Wyodrębnili i zbadali DNA ze spermy — dodał.

Wyraz twarzy Gore'a radykalnie się zmienił; było oczywiste, że wiadomość ta bardzo go zaniepokoiła. Poprosił o przerwę i wyszedł po swego doradcę. Wrócił z Reubenem, więziennym prawnikiem. Gdy go nie było, Sara poprosiła strażnika o patyczek higieniczny.

— Glen, mógłby pan dać nam próbkę śliny? - spytała, podając mu pałeczki.

Gore wziął go, złamał na pół, wyczyścił sobie uszy i obie połówki schował do kieszeni.

— Uprawiał pan z nią seks? - spytał Mark.

Gore nie odpowiedział.

— Czy to znaczy, że nie? - drażył Mark. - Nigdy?

— Tego nie powiedziałem.

- Jeśli uprawiał pan z nią seks, DNA ze spermy z miejsca zbrodni będzie pasowało do pańskiego.

- Ja tego nie zrobiłem - odparł Gore. - Nie mogę wam pomóc.

On i Reuben wstali, rozmowa dobiegła końca. Na odchodnym Mark spytał, czy mogliby spotkać się ponownie. Jasne, odrzekł Gore, ale lepiej by było, gdyby spotkali się u niego w pracy.

W pracy? Mark myślał, że Gore siedzi i że wyjdzie dopiero za czterdzieści lat.

Okazało się, że Gore pracuje w Purcell, w rodzinnym mieście Sary Bonnell, w Departamencie Robót Publicznych. Niech go tam złapią, a wtedy pogadają dłużej.

Mark i Sara zgodzili się tam przyjechać, chociaż byli bardzo zaskoczeni, że Gore pracuje poza murami więzienia.

Jeszcze tego popołudnia Mark zadzwonił do Mary Long, odpowiedzialnej za badania DNA w Oklahomskim Biurze Śledczym, i poprosił, żeby odszukano wyniki badań Gore'a i porównano je z próbkami nasienia z miejsca zbrodni. Long wyraziła na to zgodę.

**Dennis Fritz** siedział w celi, czekając na sprawdzanie stanu o 16.15. Wtem z holu dobiegł go znajomy głos wychowawcy.

- Hej, Fritz, jesteś wolny! - I jeszcze coś o DNA.

Dennis nie mógł wyjść z celi, a wychowawca zniknął. Ale słyszał to również jego współlokator, przez cały wieczór zastanawiali się więc, co to mogło znaczyć.

Było już za późno na telefon do Nowego Jorku. Tej nocy Dennis prawie nie spał, bezskutecznie próbując stłumić podniecenie. Gdy z samego rana zadzwonił się do siedziby Innocence Project, wiadomość się potwierdziła. Badanie spermy z miejsca zbrodni wykluczyło jego i Rona z kręgu podejrzanych.

Dennis wpadł w euforię. Prawie po dwunastu latach, jakie minęły od aresztowania, prawda nareszcie wyszła na jaw. Dowód był jednoznaczny i niepodważalny. Zostanie zrehabilitowany, uniewinniony i wypuszczony. Zadzwonił do matki i matka bardzo się wzruszyła. Zadzwonił do córki Elizabeth, teraz już dwudziestopięcioletniej kobiety, i uczcili to radosną rozmową. Nie widzieli się od dwunastu lat i nie mogli się już doczekać spotkania.



**Żeby** zabezpieczyć włosy z miejsca zbrodni oraz próbki Williamsona i Fritza, Mark Barrett wynajął specjalistę, który miał zbadać je pod mikroskopem i sfotografować w podczerwieni.

Niecałe trzy tygodnie od złożenia wniosku o oddalenie zarzutów laboratorium LabCorp ukończyło pierwszy etap badania włosów: wyniki były niejednoznaczne. Mark i Sara pojechali do Ady na spotkanie z sędzią. Tom Landrith niecierpliwie czekał na ekspertyzę.

Ze względu na złożoność badań DNA przeprowadzano je w kilku laboratoriach. Różne laboratoria były również konieczne, ponieważ oskarżyciel i obrońca sobie nie ufali. Pracę powierzono pięciu instytutom.

Mark i Sara omówili to z sędzią; Landrith ponownie poprosił o pośpiech.

Po rozmowie natychmiast udali się do biura Billa Petersona. W listach i podczas przesłuchań Peterson stawał się coraz bardziej wrogo nastawiony. Może przyjacielska wizyta ociepliłaby ich wzajemne stosunki?

Ale zamiast ciepłych słów, usłyszeli agresywną tyradę. Peterson był wciąż przekonany, że Williamson zgwałcił i zamordował Debbie Carter. Chrzanić DNA. Chrzanić biegłych z OSBI. Williamson to zły człowiek, który zgwałcił kilka kobiet w Tulsie, który szlajał się po barach, włóczył po ulicach z gitarą i mieszkał blisko ofiary. Gary Allen, sąsiad Debbie, widział la podwórzu jego i Fritza, gdy w noc morderstwa zmywali z siebie krew, śmiejąc się dziko i przeklinając. Musieli być winni! Peterson grzmiał i rzucał gromami bardziej po to, żeby utwierdzić w tym przekonaniu samego siebie, niż po to, żeby przekonać o tym ich.

Sara i Mark osłupiali. Ten człowiek nie był po prostu w stanie przyznać się do błędu i pogodzić z nową sytuacją.

**Marzec** włókł się dla Dennisa jak cały rok. Euforia minęła i teraz ledwie mógł dotrzeć do końca dnia. Ciągle myślał o tym, że ktoś z OSBI podmieni próbki włosów - dostał na tym punkcie prawdziwej obsesji. Ponieważ sprawa badania nasienia została już zamknięta, włosy były teraz jedynym dowodem Petersona. Gdyby wyniki badań oczyściły jego i Rona, musiano by ich uwolnić i na jaw wyszłaby cała perfidia fałszywego oskarżenia. W grę wchodziła reputacja tych z góry.

Wszystko wymknęło się spod kontroli i Dennis przeżywał wielki stres. Bał się, że dostanie ataku serca, i zgłosił się do więziennego szpitala, narzekając na palpacje. Lekarstwa niewiele pomogły.

Dzień włókł się za dniem, a potem nadszedł kwiecień.

**Ron** też nie był już tak bardzo podekscytowany. Euforia przeszła w niepokój i głęboką depresję i zaczął mieć samobójcze myśli. Często dzwonił do Marka Barretta, a on podtrzymywał go na duchu. Pokrywał koszty wszystkich telefonów, a kiedy nie było go w biurze, zawsze rozmawiał z nim ktoś inny.

Podobnie jak Dennis, Ron też się bał, że władze sfałszują wyniki badań. Obydwojacy siedzieli w więzieniu, bo wpakowali ich tam biegli oskarżenia, ludzie, którzy wciąż mieli dostęp do dowodów rzeczowych. Nietrudno było sobie wyobrazić, że mogliby na przykład podmienić próbki, żeby ochronić ludzi i zatuszować mactwo. Ron bynajmniej nie ukrywał, że kiedy już odzyska wolność, pozwie do sądu wszystkich jak leci. Niektórzy musieli czuć się bardzo nieswojo.

Ron dzwonił tak często, jak tylko mógł, zwykle raz dziennie. Dostał prawdziwej paranoi i wymyślał jeden koszmarny spisek za drugim.

Pewnego dnia Mark Barrett zrobił coś, czego nigdy przedtem nie robił i czego już chyba nigdy nie zrobi. Zagwarantował Ronowi, że wyciągnie go z więzienia. Że jeśli nawet badania DNA zawiodą, jeśli wyniki będą niekorzystne, pójdą do sądu i on, Mark Barrett, gwarantuje mu, że zapadnie wyrok uniewinniający.

Doświadczony prawnik i pocieszające słowa — przez kilka dni Ron był spokojny.

„**Próbki** włosów nie pasują”- krzyczał jedenastego kwietnia nagłówek niedzielnego wydania „Ada Evening News”. Ann Kelly pisała, że w LabCorp zbadano czternaście z siedemnastu włosów z miejsca zbrodni i stwierdzono, że „pod względem budowy genetycznej włosy te nie są zgodne z włosami Williamsona i Fritza”.

Bill Peterson oświadczył:

W tej chwili nie wiem, czyje to włosy. Porównaliśmy je tylko z włosami Williamsona i Fritza. Kiedy zaczynaliśmy badania DNA, nie miałem najmniejszych wątpliwości, że ci ludzie są winni. Poleciłem zbadać te próbki, bo chciałem ich dopaść. Kiedy dostaliśmy wyniki, byłem tak zaskoczony, że opadła mi szczęka.

Pełny i ostateczny raport przyszedł z laboratorium w środę czternastego kwietnia. Sędzia Landrith wyznaczył datę rozpoczęcia procesu na piętnastego krążyły słuchy, że już podczas pierwszej rozprawy może uwolnić oskarżonych. Obaj mieli być w sądzie.

No i miał tam być sam Barry Scheck! Robił się coraz sławniejszy. Innocence Project oczyszczało z zarzutów kolejnych bezprawnie skazanych, kiedy więc rozeszła się wieść, że przyjeżdża do Ady, rozpoczął się medialny cyrk. Przedstawiciele radia i telewizji z całego kraju wydzwaniali do Marka Barretta, sędziego Landritha, Billa Petersona, do szefów Innocence Project, do Carterów, do wszystkich liczących się graczy. Szybko narastało podniecenie.

Czy to już w czwartek? Czy to już w czwartek Ron Williamson i Dennis Fritz wyjdą z sądu jako wolni ludzie?

**Dennis Fritz** nie wiedział o wynikach badań włosów. We wtorek trzynastego kwietnia był w celi, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nim strażnik.

- Pakuj się - warknął. - Wychodisz.

Dennis domyślił się, że wraca do Ady, że może go wreszcie uwolnią. Szybko się spakował, pożegnał z kolegami i pospiesznie wyszedł. Zawieźli go do Ady, gdzie czekał już nie kto inny jak John Christian, znajoma twarz z miejscowego aresztu.

Dwanaście lat w więzieniu nauczyło Dennisa cenić prywatność i wolność, cieszyć się drobnostkami - otwartą przestrzenią, lasami i kwiatami. Wszędzie królowała wiosna, więc w drodze do Ady uśmiechał się przez okno do farm, rozfalowanych wzgórz i do całego krajobrazu.

Myśli miał chaotyczne. Nie znał najnowszych wyników badań DNA, nie był też pewien, dlaczego go tam wiozą. Istniała szansa, że go wypuszczą, jednak mogło być również i tak, że w ostatniej chwili coś im w tym przeszkodzi. Dwanaście lat wcześniej też omal go nie uwolniono, gdy na rozprawie wstępnej sędziego Miller zdał sobie sprawę, że jest za mało dowodów. Ale gliniarze i Peterson wyjęli z rękawa Jamesa Harjo, doszło do procesu i Dennis wylądował w więzieniu.

Pomyślał o Elizabeth, jak cudownie będzie ją zobaczyć i przytulić. Nie mógł się już doczekać wyjazdu z Oklahomy.

Ale potem znowu ogarnął go strach. Wolność była tak blisko, a on wciąż miał na rękach kajdanki i jechał do paki.

Czekała na niego Ann Kelly, reporterka. Wchodząc do aresztu, uśmiechnął się do niej chętny do rozmowy. „Tej sprawy w ogóle nie powinno być - powiedział. - Nie mieli przeciwko mnie wystarczających dowodów i gdyby policja porządnie przeprowadziła śledztwo i zajęła się wszystkimi podejrzanymi, nigdy by do tego nie doszło”. Poruszył również problem systemu obrony dla ubogich. „Kiedy nie ma się pieniędzy na obronę, jest się

na łasce i niełasce wymiaru sprawiedliwości. A kiedy już trafi się w objęcia systemu, nie sposób się z nich wyrwać, nawet jeśli jest się niewinnym”.

Spędził spokojnie noc w swojej starej celi, śniąc o wolności.

Spokój panujący w areszcie przysł już nazajutrz, czternastego kwietnia, kiedy to z Vinity przyjechał uśmiechnięty od ucha do ucha Ron Williamson w więziennych pasiakach. Rozeszła się plotka, że zwolnią go już następnego dnia i to przykuło uwagę mediów.

Ron i Dennis nie widzieli się od jedenastu lat. Napisali do siebie tylko raz, mimo to objęli się na powitanie i długo śmiali się, próbując zrozumieć, gdzie są i co się właściwie dzieje. Przyjechali adwokaci i rozmawiali z nimi przez godzinę. Nagrywała to wszystko kamera „Dateline” NBC. Z Nowego Jorku przyjechał Jim Dwyer z „Daily News”, no i oczywiście Barry Scheck.

Wszyscy sfłoczyli się w małej sali widzeń we wschodniej części aresztu, dokładnie naprzeciwko sądu. W pewnym momencie Ron wyciągnął się na podłodze i, spoglądając przez przeszkłone drzwi, podparł głowę ręką. Ktoś spytał: „Hej, Ron, co ty robisz?”

„Czekam na Petersona” — odparł Ronnie.

Na trawniku przed sądem roilo się od kamerzystów i reporterów. Jeden z nich dopadł Billa Petersona, który zgodził się na wywiad. Ron zobaczył go i krzyknął: „Ty wstrętny grubasie! Pobiliśmy cię, Peterson!”

Matka i córka zaskoczyły Dennisa w areszcie. Chociaż Elizabeth utrzymywała z ojcem intensywną korespondencję i często przysyłała mu aktualne zdjęcia, Fritz nie był przygotowany na to, co zobaczył. Elizabeth była piękną, elegancką, dojrzałą młodą kobietą i tuląc ją do siebie, Dennis wybuchnął płaczem.

Tego dnia w areszcie połało się dużo łez.

**Rona** i Dennisa umieszczono w osobnych celach, żeby znowu kogoś nie zabili.

Szeryf Glase wyjaśnił to, mówiąc: „Będą siedzieli osobno. Źle bym się czuł, wsadzając dwóch skazanych morderców do jednej celi, więc dopóki sędzia nie rozkaże inaczej, będą siedzieli tam, gdzie siedzą”.

Cele sąsiadowały ze sobą, więc mogli rozmawiać. Współlokator Dennisa miał mały telewizor, więc dowiedzieli się od reporterów, że nazajutrz ich wypuszczą. Dennis przekazał to Ronowi.

Nikt się temu już nie dziwił, ale w areszcie znowu siedziała Terri Holland, która zaliczała właśnie kolejny etap swojej przestępczej kariery.

Między nią i Ronem doszło do wymiany zdań, jednak nie była to wymiana szczególnie nieprzyjemna. Noc się dłużyła i w Ronniem znowu odżyły dawne nawyki. Zaczął krzyczeć o wolności i niesprawiedliwości, obrzucać wyzwiskami siedzące w areszcie kobiety i głośno rozmawiać z Bogiem.

## Rozdział 15

**Uniewinnienie** Rona Williamsona i Dennisa Fritza zwróciło na Adę uwagę całego kraju, piętnastego kwietnia o świcie gmach sądu otoczyły wozy transmisyjne z talerzami anten satelitarnych, reporterzy, kamerzyści i dziennikarze. Przyszli również mieszkańcy Ady zainteresowani poruszeniem i ciekawi, co się będzie działo. O miejsce w sali rozpraw walczyło tylu chętnych, że sędzia Landrith musiał zorganizować losowanie dla reporterów i udostępnić okno w swoim gabinecie, przez które puszczono kabel do transmisji na żywo.

Przed aresztem czekała bateria kamer telewizyjnych i gdy oskarżeni stanęli w drzwiach, otoczył ich tłum dziennikarzy. Ron był w marynarce, krawacie, białej koszuli, w spodniach, które pospiesznie kupił dla niego Annette, i w nowych, za małych butach, w których ledwo mógł chodzić. Matka Dennisa przywiozła dla syna garnitur, ale on wolał codzienne ubranie, w którym ostatnio pozwalano mu chodzić w więzieniu Uśmiechając się i drocząc z reporterami, odbyli szybki - i ostatni - spacer w kajdanach.

Annette i Renee przyszły dużo przed czasem i usiadły tam gdzie zwykle, w pierwszym rzędzie tuż za stołem obrony. Trzymały się za ręce, modliły się, płakały, lecz zdołały się też kilka razy roześmiać. Było za wcześnie na świętowanie. Dołączyły do nich dzieci, krewni i przyjaciele. W pobliżu siedziały Wanda i Elizabeth Fritz, też trzymając się za ręce i gorączkowo szepcząc. Sala szybko się wypełniała. Po drugiej stronie przejścia siedziała rodzina Carterów, która po raz kolejny miała przeżyć tortury, słuchając, jak oskarżenie miota się i płacze w próbach rozwiązania zagadki morderstwa i wymierzenia sprawiedliwości. Siedemnaście lat po zabójstwie Debbie oskarżeni i skazani za tę zbrodnię mieli zostać uniewinnieni.

Wkrótce zabrakło miejsc i ludzie tłoczyli się pod ścianami. Sędzia Landrith zezwolił na obecność kamer i zapędził reporterów do ławy przysięgłych, gdzie jedno przy drugim, rozstawiono dodatkowe krzesła. Wszędzie kręcili się policjanci. Podjęto maksymalne środki bezpieczeństwa. Było kilka anonimowych telefonów, w których grożono Ronowi i Dennisowi. Sala pękała w szwach, rosło napięcie.

Policjantów przyszło mnóstwo, lecz Dennisa Smitha i Gary'ego Rogersa wśród nich nie było.

Oczywiście przyszli również prawnicy: Mark, Sara i Barry Scheck jako obrońcy, Bill Peterson, Nancy Shew i Chris Ross jako oskarżyciele. Były uśmiechy i uściski rąk. Oskarżenie przyłączało się do obrony we wniosku o oddalenie zarzutów i uwolnienie obydwu „chłopaków”. Podejmowano wspólny wysiłek, żeby naprawić zło - rzadki to przykład jedności w przelomowej godzinie naprawy ludzkich krzywd. Byli jak jedna wielka, szczęśliwa rodzina. Wszystkim należały się gratulacje, wszyscy byli dumnie, że wymiar sprawiedliwości tak pięknie się spisał.

Wprowadzono Rona i Dennisa i po raz ostatni zdjęto im kajdanki. Usiedli za swoimi adwokatami, kilkadziesiąt centymetrów od rodzin. Ron patrzył przed siebie i prawie nic nie widział. Ale Dennis patrzył na tłum i widział tam wiele zawziętych, posępnych twarzy. Większość obecnych bynajmniej nie cieszyła się z ich uwolnienia.

Sędzia zajął swoje miejsce, wszystkich powitał i szybko przeszedł do rzeczy. Poprosił Petersona, żeby ten wezwał swego pierwszego świadka. Była nim Mary Long, teraz już kierowniczka laboratorium DNA w Oklahomskim Biurze Śledczym. Long opisała przebieg badań włosów i spermy z miejsca zbrodni, próbek pobranych od podejrzanych i nadmieniła, że przeprowadzono je w różnych laboratoriach.

Ron i Dennis zaczęli się denerwować. Myśleli, że przesłuchanie potrwa tylko kilka minut, tyle, ile zajmie sędziemu oddalenie zarzutów i wygłoszenie formułki uniewinnienia. Tymczasem czas mijał i jak dotąd nic takiego się nie stało. Ron coraz częściej kręcił się na krzesle i mamrotał: „Co się dzieje?” Sara Bonnell przesyłała mu liściki z zapewnieniem, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Dennis był nerwowym wrakiem. Co oni robią? Czego właściwie chcą? Czyżby czekała ich kolejna niespodzianka? Każda poprzednia wyprawa do sądu była koszmarem. Teraz znowu był w sądzie i odżyły wspomnienia o kłamliwych świadkach, kamiennolicych przysięgłych i o Petersonie żądającym kary śmierci. Ponownie popełnił błąd i rozejrzał się po sali i ponownie stwierdził, że nie ma tam zbyt wielu takich, którzy cieszą się z ich uwolnienia.

Mary Long przeszła do omówienia najważniejszych dowodów rzeczowych. W sumie zbadano siedemnaście włosów z miejsca zbrodni, trzynaście łonowych i cztery głowowe. Dziesięć włosów znaleziono na łóżku i na pościeli. Dwa na porwanej bieliźnie, trzy na myjce w ustach ofiary, dwa pod jej ciałem.

Z tych siedemnastu jedynie cztery dopasowano pod względem DNA. Dwa należały do Debbie Carter i żaden do Rona i Dennisa. Żaden. Ani jeden.

Long dodała, że nasienie znalezione na pościeli, na porwanych majtkach i w pochwie ofiary zbadano już wcześniej i że oczywiście nie jest to nasienie Rona Williamsona ani Dennisa Fritza. Sędzia podziękował jej za zeznania.

**W roku 1988** Mehrren Hett zeznał, że z siedemnastu włosów z miejsca zbrodni trzynaście jest „mikroskopowo zgodnych” z włosami Dennisa i cztery z włosami Rona. Że włosy te nawet do siebie „pasują”. Jednocześnie w trzeciej i ostatecznej ekspertyzie, którą sporządził już po rozpoczęciu procesu Fritza, Hett definitywnie wykluczył z grona podejrzanych Glana Gore'a. Jego zeznanie było jedynym „wiarygodnym” dowodem przeciwko oskarżonemu i zdecydowało o ich skazaniu.

**Badanie DNA** ujawniło, że jeden włos głowowy, znaleziony pod ciałem, i jeden włos łonowy, znaleziony na pościeli, należą do Gore'a. Zbadano również spermę pobraną z pochwy ofiary podczas sekcji zwłok. Ona też należała do Gore'a.

Sędzia Landrith o tym wiedział, jednak postanowił zataić tę wiadomość aż do rozprawy. Za jego zgodą Bill Peterson ujawnił ją wstrząśniętej publiczności dopiero teraz.

Powiedział: „Wysoki Sądzie, wymiar sprawiedliwości w sprawach kryminalnych przeżywa trudne chwile. Do morderstwa tego doszło w 1982, do procesu w 1988. W owym czasie dysponowaliśmy dowodami, które przedstawiliśmy przysięgłym, a ci, na podstawie tychże dowodów, które moim zdaniem były wtedy aż nadto wystarczające, skazali Dennisa Fritza i Rona Williamsona”.

Nie przypomniawszy zebranych, czym były owe „aż nadto wystarczające dowody”, zaczął mówić o badaniach DNA, które podważyły większość jego dawnych przekonań. Niestety, na podstawie tego, co mu pozostało, nie mógł



postawić zarzutów oskarżonym. Poprosił Wysoki Sąd o ich oddalenie i usiadł.

Nie wygłosił ani jednego pojednawczego komentarza, nie wyraził żalu, nie przyznał się do popełnionych błędów, nikogo nie przeprosił.

Ron i Dennis oczekiwali przynajmniej tego ostatniego. Ludzkie błędy, arogancja i nadużycie władzy skradło im dwanaście lat życia. niesprawiedliwości, jakiej zaznali, łatwo można było uniknąć i oskarżenie winne im było chociaż coś tak prostego jak zwykłe przeprosiny.

Ale nigdy ich nie przeprosiło i sprawa ta stała się otwartą raną, która nigdy się nie zagoiła.

Sędzia Landrith wygłosił kilka uwag na temat niesprawiedliwości tego, co zaszło, poprosił Rona i Dennisa, żeby wstali i oznajmił, że wszystkie ciężące na nich zarzuty zostają niniejszym oddalone. Byli wolnymi ludźmi. Mogli odejść. Kilku widzów zaklaskało i zagwizdało, jednak większość nie miała nastroju do świętowania. Annette i Renee objęły swoje dzieci i krewnych i znowu się rozpłakały.

Ron wypadł zza stołu, minął ławę przysięgłych, bocznymi drzwiami wybiegł na schody, zbiegł na dół i zatrzymał się dopiero na schodach frontowych. Odetchnął głęboko chłodnym powietrzem, zapalił papierosa — pierwszego z miliona w wolnym świecie — i pomachał nim wesoło do aparatu. Zdjęcie to wydrukowały dziesiątki gazet.

Wrócił do sali kilka minut później. On, Dennis, ich rodziny i adwokaci stanęli w kącie sali, żeby przez chwilę odpowiadać na pytania tłumu reporterów i pozować do zdjęć. Parę dni wcześniej Mark Barrett zadzwonił do Grega Wilhoita i zaprosił go do Oklahomy na ten wielki dzień. Ron i Greg objęli się teraz jak bracia, którymi w sumie byli.

- Jak się pan czuje, panie Williamson? - spytał któryś z reporterów.

- A propos czego? - odparował Ron. - Nogi mnie bolą, mam za małe buty.

Stali tam, pozowali i rozmawiali przez godzinę, chociaż konferencja prasowa miała obywać się później.

Peggy Stillwell wyszła z sądu podtrzymywana przez córki i siostry. Była przybita i wstrząśnięta; nie uprzedzono ich o Glenie Gorze. Znowu wróciła na miejsce zbrodni, znowu czekał ją proces: sprawiedliwości nie stało się jeszcze zadość. Poza tym, była bardzo skonsternowana; ona i większość rodziny wciąż wierzyła, że winni są Williamson i Fritz, więc co tu robił Gore?

Ron i Dennis ruszyli wreszcie do wyjścia - każdy ich krok został starannie odnotowany i zarejestrowany. Tłum wyszedł wraz z nimi i wyległ

na trawnik. Tam Ron i Dennis przystanęli, żeby już jako wolni ludzie odechnąć świeżym powietrzem i nacieszyć się słońcem.

Zostali oczyszczeni z zarzutów, uniewinnieni i uwolnieni, mimo to nikt ich nie przeprosił, nikt im niczego nie wyjaśnił, nikt nie dał im choćby centa na drogę. Nikt nie zaproponował im jakiegokolwiek pomocy czy wsparcia.

**Nadeszła** pora na lunch. Ulubioną restauracją Rona była Bob s Barbecue na północ od miasta. Annette zadzwoniła tam już wcześniej i zarezerwowała kilka stolików - aż kilka, bo liczebność towarzyszącej im grupy ciągle się powiększała.

Chociaż Ronowi zostało tylko kilka zębów i chociaż trudno mu było jeść w obecności tylu celujących prosto w twarz kamer, łapczywie pochłonął talerz pieczonych żeberek i poprosił o dokładkę. Nigdy nie delectował się jedzeniem, ale teraz delectował się chwilą. Był dla wszystkich bardzo grzeczny, dziękował obcym, którzy podchodzili do niego, żeby dodać mu otuchy, obejmował tych, którzy chcieli, by ich objął, rozmawiał z każdym reporterem, który chciał przeprowadzić z nim wywiad.

On i Dennis nie przestawali się uśmiechać nawet z ustami pełnymi jedzenia.

**Dzień** wcześniej Jim Dwyer, dziennikarz z nowojorskich „Daily News”, i Alexandra Pelosi z „Dateline” NBC pojechali do Purcell, żeby zadać kilka pytań Glenowi Gore'owi. Gore wiedział, że w Adzie robi się gorąco i że jest teraz głównym podejrzanym. Ale - co dziwne - nie wiedziało o tym kierownictwo więzienia.

Słyszając, że szuka go ktoś spoza miasta, Gore założył, że to prawnicy lub policjanci, ludzi, których wolał unikać. Około południa porzucił pracę przy czyszczeniu rowów i uciekł. Dotarł do lasu, przeszedł kilka kilometrów, natknął się na drogę, złapał okazję i pojechał w kierunku Ady.

Kiedy Ron i Dennis dowiedzieli się, że zwiął, ryknęli śmiechem. Facet musiał mieć coś na sumieniu.

**Po długim** lunchu cała grupa pojechała do Wintersmith Park na konferencję prasową. Dennis Ron i ich adwokaci usiedli przy długim stole przed kamerami. Scheck powiedział o Innocence Project i o swojej pracy. Mark

Barrett, rozwodził się nad spartaczonym śledztwem: pięcioletnią zwłoką w dochodzeniu, nieudolną i zbyt podejrzliwą policją, aresztanckimi kapusiami, niewiarygodnymi badaniami naukowych. Najwięcej pytań kierowano oczywiście do dwóch świeżo uwolnionych i zrehabilitowanych. Dennis powiedział, że zamierza wyjechać z Oklahomy i wrócić do Kansas City. Chciał spędzać jak najwięcej czasu z córką i zastanowić się spokojnie nad resztą życia. Ron nie miał żadnych planów, chciał tylko jak najszybciej wynieść się z Ady.

Dołączył do nich Greg Wilhoit i Tim Durham, kolejny zrehabilitowany z Tulsy. Tim przesiedział w więzieniu pięć lat za gwałt, którego nie popełnił, zanim Barry Scheck i badania DNA oczyściły go z zarzutów.

**Jim** Payne, Vicky Hildebrand i Gail Seward z sądu federalnego w Muskogee po cichu stłumili głęboką satysfakcję. Niczego nie oblewali - ze sprawą Rona Williamsona zamknęli już cztery lata wcześniej i siedzieli teraz po uszy w innych - mimo to zafundowali sobie krótką przerwę, żeby nacieszyć się chwilą. Na długo przed tym, gdy badania DNA wyjaśniły całą tajemnicę, oni doszli do prawdy starą, sprawdzoną metodą, zwykłym myśleniem i ciężką pracą, i robiąc to, uratowali życie niewinnemu człowiekowi.

Sędzia Seay też nie triumfował. Owszem, całkowita rehabilitacja dała mu słodką satysfakcję, lecz był teraz zbyt zajęty innymi sprawami. Zrobił po prostu swoje, to wszystko. Chociaż wszyscy pozostali sędziowie Rona zawiedli, on dobrze rozumiał, jak działa wymiar sprawiedliwości i doskonale znał jego wady. Prawdy trudno jest czasem dociec, lecz Seay wiedział, gdzie jej szukać.

**Mark Barrett** poprosił Annette, żeby znalazła lokal na konferencję prasową, może nawet na małe, miłe przyjęcie powitalne dla Rona i Dennisa. Annette znała takie miejsce: hol wspólnoty religijnej w jej kościele, w tym samym, do którego chodził Ron, w którym od czterdziestu lat grała na pianinie i na organach.

Poprzedniego dnia zadzwoniła do pastora, żeby poprosić go o pozwolenie i omówić szczegóły. Pastor zawahał się i w końcu oświadczył, że musi zasięgnąć opinii starszyny. Annette wyczuła, że coś jest nie tak, poszła do kościoła i pastor powiedział jej, że owszem, rozmawiał ze starszyną i że według nich, jak również według niego, tego rodzaju spotkań nie należy organizować w kościele. Zaskoczona Annette spytała dlaczego.

Bo może tu dojść do aktów przemocy, odparł. Ronowi i Dennisowi grożono i sytuacja może wymknąć się spod kontroli. W mieście aż wrzało po ich uwolnieniu, a większość mieszkańców nie popierała wyroku. Po stronie Carterów stało kilku niebezpiecznych bandziorów, nic dobrego by z tego nie wyszło, i w ogóle.

- Przecież przez dwanaście lat się za niego modliliśmy - przypomniała mu Annette.

- Tak, to prawda - odparł - i nadal będziemy się modlić. Ale mieszka tu wielu takich, którzy wciąż uważają, że Ron jest winny. Nie, to zbyt kontrowersyjne. Kościół musi być bez skazy. Nie, i jeszcze raz nie.

Annette zdenerwowała się i wybiegła z gabinetu. Pastor próbował ją pocieszyć, lecz nie chciała go słuchać.

Zadzwoiła do Renee. Kilka minut później Gary Simmons wsiadł do samochodu i wyruszył w trzygodzinną podróż spod Dallas do Ady. Pojechał prosto do kościoła i z miejsca zaatakował pastora, który wciąż obstawał przy swoim. Klócili się długo, lecz nie doszli do porozumienia. Kościół nie chciał ustąpić. Sprawa była zbyt ryzykowna.

— Ron przyjdzie w niedzielę na poranne nabożeństwo - powiedział Gary. - Czy pastor powita go i pozdrowi?

— Nie - odparł tamten.

**Świętowanie** kontynuowano w domu Annette, która wydała kolację dla rodziny i przyjaciół. Gdy pozmywano już naczynia, wszyscy zgromadzili się na werandzie i rozpoczął się spontaniczny koncert gospel, starych pieśni religijnych. Barry Scheck, nowojorski Żyd, nigdy takich nie słyszał i odważnie się do nich przyłączył. Śpiewał również Mark Barrett; była to dla niego chwila niezwykła i pełna dumy i nie miał ochoty wychodzić. Do chóru chętnie dołączyły Sara Bonnell, Janet Chesley i Kim Marks. Był z nimi i Greg Wilhoit z siostrą Nancy. Fritzowie - Dennis, Elizabeth i Wanda — siedzieli obok siebie i świetnie się bawili.

„Tamtego wieczoru do Annette przyszli dosłownie wszyscy - wspomina Renee. - Było mnóstwo jedzenia, były śpiewy, był śmiech. Annette grała na pianinie, Ronnie na gitarze, a my śpiewaliśmy pieśni i piosenki. Śpiewali wszyscy, wszyscy klaskali, wszyscy dobrze się bawili. O dziesiątej zapadła cisza, bo chcieliśmy obejrzeć dziennik. Siedzieliśmy na werandzie, jeden przy drugim, od ściany do ściany, czekając, aż ci z telewizji przekażą miastu wiadomość, na którą czekaliśmy przez tyle lat, aż powiedzą, że mój mały braciszek, Ronald Keith Williamson, jest nie tylko wolny, ale i niewinny!

Chociaż była to naprawdę radosna chwila, widzieliśmy po jego oczach, że jest bardzo chory, że sprawiła to wieloletnia gehenna, którą przeszedł w więzieniu”.

Uczczono tę wiadomość śpiewem i wesołym śmiechem. Potem Mark Barrett, Barry Scheck i kilku innych gości pożegnało się i wyszło. Wszystkich czekał długi dzień.

Późnym wieczorem zadzwonił telefon. Odebrała Annette. Anonimowy rozmówca powiedział jej, że członkowie miejscowego Ku Klux Klanu szukają Ronniego. Jedna z krążących po mieście plotek głosiła, że ktoś od Carterów wyznaczył kontrakt na niego i Dennisa i KKK zabija teraz na zlecenie. W południowo-wschodniej Oklahomie działały niedobitki klanu, jednak minęły lata, odkąd ostatni raz podejrzewano ich o morderstwo. Zazwyczaj nie brali na celownik białych, ale niewykluczone że pod wpływem chwili uznano, iż KKK będzie najbardziej skłonny podjąć się takiego zadania.

Telefon zmroził Annette krew w żyłach i w tajemnicy przed bratem powiedziała o tym Renee i Gary'emu. Postanowili potraktować tę groźbę poważnie, lecz zataić ją przed Ronem.

„Najszczęśliwsza noc w naszym życiu stała się nocą najstraszniejszą - mówi Renee. - Postanowiliśmy zadzwonić na policję. Powiedzieli nam, że nikogo nie przyślą, że nie zrobią nic, dopóki coś się nie stanie. Jak mogliśmy być tacy naiwni i pomyśleć, że nas ochronią? Ogarnięci paniką biegaliśmy po całym domu, zaciągając żaluzje, zamykając okna i drzwi. Było oczywiste, że nikt z nas nie zaśnie, bo wszyscy mieliśmy zszargane nerwy. Nasz zięć bał się o żonę i dziecko. Usiedliśmy razem i zaczęliśmy się modlić, prosić Pana, żeby nas ukoił, żeby aniołowie otoczyli nasz dom i go strzegli. Tak dotrwaliśmy do rana. Nic nam się nie stało. Pan po raz kolejny wysłuchał naszych próśb. Patrząc wstecz, to niemal zabawne, że w pierwszym odruchu zadzwoniliśmy na policję. I to gdzie, w Adzie”.

**Ann Kelly** z „Ada Evening News” uważnie śledziła wszystkie wydarzenia i miała za sobą bardzo pracowity dzień. Wieczorem zadzwonił do niej Chris Ross, zastępca prokuratora okręgowego. Był zdenerwowany i zarzucił jej, że prasa oczernia policję i prokuraturę.

Nikt nie chciał napisać, jak to wygląda z ich strony.

**Wczesnym** rankiem, na samym początku pierwszego pełnego dnia wolności, Ron, Dennis, Mark Barrett i Barry Scheck pojechali do Holiday Inn, gdzie

czekała na nich ekipa telewizyjna NBC. Wzięli udział w „Today”, programie na żywo; wywiad przeprowadził Matt Lauer.

Ich historia stawała się coraz głośniejsza i większość reporterów wciąż była w Adzie, polując na ludzi choćby pobieżnie związanych ze sprawą, nie wspominając już o tych bezpośrednio w nią zaangażowanych. Ucieczka Glena Gore'a była wspaniałym wątkiem pobocznym.

Cała grupa - Ron, Dennis, ich rodziny i adwokaci - pojechali następnie do Norman i wpadli do Biura obrońcy Publicznego na kolejne przyjęcie. Ron powiedział kilka słów, dziękując wszystkim tym, którzy tak ciężko pracowali, żeby go strzec i w końcu uwolnić. Potem pojechali do Oklahoma City, żeby wziąć udział w programach „Inside Edition” i „Burden of Proof”.

Scheck i Barrett próbowali zorganizować spotkanie z gubernatorem i przedstawicielami legislatury stanowej, żeby zachęcić ich do lobbowania za ustawą, która upowszechniłaby badania DNA i zapewniła odszkodowanie dla niesłusznie skazanych. Poszli tam całą grupą, żeby ścisnąć ręce, przypierać ludzi do muru i odbyć kolejną konferencję prasową. Trudno byłoby o bardziej odpowiedni moment: towarzyszyło im olbrzymie zainteresowanie krajowych mediów. Gubernator był zbyt zajęty, żeby ich przyjąć, przysłał więc swego najważniejszego doradcę, zmyślnego faceta, który wpadł na pomysł spotkania z członkami Oklahomskiego Sądu Karnego Apelacyjnego. Nie było jasne, czym to spotkanie miałoby zaowocować, chociaż na pewno należało liczyć się z żalem, urazą i pretensjami. Ale było piątkowe popołudnie i sędziowie ciężko pracowali. Wyszedł do nich tylko jeden, a właściwie jedna sędzina, w dodatku zupełnie nieszkodliwa. Nie, nie pracowała w sądzie, kiedy rozpatrywano apelację i zatwierdzono wyrok skazujący Fritza i Williamsona.

Barry Scheck wrócił do Nowego Jorku. Mark został w Norman, bo tam mieszkał, a Sara pojechała do Purcell. Gorączka na chwilę opadła, wszyscy chcieli trochę odpocząć. Dennis i jego matka zatrzymali się u Elizabeth w Oklahoma City.

Wracając do Ady, z Annette za kierownicą, Ron usiadł dla odmiany na przednim siedzeniu. Bez kajdanek. Bez więziennych pasiaków. Bez uzbrojonego szeryfa, który nie spuszczał z niego oka. Całym sobą chłonał krajobraz, farmy, rozrzucone wieże wiertnicze i łagodne wzgórza południowo-wschodniej Oklahomy.

Nie mógł doczekać się wyjazdu.

**„Zniknął** z naszego życia na tak długo, że musieliśmy go od nowa poznać - opowiada Renee. - Ten pierwszy dzień był taki miły. Powiedziałam

mu, że musi nas zrozumieć, że mamy mnóstwo pytań, że po prostu ciekawi nas, jak żył w celi śmierci. Był bardzo miły i przez kilka godzin na wszystkie odpowiadał. W pewnym momencie spytałam go: »Skąd masz te blizny na rękach?«, a on na to: »Byłem tak przybity, że się pociąłem«. Pytałyśmy go o celę, o jedzenie, i tak dalej. Ale w końcu spojrzął na nas i powiedział: »Nie rozmawiamy już o tym. Pogadajmy o czymś innym«. Spełniłyśmy jego życzenie. Przesiadywał na patio u Annette, śpiewając i grając na gitarze. Czasem go słyszałyśmy i z trudem powstrzymywałam się od płaczu, myśląc, ile wycierpiał. Często podchodził do lodówki, otwierał ją i stał tam, zaglądając do środka. Był zdumiony, że w domu jest tyle jedzenia, że może zjeść to, co zechce i ile zechce. Albo zadziwiony wyglądał przez kuchenne okno, rzucając uwagi o samochodach, o których nigdy dotąd nie słyszał. Pewnego dnia, gdy dokądś jechaliśmy, powiedział, jakie to dziwne, że może oglądać tych wszystkich zabieganych, zajętych swoimi sprawami ludzi”.

Ron był bardzo podekscytowany powrotem do kościoła. Annette nie powiedziała i nie zamierzała mu mówić o incydencie z pastorem. Zaproszono Marka Barretta i Sarę Bonnell; Ron bardzo nalegał, żeby mu towarzyszyli. Przyszli całą grupą na niedzielne nabożeństwo: wpadli do kościoła w ostatniej chwili i usiedli w pierwszym rzędzie. Na organach jak zwykle grała Annette i gdy zabrzmiały pierwsze takty głośnej, skocznej pieśni, Ron zerwał się na równe nogi i czując, że wypełnia go Duch, zaczął z uśmiechem klasnąć i śpiewać.

Podczas ogłoszeń parafialnych pastor nie wspomniał o jego powrocie, ale odmawiając poranną modlitwę powiedział, że Bóg kocha wszystkich, nawet Ronniego.

Annette i Renee zagotowały się z gniewu.

Nabożeństwa zielonoświątkowców nie są dla ludzi nieśmiałych. Muzyka była coraz głośniejsza, rozochoceni chórzyci coraz bardziej się kiwali, wierni śpiewali ile sił w płucach - garstka znajomych podeszła do Rona, żeby się z nim przywitać i go uścisnąć. Garstka. Tylko garstka. Większość dobrych chrześcijan łypała na niego spode łba. Odwiedził ich morderca.

Tej niedzieli Annette wyszła z kościoła, by już nigdy tam nie powrócić.

**Niedzielne** wydanie „Ada Evening News” zamieściło na pierwszej stronie artykuł z nagłówkiem: „Oskarżyciel się broni”. Pod nagłówkiem było wielce „prawnicze” zdjęcie Billa Petersona w akcji, na podium w sądzie.

Z oczywistych powodów Peterson nie radził sobie zbyt dobrze po rehabilitacji Dennisa i Rona i czuł, że musi wyżalić się przed mieszkańcami

Ady, Nie doceniono go, tymczasem tak dobrze chronił oskarżonych, tak bardzo o nich dbał -długi artykuł Ann Kelly był niczym innym jak żenującym wyrazem złości całkowicie przegranego prokuratora, który powinien był unikać dziennikarzy. Zaczynał się tak:

Bill Peterson, zastępca prokuratora okręgowego hrabstwa Pontotoc, twierdzi, że obrońcy Dennisa Fritza i Rona Williamsona niesłusznie przypisują sobie całą zasługę za przeprowadzenie badań DNA i uwolnienie swoich klientów.

Peterson szczegółowo przypomniał historię tychże badań w sprawie Debbie Carter i Ann Kelly pozwoliła mu się całkowicie pogrążyć. Przy każdej okazji wygłaszał uszczypliwe uwagi pod adresem Marka Barretta i Barry'ego Schecka, przy każdej też poklepywał się z dumą po plecach. Badania DNA były jego pomysłem!

Udało mu się pominąć rzecz najbardziej oczywistą. Ani razu nie wspominał, że zażądał tych badań tylko po to, żeby wbić ostatni gwóźdź do trumny Rona i Dennisa. Był tak przekonany o ich winie, że chętnie się na nie zgodził. I teraz, gdy okazało się, że się mylił, domagał się uznania za to, że był taki sprawiedliwy i uczciwy.

Jak małe dziecko wytykał wszystkich palcem. Robił niejasne, acz złowieszcze aluzje na temat innych podejrzanych i nowych dowodów rzeczowych.

Powiedział (Peterson), że jeśli znajdą się nowe dowody przeciwko Fritzowi i Williamsonowi, zasada zakazu powtórnego pociągnięcia do odpowiedzialności za to samo przestępstwo nie będzie respektowana i mogą ponownie stanąć przed sądem.

Dodał, że śledztwo w sprawie morderstwa Debbie Carter zostało wznowione i że Glen Gore nie jest jedynym podejrzanym.

Artykuł kończył się dwoma bulwersującymi cytatami. Pierwszy brzmiał tak:

Oskarżając ich w 1988, postąpiłem właściwie. Teraz, prosząc sąd o oddalenie zarzutów, zrobiłem to, co jest słuszne prawnie, moralnie i etycznie, bo zmusiły mnie do tego dowody, jakimi obecnie dysponujemy.

Oczywiście nie wspominał, że tę jakże etyczną i wysoce moralną zgodę na wycofanie zarzutów wyraził niemal pięć lat po tym, gdy Williamsona



omal nie stracono i cztery lata po tym, gdy on, Peterson, publicznie skrytykował sędziego Seaya za jego orzeczenie. Chwytając się etycznej brzytwy, skutecznie przyczynił się do tego, że Dennis i Ron, ludzie zupełnie niewinni, spędzili w więzieniu tylko dwanaście lat.

Ale najbardziej karygodna była wypowiedź ostatnia. Redakcja podkreśliła ją i umieściła dokładnie na środku pierwszej strony.

W stosunku do Williamsona i Fritza nigdy nie użyłem słowa: „niewinny”. To (badania DNA) nie dowodzi ich niewinności. Dowodzi jedynie tego, że nie mogę ich ściagać z dowodami, którymi obecnie dysponuję.

Ron i Dennis, wolni ledwie od czterech dni, wciąż byli emocjonalnie rozchwiani i artykuł ich przeraził. Dlaczego Peterson chciał postawić ich przed sądem? Znowu? Raz już doprowadził do ich skazania i nie mieli żadnych wątpliwości, że może to zrobić po raz drugi.

Nowe dowody, stare dowody, brak dowodów. To bez znaczenia. Dopiero co wyszli po dwunastu latach za morderstwo, którego nie popełnili. W hrabstwie Pontotoc dowody się nie liczyły.

Artykuł rozwścieczył Marka Barretta i Barry'ego Schecka, przygotowali więc sążnistą replikę, którą zamierzali zamieścić w gazecie. Mądrze odczekali i już po kilku dniach zdali sobie sprawę, że Peterson ma ledwie garstkę słuchaczy.

**Na prośbę** Marka Barretta, w niedzielę po południu Ron, Dennis i ich zwolennicy pojechali do Norman. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Amnesty International organizowała tam doroczny koncert rockowy na otwartym powietrzu, imprezę połączoną ze zbiórką pieniędzy. W amfiteatrze zebrały się tłumy ludzi. Było ciepło i słonecznie.

W przerwie między piosenkami na scenę wyszedł Mark, który przedstawił Rona, Dennisa, Grega i Tima Durhama. Każdy z nich powiedział kilka słów, dzieląc się z publicznością swoimi doświadczeniami. Byli zdenerwowani i nie umieli przemawiać do tłumów, mimo to znaleźli w sobie dość odwagi, żeby mówić szczerze i z głębi serca. Zrobili furorę.

Czterech mężczyzn, czterech normalnych, białych facetów z dobrych rodzin, czterech ludzi nieludzko skrzywdzonych przez wymiar sprawiedliwości, którym odebrano w sumie trzydzieści trzy lata życia - przekaz był jednoznaczny: dopóki nie naprawi się błędów, może to spotkać każdego z was.

Po przemówieniach krążyli po amfiteatrze, słuchając muzyki, jedząc lody, opalając się i ciesząc wolnością. Nie wiedzieć skąd zjawił się tam Bruce Leba, który wylewnie przywitał się ze swoim starym kumplem. Bruce nie był na procesie Rona ani nie pisał do niego do więzienia. Miał wyrzuty sumienia i serdecznie go za to przeprosił. Ron szybko mu wybaczył.

Wybaczał wszystkim. Odurzający zapach wolności stłumił stare urazy i myśli o zemście. Chociaż przez dwanaście lat marzył o wielkim, zbiorowym pozwie, marzenia te odeszły teraz w niepamięć. Nie chciał ponownie przeżywać koszmaru.

**Media** wciąż nie miały dosyć. Upatrzyły sobie zwłaszcza Rona. Był białym z białego miasta, dręczyli go biali policjanci, oskarżał go biały prokurator, skazali go biali przysięgli, stał się więc ulubieńcem wszystkich reporterów i dziennikarzy. Tego rodzaju krzywda mogła spotkać jakiegoś biedaka, przedstawiciela mniejszości etnicznej czy narodowej, ale nie małomiasteczkowego bohatera.

Obiecująca kariera sportowa, obłęd w bloku śmierci, widmo śmiertelnego zastrzyku, niekompetentni policjanci, którzy nie dostrzegli prawdziwego zabójcy - historia była bogata i złożona.

Do Marka Barretta wpływały prośby o wywiad z całego świata.

**Po sześciu** dniach w dziczy Glen Gore wreszcie się poddał. Skontaktował się z adwokatem, a ten zadzwonił do więzienia, żeby się z nimi dogadać. Najważniejszym żądaniem Gore'a było to, żeby nie zajmowały się nim władze Ady.

Niepotrzebnie się martwił. Ludzie z klapkami na oczach bynajmniej za nim nie tęsknili. Potrzebowali czasu, żeby podleczyć zranione ego. Peterson i policja wciąż twierdzili - i to oficjalnie - że śledztwo zostało wznowione i z nowym entuzjazmem szukają zabójcy, a może zabójców. Gore był tylko jednym z podejrzanych.

Nigdy nie przyznali, że popełnili błąd, dlatego kurczowo trzymali się nadziei, że może jednak mieli rację. Może na komendę wpadnie kolejny ćpun, który pograży Rona i Dennisa. Może znajdą kolejnego kapusia. Może ktoś znowu opowie im swój sen.

To była Ada. Dobra, policyjna robota mogła naprowadzić ich na nowy trop.

Dennis i Ron wciąż byli w kręgu podejrzanych.

## Rozdział 16

**Kiedy** drużyna gra na wyjeździe, codzienny rytuał stadionu Jankesów ulega lekkiej zmianie. Bez kamer, aparatów i tłumów, oczekujących nieskazitelnego boiska, stary stadion ożywa powoli i ubrani w brązowe spodnie i podkoszulki dozorczy wychodzą na murawę leniwie i dopiero późnym rankiem. Grantley, główny spec od koszenia trawy, majstruje przy swojej podobnej do pająka kosiarce, podczas gdy Tommy, fachman od gliny, uzupełnia i wyrównuje teren za bazą domową. Dan pcha mniejszą kosiarkę po gęstej trawie wzdłuż linii bocznych. W równych, zgranych odstępach czasu tryskają zraszacze wokół zewnętrznej bieżni. W ławce rezerwowych za trzecią bazą stoi grupka turystów z przewodnikiem, który pokazuje coś za tablicą wyników.

Pięćdziesiąt siedem tysięcy miejsc świeci pustką. Rozbrzmiewa ciche echo: przytłumiony warkot kosiarki, śmiech Grandeya, odległy syk urządzenia do mycia krzeseł na górnych trybunach, turkot „Czwórki”, pociągu przejeżdżającego za prawym ogrodzeniem, stukot młotka w pobliżu łoża prasowej. Dla tych, którzy konserwują dom Rutha, wolne dni, wciśnięte między tęsknotą za wielkością Jankesów i obietnicą przyszłości, są niezwykle cenne.

Spóźniony o dwadzieścia pięć lat Ron Williamson minął ławkę rezerwowych i wyszedł na brązową bieżnię wokół boiska. Przystanął, żeby ogarnąć ogrom stadionu, poczuć atmosferę tej najświętszej świątyni baseballu. Był piękny, wiosenny dzień. Powietrze odurzało, słońce stało wysoko, niebo było czyste i błękitne, a murawa tak idealnie płaska i zielona, że wyglądała jak starannie utkany dywan. Ron wystawił do słońca bladą twarz. Zapach świeżo skoszonej trawy przypomniał mu o innych stadionach, innych meczach, o dawnych marzeniach.

Na głowie miał czapeczkę Jankesów, którą dostał na pamiątkę przy wejściu, a ponieważ był teraz znakomitością - przyjechał do Nowego Jorku, żeby wziąć udział w programie „Good Morning America” z Diane Sawyer - na tę specjalną okazję włożył swoją jedyną sportową marynarkę, którą Annette pośpiesznie kupiła dwa tygodnie wcześniej, swój jedyny krawat i jedyne spodnie. Ale buty zmienił. Stracił zainteresowanie ubraniem. Chociaż kiedyś pracował w sklepie, podpowiadając klientom, co nosić, a czego nie, teraz było mu wszystko jedno. Tak to już jest po dwunastu latach w więziennym pasiaku.

Włosy ściał „pod miskę”; były zupełnie siwe, gęste i rozczochrane. Skończył czterdzieści sześć lat, lecz wyglądał znacznie starzej. Poprawił czapeczkę i wszedł na murawę. Miał metr osiemdziesiąt wzrostu i chociaż jego ciało nosiło wyraźne ślady dwudziestoletniego zaniedbywania i złego traktowania, wciąż było widać, że kiedyś intensywnie trenował. Przeszedł przez linię karną, przez łączącą bazy ścieżkę, stanął na wzgórku pałkarza i przez chwilę patrzył na niekończące się rzędy błękitnych ławek. Ostrożnie postawił nogę na gumie i pokręcił głową. Dokładnie z tego miejsca Don Larsen rozegrał mecz doskonały. Tu królował Whitey Ford, jeden z jego idoli. Spojrzał w lewo, na prawe pole i na - jak się zdawało - biegnące zbyt blisko ogrodzenie, za które Roger Marias wysłał tyle piłek. A tam, daleko za ogrodzeniem środkowym, stały pomniki największych Jankesów.

Był tam Mickey.

Mark Barrett czekał na bazie domowej. On też był w czapeczce Jankesów i zastanawiał się, o czym myśli teraz jego klient, facet, który przesiedział w więzieniu dwanaście lat za nic. Wypuścić takiego bez przeprosin, bo nikt nie ma odwagi przyznać się do błędu, wykopać go bez słowa pożegnania, ot, spadaj, koleś, idź do diabła, tylko po cichu, jeśli łaska. Żadnego odszkodowania, żadnego psychologa, żadnego listu od gubernatora czy choćby jakiegoś urzędnika; żadnej pochwały za zasługi publiczne. A dwa tygodnie później ten sam facet jest w samym środku medialnej burzy i wszyscy chcą mieć go tylko dla siebie.

To niezwykle, ale Ron nie żywił do nikogo urazy. On i Dennis byli zbyt zajęci, za bardzo cieszyli się bogactwem wolności. Uraza miała przyjść później, długo po tym, gdy reporterzy przestaną się nimi interesować.

Barry Scheck siedział na ławce rezerwowych, obserwując Rona i gawędząc z innymi. Był zagorzałym fanem Jankesów i to właśnie on załatwił tę specjalną wizytę na stadionie. Przez kilka dni mieli gościć u niego w Nowym Jorku.

Gdy porobiono już zdjęcia i nakrecono Rona na wzgórku pałkarza, ich mała grupa ruszyła niespiesznie wzdłuż linii pierwszej bazy, słuchając

przewodnika, który opowiadał o słynnych Jankesach. Ron też znał wiele statystyk i ciekawych historyjek. Ani razu nie wybito piłki za środkowe ogrodzenie, mówił przewodnik, chociaż prawie udało się to Mande'owi. Posłał piłkę o tam, na sto sześćdziesiąty piąty metr.

- Ale ten z Waszyngtonu był lepszy - wtrącił Ron. - Zaliczył sto sześćdziesiąt dziewięć i pół. Narzucał wtedy Chuck Stobbs.

Przewodnik był pod wrażeniem.

Kilka kroków za nimi szła Annette, która jak zwykle towarzyszyła bratu, sprząając po nim, chłonąc opowieści i podejmując najtrudniejsze decyzje. Nie przepadała za baseballlem i w tej chwili jej największą troską było utrzymanie Rona w trzeźwości. Był na nią zły, bo nie pozwoliła mu się wieczorem upić.

W skład ich grupy wchodził Dennis, Greg Wilhoit i Tim Durham. Wszyscy czterej wystąpili w „Good Morning America”. Koszty wycieczki pokrywała ABC. Był tam również Jim Dwyer z nowojorskich „Daily News”.

Zatrzymali się na linii ostrzegawczej środkowego pola. Po drugiej stronie był Monument Park, Park Pamięci z wielkimi popiersiami Rutha, Gehriga, Mande'a i DiMaggia i z dziesiątkami plakietek upamiętniających innych wielkich Jankesów. Przed remontem kapitalnym, mówił przewodnik, na tym skrawku nieomal świętej ziemi rosła trawa. Otworzyły się drzwi, weszli na ceglane patio i przez chwilę było tak, jakby stadion zniknął.

Ron podszedł do popiersia Mande'a i przeczytał krótką notkę biograficzną. Wciąż pamiętał mnóstwo szczegółów, których nauczył się w dzieciństwie.

Ostatni rok z Jankesami, 1977 roku, spędził w Fort Lauderdale, w drużynie klasy A, lata świetlne od Parku Pamięci. Annette miała kilka jego zdjęć w stroju Jankesów, w takim prawdziwym. Przed nim nosił go inny zawodnik, tu, na tym stadionie. Szefowie wielkich, wspaniałych Jankesów rozdawali nowe tylko najlepszym, a ci przekazywali je z czasem kolejnym, tym gorszym, i tak stroje odbywały smutną wędrówkę w dół drabiny, zbierając coraz więcej bitewnych szram i blizn. Każda para spodni była pocerowana na kolanach i na siedzeniu. Każda taśma elastyczna była wielokrotnie skracana, wydłużana, wysmarowana od wewnątrz markerami, żeby szwacze i trenerzy mogli nadążyć za ciągłymi zmianami rozmiarów. Każda bluza miała plamy od trawy i potu.

1997 rok, Jankesi z Fort Lauderdale. Ron wystąpił w czternastu meczach, narzucał w trzydziestu trzech rozgrywkach, dwie wygrał, cztery przegrał, a w pozostałych radził sobie tak kiepsko, że kiedy sezon litościwie dobiegł końca, Jankesi bez skrupułów się go pozbyli.

Wycieczka poszła dalej. Z szyderczym uśmiechem Ron przystanął na sekundę przed tabliczką Reggiego Jacksona. Przewodnik opowiadał o zmieniających się wymiarach stadionu, mówił, że za czasów Rutha był większy, a za czasów Marrisa i Mantle'a mniejszy. Ekipa filmowa szła wraz z nimi, nagrywając sceny, które miały wylecieć w montażu.

To zadziwiające, myślała Annette, całe to zainteresowanie. Jako dziecko i jako nastolatek Ronnie marzył o sławie w blasku reflektorów, niemal się jej domagał, a teraz, czterdzieści lat później, kamery nagrywały każdy jego ruch.

Ciesz się chwilą, powtarzała sobie w duchu. Miesiąc wcześniej leżał pod kluczem w szpitalu dla obłąkanych i nikt nie wiedział, czy kiedykolwiek stamtąd wyjdzie.

Powoli wrócili do ławki rezerwowych i zabili tam trochę czasu. Ciesząc się ostatnimi chwilami magii wielkiego stadionu, Ron spojrzął na Marka Barretta i powiedział:

- Właśnie miałem przedsmak tego, jak dobrze się tu bawili.

Mark kiwnął głową, ale żadna odpowiedź nie przyszła mu do głowy.

- Chciałem tylko grać w baseball - dodał Ron. - To jedyna radocha, jaką kiedykolwiek miałem.

Zrobił pauzę, rozejrzał się i dodał:

- Wiesz, po pewnym czasie to wszystko z ciebie spływa. Teraz mam tylko ochotę na zimne piwo.

Pijaństwo rozpoczęło się w Nowym Jorku.

**Ze stadionu** Jankesów szlak zwycięstwa prowadził do Disney Worldu, gdzie niemiecka telewizja zafundowała im trzydniowy pobyt. Ron i Dennis musieli tylko opowiedzieć im swoją historię, którą Niemcy, z typowo europejską fascynacją karą śmierci, nagrali ze wszystkimi szczegółami.

W Disney Worldzie Ronowi najbardziej spodobała się Epcot, niemiecka wioska, gdzie odkrył bawarskie piwo. Wychylał tam kufel za kuflem.

Potem polecieli do Los Angeles, żeby wystąpić na żywo w programie pod tytułem „Leeza”. Tuż przed wejściem na antenę Ron wyśliznął się gdzieś i wypił prawie pół litra wódki. Ponieważ zostało mu tylko kilka zębów, i tak mówił niewyraźnie, dlatego nikt nie zauważył, że płacze mu się język.

Mijały dni, sprawa nieco przycichła i uczestnicy wycieczki — Ron, Annette, Mark, Dennis, Elizabeth i Sara Bonnell - zaczęli zbierać się do domu.

Ostatnim miejscem, w jakim Ron chciał się teraz znaleźć, była Ada.

**Zamieszkał** u Annette i tak rozpoczął się trudny proces adaptacji. Reporterzy w końcu odeszli.

Pod nieustannym nadzorem siostry regularnie brał leki i jego stan był w miarę stabilny. Dużo spał, grał na gitarze i marzył, że zostanie słynnym piosenkarzem. Annette nie tolerowała picia w domu, a on rzadko wychodził do miasta.

Przez cały czas zżerał go strach, że znowu go aresztują i wpakują do więzienia, dlatego przy każdym głośniejszym hałasie odruchowo oglądał się za siebie gotów natychmiast uciec. Wiedział, że policja o nim nie zapomniła. Gliniarze wciąż uważali, że ma coś wspólnego z morderstwem Debbie Carter. Podobnie jak większość mieszkańców Ady.

Chciał wyjechać, ale nie miał pieniędzy. Nie był w stanie pracować i nigdy nie wspominał, że poszuka sobie jakiegoś zajęcia. Od prawie dwudziestu lat nie miał prawa jazdy i nie interesowała go nauka i zdawanie egzaminów.

Annette wyklócała się z ubezpieczeniami społecznymi o zwrot zaległej renty. Przestali mu płacić, kiedy poszedł siedzieć. W końcu wygrała i Ron dostał całkiem niezłą sumkę, bo aż sześćdziesiąt tysięcy dolarów. Przywrócono mu również rentę w wysokości sześciuset dolarów miesięcznie, którą miał otrzymywać do chwili całkowitego wyzdrowienia, co było raczej mało prawdopodobne.

Z dnia na dzień poczuł się jak milioner i postanowił żyć samodzielnie. Rozpaczliwie chciał uciec z Ady i w ogóle z Oklahomy. Jedyne dziecko Annette, syn Michael, mieszkał w Springfield, w Missouri, i uradzili, że Ron tam pojedzie. Za dwadzieścia tysięcy dolarów kupili nowy, umeblowany, dwupokojowy dom na kółkach i go przeprowadzili.

Annette była z niego bardzo dumna, ale bała się zostawić go samego. Kiedy odjeżdżała, siedział w swoim nowym fotelu, oglądał telewizję i był szczęśliwy. Gdy trzy tygodnie później wróciła, żeby sprawdzić, jak sobie radzi, wciąż siedział w fotelu, a na podłodze piętrzyła się smętna sterta puszek po piwie.

Kiedy nie spał, nie pił, nie rozmawiał przez telefon albo nie grał na gitarze, łąził po pobliskim Wal-Marcie, gdzie kupował piwo i papierosy. Ale coś się tam zdarzyło, jakiś incydent, i poproszono go, żeby spędzał czas gdzie indziej.

W tych przyprawiających o zawrót głowy dniach samodzielności dostał obsesji na punkcie zwracania długów wszystkim tym, od których przed laty pożyczał. Oszczędzania wydawało się idiotyzmem, zaczął więc rozdawać pieniądze. Wzruszały go apele telewizyjne: głodujące dzieci, kaznodzieje, którym groziła utrata pracy, i tak dalej. Wszystkim wysyłał czeki.

Płacił olbrzymie rachunki telefoniczne. Dzwonił do Annette i do Renee, do Marka Barretta, Sary Bonnell, Grega Wilhoita, do Biura Obrońcy Publicznego, do sędziego Landritha, Bruce'a Leby, a nawet do niektórych urzędników więziennych. Zwykle tryskał optymizmem, cieszył się z wolności, ale pod koniec każdej rozmowy z uporem maniaka wracał do Ricky'ego Joego Simmonsa. Genetyczny ślad Glena Gore'a absolutnie go nie przekonał. Chciał, żeby Simmonsa natychmiast aresztowano „za gwałt z użyciem narzędzia, za sodomie pod przymusem i za to, że ósmego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku zamordował Debbie Carter zamieszkałą przy Ósmej Wschodniej pod numerem dziesięć dwadzieścia dwa B! W każdej rozmowie musiał zacytować to co najmniej dwukrotnie.

Co dziwne, dzwonił również do Peggy Stillwell i zadzierzgnęła się między nimi serdeczna przyjaźń telefoniczna. Ron zapewniał ją, że nie znał Debbie, że nigdy jej nawet nie widział i Peggy mu uwierzyła. Osiemnaście lat po śmierci córki wciąż nie mogła się z nią pożegnać. Wyznała mu, że przez wiele lat dręczyło ją podejrzenie, że zagadki jej śmierci tak naprawdę nie rozwiązano.

Zwykle unikał barów i rozwiązłych kobiet, ale jeden incydent bardzo mu dopiekl. Gdy pewnego dnia szedł ulicą, pilnując własnego nosa, przy krawężniku zatrzymał się samochód z dwiema kobietami. Ron wsiadł. Zaliczyli kilka barów, zrobiło się późno, wylądowali więc u niego i tam jedna z panienek znalazła pieniądze, które trzymał pod łóżkiem. Gdy odkrył kradzież tysiąca dolarów, poprzysiął sobie raz na zawsze skończyć z kobietami.

W Springfield jego jedynym przyjacielem był siostrzeniec, Michael Hudson, więc namówił go do kupna gitary i nauczył kilku chwytów. Michael regularnie go odwiedzał i meldował o wszystkim matce. Ron pił coraz więcej.

Alkohol i lekarstwa nie idą w parze, więc znowu zaczął popadać w paranoję. Na widok policyjnego radiowozu miewał bardzo silne ataki lęku. Bał się nawet przejść przez jezdnię w niedozwolonym miejscu, bo myślał, że gliniarze obserwują go zawsze i wszędzie. Peterson znowu coś knuł. Ron zasłaniał okna gazetami, zamykał drzwi na kłódkę, a potem oklejał je od środka papierem. Spał z rzeźnickim nożem pod poduszką.

Dwa razy nocował u niego Mark Barrett. Był zaniepokojony jego stanem, paranoją, ciągłym piciem, a zwłaszcza nożem.

Ron był samotny i przerażony.



**Dennis Fritz** też bał się przechodzić przez jezdnię w niedozwolonym miejscu. Wrócił do Kansas City i zamieszkał z matką w jej małym domku przy Lister Avenue. Gdy widział go ostatni raz, na frontowym trawniku roіło się od zniesmaczonych antyterrorystów ze SWAT-u.

Od ich uwolnienia minęło wiele miesięcy, a Glenowi Gore'owi wciąż nie postawiono zarzutów. Śledztwo trwało, szło w jakimś kierunku czy kierunkach, ale - jeśli Fritz dobrze to rozumiał - policja wciąż zaliczała ich do grona podejrzanych. Dennis wzdrygał się na widok każdego radiowozu. Ilekroć wychodził z domu, zawsze oglądał się za siebie. Podskakiwał na dźwięk każdego telefonu.

Pojechał do Springfield, żeby odwiedzić Rona, i przeraził się, widząc, ile ten pije. Przez dwa dni próbowali śmiać się i wspominać, lecz Ron wlewał w siebie za dużo alkoholu. Nie był wtedy złośliwy, wredny czy za bardzo naładowany emocjonalnie, był za to głośny i nieprzyjemny. Spał do południa, budził się, wypijał puszkę czegoś na kaca, potem piwo na połączone z lunchem śniadanie, brał gitarę i zaczynał grać.

Raz pojechali na przejażdżkę. Ron jak zwykle grał. Dennis prowadził bardzo ostrożnie. Nie znał Springfield, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, były kłopoty z policją. Ron zaproponował, żeby wpaść do pewnego klubu nocnego, gdzie wieczorem chciał zaśpiewać. Dennis uznał, że to zły pomysł, zwłaszcza że Ron nigdy tam nie był i nie znał ani właściciela, ani bramkarzy. Wybuchła zażarta kłótnia i wrócili do domu.

Ron marzył o występach na scenie. Chciał grać i śpiewać dla wielotysięcznych tłumów, sprzedawać płyty i być sławnym. Dennis bał się mu powiedzieć, że z tym zdartym głosem, nadwreżonymi strunami głosowymi i miernym talentem gitarowym było to tylko marzenie, nic więcej. Namawiał go za to, żeby ograniczył picie, żeby zmniejszył dzienną dawkę budweisera, pijąc piwo bezalkoholowe, i żeby całkowicie odstawił wódkę. Ron zaczynał tyć, więc namawiał go również do ćwiczeń fizycznych i rzucenia palenia.

Ron go słuchał, mimo to wciąż pił zwykłe piwo. Po trzech dniach Dennis wyjechał. Wrócił kilka tygodni później z Markiem Barrettem, który przypadkiem tamtędy przejeżdżał. Zawieźli Rona do maleńkiej restauracyjki, gdzie za napiwki grał na gitarze i śpiewał piosenki Boba Dylana na maleńkiej scenie. Chociaż garstkę gości bardziej interesowało jedzenie niż słuchanie, był bardzo zadowolony.

**Żeby** się czymś zająć i coś zarobić, Dennis zaczął smażyć hamburgery za minimalną stawkę. Ponieważ przez dwanaście lat siedział z nosem w książkach prawniczych, trudno mu było z tym zerwać. Barry Scheck namówił go na studia i obiecał nawet wspomóc go finansowo. W pobliżu był uniwersytet stanowy z wydziałem prawa i ruchomymi godzinami zajęć. Dennis zaczął przygotowywać się do egzaminów wstępnych, ale wkrótce się załamał.

Cierpiał na rodzaj posttraumatycznego stresu i nie wytrzymał napięcia. Nieustannie prześladował go więzienny horror, nocne koszmary, wspomnienia i strach przed ponownym aresztowaniem. Ponieważ śledztwo w sprawie morderstwa Debbie Carter wciąż trwało, a policja z Ady wciąż grasowała, pewnej nocy mogli znowu załomotać do jego drzwi albo naśłać na niego antyterrorystów ze SWAT-u. W końcu zaczął się leczyć i powoli odbudowywać swoje życie. Barry Scheck coraz częściej wspominał o pozwie, o wielkim zbiorowym pozwie przeciwko wszystkim tym, którzy dopuścili się niesprawiedliwości, i Dennis spróbował się na tym skupić.

Czekała go kolejna bitwa i chciał się do niej przygotować.

**Życie** Rona natomiast zmierzało w przeciwnym kierunku. Zachowywał się dziwnie i zauważyli to sąsiedzi. Zaczął wychodzić z domu z nożem, twierdząc, że ściga go Peterson i policja z Ady. Musiał się bronić, nie zamierzał wracać do więzienia.

Annette dostała nakaz eksmisji. Ponieważ brat nie odpowiadał na telefony, uzyskała sądowy nakaz skierowania go na badania psychiatryczne.

Właśnie siedział u siebie, pijąc piwo i oglądając telewizję - oklejone gazetami okna, drzwi i tak dalej - gdy wtem usłyszał skrzekliwy głos przez megafon: „Wyjdź z rękami do góry!” Wyrzwał, zobaczył gliniarzy i pomyślał, że jego życie ponownie dobiegło końca. Wracał do celi śmierci.

Policjanci się go bali, lecz zdołali się z nim w końcu dogadać. Zawieziono go nie do celi śmierci, tylko do szpitala dla umysłowo chorych.

Jego dom na kółkach, prawie nowy, mimo to niemal doszczętnie zdemolowany, sprzedano. Gdy wyszedł ze szpitala, Annette poszukała dla niego nowego miejsca. Znalazła tylko jedno, w domu opieki społecznej pod Springfield. Odebrała go, spakowała i tak trafił do Dallas County Care Center, Ośrodka Opieki Diennej w hrabstwie Dallas.

Stały plan dnia i stała opieka działały cuda, przynajmniej początkowo. Ron brał lekarstwa i musiał całkowicie odstawić alkohol. Poczł się lepiej, jednak szybko znudziło mu się otoczenie, a zwłaszcza zgrzybiali starcy

na wózku. Zaczął narzekać, wkrótce stał się zupełnie nie do zniesienia i Annette musiała przenieść go do innego ośrodka. Trafił do Marshfield w Missouri, ale tam też roiło się od smutnych staruszków. Miał dopiero czterdzieści siedem lat. Co on, do diabła, tam robił? Zadawał to pytanie bez przerwy i w końcu siostra zabrała go z powrotem do Oklahomy.

Do Ady wrócić nie chciał; nie to, żeby ktoś tam za nim tęsknił. Annette znalazła mu miejsce w Oklahoma City, w Harbor House, starym motelu przekształconym w ośrodek dla tych, którzy będąc w okresie przejściowym, kończyli właśnie jeden etap życia, by wejść w kolejny, oby lepszy. Alkohol był zabroniony i Ron przez wiele miesięcy nie pił.

Kilka razy odwiedził go Mark Barrett. Mark wiedział, że Ron długo tam nie wytrzyma. Nikt by tam nie wytrzymał. Większość pensjonariuszy przypominała chodzące trupy i nacierpiała się w życiu bardziej niż Ron.

**Mijały** miesiące, a Glenowi Gore'owi wciąż nie postawiono zarzutu morderstwa. Okazało się, że nowe śledztwo jest równie skuteczne i owocne jak to sprzed osiemnastu lat.

Policja, prokuratura i Oklahomskie Biuro Śledcze miało w ręku niepodważalny dowód, że sperma i włosy znalezione na miejscu zbrodni należą do niego, ale to nie wystarczyło. Potrzeba było więcej dowodów.

Rona i Dennisa nie wykluczono z kręgu podejrzanych. I chociaż byli już wolnymi ludźmi i bardzo się z tej wolności cieszyli, nad ich głową wciąż wisiał mroczny cień. Co tydzień, a czasem nawet codziennie, dzwonili do siebie i do swoich adwokatów. Wreszcie, po roku życia w ciągłym strachu, postanowili stawić czynny opór.

Gdyby Bill Peterson, policja z Ady i władze Oklahomy przeprosiły za niesprawiedliwość i zamknęły smutną historię Rona Williamsona i Dennisa Fritza, postąpiłyby uczciwie i wszystko by się skończyło.

Ponieważ tego nie zrobiły, pozwano je do sądu.

**W kwietniu** 2000 roku Dennis i Ron złożyli wspólny pozew przeciwko połowie stanu. Pozwanymi byli: władze Ady, władze hrabstwa Pontotoc, Bill Peterson, Dennis Smith, John Christian, Mike Tenney, Glen Gore, Terri Holland, James Harjo, władze Oklahomy, Oklahomskie Biuro Śledcze, agenci Gary Rogers, Rusty Featherstone, Melvin Hett, Jerry Peters i Larry Mullins oraz Gary Maynard, Dan Reynolds, James Saffle i Larry Fields z Departamentu Więziennictwa.

Pozew złożono w sądzie federalnym; miała to być sprawa z powództwa cywilnego o naruszenie czwartej, piątej, szóstej, ósmej i czternastej poprawki do konstytucji. Zupełnie przypadkowo przydzielono ją nikomu innemu jak sędziemu Frankowi Seayowi, który później z niej zrezygnował.

W pozwie zarzucono, że pozwani: 1) nie zapewnili powodowi sprawiedliwego procesu, przygotowując dowody rzeczowe i zatajając te, które mogły przyczynić się do ich uniewinnienia 2) dopuścili się zмовy, której celem było aresztowania powodów i dręczenie ich w śledztwie 3) stosowali oszukańcze praktyki 4) celowo wywoływali u powodów stres 5) dopuścili się licznych zaniedbań i 6) rozpoczęli i prowadzili celowo złośliwe śledztwo.

Departamentowi Więziennictwa z kolei postawiono zarzut, że podczas pobytu w bloku śmierci Ron był źle traktowany i że mimo wielokrotnych monitów władze ignorowały jego chorobę.

Powodowie domagali się stu milionów dolarów odszkodowania.

W wywiadzie dla „Ada Evening News” Bill Peterson powiedział: „Według mnie ten niepoważny pozew ma tylko zwrócić uwagę. Ani trochę się nim nie przejmuję”.

I po raz kolejny potwierdził, że śledztwo w sprawie morderstwa Debbie Carter „jest kontynuowane”.

Pozew złożył Barry Scheck i kancelaria Cheryl Pilate z Kansas City. Mark Barrett miał dołączyć do nich później, już jako prywatny adwokat.

**Sprawy** cywilne za bezprawne skazanie są niezwykle trudne do wygrania, poza tym większość zrehabilitowanych nie ma prawa wstępu do sądu. To, że niesłusznie ich skazano, nie daje im automatycznie prawa do skarżenia tych, którzy ich zdaniem zawinili.

Potencjalny powód musi udowodnić, że pogwałcono jego prawa obywatelskie, że naruszono konstytucję i że wszystko to razem doprowadziło do jego bezprawnego skazania. No i rzecz najtrudniejsza: dosłownie wszystkich zaangażowanych w proces, w którym do tego skazania doszło, chroni immunitet. Sędzia jest nietykalny bez względu na to, jak fatalnie prowadził postępowanie. Prokurator jest nietykalny, dopóki sprawuje urząd; jeśli jednak za bardzo uwikła się w śledztwo, można go oskarżyć. Nietykalny jest również policjant, chyba że udowodni się, iż jego czyny stały w tak jawnej sprzeczności z konstytucją, że dostrzegłby to każdy, względnie rozsądny człowiek.

Tego rodzaju pozwy są niezwykle kosztowne, ponieważ powód musi wpłacić z góry dziesiątki, a nawet setki tysięcy dolarów na koszty sądowe.

Są poza tym zbyt ryzykowne, ponieważ rzadko kiedy sprawa daje się wygrać.

Większość bezprawnie skazanych, tak jak na przykład Greg Wilhoit, nigdy nie dostało żadnego odszkodowania.

**Kolejnym** przystankiem Rona był dom przejściowy w Norman, dobrze wyposażony ośrodek, który oferował pensjonariuszom uporządkowane środowisko, terapię i szkolenie. Celem jego działalności było doprowadzenie pacjentów do stanu, w którym mogliby żyć samodzielnie, bez nadzoru terapeutów, natomiast celem ostatecznym ponowne przystosowanie ich do życia w społeczeństwie, jako obywateli produktywnych i zdrowych umysłowo.

Pierwszą fazą był roczny pobyt w bursie z dwuosobowymi pokojami i mnóstwem surowych przepisów. Jedno z pierwszych szkoleń miało nauczyć ich korzystania z sieci linii autobusowych i poruszania się po mieście. Uczono ich również gotowania, sprzątanania i higieny osobistej. Już wkrótce Ron posiadał umiejętność robienia jajecznicy i kanapki z masłem orzechowym.

Wolał siedzieć u siebie w pokoju i wychodził tylko na papierosa. Miejską sieć autobusową rozgryził po czterech miesiącach.

W dzieciństwie miał dziewczynę nazwiskiem Debbie Keith. Jej ojciec był pastorem i chciał, żeby córka też wyszła za pastora, więc Ron nie miał do niej startu. Jej brat, Mickey Keith, poszedł w ślady ojca i był teraz pastorem u ewangelistów, w nowym kościele Annette w Adzie. Na prośbę Rona i pod naciskiem siostry wielebny Keith pojechał do Norman, żeby go odwiedzić.

Ron myślał poważnie o ponownym wstąpieniu do kościoła i o uporządkowaniu swego życia. Kierowała nim głównie głęboka wiara w Boga i Jezusa Chrystusa. Wciąż pamiętał fragmenty Pisma Świętego, których nauczył się w dzieciństwie, i kościelne hymny, które uwielbiał śpiewać. Mimo swoich wad i licznych występków rozpaczliwie pragnął powrócić do korzeni. Dręczyło go poczucie winy za życie, jakie wiódł, lecz mocno wierzył w Chrystusową obietnicę wieczystego i całkowitego przebaczenia.

Wielebny Keith porozmawiał z nim, pomodlił się i omówił sprawy organizacyjne. Wyjaśnił, że jeśli Ron chce wstąpić do kościoła, musi wypełnić formularz podania, w którym oświadczy, że się nawrócił, że będzie płacił dziesięcinę, wspierał kościół swoją obecnością i że nigdy go nie zhańbi. Ron szybko wszystko wypełnił i podpisał. Formularz trafił do rady kościelnej, która po dyskusji zatwierdziła jego kandydaturę.

Przez kilka miesięcy był zadowolony. Czysty, trzeźwy i zadbany, z bożą pomocą pragnął rzucić picie. Wstąpił do Anonimowych Alkoholików i regularnie uczęszczał na spotkania. Miał dobrze ustawione leki, rodzina i znajomi lubili jego towarzystwo. Był zabawny, głośny, dowcipny i zawsze miał w zanadrzu ciętą ripostę lub historyjkę do opowiedzenia. Żeby nastraszyć ludzi, z którymi spotykał się pierwszy raz, lubił zaczynać rozmowę słowami: „Kiedy siedziałem w celi śmierci” ...Jego rodzina zawsze trzymała się blisko i często była zdumiona, że tak dokładnie pamięta wszystko to, co zdarzyło się, gdy postradał zmysły.

Dom stał w centrum miasta, kilka kroków od kancelarii Marka Barretta, często więc tam wpadał. Pili kawę, rozmawiali o muzyce i o pozwie. Ron interesował się głównie tym - nie było w tym nic dziwnego - kiedy i czy w ogóle dojdzie do ugody i jak wysokie zostanie odszkodowanie. Mark zapraszał go często do swego kościoła, do Uczniów Chrystusa w Norman. Ron zapisał się również do szkoły niedzielnej z jego żoną i zafascynowały go liberalne dyskusje na temat Biblii i chrześcijaństwa, jakie tam prowadzono. Na zajęciach można było zakwestionować dosłownie wszystko, inaczej niż u zielonoświątkowców, gdzie Słowo było święte i nieomyłne i gdzie na każdego, kto wygłaszał poglądy sprzeczne z oficjalną doktryną, patrzono krzywym okiem.

Większość czasu poświęcał muzyce. Brał na warsztat piosenkę Boba Dylana czy Erica Claptona i ćwiczył, dopóki nie nauczył się śpiewać jej tak jak oni. I zaczął dostawać pierwsze angaże. Występował w kawiarniach i restauracjach w Norman i Oklahoma City, śpiewając piosenki na życzenie publiczności. Był nieustraszony. Miał bardzo ograniczone możliwości głosowe, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Przyjmował każde zamówienie.

Oklahomska Koalicja na Rzecz Zniesienia Kary Śmierci poprosiła go, żeby zaśpiewał i powiedział kilka słów na imprezie charytatywnej w Firehouse, popularnym klubie niedaleko uniwersyteckiego kampusu. Dwustu gości, publiczność znacznie większa od tej, do jakiej przywykł, onieśmieliło go, poza tym stał za daleko od mikrofonu. Ledwo go słyszano, mimo to dostał huczne brawa. Tego wieczoru poznał doktor Susan Sharp, profesor kryminologii i aktywną członkinię ruchu abolicjonistycznego. Zaprosiła go na zajęcia, a on chętnie się zgodził.

Zostali przyjaciółmi, chociaż Ron szybko zaczął traktować ją jak swoją dziewczynę. Susan natomiast pragnęła, żeby była to czysta przyjaźń i znajomość niejako zawodowa. Widziała w nim głęboko zranionego i skrzywdzonego człowieka i bardzo chciała mu pomóc. Romans nie wchodził w grę, ale Ron się nie narzucał.

Zaliczył fazę pierwszą i przeszedł do drugiej: do własnego mieszkania. Annette i Renee modliły się żarliwie, żeby dał sobie radę, żeby wytrzymał. Próbowaly nie myśleć o kolejnych domach opieki społecznej, o domach przejściowych i szpitalach dla umysłowo chorych. Gdyby zdołał przejść fazę drugą, następnym krokiem byłoby znalezienie pracy.

Ron dawał sobie radę mniej więcej przez miesiąc, a potem zaczął się powoli staczać. Z dala od uporządkowanego środowiska i nadzorców przestał regularnie brać lekarstwa. Wolał wypić zimne piwo. Jego ulubioną knajpą stał się uniwersytecki bar Deli, lokal, który przyciągał ostro pijących i młodych zwolenników kontrkultury.

Bywał tam regularnie i jak zwykle nie należał do miłych i lubianych gości.

**Dwudziestego** dziewiątego października 2001 roku złożył zeznania w związku z pozwem. Czekał na niego tłum prawników, a wszyscy chcieli wypytać człowieka, który stał się u nich osobistością.

Po kilku pytaniach wstępnych jeden z obrońców spytał:

- Czy bierze pan jakieś leki?

- Tak, biorę.

- Czy są to leki przypisane przez lekarza?

- Tak, przez psychiatrę.

- Czy ma pan ich listę lub czy może pan powiedzieć, pod wpływem jakich leków jest pan dzisiaj?

- Wiem, co biorę.

- To znaczy?

- Depakote, dwieście pięćdziesiąt miligramów cztery razy dziennie, zyprexe raz dziennie wieczorem i wellbutrin też raz dziennie.

- Czy wie pan, na co są te lekarstwa?

- Depakote na zmienność nastrojów, wellbutrin na depresję, a zyprexe na głosy i halucynacje.

- Dobrze. Jedną z rzeczy, która bardzo nas dzisiaj interesuje, jest to, czy leki te mogą mieć wpływ na pańską pamięć. Czy jakiś mają?

- Nie wiem. Nie poprosił pan jeszcze, żebym coś sobie przypomniał.

Przesłuchanie trwało kilka godzin i bardzo Rona wyczerpało.

**Jako** pozwany w sprawie cywilnej, Bill Peterson złożył wniosek o postępowanie uproszczone, bez udziału przysięgłych i bez zachowania wymogów

zwykłej procedury. Miał nadzieję, że tym sposobem wywinie się od pozwu.

Powodowie twierdzili, że stracił immunitet w chwili, gdy przekroczywszy kompetencje prokuratora, rozpoczął i przeprowadził śledztwo w sprawie morderstwa Debbie Carter. Przedstawili również dwa wyraźne przykłady sfabrykowanych przez niego dowodów.

Pierwszym było złożone pod przysięgą oświadczenie Glena Gore'a, w którym Gore twierdził, że Peterson odwiedził go w areszcie hrabstwa Pontotoc i mu groził. Według oświadczenia miał powiedzieć, że lepiej by było, gdyby jego (Gore'a) odcisków palców „nie znaleziono w mieszkaniu Debbie Carter” i że „(Peterson) może go jeszcze dopaść”.

Drugi przykład dotyczył ponownego pobrania i zbadania odcisku dłoni ofiary. Peterson przyznał, że w styczniu 1987 roku spotkał się z Jerrym Petersem, Larrym Mullinsem i śledczymi z Ady, żeby to omówić. Powiedział wtedy, że „mają nóż na gardle”, zasugerował, że odcisk pobrany cztery i pół roku po pogrzebie może być lepszy od tego pobranego podczas sekcji zwłok i poprosił ich - Mullinsa i Petersa - żeby przyjrzeni mu się jeszcze raz. Przeprowadzono ekshumację, pobrano odcisk dłoni i biegli nagle zmienili zdanie.

(Adwokaci Rona i Dennisa wynajęli własnego biegłego, Billa Baileya, który ustalił, że Mullins i Peters wyciągnęli swoje wnioski, analizując różne fragmenty odcisku. Bailey natomiast stwierdził, że odcisku tego na pewno nie zostawiła Debbie Carter).

Sędzia odrzucił wniosek o postępowanie uproszczone, mówiąc: „Istnieje uzasadnione podejrzenie, że Peterson, Peters, Mullins i inni systematycznie preparowali dowody w celu uzyskania wyroku skazującego dla Williamsona i Fritza”.

I orzekł:

Poszlaki wskazują, że w sprawie tej Peterson i śledczy podjęli wspólne działania mające na celu pozbawienie powodów jednego lub więcej konstytucyjnych praw. Powtarzające się przypadki uwzględniania w śledztwie dowodów obciążających przy jednoczesnym pomijaniu dowodów uniewinniających, dyskusyjne uwzględnianie dowodów spreparowanych, oczywisty fakt pominięcia tropów ewidentnie wskazujących na innych podejrzanych oraz wykorzystanie spornych opinii kryminalistycznych sugeruje, że w sprawach Williamsona i Fritza pozwani zmierzali do uzyskania konkretnego rezultatu, nie zwracając uwagi na sygnały, które ostrzegały, że rezultat ten jest niesprawiedliwy i nie oparty sprawdzonymi faktami.



Orzeczenie to, wydane siódmego lutego 2002 roku, było wielkim ciosem dla obrony i przyspieszyło bieg sprawy.

**Od lat** Renee próbowała namówić Annette do wyjazdu z Ady. Tutejsi mieszkańcy wciąż podejrzewali Rona i szeptali po kątach o jego siostrach. Odrzucił go kościół. Pozew przeciwko miastu i hrabstwu jeszcze bardziej podsycił ogólną niechęć i urazę.

Annette nie chciała wyjeżdżać, bo Ada była jej domem. Brat był niewinny. Nauczyła się ignorować szepty i spojżenia i wiedziała, że sobie poradzi.

Martwił ją jednak pozew. Po niemal dwóch latach intensywnych przygotowań przedprocesowych Mark Barrett i Barry Scheck uznali, że los zaczyna im wreszcie sprzyjać. Zmierzające do ugody negocjacje to rozpoczynano, to zrywano, lecz wśród prawników zdecydowanie przeważała opinia, że sprawa nie trafi do sądu.

Może rzeczywiście nadeszła pora na zmianę. W kwietniu 2002 roku, po sześćdziesięciu latach, Annette wyprowadziła się z Ady. Przeniosła się do Tulsy, gdzie miała krewnych, i wkrótce dołączył do niej brat.

Annette bardzo chciała wyciągnąć go z Norman. Ron znowu pił, a kiedy był pijany, nie zamykały mu się usta. Przechwalał się pozwem, swoimi adwokatami, milionami, jakie miał dostać od tych, którzy bezprawnie wysłali go do celi śmierci, i tak dalej. Przesiadywał w Deli i innych knajpach, przyciągając uwagę tych, którzy chcieli zaprzyjaźnić się z jego pieniędzmi.

Zamieszkała z siostrą i szybko odkrył, że w Tulsie obowiązują te same zasady co w Adzie, zwłaszcza całkowity zakaz picia w domu. Wytrzeźwiał, wrócił do kościoła i zaprzyjaźnił się z pastorem. Była tam grupa badaczy Pisma Świętego, która zbierała fundusze na wyprawy misyjne do biednych krajów. Nazywała się Light for the Lost, Światło dla Zagubionych, i co miesiąc wydawała przyjęcie połączone ze zbiórką pieniędzy. Na przyjęciu serwowano steki z pieczonymi ziemniakami i Ron pomagał w kuchni. Owijał ziemniaki folią aluminiową i bardzo lubił to robić.

**Jesienią** 2002 roku „niepoważny pozew” trafił do kosza i doszło wreszcie do ugody za kilkanaście milionów dolarów. Żeby nie zniszczyć sobie kariery i ocalić swoje ego, pozwani zażądali podpisania poufnej umowy, według której mieli wręczyć powodom pieniądze bez przyznawania się do winy.

Ponieważ sąd federalny ją utajnił, umowę włożono do teczki, a teczkę zapieczętowano i schowano.

Już wkrótce jej szczegóły roztrząsano we wszystkich barach w Adzie, ponieważ władze ujawniły, że miasto musiało wypłacić pół miliona dolarów z funduszy rezerwowych - pół miliona, bo dokładnie tyle wyniosła ich działka. Od plotek aż wrzało i wysokość odszkodowania różniła się od knajpy do knajpy, lecz powszechnie uważano, że Williamson i Fritz dostali po pięć milionów na głowę. Powołując się na anonimowych informatorów, o tej właśnie kwocie wspomnieli reporterzy z „Ada Evening News”.

Ponieważ Rona i Dennisa wciąż uważano za podejrzanych, wielu zacnych mieszkańców Ady wierzyło, że mimo wszystko obydwaj maczali palce w zabójstwie Debbie Carter. To, że teraz dostali za to okrągłą sumkę, jeszcze bardziej podsycało niechęć i urazę.

Mark Barrett i Barry Scheck namówili swoich klientów, żeby wzięli sowy zadatek, i przystali na miesięczną rentę dożywotnią.

Dennis kupił dom na przedmieściach Kansas City. Zatrzaszczył się o matkę i córkę, a resztę pieniędzy złożył w banku.

Ron nie był aż tak przezorny.

Namówił Annette, żeby pomogła mu kupić mieszkanie własnościowe niedaleko jej domu i kościoła. Wydali sześćdziesiąt tysięcy na ładny, dwupokojowy lokal i Ron po raz kolejny spróbował żyć samodzielnie. Przez kilka tygodni jakoś sobie radził. Jeśli z jakichś powodów siostra nie mogła go podwieźć, chętnie szedł do kościoła na piechotę.

Lecz znał Tulsę jak własną kieszeń i już wkrótce zaczął regularnie odwiedzać kluby ze striptizem i bary, gdzie wszystkim stawiał i dawał dziewczynom tysiąc dolarowe napiwki. Pieniądze i gadulstwo przyciągało przyjaciół, nowych i starych, z których wielu go wykorzystywało. Był nieprawdopodobnie rozrzutny i nie miał zielonego pojęcia o gospodarowaniu pieniędzmi. Zanim Annette zdążyła interweniować, wyparowało pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

W pobliżu jego domu był bar Bounty, mały, cichy pub, gdzie często bywał Guy Wilhoit, ojciec Grega. Guy i Ron spotkali się, zaczęli razem pić i spędzili wiele godzin, z ożywieniem wspominając Grega i stare duchy z bloku śmierci. Guy powiedział barmanom i właścicielowi pubu, że Ron jest ich bliskim i wyjątkowym przyjacielem i że jeżeli kiedykolwiek wpadnie w tarapaty, jak miał to w zwyczaju, mają zadzwonić do niego, do Guya, a nie na policję. Ci obiecali go przypilnować.

Ale Ron nie potrafił trzymać się z daleka od klubów ze striptizem. Do jego ulubionych należał lokal o nazwie Lady Godiva i tam zauroczyła go

pewna tancerka. Była już zajęta, ale zupełnie mu to nie przeszkadzało. Gdy dowiedział się, że ma rodzinę i jest bezdomna, zaprosił ją do siebie i zaproponował, żeby zamieszkała w wolnym pokoju gościnnym na górze. I tak do nowiutkiego mieszkania pana Rona Williamsona wprowadziła się striptizerka, jej dwoje dzieci oraz ich domniemany ojciec. W domu nie było co jeść. Ron zadzwonił do Annette z długą listą zakupów, a ta niechętnie poszła do sklepu. Gdy przyniosła jedzenie, okazało się, że brat gdzieś przepadł. Striptizerka ukryła się przed nią na górze; zamknęła się w pokoju i nie chciała wyjść. Annette postawiła jej przez drzwi ultimatum, grożąc powiadomieniem policji, jeśli natychmiast nie opuści mieszkania. Striptizerka uciekła - wraz z rodziną - i Ron bardzo za nimi tęsknił.

Tego rodzaju przygód było więcej, wreszcie Annette, jego prawna opiekunka, wystąpiła o nakaz sądowy. Znowu pokłócili się o pieniądze, lecz Ron wiedział, co będzie dla niego najlepsze. Mieszkanie sprzedali i wyładował w kolejnym domu opieki.

Ale prawdziwi przyjaciele go nie opuścili. Dennis Fritz wiedział, że Ron walczy, że próbuje żyć normalnym życiem. Zaproponował, żeby przyjechał do Kansas City i zamieszkał u niego. Obiecał, że dopilnuje, żeby regularnie brał lekarstwa, że zmusi go do ćwiczeń, do ograniczenia picia i palenia. Odkrył zdrową żywność, witaminy, preparaty wzmacniające i uzupełniające oraz herbaty ziołowe i chciał wypróbować je na przyjacielu. Rozmawiali o przeprowadzce przez wiele tygodni, lecz Annette w końcu to zawetowała.

Greg Wilhoit, teraz już stuprocentowy Kalifornijczyk i zagorzały przeciwnik kary śmierci, namawiał go na przeprowadzkę do Sacramento, gdzie życie było łatwe i spokojne i gdzie przeszłość już dawno odeszła w zapomnienie. Ronowi bardzo się ten pomysł spodobał, ale więcej zabawy mieli z samych rozmów niż z realizacji planów.

Odszukał go również Bruce Leba, który zaproponował mu pokój, nie pierwszy już zresztą raz. Annette się na to zgodziła i Ron się przeprowadził. Bruce jeździł wtedy ciężarówką - Ron siadał obok niego i szczerze cieszył się wolnością szerokich dróg.

Annette przewidywała, że układ ten potrwa najwyżej trzy miesiące, bo tyle Ron średnio wytrzymywał. Każde zajęcie, każde miejsce szybko go nudziło i rzeczywiście, już trzy miesiące później posprzeczał się z Bruce'em o jakąś drobnostkę. Wrócił do Tulsy, przez kilka tygodni mieszkał u siostry, a potem na trzy miesiące wynajął pokój w jakimś hoteliku.

**W roku** 2001, dwa lata po uwolnieniu i rehabilitacji Dennisa i Rona i niemal dziewiętnaście lat po zabójstwie Debbie Carter, policja w Adzie zakończyła śledztwo. Upłynęły jeszcze dwa, zanim Gore'a wyciągnięto z więzienia i postawiono przed sądem.

Z wielu oczywistych powodów Bill Peterson nie zasiadł za stołem oskarżyciela. Trudno by mu było stanąć przed przysięgłymi, wskazać oskarżonego i podobnie jak podczas procesu Dennisa i Rona rzec: „Glenie Gorze, za to, co zrobiłeś Debbie Carter, zasługujesz na śmierć”. Wyłgał się konfliktem interesów, ale przysłał swego asystenta, Chrisa Rossa, który słuchał, patrzył i notował.

Z Oklahoma City przyjechał prokurator Richard Wintory i, uzbrojony w wyniki badań DNA, łatwo uzyskał wyrok skazujący. Wysłuchawszy szczegółów długiej i bogatej przeszłości kryminalnej Gore'a, przysięgli szybko wrócili z propozycją kary śmierci.

Dennis nie śledził procesu, ale Ron nie mógł się oczywiście oprzeć. Codziennie wydzwaniał do sędziego Landritha i mówił: „Tommy, złapcie tego Simmonsa. Tommy, dajcie sobie spokój z Gore'em! Prawdziwym zabójcą jest Ricky Joe Simmons”.

**Z jednego** domu opieki przeprowadzał się do drugiego. Gdy znudził się nowym miejscem lub gdy przestał być tam mile widziany, dzwonił do domu i Annette szukała dla niego czegoś innego. Potem przyjeżdżała, pakowała go i przeprowadzała. Niektóre domy cuchnęły środkami dezynfekcyjnymi i śmiercią, inne były miłe i ciepłe.

W jednym z tych ostatnich, w Howe, odwiedziła go doktor Susan Sharp. Ron od wielu tygodni nie pił i był w znakomitej formie. Pojechali do podmiejskiego parku nad jeziorem i poszli na spacer. Dzień był bezchmurny, chłodny i rześki.

„Był jak mały chłopiec - wspomina doktor Sharp. - Cieszył się, że jest na dworze, cieszył się słońcem i pięknym dniem”.

Kiedy nie pił i kiedy brał lekarstwa, był cudownym kompanem. Tego wieczoru umówili się na „randkę” w pobliskiej restauracji. Ron był z siebie dumny, bo zaprosił na stek miłą, elegancką kobietę.

## Rozdział 17

**Ostre** bóle brzucha zaczęły się na początku jesieni 2004 roku. Ron czuł się rozdęty, niewygodnie mu było siedzieć i leżeć. Pomagało chodzenie, lecz ból się wzmacniał. Był zawsze zmęczony i nie mógł spać. Całymi nocami krążył korytarzami, szukając ulgi i próbując złagodzić coraz silniejszy ucisk w brzuchu.

Annette mieszkała wtedy dwie godziny jazdy od niego i nie widziała go od miesiąca, chociaż skarżył się jej przez telefon. Gdy przyjechała, żeby zabrać go do dentysty, zaszokowała ją wielkość jego brzucha. „Wyglądał tak, jakby był w dziesiątym miesiącu ciąży” - wspomina. Zrezygnowali z dentysty i pojechali prosto do szpitala w Seminole. Z Seminole odesłano ich do szpitala w Tulsie, gdzie nazajutrz stwierdzono u Rona marskość wątroby. Schorzenie nieoperowalne, nieuleczalne, bez szans na przeszczep. Był to kolejny wyrok śmierci, w dodatku śmierci bardzo bolesnej. Najbardziej optymistyczne rokowania dawały mu pół roku.

Przeżył pięćdziesiąt jeden lat, z czego co najmniej czternaście spędził za kratkami bez możliwości sięgnięcia po alkohol. To prawda, od wyjścia z więzienia ostro pił, lecz miewał również długie okresy trzeźwości i całkowitej abstynencji.

Zdawało się, że marskość wątroby jest trochę przedwczesna. Annette zadała mu kilka trudnych pytań - odpowiedzi też nie były łatwe. Nie licząc alkoholu, Ron brał również narkotyki, chociaż po wyjściu z więzienia tylko sporadycznie. Przyczyniły się do tego i lekarstwa. Przez pół życia pochłoniął mnóstwo różnych leków, w tym silnych środków psychotropowych.

Niewykluczone też, że miał po prostu słabą wątrobę. Ale teraz nie miało to już żadnego znaczenia. I znowu Annette zadzwoniła do siostry z wiadomością, w którą trudno było uwierzyć.



Był gotowy.

W ciągu pięciu lat wolności przeżył kilka miłych chwil, jednak reszta była w sumie nieprzyjemna. Przeprowadzał się siedemnaście razy i kilka razy dowiódł, że nie potrafi żyć sam. Jaka czekała go przyszłość? Był dla siostr ciężarem. Przez całe życie komuś zawadzał i już go to zmęczyło.

Po wyjściu z więzienia wiele razy mówił Annette, że wolałby się nie urodzić, że bardzo chce umrzeć. Wstydział się nieszczęścia, jakie sprowadził na bliskich, zwłaszcza na rodziców: chciał ich zobaczyć i przeprosić, chciał zostać z nimi na zawsze. Jakiś czas po uwolnieniu siostra przyłapała go w kuchni, gdy jak w transie patrzył w okno. Chwytał ją za rękę i powiedział: „Pomódl się ze mną, Annette. Pomódl się, żeby Bóg zabrał mnie do domu. Już teraz, zaraz”.

Tej modlitwy Annette nie mogła dokończyć.

Greg Wilhoit, który przyjechał na Święto Dziękczynienia, spędził z nim dziesięć dni. Chociaż Ron szybko gaśł i był mocno odurzony morfiną, godzinami rozmawiali o życiu w bloku śmierci, życiu potwornym, lecz niepozabawionym czarnego humoru.

Był listopad 2004 roku. Oklahoma wykonywała wyroki śmierci w rekordowym tempie i wielu z ich starych znajomych już stracono. Ron wiedział, że kilku spotka w niebie. Większość na pewno trafiła gdzie indziej.

Powiedział Gregowi, że poznał życie od najlepszej i od najgorszej strony. Nie chciał widzieć nic więcej i był gotowy do drogi.

„Całkowicie pogodził się z Bogiem - wspomina Greg. - Nie bał się śmierci. Chciał tylko, żeby było już po wszystkim”.

Gdy się żegnali, Ron był ledwo przytomny. Nie oszczędzono morfiny, śmierć czekała tuż za progiem.

Jego szybkie odejście zaskoczyło wielu przyjaciół. Dennis Fritz przejeżdżał przez Tulsę, lecz nie mógł znaleźć jego domu. Zamierzał wrócić i go odwiedzić, ale nie zdążył. Bruce Leba pracował akurat w innym stanie i na jakiś czas stracili ze sobą kontakt.

Niemal w ostatniej chwili zadzwonił do niego Barry Scheck. Dan Clark, śledczy, który pracował nad ich pozwem cywilnym, zamontował głośnik i w pokoju rozbrzmiał jego głos. Rozmowa była jednostronna; zamroczony środkami uspokajającymi Ron już prawie nie żył. Barry obiecywał, że niedługo przyjedzie, że pogadają. Ron zdołał się uśmiechnąć, a inni roześmiać, gdy powiedział: „I Ronnie, jeśli wykitujesz, przyrzekam ci, że dorwiemy tego Simmonsa”.

Gdy odwiedziny dobiegły końca, wezwano rodzinę.

**Trzy lata** wcześniej Taryn Simon, znana fotograficzka, odwiedziła zrehabilitowanych, żeby zebrać materiał do książki, którą akurat pisała. Zrobiła zdjęcia Ronowi i Dennisowi i dołączyła do nich krótki opis ich sprawy. Poprosiła ich również, żeby napisali kilka słów od siebie, które zamierzała zamieścić pod zdjęciami. Ron napisał:

Mam nadzieję, że nie pójdę ani do nieba, ani do piekła. Chciałbym po prostu zasnąć i już się nie obudzić, spać, śnić i nie mieć koszmarów. Wieczny odpoczynek, jak piszą na nagrobkach, właśnie tego bym chciał. Bo nie chcę stawać przed Sądem Ostatecznym. Nie chcę, żeby znowu ktoś mnie sądził. Siedząc w celi śmierci, zastanawiałem się, po co się urodziłem, skoro muszę przez to wszystko przechodzić. Jaki przyświecał temu cel? Było ze mną tak źle, że niemal przekląłem ojca i matkę za to, że wydali mnie na ten świat. Gdybym mógł wybierać, wolałbym się nie urodzić.

Ale teraz, patrząc śmierci w oczy, zmienił zdanie. Bardzo chciał spędzić wieczność w niebie.

Czwartego grudnia Annette, Renee i ich rodziny zgromadzili się przy jego łóżku po raz ostatni.

Trzy dni później w domu pogrzebowym Hayhursta odbyło się nabożeństwo żałobne. Pastor Rona, wielebny Ted Heaston, odprawił celebrację życia zmarłego. Charles Story, jego więzienny kapelan, opowiedział kilka zabawnych anegdot z jego pobytu w McAlester. Mark Barrett wygłosił wzruszającą przemowę na temat wyjątkowej przyjaźni, jaka ich łączyła. Cheryl Pilate odczytała list od Barry'ego Schecka, który nie mógł przyjechać, ponieważ prowadził gdzieś dwie sprawy o uniewinnienie i rehabilitację.

W otwartej trumnie spoczywał spokojnie blady, siwowłosy starzec. Na pokrywie leżały baseballowa kurtka, rękawica i kij, a tuż obok gitara.

Odegrano dwa klasyczne hymny, I'll Fly Away i He Set Me Free, których Ron nauczył się w dzieciństwie, i które przez całe życie śpiewał, na spotkaniach religijnych, obozach kościelnych, na pogrzebie matki w kajdanach i łańcuchach, w najczarniejsze dni w celi śmierci i u Annette w dniu uwolnienia. Skoczna muzyka i pieśni rozluźniły atmosferę i sprowadziły uśmiech na usta zebranych.

Nabożeństwo było oczywiście smutne, jednak towarzyszyło mu uczucie ulgi. Tragiczne życie dobiegło kresu i ten, który je przeżył, był teraz w lepszym świecie. O to właśnie się modlił. Nareszcie był wolny.



Pod wieczór żałobnicy, przyjaciele i rodzina, zgromadzili się na cmentarzu w Adzie i, co budujące, przyszło ich dużo. Z szacunku dla Carterów Annette wybrała cmentarz położony w innej części miasta, z dala od tego, gdzie pochowano Debbie.

Był zimny, wietrzny dzień. Siódmy grudnia, dokładnie dwadzieścia dwa lata od chwili, gdy po raz ostatni widziano ją żywą.

Trumnę nieśli między innymi Bruce Leba i Dennis Fritz. Miejscowy pastor wygłosił nad grobem krótką przemowę. Odmówiono modlitwę, popłakano i pożegnano się z Ronem ostatni raz.

Na jego nagrobku widnieje napis:

RONALD KEITH WILLIAMSON

Ur. 3 lutego 1953

Zm. 4 grudnia 2004

Człowiek silny i wytrwały

Niesłusznie skazany w 1988

Zrehabilitowany 15 kwietnia 1999

## Od autora

Dwa dni po pogrzebie Rona Williamsona przeglądałem „New York Timesa” i zobaczyłem jego nekrolog. Uwagę przykuwał już sam nagłówek — „Uwolniony z celi śmierci Ronald Williamson umiera w wieku 51” - lecz długi nekrolog, napisany przez Jima Dwyera, zapowiadał ciekawą i o wiele dłuższą historię. Zamieszczono tam również uderzające zdjęcie Rona w sali rozpraw w dniu, kiedy go zrehabilitowano. Robił wrażenie trochę zakłopotanego, ucieszonego, a nawet zadowolonego z siebie.

Nie wiem dlaczego, ale przegapiłem wiadomość o jego uwolnieniu w 1999 roku i nigdy przedtem nie słyszałem ani o nim, ani o Dennisie Fritzu.

Przeczytałem nekrolog jeszcze raz. Nawet w najbardziej twórczych chwilach nie mógłbym wymyślić czegoś równie złożonego i bogatego jak historia Rona Williamsona. I, jak miałem się wkrótce przekonać, był to jedynie wierzchołek góry lodowej. Nie minęło kilka godzin, gdy odbyłem pierwsze rozmowy z Annette i Renee i nagle stwierdziłem, że mam w ręku materiał na książkę.

O literaturze faktu myślałem rzadko - za dobrze się bawiłem, pisząc powieści — i nie miałem zielonego pojęcia, w co się pakuję. Pisanie i zbieranie materiału zajęło mi półtora roku. Wiele razy jeździłem do Ady, do tamtejszego sądu i aresztu, wiele razy bywałem w tamtejszych kawiarniach i restauracjach, w starym i nowym bloku śmierci w McAlester, byłem w Asher, gdzie przez dwie godziny siedziałem na trybunach, rozmawiając z Murl'em Bowenem, w siedzibie Innocence Project w Nowym Jorku, w Seminole, gdzie zjadłem lunch z sędzią Frankiem Seayem, byłem na stadionie Jan-kesów, w więzieniu w Lexington, gdzie rozmawiałem z Tommym Wardem, często bywałem w Norman, mojej bazie wypadowej, gdzie godzinami gawędziłem z Markiem Barrettem. W Kansas City spotkałem się z Dennisem Fritzem, w Tulsie z Annette i Renee, a gdy udało mi się namówić Grega Wilhoita na wyjazd z Kalifornii, zwiedziliśmy razem Dużego Maca, gdzie pierwszy raz od piętnastu lat zobaczył swoją starą celę.

Z każdą wizytą i każdą rozmową moja opowieść zmieniała kształt. Mógłbym napisać piel tysięcy stron.

Podróż ta była również podróżą do świata bezprawnych skazań, dokąd nawet jako prawnik rzadko kiedy zaglądałem. Nie jest to problem typowy dla Oklahomy, wprost przeciwnie. Do niezgodnych z prawem skazań dochodzi co miesiąc w każdym stanie, z różnych, choć wciąż tych samych powodów: partactwo policji, pseudonauka, mylnie zidentyfikowani podejrzani, nieudolni adwokaci, leniwi prokuratorzy i prokuratorzy arogancy.

Kryminolodzy z dużych miast są zawalieni pracą, co często jest przyczyną nieprofesjonalnych zachowań i wadliwych procedur. W miastach małych policja jest często źle wyszkolona i pozbawiona nadzoru. Morderstwa i gwałty wciąż są przestępstwami wstrząsającymi — ludzie żądają sprawiedliwości, i to szybko. Ludzie, a więc obywatele i przysięgli, wierzą, że władze będą postępowały zgodnie z prawem. Jeśli nie postępują zgodnie z prawem, rezultatem tego jest Ron Williamson i Dennis Fritz.

Oraz Tommy Ward i Karl Fontenot. Obydwaj odsiadują teraz dożywocie. Tommy będzie mógł kiedyś wyjść na zwolnienie warunkowe, ale Karl - z powodu dziwnego kruczka prawnego - nie wyjdzie nigdy. Badania DNA ich nie uratują, ponieważ na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnego materiału biologicznego. Morderca lub mordercy Denice Haraway nie zostaną schwytani, w każdym razie nie przez policję. Więcej o ich historii można przeczytać pod tym adresem: [www.wardandfontenot.com](http://www.wardandfontenot.com).

Zbierając materiały do niniejszej książki, natrafiłem na dwa inne przypadki, obydwa związane z Adą. W 1983 roku oskarżono o gwałt i postawiono przed sądem niejakiego Calvina Lee Scotta. Ofiarą była młoda wdowa, którą napadnięto podczas snu, ale ponieważ napastnik zasłonił jej twarz poduszką, nie mogła go rozpoznać. Biegły z Oklahomskiego Biura Śledczego zeznał, że dwa znalezione na miejscu przestępstwa włosy łonowe są „mikroskopowo zgodne” z włosami Calvina Lee Scotta, który nie przyznał się do winy i stanowczo zaprzeczał, że ma coś wspólnego z gwałtem. Przysięgli zdecydowali inaczej i skazano go na dwadzieścia pięć lat. Odsiedział dwadzieścia i wyszedł. W 2003 roku badanie DNA oczyściło go z zarzutów i zrehabilitowało.

Jego sprawę prowadził Dennis Smith. Bill Peterson był prokuratorem okręgowym.

W 2001 roku Dennis Corvin, były zastępca naczelnika policji w Adzie, przyznał się do postawionych mu przez sąd federalny zarzutów wytwarzania i rozprowadzania amfetaminy. Dostał sześć lat. Możliwe, że już tego nie pamiętacie, ale Corvin był policjantem, o którym wspomniał Glen Gore w oświadczeniu złożonym pod przysięgą dwadzieścia lat po tym, gdy handlował z policją narkotykami.

Ada to miłe miasteczko, nasuwa się więc oczywiste pytanie: kiedy wreszcie się tam posprząta?

Może wtedy, kiedy ludzie będą mieli dość płacenia za spartaczone śledztwa i procesy. Wciąż ostatnich dwóch lat władze Ady dwukrotnie podnosiły podatki, żeby uzupełnić

fundusz rezerwowy uszczuplony przez pozwy Rona i Dennisa. To policzek i okrutna zniewaga, ale podatki te płacą wszyscy właściciele nieruchomości, łącznie z rodziną Debbie Carter.

Nie sposób obliczyć, ile zmarnowano pieniędzy. Na utrzymanie każdego skazanego Oklahoma wydaje pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Pomijając dodatkowe koszty związane z pobytem w celi śmierci i leczeniem w szpitalach dla umysłowo chorych, za Rona zapłacono co najmniej sześćset tysięcy dolarów. Za Dennisa tyle samo. Dodać do tego ich odszkodowanie i rachunek jest prosty. Można śmiało powiedzieć, że sprawy Williamsona i Fritza kosztowały stan kilka milionów dolarów.

Rachunek ten nie uwzględnia oczywiście wielu tysięcy godzin pracy, które adwokaci apelacyjni poświęcili na ich uwolnienie; nie uwzględnia również czasu zmarnowanego przez tych, którzy chcieli ich stracić. Każdego dolara, wydanego na oskarżenie i obronę, wyjęto z kieszeni podatników.

Ale trochę pieniędzy zaoszczędzono. Barney Ward dostał aż trzy tysiące sześćset dolarów za obronę Rona, ale, jak zapewne pamiętacie, sędzia Jones odrzucił jego wniosek o zaangażowanie dodatkowego biegłego, specjalisty od badania włosów, który zweryfikowałby wartość dowodów rzeczowych oskarżenia. Greg Saunders otrzymał identyczne honorarium. Jemu też odmówiono biegłego. Sąd musiał chronić podatników.

Straty finansowe frustrują, jednak o wiele gorsze są szkody wyrządzone ludziom. Jest zupełnie oczywiste, że bezprawne skazanie zaostriżyło problemy psychiczne Rona, który po wyjściu z więzienia już nigdy nie wrócił do zdrowia. Podobnie jak większość innych zrehabilitowanych. Ale Dennisowi Fritzowi się poszczęściło. Był odważny i inteligentny, pomogły mu również pieniądze, dzięki którym stanął na nogi. Prowadzi teraz normalne, spokojne i dostatnie życie w Kansas City, a ostatnio został dziadkiem.

Bill Peterson wciąż jest prokuratorem okręgowym w Adzie. Jego asystentami są Nancy Shew i Chris Ross. A jednym ze śledczych jest Gary Rogers. Dennis Smith odszedł z policji w 1987 roku i trzydziestego czerwca 2006 roku nagle zmarł. Barney Ward zmarł latem 2005 roku, kiedy pisałem tę książkę, dlatego nie miałem okazji z nim porozmawiać. W 1990 roku sędzia Ron Jones przegrał wybory i wyjechał z Ady.

Glen Gore wciąż siedzi w bloku H w McAlester. W lipcu 2005 roku jego sprawa trafiła do Oklahomskiego Sądu Karnego Apelacyjnego, który uwzględnił odwołanie, uznawszy, że Gore'owi nie zapewniono sprawiedliwego procesu, ponieważ sędzia Landrith nie dopuścił dowodu obrony w postaci oświadczenia, że za morderstwo Debbie Carter skazano już dwóch innych oskarżonych.

W końcu, dwudziestego pierwszego czerwca 2006 roku, uznano go za winnego. Ponieważ wśród przysięgłych nie było jednomyślności co do wymiaru kary, zgodnie z prawem sędzia Landrith skazał go na dożywocie bez możliwości ubiegania się o wcześniejsze zwolnienie.

Wiek zawdzięczam ludziom, którzy pomogli mi przy pisaniu tej książki. Annette, Renee i ich rodziny umożliwiły mi całkowity dostęp do wszystkich aspektów życia Rona. Korzystając z sieci kontaktów, Mark Barrett poświęcił niezliczone godziny na obwożenie mnie po Oklahomie, na opowiadanie historii, w które początkowo nie mogłem uwierzyć oraz na szukanie świadków i grzebanie w starych aktach. Jego asystentka, Melissa Harris, skserowała mi miliony dokumentów i utrzymywała wszystkie w nienagannym porządku.

Dennis Fritz wrócił do swojej bolesnej historii z niezwykłym entuzjazmem i odpowiadał na wszystkie moje pytania. Podobnie Greg Wilhoit.

Brenda Tollett z „Ada Evening News” przekopała się przez archiwum i jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znalazły się przede mną stare egzemplarze gazety, w których opisywano historię obydwu morderstw. Ann Kelley Weaver, która pracuje obecnie w „The Oklahoman”, chętnie podzieliła się ze mną wspomnieniami, opowiadając wiele historii związanych z rehabilitacją Rona i Dennisa.

Sędzia Frank Seay nie chciał początkowo rozmawiać na temat sprawy, którą kiedyś prowadził. Wciąż wyznaje staromodną zasadę, że sędzia powinien być słyszany, a nie widziany, jednak w końcu dał się przekonać. Gdy podczas jednej z rozmów telefonicznych nazwałem go „bohaterem”, stanowczo zaprotestował. Mój sprzeciw został uchylony z odległości prawie dwóch tysięcy kilometrów. Vicky Hildebrand, która wciąż z nim pracuje, doskonale pamięta dzień, w którym po raz pierwszy przeczytała wniosek Rona o habeas corpus.

Jim Payne sam jest teraz sędzią federalnym i chociaż chętnie ze mną współpracował, zdecydowanie nie chciał przypisać sobie zasługi za uratowanie życia Ronowi. Mimo to jest bohaterem. Dzięki temu, że tak dokładnie przeczytał wniosek Janet Chesley, że czytał go w domu, po godzinach pracy, nabrał wystarczająco dużo wątpliwości, żeby pójść do sędziego Seaya i zaproponować jedenastogodzinną zwłokę w wykonaniu egzekucji.

Sędzia Tom Landrith wkroczył na scenę wydarzeń dopiero w ostatnim akcie, miał jednak wyjątkową przyjemność przewodniczenia rozprawie rehabilitacyjnej w kwietniu 1999 roku. Odwiedziny w jego sądowym gabinecie zawsze sprawiały mi wielką radość. Opowieści, w tym na pewno wiele prawdziwych, płynęły wówczas jak rzeka.

Barry Scheck i dzielni wojownicy z Innocence Project byli bardzo mili i otwarci. Do chwili, gdy piszę te słowa, doprowadzili do uwolnienia stu osiemdziesięciu skazanych i do powstania co najmniej trzydziestu filii Innocence Project w całym kraju. Więcej informacji na ten temat znajdziecie pod adresem: [www.innocenceproject.org](http://www.innocenceproject.org).

Tommy Ward spędził w celi śmierci trzy lata i dziewięć miesięcy, zanim przeniesiono go na stałe do więzienia w Lexington. Często do siebie piszemy. Pozwolił mi wykorzystać niektóre ze swych opowieści o Ronie.

Opisując jego gehennę, opierałem się głównie na „Snach Ady” Roberta Mayera. To fascynująca książka i cudownie jest pomyśleć, jak dobra może być powieść z gatunku literatury faktu. Gdy zbierałem materiały, R. Mayer chętnie ze mną współpracował.

Dziękuję prawnikom i personelowi Oklahomskiego Biura obrońcy Publicznego, Janet Chesley, Billowi Lukerowi oraz Kim Marks. Dziękuję również Bruce'owi Leba, Murlowi Bowenowi, Christy Shepherd, Leslie Delk, doktorowi Keithowi Hume'owi, Nancy Vollertsen, doktor Susan Sharp, Michaelowi Salemowi, Gail Seward, Lee Mannowi, Davidowi Morrisowi i Bertowi Colleyowi. John Sherman, student trzeciego roku prawa Uniwersytetu Wirgińskiego, na osiemnaście miesięcy zagrzebał się w pudłach z zebranymi przez nas dokumentami i jakimś cudem zawsze wiedział, gdzie co leży.

Większość bohaterów tej opowieści złożyła obszernie zeznania pod przysięgą i miałem do nich pełny dostęp. Wywiady z niektórymi nie były mi potrzebne. Kilku mi odmówiono. Zmieniłem jedynie nazwiska domniemanych ofiar gwałtu.

John Grisham  
1 lipca 2006 roku